



Pierre
Lemaitre
Ofiara

**PRZECZUWAMY LEDWIE JEDNĄ SETNĄ
TEGO, CO NAS SPOTYKA.**

 Pierre
Lemaitre

Ofiara

przełożyła
Joanna Polachowska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Dla Pascaline

Dla Cathy Bourdeau za jej wsparcie, z przyjaźnią

Przeczuwamy ledwie jedną setną tego, co nas spotyka.
Nie wiemy, jaka cząstka nieba płaci za całe to piekło.

William Gaddis, The Recognitions

DZIEŃ PIERWSZY

10.00

Za przełomowe uważa się takie wydarzenie, które wywraca do góry nogami twoje życie. Camille Verhoeven przeczytał to parę miesięcy temu w artykule „Przyspieszenie historii”. Takie zdarzenie - decydujące, wstrząsające, nieoczekiwane, zdolne postawić w stan najwyższej gotowości twój system nerwowy, rozpoznajesz natychmiast pośród innych życiowych zdarzeń, ponieważ ma ono w sobie specyficzną dynamikę i intensywność; gdy do niego dochodzi, od razu wiesz, że będzie miało ono dla ciebie olbrzymie konsekwencje, że to, co cię właśnie spotyka, jest nieodwracalne.

Na przykład trzy strzały z broni palnej oddane do kobiety, którą kochasz.

To właśnie spotka Camille'a.

I nieważne, że tego dnia uczestniczyłeś - tak jak on - w pogrzebie najbliższego przyjaciela i czujesz, że tego dnia swoje już odcierpiałeś. Dla przeznaczenia to żaden argument, z powodzeniem może przybrać postać zabójcy uzbrojonego w obrzyn mossberg 500, kaliber 12.

No i teraz pytanie, jak zareagujesz. W tym cały problem.

Bo jesteś do tego stopnia osłupiały, że twoja pierwsza reakcja najczęściej bywa czysto instynktowna. Jak na przykład wtedy, gdy, zanim padną te trzy strzały, kobieta, którą kochasz, zostaje dosłownie zmasakrowana, a potem wyraźnie widzisz, jak zabójca z suchym trzaskiem ładuje broń i składa się do strzału.

To pewnie w takich właśnie momentach ujawniają się ludzie niezwykli, tacy, którzy w złych okolicznościach potrafią podejmować dobre decyzje.

Ale jeśli jesteś zwykłym człowiekiem, bronisz się, jak możesz. I często w obliczu takiego wstrząsu skazany jesteś na zbyt pochopną lub błędną ocenę sytuacji, jeśli nie wręcz na całkowitą bezsilność.

Gdy masz już swoje lata lub gdy spotkało cię w życiu coś równie porażającego, sądzisz, że jesteś uodporniony. Tak było w przypadku Camille'a, którego pierwsza żona została zamordowana; potrzebował lat, żeby podnieść się po tym kataklizmie. Kiedy przeżyłeś podobny horror, myślisz, że nic gorszego nie może cię spotkać.

To pułapka.

Ponieważ przestałeś się mieć na baczności.

Dla przeznaczenia, które ma nieomyślne oko, to najlepszy moment, żeby cię dopaść.

I przypomnieć ci o niezawodności przypadku.

Anne Forestier wchodzi do galerii Moniera chwilę po jej otwarciu. Główny pasaż jest prawie pusty, unosi się w nim jeszcze silna woń detergentów, sklepy powoli się otwierają, sprzedawcy wystawiają stoiska z książkami, z biżuterią, stelaże z towarami.

Wzniesiona w dziewiętnastym wieku w dolnym odcinku Champs-Élysées galeria mieści eleganckie butik, sklepy z materiałami piśmiennymi, z galanterią skórzaną, antykwariaty. Pokrywa ją szklany dach; unosząc w górę oczy, uważny przechodzień wypatrzy mnóstwo detali art déco, fajansowych ozdób, gzymsów i małych witraży. Również Anne, gdyby chciała, mogłaby je podziwiać, ale, co sama chętnie przyznaje, nie należy do rannych ptaszków. I o tej porze cuda architektury, detale i plafony nie są jej głównym zmartwieniem.

Przede wszystkim musi się napić kawy. Bardzo mocnej.

Bo tego ranka Camille, który w przeciwieństwie do Anne należy do rannych ptaszków, jak na złość nie spieszył się ze wstaniem z łóżka. Anne natomiast nie bardzo była w nastroju. Odrzuciła więc z uśmiechem awanse Camille'a - a nie zawsze łatwo jest się oprzeć jego gorącym dłoniom - wymknęła się pod

prysznic i zapomniała o wcześniej zaparzonej kawie, wycierając włosy, wróciła do kuchni, gdzie kawa zdążyła już ostygnąć, w ostatniej chwili złapała jedno ze swoich szkieł kontaktowych ledwie kilka milimetrów od otworu w umywalce...

A potem zrobiło się późno i trzeba było już wyjść. Na czczo.

Zjawiwszy się kilka minut po dziesiątej w pasażu Moniera, siada na tarasie kawiarni - nieopodal wejścia - w której jest pierwszą klientką. Ekspres do kawy dopiero się rozgrzewa, Anne musi cierpliwie czekać, aż zostanie obsłużona, a jeśli co chwila spogląda na zegarek, to nie dlatego, że jej się spieszy. To z powodu kelnera. Próbuje go zniechęcić. Bo kelner, czekając, aż ekspres się rozgrzeje, i nie mając nic innego do roboty, usiłuje nawiązać rozmowę. Przeciera sąsiednie stoliki, spogląda na nią spod oka i niby nic, okrążenie za okrążeniem, podchodzi coraz bliżej. Jest to wysoki, chudy, przemądrzały blondyn z tłustymi włosami; w miejscach turystycznych często się takich spotyka. Kiedy skończył ostatnie okrążenie, staje obok niej, z jedną ręką na biodrze i z pełnym zachwytem westchnieniem, wyglądając na zewnątrz, wygłasza swoją przygnębiająco banalną opinię na temat dzisiejszej pogody.

Kelner to kretyn, acz niepozbawiony gustu - czterdziestoletnia Anne jest nadal atrakcyjną kobietą. Delikatna brunetka o pięknych jasnozielonych oczach i urzekającym uśmiechu... Kobieta doprawdy olśniewająca. Z dołkami w policzkach. O powolnych miękkich ruchach, kobieta, do której ręce się same wyciągają, gdyż wszystko w niej - piersi, pośladki, mały brzusek, uda - wydaje się krągłe i jędrne, i rzeczywiście jest krągłe i jędrne, można dla niej naprawdę stracić głowę.

Ilekcio Camille o tym pomyśli, zadaje sobie pytanie, co taka kobieta przy nim robi. On ma pięćdziesiąt lat, jest prawie całkiem łysy, ale przede wszystkim, przede wszystkim ma metr czterdzieści pięć wzrostu. Dla porównania: to wzrost mniej więcej trzynastoletniego chłopca. I, by uciąć dalsze spekulacje, powiedzmy od razu, że Anne nie jest wysoka, ale jednak o dwadzieścia dwa centymetry od niego wyższa. Prawie o głowę.

Anne reaguje na awanse kelnera czarującym uśmiechem, mówiąc wyraźnie: spadaj (kelner kiwa głową, że zrozumiał),

i wypiwszy kawę, rusza pasażem Moniera w kierunku ulicy Georges-Flandrin. Kiedy jest już prawie na końcu pasażu, sięga ręką do torebki, prawdopodobnie po portfel, i czuje coś mokrego. Palce ma całe w atramencie. Cieknące pióro wieczne.

Dla Camille'a właściwa historia zaczyna się od tego pióra. Czy też od faktu, że akurat tego właśnie, a nie innego poranka Anne postanowiła wybrać się do tej właśnie, a nie innej galerii itd. Suma zbiegów okoliczności niezbędnych, by doszło do nieszczęścia, jest wręcz zdumiewająca. Ale nie narzekajmy - podobnej sumie zbiegów okoliczności Camille zawdzięcza również to, że pewnego dnia spotkał Anne.

Tak więc to pióro - Camille dobrze je pamięta. Na naboje z atramentem, zupełnie zwyczajne, lecz ciekące. Ciemno-niebieskie i bardzo małe. Anne jest leworęczna, pisząc, układa dłoń w bardzo specyficzny sposób, nie wiadomo, jak to robi, w dodatku stawia bardzo duże litery; wygląda to jak długi ciąg zamasztych podpisów, a, co dziwne, Anne wybiera zawsze małe pióra, przez co widok jej piszącej jest jeszcze bardziej osobliwy.

Anne wyjmuje z torebki rękę ubrudzoną atramentem i od razu z niepokojem myśli o zniszczeniach. Zastanawia się, co robić, po prawej stronie zauważa drewnianą donicę z jakąś rośliną. Stawia torebkę na brzegu donicy i zaczyna wszystko wyjmować.

Jest trochę zdenerwowana, ale szczęśliwie na strachu się kończy. Zresztą znając ją, nie bardzo wiadomo, o co mogłaby się bać, gdyż nie posiada nic. Ani w torebce, ani w życiu. Ubiera się w rzeczy, na które stać każdego. Nie kupiła mieszkania ani samochodu, wszystko, co zarabia, wydaje, nigdy więcej, ale zawsze co do grosza. Nie oszczędza, gdyż jest to obce jej wychowaniu - ojciec Anne był sklepikarzem. Na krótko przed bankructwem ulotnił się z kasą blisko czterdziestu stowarzyszeń, których był świeżo wybranym skarbnikiem, i słuch o nim zaginął. To zapewne tłumaczy dość powściągliwy stosunek Anne do pieniędzy. Jedyne jej troski finansowe datują się z dziś odległych już czasów, kiedy samotnie wychowywała swoją córkę Agathe.

Pióro od razu wyrzuca do kosza na śmieci, komórkę wsuwa do kieszeni kurtki. Portfel jest poplamiony i też do wyrzucenia, ale dokumentom w środku nic się nie stało. Podszewka torebki jest mokra, ale atrament nie przesiąkł na zewnątrz. Możliwe, że Anne postanawia kupić tego ranka nową torebkę, galeria handlowa to idealne po temu miejsce, ale tego akurat nigdy się nie dowiemy, bo to, co zaraz nastąpi, przekreśli wszelkie jej plany. Na razie wyklada dno torebki chusteczkami higienicznymi. Teraz jedynym jej zmartwieniem są palce poplamione atramentem, i to już obu rąk.

Mogłaby wrócić do kawiarni, lecz perspektywa natknięcia się na kelnera trochę ją zniechęca. Niemniej jednak gotowa jest już to zrobić, kiedy nagle dostrzega przed sobą tabliczkę z napisem „toaleta”, co w tego typu miejscach nieczęsto się zdarza. Toaleta znajduje się tuż za cukiernią Cardona i sklepem jubilerskim Desfossés.

Od tej chwili akcja nabiera przyspieszenia.

Od toalety dzieli ją trzydzieści metrów, Anne podbiega, otwiera drzwi i staje twarzą w twarz z dwoma mężczyznami.

Mężczyźni dostali się do środka przez wyjście awaryjne od strony ulicy Damiani.

Wystarczyła sekunda... Tak, to głupie, ale taka jest prawda: gdyby Anne weszła pięć sekund później, zdążyliby już naciągnąć kominiarki i wszystko potoczyłoby się inaczej.

Tyle że potoczyło się właśnie tak, a nie inaczej: Anne wchodzi, wszyscy troje zamierają zaskoczeni.

Anne przenosi wzrok z jednego na drugiego, zdumiona ich obecnością, strojem, a zwłaszcza ich czarnymi kombinezonami.

Oraz ich bronią. Strzelbami powtarzalnymi. Nawet na kimś, kto kompletnie nie zna się na broni, robią wrażenie.

Jeden z mężczyzn, ten niższy, wydaje jakiś pomruk, może okrzyk. Anne patrzy, widzi, że faceta zatkało, potem przenosi wzrok na drugiego. Ten jest wyższy, ma bezwzględna, kanciastą twarz. Scena trwa ledwie kilka sekund, cała trójka stoi bez słowa, nieruchomo, wszyscy jednakowo zdziwieni, wzięci zaskoczenia. Mężczyźni w pośpiechu naciągają kominiarki. Wyższy unosi broń, wykonuje półobrót i niczym człowiek z

siekierą w rękę biorący zamach, żeby zrąbać dąb, kolbą strzelby wali Anne prosto w twarz.

Z całej siły.

Dosłownie miażdży jej głowę z gardłowym stęknięciem tenisisty odbijającego piłkę.

Anne leci do tyłu, próbuje się czegoś przytrzymać, ale nie ma czego. Cios był tak nagły i tak gwałtowny, że wydaje jej się, iż mężczyzna odrąbał jej głowę. Odrzucają ponad metr do tyłu, czaszką uderza o drzwi i z rozpostartymi ramionami osuwa się na ziemię.

Drewniana kolba rozplątała jej twarz od szczęki aż po skroń, zmiażdżyła lewą kość policzkową, która pękła jak owoc, rozorała policzek na długości dziesięciu centymetrów, momentalnie trysnęła krew. Na zewnątrz odgłos tego ciosu zabrzmiał jak uderzenie rękawicy bokserskiej o worek treningowy. Ale dla Anne był jak walnięcie młotkiem, i to młotkien} dwudziestocentymetrowej szerokości, cios celnie wymierzony i zadany oburącz.

Drugi mężczyzna ze wściekłą miną podnosi wrzask. Anne słyszy go, ale jak przez mgłę, bo umysł ma w całkowitej rozsypce.

Wyższy, jakby nigdy nic, podchodzi do Anne, przytyka jej lufę do głowy, z suchym trzaskiem odwodzi kurek i już ma nacisnąć spust, kiedy jego współnik znowu zaczyna krzyczeć. Teraz jeszcze głośniej. Być może podbiegł, złapał tamtego za ramię. Ogłuszona Anne nie jest w stanie otworzyć oczu, poruszają się tylko jej dłonie, ruchem spazmatycznym i instynktownym otwierają się i zaciskają, jakby chciała schwytać w nie powietrze.

Trzymający broń mężczyzna przerywa w pół gestu, odwraca się, waha; fakt, że strzały z broni palnej to najpewniejszy sposób ściągnięcia glin jeszcze przed rozpoczęciem akcji, każdy profesjonalista to powie. Przez sekundę zdaje się zastanawiać, co teraz, po czym podejmuje decyzję, z powrotem odwraca się do Anne i zaczyna ją kopać. W twarz i w brzuch. Anne próbuje się uchylać, ale gdyby nawet wystarczyło jej siły, i tak nic by to nie dało, bo blokują ją drzwi. Sytuacja bez wyjścia. Z jednej

strony drzwi, do których jest przyparta, z drugiej mężczyzna, który stojąc na lewej nodze, z całej siły kopie ją czubkiem buta. Między jedną a drugą serią kopniaków Anne próbuje złapać oddech; facet na moment przerywa i, zapewne rozczarowany brakiem spodziewanego efektu, postanawia uciec się do metody bardziej radykalnej: chwyta lufę strzelby, unosi ją i kolbą zaczyna okładać Anne po głowie. Z całej siły, z impetem.

Jakby usiłował wbić kołek w zamrożoną ziemię.

Anne zwija się, próbuje się osłaniać, ślizga się w kałuży własnej krwi płynącej obficie, splata dłonie na karku.

Pierwszy cios trafia w potylicę. Drugi, staranniej wymierzony, miazdzy jej palce.

Brak jest jednomyślności co do zmiany metody, gdyż drugi mężczyzna, ten niższy, podbiega do współnika i uwiesiwszy się z krzykiem jego ramienia, uniemożliwia mu dalsze bicie. Skoro tak, facet rezygnuje i wraca do prostszej metody. I znów zaczyna kopać Anne swoim wielkim ciężkim buciozem, takim, jakie noszą wojskowi. Celuje w głowę. Anne wciąż próbuje zasłaniać się ramionami, kopniaki trafiają w jej głowę, w kark, w przedramiona, w plecy, nie wiadomo, ile ich było, lekarze orzekną, że co najmniej osiem, lekarz sądowy będzie raczej zdania, że dziewięć, trudno je zliczyć, padają zewsząd.

W tym momencie Anne traci przytomność.

Mężczyźni uznają sprawę za załatwioną. Ale ciało Anne blokuje dostęp do drzwi prowadzących do galerii handlowej. W niemym porozumieniu obaj się pochylają, niższy chwyta Anne za ramię i ciągnie do siebie, jej głowa uderza i obija się o posadzkę. Kiedy drzwi można wreszcie otworzyć, wypuszcza jej ramię, które opada na ziemię ciężko, acz w pozycji niepozbowionej wdzięku; takie zmysłowe i omdlałe ręce malowano niektórym madonnom. Gdyby Camille uczestniczył w tej końcowej scenie, z pewnością od razu dopatrzyłby się dziwnego podobieństwa opadłej ręki Anne do ręki *Zaczadzonej ofiary* z obrazu Fernanda Peleza, co fatalnie wpłynęłoby na jego samopoczucie.

I na tym mogłaby się zakończyć ta historia. Historia pechowego spotkania. Ale wyższy z mężczyzn ma inne zdanie.

Najwyraźniej on jest szefem i szybko ocenia sytuację.

Co będzie teraz z tą dziewczyną?

Czy ocknie się z omdlenia i podniesie krzyk?

Albo pojawi się w galerii Moniera?

Albo jeszcze gorzej: niepostrzeżenie wydostanie się przez wyjście awaryjne i wezwie pomoc?

Ukryje się w którejś z kabin w toalecie, wyciągnie komórkę i zadzwoni na policję?

Wysuwa więc stopę, żeby przytrzymać otwarte drzwi, pochyla się, chwytając Anne za prawą nogę w kostce i wychodzi z toalety, wlokąc jej ciało po ziemi ze trzydzieści metrów, niczym dziecko ciągnące za sobą zabawkę, z równą łatwością, z równą obojętnością, nie oglądając się na nic.

Ciało Anne obija się, ramieniem zawadza o narożnik toalety, biodrem uderza w ścianę korytarza, głowa przetacza się na boki, trafia to w listwę przypodłogową, to w róg jednej z donic z roślinami ustawionych wzdłuż pasażu. Anne jest już tylko ludzkim łachmanem, workiem, kukłą bez życia, bezwładnym manekinem, który wykrwawia się, zostawiając za sobą szeroką, krzepnącą z minuty na minutę czerwoną smugę; krew szybko zastyga.

Jest jak martwa. Kiedy mężczyzna ją w końcu puszcza, na ziemię opada bezwładne ciało, na które nawet nie patrzy, to już nie jego sprawa. Pewnym, kategoriowym ruchem, wymownie zaświadczającym o determinacji, odwodzi kurek broni.

Mężczyźni wpadają do sklepu jubilerskiego Desfossés, wykrzykując rozkazy. Sklep dopiero co został otwarty. Obserwatora tej sceny - gdyby się taki znalazł - uderzyłaby zapewne dysproporcja pomiędzy brutalnością ich poczynań a niewielką liczbą osób znajdujących się w środku. *Wyszczekają* polecenia pod adresem personelu (to raptem dwie kobiety), natychmiast popierając je ciosami w brzuch, w twarz, wszystko dzieje się bardzo szybko. Słysząc brzęk tłuczonego szkła, krzyki, jęki, przerażone dyszenie kobiet.

Nie wiadomo, czy to z powodu szorowania głową przez trzydzieści metrów po ziemi, czy związanych z tym wstrząsów, czy nagłego impulsu życia... ale w tym momencie Anne próbuje

odzyskać kontakt z rzeczywistością. Jej umysł niczym oszalały radar rozpaczliwie szuka jakiegoś sensu w całej sytuacji, ale na próżno, wszystko jej się miesza, od ciosów, od tempa, w jakim się wszystko odbywa, jest jak w narkozie. Ogłuszona bólem, niezdolna poruszyć najmniejszym nawet mięśniem.

Ten spektakl z ciałem Anne ciągniętym po ziemi, leżącym w kałuży krwi przed wejściem do jubilera będzie miał jeden pozytywny skutek: spowoduje znaczne przyspieszenie wydarzeń.

W środku obecne są tylko właścicielka oraz praktykantka, szesnastoletnie dziewczę szczupłe jak patyk, które uczesaniem w kok jak u starszej pani próbuje dodać sobie nieco powagi. Ujrzawszy dwóch zamaskowanych i uzbrojonych mężczyzn wpadających do sklepu i zrozumiałwszy, że to napad rabunkowy, rozdziawia usta jak ryba, zahipnotyzowana, pogodzona z losem, bierna niczym ofiara gotowa na rzeź. Nogi się pod nią uginają, musi przytrzymać się lady. Nim kolana do reszty odmówią jej posłuszeństwa, obrywa lufą na odlew w twarz i miękko osuwa się na ziemię, opada jak suflet. Resztę czasu spędzi w tej pozycji, z ramionami splecionymi nad głową, jakby spodziewała się lawiny kamieni, licząc uderzenia własnego serca.

Na widok bezwładnego ciała Anne w spódnicy podkasanej do pasa, wleczonego za nogę po ziemi i zostawiającego za sobą szeroką smugę krwi, właścicielce sklepu jubilerskiego odbiera mowę. Próbuje coś powiedzieć, lecz słowa grzęzną jej w gardle. Wyższy z mężczyzn stanął w drzwiach sklepu i obserwuje najbliższe otoczenie, niższy podbiegł do niej z wyciągniętą bronią, brutalnie wpakował jej lufę w brzuch na wysokości przepony. Mało nie zwymiotowała. Mężczyzna nic nie mówi, nie musi, bo ona już trzyma w ręku automatycznego pilota. Niezbornym ruchem wyłącza alarm, szuka kluczy do witryn wystawowych, ale nie ma przy sobie wszystkich, musi iść na zaplecze sklepu i wtedy, robiąc pierwszy krok, stwierdza, że się posusiała. Drżącą dłonią podaje napastnikowi komplet kluczy, szepcząc - do czego nie przyzna się w żadnym z późniejszych zeznań: „Proszę, niech mnie pan nie zabija...”. Oddałaby wszystko za dwadzieścia sekund życia. Przez nikogo

niezmuszana, kładzie się na ziemi, splata dłonie na karku, a potem słychać już tylko jej gorączkowy szept: modli się.

Zważywszy na brutalność napastników, należałoby zapytać, czy modlitwy, choćby i najzarliwsze, są w tym momencie praktycznym rozwiązaniem. Nieważne, w czasie jej modłów tanci nie próżnują, otwierają kolejne witryny i wrzucają ich zawartość do wielkich brezentowych worków.

Napad jest świetnie zorganizowany, trwa niespełna cztery minuty. Pora została dobrze wybrana, dostanie się do pasażu przez toalety było przemyślanym posunięciem, role rozdzielono profesjonalnie: jeden z mężczyzn kosi towar z wystawy, drugi, twardy i zdecydowany, stoi pod drzwiami, mając z jednej strony oko na sklep, z drugiej na galerię.

Zainstalowana wewnątrz sklepu kamera wideo pokaże, jak pierwszy z napastników otwiera witryny i szuflady i zgarnia ich zawartość. Zasięg drugiej kamery obejmuje wejście do sklepu oraz niewielki fragment galerii handlowej. Na tym właśnie nagraniu widać leżącą w pasażu Anne.

Ale od tego momentu organizacja napadu zaczyna szwankować. Od chwili, kiedy na nagraniu widać, że Anne się porusza. Prawie niedostrzegalnie, to nie tyle ruch, ile bezwiedny odruch. Camille w pierwszej chwili zawahał się, nie był pewny, czy mu się nie przywidziało, ale tak, na pewno, Anne się rusza... Bardzo powoli obraca głowę w prawo, w lewo. Camille zna ten gest, czasami w ciągu dnia, chcąc się odprężyć, Anne porusza mięśniami szyi i karku, nazywa je „mostkowo-sutkowatymi”, nawet nie wiedział, że coś takiego istnieje. Oczywiście tym razem w jej geście nie ma nic z miarowości ani spokoju ćwiczenia relaksacyjnego. Anne leży na boku, prawą nogę ma zgiętą, kolanem dotyka piersi, lewa jest wyciągnięta, tors ma skręcony, wygląda, jakby chciała przetoczyć się na drugi bok, spod wysoko podkasanej spódnicy widać białe majtki. Twarz ma całą we krwi.

Ona nie leży, rzucono ją tam.

Na początku napadu stojący w pobliżu na czatach mężczyzna rzucił kilka szybkich spojrzeń w jej stronę, ale ponieważ już się nie poruszała, skupił całą uwagę na obserwacji najbliższej

okolicy. Kobieta przestała go obchodzić, stoi tyłem do niej i nawet nie zauważa, że strużka jej krwi dotarła do jego prawego obcasa.

Anne z trudem przytomnieje, próbuje pojąć, co się wokół niej dzieje. W chwili gdy unosi głowę, kamera na moment rejestruje jej twarz. Przejmujący widok.

Ujrawszy to, Camille przeżywa taki wstrząs, że nie trafia w klawiaturę, dopiero przy drugiej próbie zatrzymuje i cofa nagranie: prawie jej nie poznaje. Ta twarz zalana krwią, obrzmiała, o pustym zagubionym spojrzeniu, wydaje się dwa razy większa i pozbawiona rysów, nie ma nic wspólnego z Anne, z jej świetlistą karnacją, z jej śmiejącymi się oczami.

Camille zaciska palce na brzegu stołu i momentalnie zbiera mu się na płacz, bo Anne leży na wprost obiektywu, zwrócona w jego stronę, jakby chciała mu coś powiedzieć, jakby prosiła go o pomoc, to właśnie od razu podpowiada mu wyobraźnia, a to bardzo niebezpieczne podejście. Wyobraźmy sobie kogoś bliskiego, kogoś, kto liczy na naszą opiekę, wyobraźmy sobie, że ten ktoś cierpi, jest umierający, a obleją nas zimne poty. Ale rozszerzając perspektywę, wyobraźmy sobie, że ta osoba przyzywa nas na pomoc w chwili, gdy nie potrafi opanować strachu, a zapragniemy umrzeć. W takiej właśnie sytuacji jest Camille; tkwi przed ekranem w poczuciu absolutnej bezsilności, nie może zrobić nic innego, jak tylko wpatrywać się w te obrazy, kiedy dawno już jest po wszystkim...

To nie do zniesienia, naprawdę nie do zniesienia.

Dziesiątki razy będzie przeglądał te nagrania.

Anne natomiast zachowa się tak, jakby nic wokół niej nie istniało. Nawet gdyby napastnik stanął nad nią i ponownie przyłożył jej lufę do karku, zrobiłaby to samo. Powoduje ją niesamowity instynkt samozachowawczy, choć gdy się spojrzy na to z drugiej strony, przypomina to raczej samobójstwo: w tym położeniu, w odległości niespełna dwóch metrów od uzbrojonego mężczyzny, który kilka minut wcześniej pokazał, że gotów jest bez zmrużenia oka wpakować jej kulę w głowę, Anne szykuje się, by zrobić coś, co nikomu innemu nie przyszłoby na myśl. Będzie próbowała się podnieść. Nie bacząc

na konsekwencje. Będzie próbowała uciec. Anne jest kobietą z charakterem, ale żeby z gołymi rękami stawić czoło obrzynywi Mossberga...

To, co zaraz nastąpi - konfrontacja dwóch przeciwstawnych energii - jest niemal automatycznym wynikiem tej sytuacji. Któraś z nich będzie musiała zwyciężyć. Nie ma innego wyjścia. Sęk w tym, że jedna z tych sił dysponuje wsparciem kalibru 12. A to bezsprzecznie pomaga w zyskaniu przewagi. Lecz Anne nie jest w stanie ocenić układu sił, trzeźwo obliczyć swoich szans, zachowuje się tak, jakby była sama. Zebrawszy w sobie resztkę energii - a na taśmie widać, że ma jej naprawdę niewiele - unosi nogę, mozolnie podpira się rękami, jej dłonie ślizgają się w kałuży krwi, już ma z powrotem paść jak długa, ale znowu próbuje, powolność, z jaką usiłuje się podnieść, nadaje tej scenie aurę nierzeczywistości. Jest straszliwie ociężała, odrętwiała, niemal słyhać, jak dyszy, chciałoby się pospieszyć jej z pomocą, podźwignąć ją, pomóc jej wstać.

Chociaż Camille wołałby raczej ją błagać, żeby nic nie robiła. Bo nawet gdyby facet odwrócił się dopiero po upływie minuty, Anne w tym stanie oszołomienia, otępienia, w jakim się znajduje, nie zdążyłaby przebiec trzech metrów, a już pierwszy strzał skosiłby ją wpół. Ale Camille siedzi przed ekranem kilka godzin po fackie i to, co sobie teraz myśli, nie ma żadnego znaczenia, jest już za późno.

Postępowaniem Anne nie kieruje żadna myśl; to decyzja w stanie czystym, decyzja, której obca jest wszelka logika. Na wideo wyraźnie to widać; jedyną przyczyną jej determinacji jest chęć przeżycia. Można powiedzieć, że to nie kobieta trzymana na muszce strzelby, lecz pijaczka po zakończonej imprezie: chce zabrać swoją torebkę - której od początku nie wypuściła z ręki, a która ocieka jej krwią - chwiejnym krokiem dobrnąć do wyjścia i wrócić do domu. Przysiąc by można, że jej głównym wrogiem nie jest broń kalibru 12, tylko własne zamroczenie.

Nie zastanawia się ani chwili, z wielkim trudem wstaje. Udaje jej się stanąć na nogach, spod wciąż podkaszanej spódnicy widać całą nogę aż po pachwinę... Jeszcze nawet nie wstała, a już zaczyna uciekać.

Odtąd wszystko potoczy się na opak, wszystko jest jednym ciągiem błędów, przypadków i potknięć. Tak jakby Bóg, którego sytuacja przerosła, sam już nie wiedział, co robić, więc aktorzy zaczynają improwizować, co siłą rzeczy jest fatalne...

Przede wszystkim dlatego, że Anne nie wie, gdzie się znajduje, nie jest w stanie zorientować się w topografii. Ma zbyt zaburzone poczucie rzeczywistości, żeby uciekać. Gotowa wyciągnąć rękę, dotknąć ramienia mężczyzny, niechybnie zaraz by się odwrócił...

Przez dłuższą chwilę oszołomiona, ogłupiała, zatacza się. Już to, że w ogóle trzyma się na nogach, zakrawa na cud. Ociera rękawem zakrwawioną twarz, przechyla na bok głowę, jakby czegoś nasłuchując, chce zrobić krok... I nagle ni stąd, ni zowąd postanawia uciekać. Widząc to na wideo, Camille traci głowę, czuje, jak resztką odporności psychicznej, która mu jeszcze została, ulatnia się.

Zamysł Anne jest słuszny. Gorzej z jego realizacją, gdyż jej stopy ślizgają się w kałuży krwi, jakby sunęła na łyżwach. Być może w filmie animowanym wyglądałoby to śmiesznie, ale w rzeczywistości jest przejmujące, bo ona ślizga się we własnej krwi, bo starając się ustać na nogach, szukając kierunku, tylko się szamocze. Wygląda, jakby w zwolnionym tempie biegła na spotkanie czegoś, przed czym próbuje uciec. Przerażający widok.

Mężczyzna nie od razu zorientował się w sytuacji. Anne już ma runąć na niego jak długa, ale nagle napotyka pod stopami skrawek suchego podłoża, odzyskuje coś w rodzaju równowagi i to wystarczy - jakby pod wpływem nagłego bodźca, startuje.

W niewłaściwym kierunku.

Najpierw wykonuje dziwną akrobację, jak popsuta marionetka kręcąca się wokół własnej osi. Robi ćwierćobrót i krok do przodu, zatrzymuje się i znowu obraca niczym zdezorientowany wędrowiec, który próbuje ustalić kierunek dalszego marszu. I w końcu jakimś cudem rusza w mniej więcej odpowiednią stronę, do wyjścia. Napastnik dopiero po kilku

sekundach spostrzega, że zdobycz mu się wymyka. A wtedy odwraca się i strzela.

Camille wciąż od nowa przewija taśmę - nie ulega wątpliwości, że Strzelca coś zaskoczyło. Trzyma broń na wysokości biodra; w przypadku strzelby powtarzalnej pozycję taką przyjmuje się z zamiarem wykoszenia wszystkiego, co znajdzie się w promieniu czterech, pięciu metrów. Być może jeszcze nie całkiem odzyskał zimną krew. Albo przeciwnie, jest zbyt pewny siebie, to się często zdarza - dajcie osobnikowi bojaźliwemu strzelbę kalibru 12 i pozwólcie mu swobodnie się nią posługiwać, a od razu zacznie sobie poczynać zuchwale. Albo to może zaskoczenie, albo wszystko naraz. Co nie zmienia faktu, że lufa jest wycelowana w górę, zdecydowanie za wysoko. To był strzał odruchowy. Na oślep.

Anne nic nie widzi. Jak w transie brnie przed siebie, kiedy nagle, kilka metrów od wyjścia, z hukiem górskiego potoku spada na nią deszcz szkła; kula trafiła w impost nad jej głową i witraż w kształcie półksiężyca o podstawie blisko trzech metrów. Okrutna ilustracja losu Anne: witraż przedstawiał scenę polowania z nagonką. Dwóch dziarskich jeźdźców harcujących na wierzchowcach w odległości kilku metrów od jelenia o ogromnym porożu, który zaatakowany przez rozjuszoną sforę wyszczerzonych kłów i żarłocznych szczęk miał niewiele szans na przeżycie... To niesamowite, pasaż Moniera i jego witraż w kształcie półksiężyca przetrwały dwie wojny światowe i dopiero wkroczenie uzbrojonego, niezdarnego bandziora... Są rzeczy, z którymi trudno się pogodzić.

Drżą witraże, szyby i ziemia; każdy odruchowo osłania się, jak może.

- Wtuliłem głowę w ramiona - wyzna antykwariusz, odgrywając przed Camille'em tę scenę.

Antykwariusz ma trzydzieści cztery lata (zaznacza, że trzydzieści cztery, nie trzydzieści pięć). Nosi przymałą, z przodu i z tyłu lekko odstającą perukę. Ma długi nos, a jego prawe oko jest niemal całkiem zamknięte, trochę jak u tej postaci w szyszaku z *Bałwochwalstwa* Giotta. Na myśl o tym wybuchu wciąż jeszcze jest oszołomiony.

- To proste: uznałem, że to zamach terrorystyczny.

- (Uważa, że to wszystko wyjaśnia). - Ale zaraz pomyślałem, że nie, to śmieszne, nie tutaj, to żaden cel - itd., itp.

To typ świadka przetwarzającego rzeczywistość z szybkością myśli. Ale nie z tych, co tracą głowę. Zanim wyszedł zobaczyć, co się dzieje w galerii, rozejrzył się po swoim sklepie i sprawdził, czy są jakieś zniszczenia.

- Nie było - stwierdza z podziwem, strzelając palcami.

Galeria Moniera jest pasażem wyższym niż szerszym, ze szklanymi witrynami sklepów po obu stronach. W takim miejscu huk wybuchu jest ogłuszający, wibracje narastają z szybkością dźwięku, po czym rozbijają się o wszystko, co stanie im na przeszkodzie, stwarza to wrażenie napływającego zwartymi falami echa.

Wystrzał, a potem lecący z góry grad tysięcy kawałków szkła wyhamowały rozpęd Anne. Unosi ramiona, osłaniając głowę, przyciska podbródek do piersi, potyka się, przewraca, tym razem na bok, szoruje ciałem po odłamkach, ale strzał z broni palnej i eksplozja szklanego dachu to za mało, by taką kobietę powstrzymać. Nie wiadomo, jak to możliwe, ale oto znów stoi na nogach.

Strzelec za pierwszym razem chybił; dostał nauczkę i teraz się nie spieszy. Na taśmie widać, jak ponownie składa się do strzału, pochyla głowę, gdyby nagranie było lepszej jakości, można by zobaczyć jego palec wskazujący pociągający za spust.

Nagle pojawia się czyjaś dłoń w czarnej rękawiczce, to drugi mężczyzna, który trąca go w ramię dokładnie w momencie wystrzału...

Witryna księgarni rozpada się na setki kawałków; całe fragmenty szkła, niektóre wielkości talerza i ostre jak brzytwa, spadają i rozpryskują się na ziemi.

- Byłam akurat na zapleczu sklepu...

Pięćdziesięcioletnia kobieta, kupcowa pełną gębą, niska i korpulentna, pewna siebie - majątek wydawany na kosmetyki, dwa razy w tygodniu wizyta w salonie piękności, a do tego bransoletki, naszyjniki, łańcuszki, pierścionki, broszki, kolczyki (aż dziw, że napastnicy nie zabrali jej razem z łupem), ochrypli

głos - papierosy, może również alkohol, Camille nie ma czasu tego zgłębiać. Wszystko działo się ledwie kilka godzin temu, czuje się okropnie, chce wiedzieć, wiedzieć jak najszybciej.

- Wybiegłam... - mówi kobieta, szerokim gestem ręki wskazując galerię.

Przerywa, napawa się poczuciem własnej ważności. Nie spieszy się z wyjaśnieniami. Ale nie z Camille'em takie gierki.

- Szybciej! - popędzają chrapliwym głosem.

Niezbyt miły ten glina, to pewnie przez ten wzrost, taki wzrost musi wzbudzać chęć odegrania się, rozdrażnienie. Otóż ona po tym wystrzale zobaczyła, jak ciało Anne, niczym pchnięte gigantyczną dłonią, pada na stelaże z książkami, a potem odbija się od wystawy i osuwa na ziemię. Wspomnienie tego widoku jest nadal tak przerażające, że księgarka zapomina o swoich gierkach.

- Rozbiła się o wystawę! Ale ledwie dotknęła ziemi, a już próbowała się podnieść! - (Kobieta jest pod wielkim wrażeniem, wręcz pełna podziwu). - Była zakrwawiona i okropnie roztrzęsiona, rozdygotana, wymachiwała rękami, ślizgała się w miejscu...

Na wideo obaj mężczyźni na moment zamarli. Ten, którego gwałtowne pchnięcie spowodowało, że kumpel spudłował, rzucił torby na ziemię. Stoi z opuszczonymi rękami, zda się, gotów do bitki. Spod czapki narciarskiej widać tylko jego zaciśnięte usta, wygląda, jakby pluł słowami.

Strzelec opuścił karabin. Zaciska dłonie na broni, najwyraźniej się waha, ale ostatecznie poczucie rzeczywistości przeważa. Odpuszcza, z ociąganiem odwraca się do Anne. Na pewno widzi, jak ta wstaje i kuśtyka w stronę wyjścia z pasażu, ale czas nagli, w jego umyśle włącza się sygnał ostrzegawczy: sprawa trwa już trochę za długo.

Wspólnik łapie torby, jedną z nich ciska w ręce Strzelca i ten gest przesądza. Obaj rzucają się do ucieczki i znikają z pola widzenia kamery. Ułamek sekundy później po prawej stronie ekranu strzelec pojawia się znowu, wykonuje półobrót, łapie torebkę Anne, którą ta porzuciła w trakcie ucieczki, i znika, tym razem na dobre. Wiadomo, że obaj napastnicy dobiegli do

toalety i kilka sekund później wydostali się na ulicę Damiani, gdzie w samochodzie czekał na nich współnik.

Anne natomiast jest kompletnie skołowana. Przewraca się, wstaje i nie wiadomo jak, ale w końcu dociera do wyjścia z galerii i wytacza się na ulicę.

- Ociekała krwią, ale szła przed siebie... Wyglądała jak zombie!

Dwudziestoletnia Latynoska, czarne włosy, śniada karnacja. Pracuje w narożnym salonie fryzjerskim, wyszła po kawę.

- Nasz ekspres się popsuł, musiałam przynieść kawę dla klientek.

Wyjaśnień udziela szefowa salonu, Janine Guénot. Stoi pewnie przed Verhoevenem, istna burdelmama, ma po temu wszelkie atrybuty. Również poczucie odpowiedzialności, nie pozwoliłaby żadnej ze swoich dziewczyn rozmawiać z mężczyzną na ulicy bez swojej wiedzy. Camille zbywa to machnięciem ręki, nieważne, co było powodem wyjścia tej małej, kawa czy awaria ekspresu. No może nie, nie całkiem.

Ponieważ w chwili, gdy pojawia się Anne, fryzjerka niesie właśnie okrągłą tacę z pięcioma filiżankami kawy, idzie szybkim krokiem, bo klientki w tej dzielnicy są wyjątkowo marudne, mają mnóstwo pieniędzy, stawianie wymagań uważają za swoje odwieczne prawo.

- Letnia kawa to dramat - wyjaśnia szefowa ze zboląłą miną.

Więc ta młoda fryzjerka.

Zaskoczona i zaintrygowana dwoma wybuchami, które usłyszała na ulicy, biegnie ze swoją tacą i nagle staje twarzą w twarz z jakąś zakrwawioną wariatką, która chwiejnym krokiem wytacza się z galerii. Dla niej to szok. Kobiety zderzają się, taca wypada fryzjerce z rąk, żegnajcie, filiżanki, spodki, szklanki z wodą, cała kawa ląduje na jej niebieskim kostiumie, który jest strojem służbowym. Strzały z broni palnej, pięć kaw, strata czasu, trudno, można to jakoś przeboleć, ale kostium, który tyle kosztował, no nie, tego już za wiele, tym razem szefowa podnosi głos, chce pokazać, jak dotkliwe są straty, w porządku, w porządku, Camille uspokajająco macha ręką, szefowa pyta, kto zapłaci za pralnię, prawo chyba coś na taką okoliczność

przewiduje, w porządku, powtarza Camille.

- Nawet się nie zatrzymała... ! - zaznacza szefowa, jakby chodziło o zderzenie z motorynką.

Opowiada o tym zdarzeniu, jakby to wszystko jej się przytrafiło. Uderza w autorytatywny ton, bo po pierwsze chodzi o jedną z Jej dziewczyn”, a poza tym upoważnia ją do tego obłany kawą służbowy kostium. Camille chwytają za rękę, szefowa z zaciekawieniem spogląda w dół, jakby zobaczyła gówno na chodniku.

- Proszę... - cedzi cicho Camille. - Niech mnie pani nie wkurza...

Szefowa nie wierzy własnym uszom. Żeby taki karzeł! Naprawdę świat się kończy... Ale Verhoeven patrzy jej prosto w oczy, a to jednak robi wrażenie. W tej niezręcznej sytuacji młoda fryzjerka pragnie pokazać, że zależy jej na pracy.

- Jęczała... - oznajmia, żeby zmienić temat.

Camille odwraca się do dziewczyny, chce się dowiedzieć więcej. Jak to, jęczała? Tak, wydawała takie ciche odgłosy, jakby... trudno to opisać... nie wiem, jak to powiedzieć. Spróbuj, zachęca szefowa, chętna poprawić swój wizerunek w oczach przedstawiciela policji, bo nigdy nie wiadomo, trąca łokciem dziewczynę, no, rób, co ci pan mówi, odgłosy, jakie odgłosy? Dziewczyna na nich patrzy, mruży oczy, niepewna, czy dobrze zrozumiała, czego od niej chcą, i nagle zamiast opisywać, próbuje naśladować te odgłosy, zaczyna wydawać ciche skargi, jakby jęki, szuka odpowiedniej tonacji, hi, hi, czy raczej och, och, tak, bardziej tak, mówi skupiona, och, och, a ponieważ nagle udało jej się utrafić we właściwą nutę, podnosi głos, zamyka oczy, otwiera je, wytrzeszcza, och, och, przysiąc by można, że zaraz zacznie szczytować.

Stoją na ulicy (w miejscu, gdzie pracownicy służb miejskich splukali już z grubsza szlauchem krew Anne, tyle jej było, że spłynęła aż do rynsztoka, przechodnie stąpają po wciąż jeszcze widocznych zaciekach na chodniku, dla Camille'a to bolesne...), wokół pełno ludzi, widzą glinę wzrostu karła, naprzeciwko którego młoda śniadolica fryzjerka wpatrzona w niego dziwnym wzrokiem wydaje przenikliwe, lubieżne jęki

pod aprobującym spojrzeniem kobiety wyglądającej na rajfurkę... Dalibóg, nigdy czegoś takiego tu jeszcze nie było. Stojąc w drzwiach swoich sklepów, sprzedawcy z przygnębieniem obserwują tę scenę. Już strzelanina nie jest najlepszą reklamą dla klientów, ale teraz ta ulica naprawdę zamienia się w burdel.

Camille zbierze zeznania, skonfrontuje je i dowie się, jak wyglądał finał.

Anne wychodzi z pasażu Moniera na ulicę Georges-Flan- drin na wysokości numeru trzydzieści cztery w stanie kompletnego zamroczenia, skręca w prawo i rusza w kierunku skrzyżowania. Kilka metrów dalej wpada na fryzjerkę, lecz nie zatrzymuje się, idzie, co krok wspierając się o zaparkowane wzdłuż krawężnika samochody; na ich drzwiach i dachach widnieją odciski jej zakrwawionych rozplaszczonych dłoni. Po eksplozjach, które usłyszeli w galerii, ludzie na ulicy patrzą na tę kobietę, od stóp do głów całą we krwi, jak na zjawę z zaświatów. Kobieta siania się na nogach, zatacza, ale nie jest w stanie się zatrzymać, nie bardzo wie, co robi i gdzie jest, idzie, pojękuje jak pijana, lecz sunie naprzód. Przechodnie schodzą jej z drogi. Ktoś jednak zdobywa się na odwagę i mimo szoku, jakim jest widok tej krwi i tej twarzy, rzuca pytająco: „Proszę pani?”...

- Naprawdę, przeraziłem się tej młodej pani... Nie wiedziałem, co robić.

Jest wstrząśnięty i to widać. Starszy pan o spokojnej twarzy, niewiarygodnie chudej szyi i lekko zamglonym spojrzeniu, katarakta, stwierdza w duchu Camille, jego ojciec pod koniec życia też to miał. Między jednym a drugim zdaniem zdaje się odpływać. Wpatruje się w Camille'a zmętniałymi oczami, zanim podejmie dalszą relację, upływa długa chwila ciszy. Przykro mu, bezradnym gestem rozkłada równie chude ramiona, targany emocjami Camille przełyka ślinę.

Starszy pan woła: „Proszę pani!”, ale nie ma odwagi jej dotknąć, jakby była lunaticzką, usuwa się na bok. Anne jeszcze chwilę idzie przed siebie.

A potem znowu skręca w prawo.

Nie ma co pytać dlaczego. Tego nikt nie wie. Bo na prawo

biegnie ulica Damiani. I tą ulicą, dwie czy trzy sekundy po tym, jak pojawiła się Anne, na pełnym gazie pędzi samochód bandytów.

Prosto na nią.

I ujrawszy swoją ofiarę w odległości kilku metrów, facet, który ją tak skatował i dwukrotnie w nią nie trafił, nie może się oprzeć pokusie sięgnięcia znów po strzelbę. I dokończenia dzieła. Kiedy samochód zrównuje się z Anne, szyba jest opuszczona, broń ponownie w nią wycelowana, wszystko dzieje się bardzo szybko, Anne widzi broń, lecz nie jest w stanie wykonać żadnego gestu.

- Patrzyła w samochód... - mówi starszy pan - nie wiem, jak to powiedzieć... jakby na niego czekała.

Ma świadomość, że powiedział straszną rzecz. Camille rozumie, co ma na myśli. Chodzi mu o to, że wyczuwa się w Anne bezgraniczne znużenie. Po wszystkim, co przeżyła, jest gotowa teraz umrzeć. Zresztą wszyscy, Anne, strzelec, starszy pan, los, zdają się podzielać to przeświadczenie, wszyscy. Nawet młoda fryzjerka:

- Zobaczyłam, że przez okno wysuwa się lufa. I ta pani też to zobaczyła. Wszyscy na to patrzyliśmy, tyle że ona znajdowała się dokładnie naprzeciwko.

Camille wstrzymuje oddech. A więc wszyscy są co do tego zgodni. Z wyjątkiem kierowcy samochodu. Zdaniem Camille - le'a - który długo o tym myślał - kierowca nie bardzo wie, o co chodzi z tą strzelaniną. Czekać na tamtych w samochodzie, słyszał detonacje, planowany czas napadu już dawno minął. Niecierpliwy, niespokojny, prawdopodobnie uderzał nerwowo dłonią w kierownicę, być może rozważał nawet ucieczkę, aż wreszcie ujrzał wybiegających współników... Są jacyś zabiści? - zadaje sobie pytanie. -1 ilu? Poganiając jeden drugiego, napastnicy wskazują do samochodu. Kierowca w napięciu błyskawicznie rusza i nagle - nie zdążyli jeszcze przejechać, ilu?, nawet dwustu metrów, przed skrzyżowaniem musiał znacznie zwolnić - na rogu ulicy widzi na chodniku jakąś zakrwawioną, zataczającą się kobietę. Na jej widok strzelec pewnie krzyczy, żeby jeszcze bardziej zwolnił, błyskawicznie

opuszcza szybę, być może wydaje zwycięski okrzyk, ostatnia szansa, nie może z niej nie skorzystać, toż to prawie ręka opatrności, to tak, jakby nagle spotkał bratnią duszę, w co już zwątpił, a tu nagle, proszę, jest! Łapie strzelbę, przykładą do ramienia i celuje. Kierowca w ułamku sekundy już się widzi współwinnym morderstwa, i to na oczach tuzina świadków, nie mówiąc już o tym, co się stało w galerii, co się stało, nie wie, ale jest za to współodpowiedzialny. Napad skończył się katastrofą. Nie tak to sobie wyobrażał...

- Samochód zahamował - mówi fryzjerka. - Znienacka.

I ten pisk hamulców...

Ślady opon pozostawione na asfalcie pozwolą ustalić markę pojazdu. Porsche cayenne.

Pasażerowie samochodu lecą na łeb, na szyję, wszyscy, ze strzelcem włącznie. Jego strzał trafia w drzwi i boczne szyby zaparkowanego przy chodniku pojazdu, obok którego stoi Anne, zastygła w bezruchu, gotowa na śmierć. Na ulicy wszyscy padają na ziemię z wyjątkiem starszego pana, który nie zdążył wykonać jakiegokolwiek ruchu. Anne się przewraca, kierowca wciska pedał gazu, samochód skokiem startuje, znów słychać pisk opon na asfalcie. Wstając, fryzjerka widzi starszego pana, który jedną ręką opiera się o ścianę, drugą trzyma się za serce.

Anne leży na chodniku, z ramieniem w rynsztoku, z nogą pod zaparkowanym samochodem. „Cała lśniła” - powie starszy pan, nic dziwnego, skoro przysypały ją odpryski rozbitej przedniej szyby.

- Wyglądały na niej jak śnieg...

10.40

Turcy nie są zadowoleni.

Ani trochę.

Gruby z nadętą miną prowadzi ostrożnie, ale przejeżdża przez plac Etoile i dalej w dół aleją Grande-Armée, zaciskając ręce na kierownicy. Marszczy brwi. Pragnie zaznaczyć swoją dezaprobatę. Albo może u nich kulturalnie jest w taki sposób

okazywać emocje.

Najbardziej rozemocjonowany jest młodszy brat. Chole-ryk. Czarniawy jak diabeł, brutalna facjata, wyczuwa się, że to podejrzliwy typ. I okropnie gadatliwy, wymachuje palcem, wygraża, trochę to męczące. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi - ja i hiszpański... - ale nietrudno się domyślić: ściągęli nas na szybki i kasowy napad, a wdepnęliśmy w jakąś niekończącą się strzelaninę. Szerokim gestem rozkłada ręce: a gdybym ci nie przeszkodził? Atmosfera w samochodzie robi się dość ciężka. Zadaje to pytanie z wyraźnym naciskiem, pewnie chodzi mu o to, co by było, gdyby dziewczyna zginęła. I nagle, to silniejsze od niego, znów się wkurza: to miał być napad, nie jatka, itp., itd.

To naprawdę męczące. Całe szczęście, że jestem człowiekiem spokojnym, bo gdybym ja się zdenerwował, bardzo szybko zrobiłoby się nieprzyjemnie.

Zupełnie bez znaczenia, ale uciążliwe. Chłopak wykańcza się tymi lamentami, lepiej by oszczędzał siły, bo niedługo przyda mu się szybki refleks.

Nie wszystko poszło zgodnie z planem, ale zasadniczy cel został osiągnięty, i to najważniejsze. Na podłodze stoją dwie duże torby. Powinno na trochę wystarczyć. A to dopiero początek, bo jeśli wszystko pójdzie dobrze, powtórzę numer i będą następne. Turek również łakomie na nie zerka, mówi coś do brata, ten chyba się z nim zgadza, gestem pokazuje, że tak. Załatwiają swoje sprawy między sobą, jakby byli sami, pewnie zastanawiają się nad odszkodowaniem, którego mają prawo zażądać. Zażądać... chyba śnię. Od czasu do czasu mały przerywa i zwraca się do mnie ze złością. Można z tego zrozumieć dwa, trzy słowa: „forsa”, „udział”. Aż dziw bierze, gdzie się tego nauczył, są we Francji dopiero od dwudziestu czterech godzin... Może Turcy mają zdolności językowe, kto wie. Zresztą to bez znaczenia. Na razie wystarczy zrobić zafrasowaną minę, trochę się popłaszycić, ze zbolalym grymasem przytakiwać, to już Saint-Ouen, jeśli dobrze pójdzie, nie będzie problemu.

Mijamy przedmieście. Ależ ten Turek pyskaty. Z powodu jego

wrzasków atmosfera w samochodzie, kiedy zajeżdżamy przed boks, zrobiła się nieznośna, wyczuwa się, że zmierzamy do Wielkiego Końcowego Wyjaśnienia. Mniejszy wykrzykuje jakieś pytanie, powtarza je kilka razy, domaga się odpowiedzi i żeby pokazać, jaki jest groźny, palcem wskazującym jednej ręki stuka w zaciśniętą pięść drugiej. Dla Izmira to gest zapewne jasny i czytelny, ale w Saint-Ouen jest już mniej oczywisty. Ogólna intencja jest zrozumiała, wyraża roszczenie i groźbę, trzeba kiwnąć głową, że tak, że się z nim zgadzam. Co zresztą nie całkiem jest kłamstwem, bo bardzo szybko się dogadamy.

Tymczasem kierowca wysiadł z samochodu, lecz mimo usilnych starań w żaden sposób nie może otworzyć zamka metalowej żaluzji boksu. Na próżno kręci kluczem w prawo, w lewo, jest zdumiony, odwraca się do samochodu, widać, że zastanawia się, jak to możliwe; kiedy wcześniej próbował, szło jak po maśle, silnik pracuje, on mozoli się przy zamku. Nie ma ryzyka, że zostaniemy nakryci, to długi ślepy zaułek na ziemi niczyjej, ale wołałbym nie sterczeć tu zbyt długo.

Dla nich to jeszcze jedna przykra niespodzianka. I o jedną za dużo. Tym razem mały jest już bliski apopleksji. Nic nie idzie zgodnie z planem, czuje się oszukany, zdradzony, „pieprzony Francuz”, trzeba udać zaintrygowanego, co jest z tym zamkiem, dlaczego się nie otwiera, nie rozumiem, powinien działać, przecież wczoraj razem go próbowaliśmy. Zdziwiony i zakłopotany spokojnie wysiadam z samochodu.

Mossberg 500 to strzelba na siedem naboí. Zamiast wyc jak hieny, Inkowie powinni byli policzyć amunicję. Zaraz się dowiedzą, że jeśli się ktoś nie zna na ślusarstwie, musi być dobry w rachowaniu, bo wystarczy mi wysiąść, podejść do metalowej żaluzji, popchnąć lekko kierowcę, żeby mi ustąpił miejsca - teraz ja spróbuję... - a kiedy się odwracam, zajmuję idealną pozycję. W strzelbie zostało akurat dość naboí, żeby wymierzyć w kierowcę i jednym strzałem w klatkę piersiową wbić go w betonowy mur. A potem lekko przesunąć lufę i ze szczerą ulgą rozwalić małemu głowę przez przednią szybę. Tryska fontanna krwi. Przednia szyba się rozpryskuje, boczne zalewa krew, nic już nie widać. Trzeba podejść, żeby sprawdzić

rezultat, głowa rozleciała się na kawałki, została tylko szyja i podrygujący tors, tak samo jest z kurami, które z poderzniętym gardłem biegną dalej. Turcy niewiele się od nich różnią.

Mossberg narobił trochę hałasu, za to potem jaki spokój!

A teraz nie tracić czasu. Odstawić na bok torby, wyjąć właściwy klucz, otworzyć boks, wciągnąć starszego brata do garażu, wprowadzić do środka samochód z młodszym w dwóch częściach - po drodze muszą przejechać po starszym, ale to nic, nie będzie mógł już mieć mi tego za złe - zamknąć drzwi i sprawa załatwiona.

Wtedy wystarczy tylko podnieść torby, dojść do końca zaułka i wsiąść do wynajętego wozu. Jakkolwiek to jeszcze nie koniec. Prawdę mówiąc, to dopiero początek. Trzeba zamknąć sprawę. Wyjąć komórkę, wybrać numer urządzenia aktywującego bombę - detonację odczuwa się aż tutaj. Znajduję się dość daleko, a mimo to od podmuchu powietrza samochód zadygotał! Czterdzieści metrów dalej! To się nazywa eksplozja! Dzięki niej Turcy trafią prosto do Ogrodu Rozkoszy. Będą mogli dymać dziewice, idioci. Pióropusz czarnego dymu wzbija się ponad dachy warsztatów, prawie wszystkich zamurowanych - miasto wywłaszcza, żeby na nowo budować. W sumie oddają społeczeństwu przysługę. Można być bandytą i mieć poczucie powinności obywatelskiej. Za pół minuty strażacy wyruszą w drogę. Nie tracić czasu.

Odstawić obie torby z biżuterią do przechowalni na Gare du Nord. Stamtąd odbierze je człowiek przysłany przez pasera. Klucz wrzucić do skrzynki na listy na bulwarze Magenta.

I na koniec sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Podobno zabójcy wracają zawsze na miejsce swoich zbrodni.

Uszanujmy tradycję.

11.45

Dwie godziny przed wyjściem na pogrzeb Armanda do Camille'a zadzwoniono z pytaniem, czy zna niejaką Anne Forestier. Jego numer figurujący na początku listy kontaktów

był ostatnim, pod który dzwoniła. Przeszedł go zimny dreszcz; w taki sposób człowiek dowiaduje się o czyjejs śmierci.

Ale Anne nie umarła. „Padła ofiarą napaści, odwieziono ją do szpitala”. Z tonu głosu dzwoniącej Camille od razu się domyśla, że w ciężkim stanie.

I faktycznie, stan Anne jest bardzo ciężki. Zdaje się zbyt słaba nawet na to, żeby ją przesłuchać. Policjanci prowadzący śledztwo powiedzieli, że zadzwonią, spotkają się z nią, jak tylko to będzie możliwe. Dopiero po wielu minutach negocjacji z pielęgniarką oddziałową, trzydziestoletnią niewiastą o zbyt wydatnych ustach i z tikiem w prawym oku, Camille uzyskał pozwolenie na wejście do pokoju Anne. Pod warunkiem, że długo nie zabawi.

Uchyła drzwi i przez chwilę stoi w progu. Widok jej w takim stanie kompletnie go załamuje.

Najpierw patrzy na jej szczelnie zabandażowaną głowę. Można by pomyśleć, że Anne wpadła pod ciężarówkę. Prawa połowa jej twarzy to jeden wielki granatowosiny krwiak, tak opuchnięty, że prawie nie widać oczu, które wyglądają jakby wciśnięte w głąb czaszki. Z lewej strony widnieje długa na dobre dziesięć centymetrów rana o czerwono-żółtych brzegach, zamknięta licznymi szwami. Usta są spękane, spuchnięte, powieki sine i obrzmiałe. Złamany nos jest prawie trzykrotnie większy. Dolne dziąsło w dwóch miejscach rozcięte, z lekko uchylonych ust spływa nieprzerwanie strużka śliny. Anne wygląda jak stara kobieta. Leżące na kołdrze ramiona zabandażowane są aż po palce, te z kolei ujęte w łubki. Na prawej ręce opatrunek jest nieco lżejszy, ma pod nim zszytą głęboką ranę.

Zauważywszy obecność Camille'a, Anne próbuje wyciągnąć do niego rękę, do oczu napływają jej łzy, a potem, jakby opadając z sił, zamyka je i znów otwiera. Oczy szkliste, zamglone, które utraciły nawet swój piękny jasnozielony kolor.

Przechyliła na bok głowę, głos ma zmieniony, zachrypnięty. Boleśnie przygryziony język jest tak ciężki i obolały, że ledwie można zrozumieć, co mówi, nie wymawia spółgłosek wargowych.

- Boli...

Camille nie jest w stanie wykrztusić słowa. Anne próbuje mówić, on uspokajającym gestem kładzie rękę na kołdrze, nie śmie jej nawet dotknąć. Nagle Anne ogarnia silna nerwowość i podniecenie, Camille chciałby coś zrobić, ale nie wie co. Zadzwoić po pielęgniarkę? W jej spojrzeniu widać rozgorączkowanie, koniecznie, jak najszybciej, chce mu coś powiedzieć.

- ... ił... ocno...

Wciąż jeszcze jest zdumiona nagłością wydarzeń, jakby to wszystko stało się przed chwilą.

Nachylony ku niej Camille słucha z uwagą, udaje, że rozumie, próbuje się uśmiechać. Anne mówi, jakby przez cały czas przeżuwała jakąś wrzącą papkę. Camille wychwytyuje tylko pojedyncze, zniekształcone sylaby, ale jest tak skoncentrowany, że po kilku minutach zaczyna wychwytywać słowa, domyślać się ich sensu... Tłumaczy je sobie w myśli. To niesamowite, jak szybko człowiek się dostosowuje. Do wszystkiego. Czasem to aż przygnębiające.

„Bił”, „mocno”, powiedziała Anne.

Unosi brwi, oczy rozszerzają jej się z przerażenia, jakby mężczyzna znowu przed nią stanął, jakby zamierzał się kolbą do nowych ciosów. Camille wyciąga rękę, dotyka jej ramienia, Anne z krzykiem aż podskakuje.

- Camille... - szepcze.

Kręci głową w lewo, w prawo, jej głos niemal całkiem cichnie. Z powodu brakujących zębów sepleni, bo jest jeszcze i to, trzy wybite zęby, oba siekacze po lewej stronie, górny i dolny, kiedy otwiera usta, wygląda na trzydzieści lat więcej, wypisz, wymaluj gorsza wersja Fantyny z *Nędzników*, mimo błagań pielęgniarka nie chce jej podać lusterka.

Zresztą kiedy mówi, chociaż to niełatwe, stara się grzbietem dłoni zasłaniać usta. Raczej bez powodzenia; jej usta są ziejącą jamą o sflaczałych sinych wargach. Camille'owi wydaje się, że Anne pyta:

- ... będą mnie operować... ?

I znowu zaczyna płakać, jej łzy zdają się nie mieć żadnego

związku ze słowami, nagle ni stąd, ni zowąd pojawiają się i płyną. Natomiast twarz Anne wyraża tylko i wyłącznie nieme osłupienie.

- Jeszcze nie wiadomo... - mówi cicho Camille. - Spokojnie. Będzie dobrze...

Ale ona myślami jest już gdzie indziej. Odwraca głowę, jakby zawstydzona. I tego, co mówi, już prawie nie słyhać. Dla Camille'a brzmi to trochę jak: „Nie w takim stanie...”, nie chce być oglądana w takim stanie. W końcu udaje jej się całkiem odwrócić. Camille kładzie dłoń na jej ramieniu, lecz Anne nie reaguje, jej wstrząsane cichym szlochem plecy wyrażają wyłącznie sprzeciw.

- Chcesz, żebym został? - pyta Camille.

Brak odpowiedzi. Camille, nie bardzo wiedząc, co robić, zostaje. Dopiero po dłuższej chwili Anne kręci głową, że nie, nie wiadomo, na co się nie zgadza, czy na to, co się dzieje, na to, co się stało, na ten absurd, który bez uprzedzenia wkracza w nasze życie, na tę niesprawiedliwość, którą jej ofiary, chcąc nie chcąc, odnoszą personalnie do siebie. Nie sposób nawiązać z nią rozmowy. Na to jest jeszcze za wcześnie. Oboje przebywają w innym wymiarze czasowym. Milczą.

Może zasypia? Nie wiadomo. Powoli, nie otwierając oczu, z powrotem przewraca się na plecy. I już się więcej nie porusza.

I tyle.

Trzymając Anne za rękę, Camille patrzy na nią, zachłannie wsłuchuje się w jej oddech, próbuje porównać jego rytm z rytmem jej oddechu w czasie snu. Zna go jak nikt inny, spędził długie godziny na wpatrywaniu się w uspioną Anne. Z początku, jako że za dnia nigdy nie udawało mu się uchwycić rzeczywistej magii jej twarzy, w nocy nawet wstawał, by kontemplować i szkicować jej profil przypominający profil pływaczki. I tak wykonał setki rysunków, spędził mnóstwo czasu na próbach odtworzenia jej ust, powiek, jej nieskazitelných rysów. Albo szkicował jej postać pod prysznicem. Spektakularne porażki tych prób uświadomiły mu, jak bardzo jest dla niego ważna: zwykle wystarczy mu kilka minut, by odtworzyć rysy dowolnej osoby z dokładnością

niemal fotograficzną, ale w Anne jest coś nieuchwytnego, nieujarzmionego, coś, co wymyka się jego spojrzeniu, jego doświadczeniu, jego umiejętności obserwacji. Tymczasem w leżącej w tym pokoju opuchniętej, zabandażowanej kobiecie przypominającej mumię nie ma już żadnej magii, pozostała z niej jedynie powłoka, brzydkie, rozpaczliwie prozaiczne ciało.

I to właśnie powoduje, że w Camille'u z minuty na minutę narasta coraz większy gniew.

Od czasu do czasu Anne budzi się z cichym okrzykiem, rozgląda wkoło, a wtedy Camille dostrzega u niej to samo, co widział również u Armanda w ostatnich tygodniach przed jego śmiercią: nieznany, zupełnie nowy wyraz twarzy, na której maluje się zdumienie z powodu znalezienia się w tym miejscu. Niezrozumienie. Poczucie krzywdy.

Nie zdążył się jeszcze otrząsnąć z pierwszego szoku, a już wchodzi pielęgniarka i przypomina, że czas wizyty minął.

Zachowuje się taktownie, lecz nie opuści pokoju, dopóki Camille nie wyjdzie. „Florence”, jak głosi plakietka, z rękami założonymi do tyłu, stoi w pozycji zarazem nalegania i szacunku, z wyrozumiałym uśmiechem, który pod wpływem kolagenu czy też botoksu sprawia wrażenie rozpaczliwie sztucznego. Camille najchętniej by został, dopóki nie usłyszy relacji Anne, chciałby jak najszybciej poznać przebieg wydarzeń. Ale jedyne, co może zrobić, to czekać. Wyjść. Anne musi odpocząć. Camille wychodzi.

Żeby zrozumieć, co się stało, będzie musiał czekać następne dwadzieścia cztery godziny.

A dwadzieścia cztery godziny to znacznie więcej, niż potrzebuje taki człowiek jak Camille, by zniszczyć całą ziemię.

Opuszczając szpital, dysponuje jedynie garścią informacji uzyskanych przez telefon oraz tutaj, w szpitalu. W gruncie rzeczy, nie licząc ogólników, nikt nic nie wie, na razie niemożliwe jest dokładne odtworzenie kolejności wydarzeń. Camille dysponuje jedynie makabrycznym obrazem oszpeconej Anne - dla człowieka tak łatwo ulegającego emocjom to i tak dużo - i ten widok wzmaga w nim wrodzoną porywczosć.

Wychodząc ze szpitala, cały się już gotuje.

Chce się wszystkiego dowiedzieć, natychmiast, być pierwszym, który się dowie, chce...

Dla jasności: Camille nie ma w sobie nic z mściciela. Jak wszyscy żywi różne pretensje i urazy, ale daleko nie szukając: Buisson, człowiek, który przed czterema laty zamordował jego pierwszą żonę, wciąż żyje i Camille nigdy nie zamierzał zlecić uśmiercenia go w więzieniu, chociaż przy tylu kontaktach w półświatku nie miałby z tym żadnego problemu.

Teraz, w przypadku Anne (która nie jest jego drugą żoną, ale nie wie, jakim słowem ją określić), w przypadku Anne to również nie to, nie powoduje nim żądza zemsty.

Ale to zdarzenie uderza również w niego, zagraża jakby jego życiu.

Czuje potrzebę działania, ponieważ nie potrafi sobie wyobrazić konsekwencji czynu, który godzi w jego związek z Anne, w jedyną rzecz, która po śmierci Irène przywróciła sens jego życiu.

Jeśli uważacie, że to górnolotne słowa, to dlatego, że nie macie na sumieniu śmierci ukochanej osoby. A to bardzo istotna różnica, zapewniam.

Schodząc nerwowym krokiem po schodach szpitala, Camille wciąż ma przed oczami twarz Anne, jej żółto podkrążone oczy, paskudną barwę siniaków, obrzmiałe rysy.

Przed chwilą ujrzał ją martwą.

Jeszcze nie wie, jak ani z jakiego powodu, ale ktoś próbował ją zabić.

I właśnie ta powtórka uruchamia w nim dzwonek alarmowy. Po zabójstwie Irène... Oba przypadki nie mają z sobą absolutnie nic wspólnego. Zabójca Irène mierzył w konkretną osobę, Anne spotkała po prostu niewłaściwą osobę w niewłaściwym miejscu, ale w tym momencie Camille nie czyni rozróżnienia w swoich emocjach.

Nie jest po prostu w stanie czekać, nic nie robiąc.

Nie próbując robić.

Zresztą ani się spostrzegł, a pierwszy akt już zaliczył, odruchowo, w rozmowie telefonicznej dziś rano. Podczas napadu z bronią w rękę w VIII dzielnicy Anne została „rana” i

„napastowana”, powiedziała urzędniczka prefektury policji. Camille uwielbia słowo „napastować”, w policji wszyscy je uwielbiają. Uwielbiają również „osobnika” oraz „precyzować”, ale „napastować” jest najlepsze, tych kilka sylab zawiera w sobie całą gamę zachowań, od zwykłej przepychanki po masakrę, i rozmówca rozumie to, co chce. Proste i praktyczne.

- Jak to, „napastowana”?

Urzędniczka nic więcej nie wiedziała, prawdopodobnie czytała tekst z kartki, pytanie, czy w ogóle rozumiała, co mówi:

- Napad z bronią w rękę. Doszło do strzelaniny. Pani Forestier nie została postrzelona, tylko napastowana. Przewieziono ją na pogotowie.

Ktoś strzelał? Do Anne? Podczas napadu z bronią w rękę? Tak przekazaną informację niełatwo było przyswoić, wyobrazić sobie. Anne i „z bronią w rękę” to dwa tak odległe od siebie światy...

Dziewczyna powiedziała, że Anne nie miała przy sobie żadnych dokumentów ani torebki, że nazwisko i adres znalaziono w jej komórce.

- Dzwoniliśmy do niej, ale nikogo nie było.

Spróbowali więc z numerem najczęściej wybieranym, numerem Camille’a otwierającym listę jej kontaktów.

Zapytała go o nazwisko, potrzebne jej było do raportu. Wymówiła je „verveine”, Camille sprostował: Verhoeven. Po krótkiej chwili milczenia poprosiła, żeby je przeliterował.

I właśnie w tym momencie Camille’owi coś zaświtało. Instynktownie.

Ponieważ Verhoeven nie jest zbyt często spotykanym nazwiskiem, a już wśród policjantów występuje naprawdę rzadko. A nie przechwalając się, Camille należy do tych inspektorów policji, którzy zapadają w pamięć. Nie tylko z powodu wzrostu, ale również z powodu swoich prywatnych przeżyć, swojej reputacji, Irène, głośnej sprawy z bombami i tego typu rzeczy. Dla wielu ludzi jest osobą „znaną z telewizji”. Miał tam kilka pamiętnych wystąpień, kamerzyści z lubością filmują z góry jego jastrzębie spojrzenie i lśniącą łysą czaszkę. Ale urzędniczka nic nie skojarzyła, Verhoeven, glina, telewizja,

nic, poprosiła go o przeliterowanie nazwiska.

Gdy sobie to przypomina, gniew podpowiada mu, że jej ignorancja była może pierwszą dobrą wiadomością tego dnia. I ostatnią.

- Powiedział pan: Ferven? - upewniła się.

- Tak, właśnie tak, Ferven.

I przeliterował.

14.00

Z ludźmi tak już jest, że jak wypadek, to wszyscy biegną i patrzą. Dopóki będzie choć jeden radiowóz albo plama krwi, dopóty będzie chętny, żeby patrzeć. A tym razem widzów jest dużo. Napad i strzelanina w samym centrum Paryża to nie byle co. W porównaniu z czymś takim Foire du Trône¹ jest śmiechu warte.

W zasadzie ulica jest zamknięta dla ruchu, polecono wpuszczać tylko mieszkańców, ale daremny trud, teraz wszyscy tu mieszkają, bo wszyscy chcą wiedzieć, co się dzieje. Obecnie powrócił już spokój, ale sądząc z komentarzy, późnym rankiem był tu istny małpi gaj. Radiowozy, furgonetki, technicy, motocykle parkujące w dolnym odcinku Champs-Élysées spowodowały po obu krańcach ulicy korek, w ciągu dwóch godzin od Concorde po Étoile, od bulwaru Malesherbes po Palais de Tokyo wszystko stało zablokowane. Świadomość, że to ja jestem sprawcą takiego poruszenia, jest dość upajająca.

Dla kogoś, kto oddał kilka strzałów do zakrwawionej od stóp do głów dziewczyny, a potem z piskiem opon wystartował terenówką, uwożąc biżuterię wartą pięćdziesiąt tysięcy euro, powrót na miejsce zdarzeń jest trochę jak magdalenka Prousta. Całkiem zresztą przyjemny. Kiedy w interesach się kręci, człowiekowi zawsze robi się lekko na duszy. Na ulicy Georges-Flandrin, tuż przy wejściu do pasażu Moniera, jest kafejka. Znakomicie położona. Le Brasseur. Ależ w niej gwarno! Ludzie

¹ Foire du Trône - doroczne wiosenne wesołe miasteczko w Paryżu (przypl. tłum.).

zapamiętałe dyskutują; wiadomo, każdy wszystko widział, wszystko słyszał i wszystko wie.

Staram się nie rzucać w oczy, stoję przy końcu baru, gdzie jest najwięcej ludzi, wtapiam się w tłum i słucham.

Banda kretynów.

14.15

Jesienne niebo wygląda jak namalowane specjalnie na okoliczność tego cmentarza. Przyszło sporo ludzi. To przywilej funkcjonariuszy w służbie czynnej, na pogrzebach zjawiają się całą delegacją i od razu robi się tłum.

Z daleka Camille dostrzega najbliższych Armanda, jego żonę, dzieci, braci i siostry. Wszyscy ulizani, wyprostowani, smutni i poważni. Camille nie wie, jak jest naprawdę, ale ich grupka przywodzi mu na myśl rodzinę kwakrów.

Śmierć Armanda przed czterema dniami ogromnie Camille'a zasmuciła. Ale również wyzwoliła. Te długie tygodnie odwiedzania go, trzymania za rękę, mówienia do niego nawet wtedy, gdy nikt już nie wiedział, czy jeszcze cokolwiek do niego dociera, czy rozumie... Więc poprzestaje tylko na skinieniu głową z daleka jego żonie. Po długiej agonii, po tych wszystkich słowach pociechy dla niej i dzieci Camille nic więcej nie ma im do zaoferowania, równie dobrze mógł w ogóle nie przychodzić, wszystko, co był w stanie dla Armanda zrobić, już zrobił.

Wiele ich łączyło. To, że razem zaczęli pracę, więź z młodości o tyle cenniejsza, że ani Armand, ani Camille nigdy tak naprawdę nie byli młodzi.

I to, że Armand był patologicznie skąpy. Wprost trudno sobie wyobrazić, do czego potrafił się posunąć. Wypowiedział walkę na śmierć i życie wydawaniu pieniędzy, więc w gruncie rzeczy pieniądзом. Camille nie może się powstrzymać, by nie postrzegać jego śmierci jako zwycięstwa kapitalizmu. Łączyło ich nie tyle skąpstwo, ile to, że obaj mieli w sobie coś małostkowego oraz potrzebę ciągłej walki z własnym ja, ciągłego pokonywania własnych ograniczeń. Była to, można by

powiedzieć, swoista solidarność upośledzonych.

A poza tym, co potwierdziła długa agonía Armanda, Camille był jego najbliższym przyjacielem.

To, kim jest się dla innych, stwarza niezwykle silną więź.

Z czterech dawnych członków jego zespołu Camille jest jedynym żyjącym obecnym na tym cmentarzu i czuje się z tym dość dziwnie.

Jego zastępca, Louis Mariani, jeszcze się nie zjawił. Bez obaw, jako człowiek obowiązkowy przybędzie na czas: w jego kulturze nieobecność na pogrzebie jest jak puszczenie bąka przy stole, rzecz nie do pomyślenia.

Armanda usprawiedliwia nowotwór przetyku.

Pozostaje Maleval, którego Camille od lat nie widział. Znakomity nabytek w zespole, a potem wyrzucony z policji. Mimo różnicy środowisk on i Louis kolegowali się, byli w podobnym wieku i nieźle się uzupełniali. Do czasu kataklizmu, ponieważ to właśnie Maleval dostarczył informacji mordercy żony Camille'a, Irène. Nie zrobił tego umyślnie, ale jednak zrobił. Camille najchętniej by go wtedy własnoręcznie ukatrupił, było o krok od tragedii, Atry- dzi w wydaniu Wydziału Kryminalnego. Ale po śmierci Irène bojowy nastrój Camille'a gwałtownie osłabł, powaliła go depresja, a poza tym... Poza tym nie miało to już żadnego znaczenia.

Armanda brakuje mu najbardziej. Wraz z jego śmiercią wydział Verhoevena przestał istnieć. Ten pogrzeb otwiera trzeci rozdział historii, na której Camille próbuje odbudować swoje życie. To bardzo delikatne przedsięwzięcie.

Rodzina Armanda zaczyna już wchodzić do sali krematorium, kiedy zjawia się Louis. Beżowy, niezwykle szykowny garnitur od Hugo Bossa. Dzień dobry, Louis. Louis nie odpowiada dzień dobry, szefie, Camille nie pozwala, mówi, że nie występują w telewizyjnym serialu.

Pytanie, jakie niekiedy zadaje sobie w duchu Camille na temat własnej osoby, jest jeszcze bardziej zasadne w odniesieniu do jego zastępcy: co taki facet jak Louis robi w policji? Z urodzenia nieprzyzwoicie bogaty i w dodatku obdarzony inteligencją, co otworzyło przed nim podwoje

najlepszych szkół, do których może uczęszczać dyletant. Następnie, nie wiedząc czemu, wstąpił do policji, z pensją nauczyciela. W gruncie rzeczy Louis jest romantykiem.

- W porządku?

Camille kiwa głową, że tak, w porządku, ale myślami jest nieobecny. Duchem nadal przebywa w szpitalnym pokoju, gdzie otępiona środkami przeciwbólowymi Anne czeka na rentgeny i tomografię.

Louis przygląda się szefowi o sekundę dłużej niż zwykle, kiwa głową, zdaje się mówić hmmm. Jest młodzieńcem niezwykle powściągliwym i u niego takie hmmm jest jak odgarnięcie włosów z czoła prawą bądź lewą ręką, bardzo wymowne. I to hmmm wyraźnie mówi teraz: nie ma pan głowy do pogrzebu, znaczy, chodzi o co innego.

A skoro zaprzęta go to dzisiaj bardziej niż śmierć Armanda, sprawa musi być naprawdę poważna...

- Zajmiemy się napadem, do którego doszło dzisiaj rano w ósemce...

Louis zastanawia się, czy to jest odpowiedź na jego pytanie.

- Rozróżba?

Camille kiwa głową, że tak, że nie.

- Kobieta...

- Nie żyje?

Tak, nie, niezupełnie, Camille patrzy przed siebie, marszcząc brwi, jakby chciał przebić się wzrokiem przez mgłę.

- Nie... To znaczy, jeszcze nie...

Louis jest trochę zdziwiony. To nie ten rodzaj spraw, którymi zwykle zajmuje się ich jednostka, napady nie są specjalnością inspektora Verhoevena. Choć właściwie czemu nie, zdaje się mówić Louis, lecz wystarczająco już długo pracuje z Camille'em, by wyczuć, kiedy coś jest nie tak. Wyrazem jego zaskoczenia jest spojrzenie w dół na własne buty (Crockett & Jones, wypastowane na błysk) oraz suchy kaszelek, tak dyskretny, że prawie niedosłyszalny. To najwyższy przejaw emocji, na które sobie pozwala.

- Kiedy to się skończy - mówi Camille, wskazując cmentarz i wejście do kaplicy pogrzebowej - chciałbym, żebyś trochę

popytał. Dyskretnie... Bo widzisz, oficjalnie jeszcze nam sprawy nie przydzielono... - (Dopiero teraz Camille rzuca wzrokiem na swojego zastępcę). - Rozumiesz, chodzi o zyskanie na czasie...

I już rozgląda się za Le Guenem, którego bez trudu wyławia z tłumu. Le Guen jest jak mastodont, nie sposób go przeoczyć.

- No to do dzieła.

Kiedy Le Guen był jeszcze komisarzem, Camille'owi wystarczyło skinąć palcem, by uzyskać wszystko, czego chciał, ale teraz to już trudniejsze.

U boku generalnego inspektora Le Guena jak gęś kolebie się komisarz Michard.

14.20

Le Brasseur przeżywa chwile chwały. Taki skok jak dzisiaj zdarza się raz na sto lat, co do tego wszyscy są zgodni. Nawet ci, którzy nic nie widzieli, się z tym zgadzają. Ludzie prześcigają się w relacjach. Widzieli młodą dziewczynę, niektórzy dwie, może kobietę, uzbrojoną, nieuzbrojoną, z pustymi rękami, która krzyczała. Czy to nie właścicielka sklepu jubilerskiego? Nie, to była jej córka! Ach tak? To ona ma córkę, jest pan pewny? Napastnicy przyjechali samochodem, jakim samochodem? Tu zostają wymienione prawie wszystkie marki samochodów zagranicznych sprzedawanych we Francji.

Popijam spokojnie kawę; dla mnie to pierwsza chwila wytchnienia w tym dosyć długim dniu.

Właściciel lokalu, wkurzający palant, wysokość łupu ocenia na pięć milionów euro. Nie mniej niż pięć milionów. Nie wiadomo, skąd wytrzasnął tę sumę, ale wie swoje. Miałoby się ochotę wziąć go na muszkę mossberga i zaciągnąć pod drzwi najlepszego jubilera w dzielnicy. A kiedy już ograbi personel i wróci do swojego bistra, będzie mógł podliczyć utarg; jeśli wyniesie jedną trzecią tego, na co liczy, niech kretyń idzie szybko na emeryturę, bo podobna gratka nigdy więcej mu się nie trafi.

A ten ich samochód! Który samochód? No ten, którym

jechali! Wyglądał, jakby zatrzymali nim szarżującego bawołu! Ostrzelany z bazooki czy co? I podobnie jak przy samochodzie, sypią się komentarze balistyczne obejmujące wszelkie możliwe kalibry. Miałoby się ochotę oddać strzał w powietrze, żeby się uciszeli. Albo do nich, żeby nareszcie mieć spokój.

Nadymając się poczuciem własnej ważności, właściciel oświadcza zdecydowanie:

- Dwadzieścia dwa Long Rifle.

I przymyka oczy, przekonany o trafności swojej ekspertyzy.

Wyobrażam go sobie skróconego o głowę przez kaliber dwanaście i od razu robi mi się lepiej. Dwadzieścia dwa Long Rifle czy cokolwiek innego, klienci potakują, żaden z nich nie ma bladego pojęcia o broni. Przy takich świadkach gliniarze będą mieć niezły ubaw.

14.45

- Ale... dlaczego pan to chce? - pyta komisarz Michard.

I odwracając się, wykonuje zamaszty ruch obrotowy wokół własnej osi, ukazując olbrzymi babiloński zadek. Zawrotnie wielki. Komisarz Michard jest niewiastą w wieku mniej więcej czterdziestu, pięćdziesięciu lat, o twarzy swego czasu obiecującej, jakkolwiek na obietnicach się skończyło, o kruczoczarnych włosach, z natury prawdopodobnie raczej siwych, o wielkich zajęczych zębach. Nosi prostokątne okulary głoszące wszem wobec, że jest kobietą władczą i zdecydowaną. Tak zwany silny charakter (czytaj: zołza), błyskotliwa inteligencja (dzięki czemu tym skuteczniej potrafi dać się we znaki), ale jej najbardziej spektakularną cechą jest wielki zadek. Monstrualnej wielkości. Aż dziw bierze, że to się w ogóle trzyma. Co ciekawe, komisarz Michard (z łatwością można sobie wyobrazić te żarty, które w miarę poznawania jej lepiej z nieprzyzwoitych przechodzą w obsceniczne) ma twarz dość łagodną, pozostającą w sprzeczności z tym wszystkim, co o niej wiadomo: z jej niewątpliwą kompetencją, z wyostrzonym wyczuciem strategii, z jej imponującymi dokonaniem. Należy

do tych zwierzchników, którzy pracują dziesięć razy więcej od innych i gratulują sobie swoich zdolności przywódczych. Kiedy objęła stanowisko, Camille zrozumiał, że oprócz jednej żony, którą ma już w domu, Kici (ukochanej kotki, charakternej i zdecydowanie histerycznej), teraz będzie miał jeszcze drugą, w pracy.

A więc „dlaczego pan to chce?”

W kontakcie z niektórymi osobami trudno jest zachować zimną krew. Komisarz Michard przysuwa się do Camille'a. Bardzo blisko. Zawsze tak z nim rozmawia. Jej postura klubowego fotela w zestawieniu z nikłością Verhoevena sprawia, że oboje wyglądają jak uczestnicy castingu do amerykańskiej komedii, ale ta kobieta śmieszności się nie boi.

Stoją naprzeciwko siebie, twarzą w twarz, blokując korytarz prowadzący do krematorium, są jednymi z ostatnich wchodzących. Camille musiał się mocno nagimnastykować, żeby znaleźć się w tym miejscu w tej dokładnie chwili. Gdyż w momencie kiedy zgłaszał swoją prośbę, akurat przechodził obok nich generalny inspektor Le Guen, bliski przyjaciel Camille'a i poprzednik komisarz Michard (zabawa w gorące krzesła, jedno awansuje do grona dyrekcji, drugie zostaje komisarzem). A jak wszystkim wiadomo, Camille i Le Guen są więcej niż przyjaciółmi, Camille był nawet świadkiem na wszystkich jego ślubach - poważne zajęcie, zważywszy, że Le Guen ożenił się niedawno po raz szósty, poślubiając ponownie swoją drugą żonę.

Świeżo mianowana komisarz Michard musi jeszcze postępować tak, „by wilk był syty i owca cała” (uwielbia utarte powiedzonka, którym usilnie stara się przydać pewnej świeżości), analizować, czy „gra jest warta świeczki”, zanim zacznie mącić. A kiedy przyjaciel zwierzchnika o coś ją prosi, siłą rzeczy daje to do myślenia. Należałoby bez pośpiechu gruntownie rozważyć prośbę, ale Michard ma opinię osoby bystrej, stawiającej sobie za punkt honoru szybkie podejmowanie decyzji. Zwłaszcza że zaraz rozpocznie się uroczystość, mistrz ceremonii świdruje ich wzrokiem, kiedy wchodzi do sali jako ostatni; w dwurzędowym garniturze i z

jasnymi tlenionymi włosami wygląda jak gwiazda futbolu, dzisiejsi karawaniarze to już nie to, co kiedyś.

Pytanie - dlaczego chce się zająć taką sprawą? - jest jedynym, na które Camille zdążył przygotować odpowiedź. Jedynym naprawdę istotnym.

Napad miał miejsce o dziesiątej rano, a dochodzi dopiero piętnasta. W pasażu Moniera technicy dokonują ostatnich ustaleń, koledzy kończą przesłuchania pierwszych świadków, ale sprawy nie przydzielono jeszcze żadnemu zespołowi.

- Ponieważ mam informatora - mówi Camille. - Dobrze zorientowanego...

- To pan wiedział o napadzie?

Michard teatralnie wytrzeszcza oczy, co Camille'owi natychmiast kojarzy się z szalonymi spojrzeniami samurajów w ikonografii japońskiej. Oznacza to: mówi pan za dużo albo nie wszystko, przepada za tego typu odzywkami.

- Ależ skąd, o niczym nie wiedziałem! - woła Camille (bardzo przekonująco odstawia ten skecz, wygląda, jakby naprawdę wierzył w to, co mówi). - Ja nie, ale czy mój informator, za to głowy nie dam... Jest bardzo napalony. Jak na rozżarzonych węglach. - (Jest pewny, że Michard uwielbia taką obrazowość). - Chwilowo bardzo chętny do współpracy... Szkoda byłoby tego nie wykorzystać.

Wystarcza jedno spojrzenie, by rozmowa z technicznej zamieniła się w czysto taktyczną. I rzut oka Camille'a w głąb cmentarza, by nad ich dialogiem zaciążył opiekuńczy cień generalnego inspektora. Cisza. Komisarz uśmiecha się, znak, że zrozumiała: zgoda.

Camille dodaje pro forma:

- W grę wchodzi nie tylko napad, jest też usiłowanie zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem i...

Komisarz Michard spogląda na Camille'a dziwnym wzrokiem, a potem powoli kiwa głową, tak jakby za manewrem inspektora, skądinąd dość grubymi nićmi szytym, zaczynała dostrzegać jakieś nikłe światelko, jakby usiłowała coś zrozumieć. Albo jakby była o krok od zrozumienia. Albo jakby już rozumiała. Camille wie, jakiego ta kobieta ma nosa; kiedy

tylko wyczuje kłopoty, momentalnie odzywa się jej wewnętrzny sejsmograf.

Camille przejmując więc inicjatywę, swoim najbardziej przekonującym tonem szybko mówi:

- Już to wyjaśniam. Mój człowiek miał powiązania z innym, który należał do zespołu, to było w zeszłym roku i nie miało żadnego związku ze sprawą, ale...

Komisarz Michard machnięciem ręki przerywa mu w pół słowa z miną mówiącą, że ma własne problemy. Że zrozumiała. Że tak czy siak, zbyt krótko zajmuje to stanowisko, by mieszać się w sprawy między swoim zwierzchnikiem a swoim podwładnym.

- Zgoda, inspektorze. Porozmawiam z sędzią Pereirą. Camille nic po sobie nie pokazuje, ale na to właśnie liczył. Bo gdyby tak szybko nie złożyła broni, nie ma pojęcia, jak miałyby dokończyć to zdanie.

15.15

Louis szybko wyszedł. Camille - stanowisko zobowiązuje - musiał zostać prawie do końca. Uroczystość trwała długo, bardzo długo, dopóki każdy z uczestników nie skorzystał z możliwości wykazania swoich talentów krasomówczych. Kiedy Camille uznał, że już może, dyskretnie się wymknął.

Wracając do samochodu, odsłuchuje wiadomość, którą przed chwilą otrzymał. Od Louisa, który załatwił wcześniej kilka telefonów i wie już najważniejsze:

- Mossberg 500 użyty w napadzie naprowadza na jeden tylko ślad. Siedemnastego stycznia tego roku. Podobieństwo nie budzi wątpliwości. A ta sprawa to nie przelewki... Od- dzwoni pan?

Camille oddzwania.

- W styczniu rzecz była znacznie poważniejsza - wyjaśnia Louis. - Poczwórny napad! Jedna osoba zabita. Znamy szefa gangu. Vincent Hafner. Po tej styczniowej aferze słuch po nim zaginął. Tym mocnym akcentem wraca teraz do gry...

15.20

W Le Brasseur nagłe poruszenie.

Rozmowy przerywają syreny policyjne, wszyscy spieszą na taras, wyglądają na ulicę, wycie syren staje się jakby o ton głośniejsze. Właściciel nie ma wątpliwości: to minister spraw wewnętrznych. Obecni bez powodzenia próbują przypomnieć sobie jego nazwisko, co innego, gdyby to był telewizyjny prezenter. Znow zaczynają się komentarze. Niektórzy skłonni są przypisywać to zamieszanie nowemu zwrotowi akcji, a nuż znaleziono jakiegoś trupa albo coś w tym stylu, ale właściciel, pewny swego, znow przyryka oczy. Odmienne zdanie klientów jest holdem dla jego erudycji.

- Minister spraw wewnętrznych, powtarzam.

Z nikłym uśmiezkiem przeciera spokojnie kieliszki, nie patrzy w stronę tarasu, chcąc podkreślić, jak bardzo jest pewny swojej diagnozy.

Wszyscy z zapartym tchem czekają jak na kolejny etap Tour de France.

15.30

Ma wrażenie, że jej głowa jest wypełniona watą, opleciona grubymi jak konary żyłami, które bębnią i pulsują.

Anne otwiera oczy. Pokój. Szpital.

Zesztywniała jak połamana reumatyzmem staruszka, próbuje poruszyć nogami. Mimo bólu udaje jej się unieść jedno kolano, potem drugie; zgięcie nóg przynosi chwilową ulgę.

Próbując oprzytomnieć, powoli porusza głową, która zdaje się ważyć tonę, zabandażowane palce przypominają szczypce kraba, tyle że brudne. Jak przez mgłę napływają do niej obrazy: drzwi do toalety w galerii handlowej, tafla krwi, wystrzały, obsesyjne wycie syreny karetki pogotowia, twarz radiologa i dobiegający zza jego pleców głos pielęgniarki: „Ale ją

urządzeni!” I od razu ożywają w niej emocje, powstrzymuje łzy, oddychać głęboko, trzymać się, nie rozklejać, nie poddawać.

I dlatego musi wstać, musi żyć.

Jednym ruchem odrzuca prześcieradło, opuszcza jedną nogę, potem drugą. Ciemnieje jej w oczach, siedzi przez chwilę na brzegu łóżka, potem stawia stopy na podłodze, wstaje, znów musi usiąść, teraz czuje już prawdziwy, dojmujący ból, boli ją wszystko, plecy, ramiona, obojczyk, została skatowana, usiłuje złapać oddech, znów się podnosi, i oto nareszcie stoi na własnych nogach, choć nie całkiem, bo musi się przytrzymać nocnej szafki.

Łazienka jest naprzeciwko. Droga do niej przypomina wspinaczkę, Anne przesuwając się od oparcia do oparcia, od poręczy łóżka do szafki nocnej, do klamki drzwi, do umywalki i w końcu staje przed lustrem. Dobry Boże, czy to naprawdę ona?

Do oczu napływają jej łzy, tym razem nie może powstrzymać płaczu. Te sine kości policzkowe, te wybroczyny, te wybite zęby... I rana z lewej strony twarzy, rozplątana kość policzkowa, ten długi ciąg szwów...

Co oni jej zrobili?

Przytrzymuje się brzegu umywalki, żeby nie upaść.

- Dlaczego pani wstała?

Anne odwraca się, zawrót głowy ścina ją z nóg, pielęgniarka ledwie zdążyła ją złapać, i oto Anne leży na podłodze, pielęgniarka szybko wstaje, wysuwa głowę na korytarz.

- Florence, możesz przyjść mi pomóc?

15.40

Camille maszeruje szybkim nerwowym krokiem. Obok niego idzie Louis, tyle że kilka centymetrów za szefem; dystans, który zachowuje, jest wynikiem przemyślnego połączenia szacunku i zażyłości; tylko on potrafi stosować tak wyszukane kombinacje.

Choć Camille jest zatroskany i chociaż mu się spieszy, odruchowo spogląda na kamienice po obu stronach ulicy

Flandrin. Architektura z czasów Haussmanna, poczerniała od spalin, w tej dzielnicy tyle tego jest, że już się ich nawet nie zauważa. Jego wzrok wyłapuje w przelocie ciąg balkonów na obu krańcach wsparty na ramionach dwóch monumentalnych atlantów w przepaskach, pod którymi rysują się imponujące wypukłości, każdy zaś balkon podtrzymują kariatydy o niezwykle bujnych piersiach, które spoglądają w niebo. To znaczy w niebo spoglądają piersi, bo same kariatydy mają ckiwe i świętoszkowate spojrzenie kobiet pewnych swego. Nie przerywając szybkiego marszu, Camille z podziwem kiwa głową.

- Moim zdaniem René Parrain - oświadcza.

Milczenie. Camille przymyka oczy, czekając na replikę.

- A nie raczej Chassavieux?

Zawsze to samo. Louis jest o dwadzieścia lat młodszy, a wie sto razy więcej od niego. A najgorsze, że nigdy się nie myli. Lub prawie nigdy. Camille tyle razy próbował go zagiąć, próbował i próbował, ten facet to chodząca encyklopedia.

- Hmm - mruczy. - Możliwe.

Zbliżając się do pasażu Moniera, Camille mijają samochód z prawej strony trafiony strzałem z kalibru 12, ładowany w tym momencie na lawetę pomocy drogowej.

Niebawem się dowie, że z drugiej strony tego właśnie samochodu stała Anne, kiedy do niej strzelano.

Szefem jest ten mały. W dzisiejszych czasach z policjantami jest jak z politykami, im niższy wzrost, tym wyższe stanowisko. Tego akurat gline wszyscy znają, co się dziwić, z takim wyglądem... Wystarczyło raz go zobaczyć i człowiek go pamięta, ale co do nazwiska, opinie w kawiarni są różne. Ludzie przypominają sobie, że jest zagraniczne, ale jakie? Niemieckie, duńskie, flamandzkie? Ktoś mówi, że rosyjskie, inny woła już wiem, Verhoeven, tak się nazywa, parszają śmiechem, a nie mówili, mieli rację, cieszą się.

Widzą, jak staje w wejściu do pasażu. Nie pokazuje legitymacji, poniżej metra pięćdziesięciu nie jest to konieczne.

Zgromadzeni na tarasie wstrzymują oddech, ale oto nowa sensacja przyćmiewa wcześniejszą, co za ekstra dzień: do baru wchodzi smągła ciemnowłosa dziewczyna. Właściciel wylewnie ją wita, wszyscy się odwracają: to fryzjerka z salonu obok. Zamawia cztery kawy, w salonie ekspres jest zepsuty.

Wszystko wie, ze skromnym uśmiechem czeka na zamówioną kawę. Na pytania. Mówi, że nie ma czasu, ale znacząco się rumieni.

Zaraz się wszystkiego dowiedzą.

15.50

Louis wita się z kolegami. Camille chce zobaczyć nagranie. Natychmiast. Louis jest zaskoczony. Wie, w jak niewielkim poważaniu ma Camille zwyczaje i procedury, ale taka nonszalancja u człowieka z jego pozycją i doświadczeniem naprawdę może zdziwić. Lewą ręką odgarnia włosy z czoła, ale idzie za swoim szefem na zaplecze księgarni, chwilowo zarekwirowane na ich kwatere główną. Nie zatrzymując się, Camille ściska z roztargnieniem dłoń właścicielki, która wygląda jak świąteczna choinka i pali papierosa w fifce z końci słoniowej, widok od wieków niespotykany. Koledzy dostarczyli nagrania z obu kamer wideo.

Stając przed ekranem laptopa, Camille odwraca się do swojego zastępcy.

- Teraz to obejrzę - mówi. - A ty zrób podsumowanie.

I wskazuje sąsiednie pomieszczenie, innymi słowy, go wyprasza. Po czym nie czekając, siada przed komputerem i wlepia wzrok w obecnych. Można by przysiąc, że chciałby w samotności obejrzeć film porno.

Louis zachowuje się jak ktoś, dla kogo jest to najzupełniej oczywiste. Ma w sobie w tym momencie coś z kamerdynera.

- Chodźcie - mówi, zaganiając pozostałych. - Przenieśmy się obok.

Interesująca Camille'a taśma pochodzi z kamery zainstalowanej nad wejściem do jubilera.

Dwadzieścia minut później, kiedy taśmę przegląda z kolei Louis, porównując ujęcia ze wstępnymi zeznaniami świadków i przygotowując pierwsze hipotezy robocze, Camille dochodzi centralną aleją do miejsca, w którym znajdował się strzelec.

Zakończono już zdejmowanie odcisków, technicy odjechali, potłuczone szkło zostało uprzątnięte, miejsce przestępstwa zabezpieczono taśmą klejącą, teraz pozostało już tylko czekać na ekspertów i ubezpieczycieli, a potem wszystko się zamknie, zostaną sprowadzone firmy remontowe i za dwa miesiące wszystko znów będzie jak nowe, szalony rabuś będzie mógł znów strzelać do klientów w godzinach otwarcia sklepów.

Miejsca pilnuje funkcjonariusz, wysoki chudzielec o zmęczonym spojrzeniu, z workami pod oczami i z wystającym podbródkiem. Camille od razu go rozpoznaje, dziesiątki razy widywał go w różnych miejscach zbrodni niczym aktora drugiego planu, nieznanego z nazwiska. Witają się krótkim uniesieniem ręki.

Camille patrzy na zdemolowany sklep, na wybite szyby. Nie zna się wprawdzie na branży jubilerskiej, ale wydaje mu się, że gdyby chciał zorganizować skok, nie tego typu obiekt by wybrał. Ale wie też, że to bardzo złudne wrażenie. Człowiek widzi agencję bankową, wygląda niepozornie, ale gdyby zwinąć to, co znajduje się w środku, wystarczyłoby mu kasy, żeby ją odkupić.

Camille stara się zachować spokój, ale trzyma ręce w kieszeniach prochowca, bo po obejrzeniu taśmy - a oglądał ją tyle razy, na ile wystarczyło mu czasu, i te obrazy wstrząsnęły nim, powaliły go - drżą mu dłonie.

Potrząsa głową, jakby miał w uszach wodę, jakby chciał wyrzucić z siebie nadmiar emocji, odzyskać dystans, tylko jak; te obwódki na ziemi to ślady krwi Anne, tutaj leżała skulona, facet pewnie stał tam, Camille odchodzi kilka metrów dalej, wysoki glina przygląda mu się z lekkim niepokojem. Trzymając przy biodrze wyimaginowaną strzelbę, Camille wykonuje gwałtowny obrót, gliniarz kładzie dłoń na swoim walkie-talkie, Camille robi trzy kroki, patrzy to na miejsce, gdzie znajdował się napastnik, to na wyjście z galerii, i nagle bez uprzedzenia

zaczyna biec. Tym razem policjant już ma sięgnąć po swoją krótkofalówkę, ale przerywa w pół gestu, bo Camille nagle się zatrzymał. Zafrasowany, z palcem na ustach zawraca po swoich śladach, unosi wzrok, ich spojrzenia się spotykają, nieśmiało uśmiechają się do siebie jak ludzie, którzy się polubili, choć nie mówią tym samym językiem.

Jak to naprawdę wyglądało?

Camille spogląda w prawo, w lewo, podnosi wzrok na impost rozbity wystrzałem ze strzelby, rusza przed siebie i oto jest już przy wyjściu z galerii, na ulicy Georges-Flandrin. Sam nie wie, czego szuka, jakiegoś znaku, detalu, przebłysku, jego niemal fotograficzna pamięć ludzi i miejsc ustawia wspomnienia w innej kolejności.

Z niewiadomych powodów nagle nabiera przekonania, że podąża fałszywym tropem. Ze nie ma tu nic do roboty.

Ze podchodzi do tej sprawy z niewłaściwej strony.

Toteż wraca i rozpoczyna przesłuchania.

Kolegom, którzy zebrali już wstępne zeznania, wyjaśnia, że chce wyrobić sobie „własny pogląd”, rozmawia z księgar-ką, z antykwariuszem, na chodniku wypytuje fryzjerkę. Jubilerka trafiła do szpitala. Jej praktykantka z kolei przesiedziała cały napad ze wzrokiem wbitym w ziemię, trzymając się za głowę. Nijaka, niczym się niewyróżniająca dziewczynka budzi litość, Camille każe jej wracać do domu, pyta, czyją odwiedzić, dziewczyna odpowiada, że w Le Brasseur czeka na nią chłopak, i pokazuje kafejkę po drugiej stronie ulicy, na tarasie aż czarno od ludzi, wszystkie twarze zwrócone w ich stronę. Camille mówi: no, niech pani zmyka.

Wysłuchał zeznań, obejrzał uważnie taśmy.

Zajadłej chęci uśmiercenia Anne winna jest przede wszystkim elektryczność, to straszliwe napięcie towarzyszące napadowi, a potem ciąg kolejnych zdarzeń. Przekładnia zębata.

Ale żeby taki upór, taka zajadłość...

Lada chwila ma się zjawić sędzia. Czekaając na niego, Camille wraca myślą do innych, wcześniejszych wydarzeń. Dzisiejszy

skok co do joty przypomina inny, ze stycznia tego roku.

- Nie uważasz? - pyta Camille.

- Jak najbardziej - potwierdza Louis. - Jedyne, co je różni, to skala. Dzisiaj mieliśmy jeden, w styczniu były cztery. W niecałe sześć godzin obrabowali czterech jubilerów...

Camille aż gwizdnął z podziwem.

- Ta sama metoda co dziś. Trzech ludzi. Pierwszy otwiera sejfy i zgarnia biżuterię, drugi z obrzynem Mossberga go osłania, trzeci jest kierowcą.

- I powiadasz, że w styczniu był jakiś zabity?

Louis zagląda w notatki.

- Wtedy ich pierwszym celem był sklep w piętnastce, zaraz po otwarciu. Załatwiają sprawę dosłownie w dziesięć minut, to najczystszy numer tego dnia, bo już o dziesiątej trzydzieści wpadają do jubilera na ulicy Rennes, a odjeżdżając, zostawiają za sobą sprzedawcę, który zwlekał z otwarciem sejfu na zapleczu, obrażenia czaszki, cztery dni w śpiączce, chłopak wygrzebał się, choć nie obyło się bez powikłań, teraz walczy z administracją o przyznanie częściowej renty inwalidzkiej.

Camille słucha z wytężoną uwagą. Oto, czego Anne cudem uniknęła. Ma nerwy w strzępach, zmusza się, żeby głęboko oddychać, żeby rozluźnić mięśnie, jak to było, „oboj- czykowo... sutko wato...”, szlagby to.

- Koło czternastej - ciągnie Louis - po zakończeniu południowej przerwy, gang łąduje u trzeciego jubilera w Louvre des Antiquaires. Nie interesuje ich drobnica, wiedzą, po co przyszli. Dziesięć minut później odjeżdżają, pozostawiając na chodniku ciało klienta, który trochę za wysoko podniósł rękę... Nie ucierpiał tak jak poprzednia ofiara, ale i tak jego stan uznano za poważny.

- To eskalacja przemocy - stwierdza Camille, podążając tokiem własnych myśli.

- Tak i nie - odpowiada Louis. - Faceci nie tracą głowy, po prostu odwalają robotę po swojemu.

- Pracowity mieli dzień...

- Na pewno.

Nawet dla zgranej, przygotowanej i silnie zmotywowanej

ekipy cztery napady w ciągu sześciu godzin to imponujący wynik. Po jakimś czasie człowieka siłą rzeczy dopada zmęczenie. Z napadem jest jak z jazdą na nartach, do wypadku dochodzi zwykle pod koniec dnia, ostatni wysiłek pociąga najczęściej kontuzji.

- Na ulicy Sèvres - podejmuje relację Louis - właścicielowi sklepu zachciało się bawić w komandosa. W chwili gdy gang zbiera się już do odwrotu, umyślił sobie, że spróbuje ich zatrzymać, chwyta za mankiet napastnika, który zgarnia towar, chce go przewrócić. Zanim osłaniający wycelował w niego mossberga, rabus zdążył mu już wpakować prosto w pierś dwie kule dziewięć milimetrów.

Zapewne nigdy nie będzie wiadomo, czy dzień roboczy rabusiów na tym się skończył, czy mieli jeszcze inne plany, które pokrzyżowała śmierć jubilera, zmuszając ich do ucieczki.

- Gdyby nie tylu jubilerów w ciągu jednego dnia, sposób ich działania jest jak najbardziej klasyczny. Nowicjusze w zawodzie, młodzi wrzeszczą, gestykują, strzelają na postrach, przeskakują przez lady, wybierają taką broń, jaką widzieli w różnych symulacjach, kompletnie na wyrost, i od razu można wyczuć, że robią w portki ze strachu. Natomiast nasi napastnicy są zdecydowani, świetnie zorganizowani i nie wykonują żadnych niepotrzebnych ruchów. Gdyby nie trafił im się kandydat na bohatera, odjechaliby, zostawiając za sobą tylko jakieś uboczne zniszczenia, nic więcej.

- Łup ze stycznia? - pyta Camille.

- Sześćset osiemdziesiąt tysięcy euro - odpowiada Louis.

- Oficjalnie.

Camille unosi brew. Nie to, żeby był zdziwiony, jubilerzy nigdy nie podają rzeczywistej wysokości poniesionych strat, wszyscy to i owo zatają. Nie, Camille chce tylko poznać prawdę:

- Czyli ponad milion - stwierdza. - Po odsprzedaży sześćset tysięcy. Może sześćset pięćdziesiąt. Piękny wynik.

- Wiemy, dokąd trafił towar?

Upłynnienie takiego łupu, obfitego, a zarazem zróżnicowanego, wiąże się z dużą stratą. I w Paryżu niewielu jest

kompetentnych paserów.

- Przypuszczamy, że do Neuilly, ale...

No jasne. To byłby najwłaściwszy wybór. Chodzą słuchy, że paserem jest były ksiądz. Camille nigdy tego nie sprawdził, lecz wcale go to nie dziwi, obie posługi wydają mu się dość podobne.

- Wyślij kogoś, niech się rozejrzy.

Louis przyjmuje polecenie. Ale w większości spraw przydzielanie zadań należy do niego.

Na to wchodzi sędzia Pereira. Niebieskie oczy, przydługi nos i uszy jak u psa. Zatroškany, zaaferowany, z marszu ściska dłoń Camille'a, witam inspektorze, a za nim jego asystentka, trzydziestoletnia piersiasta seksbomba na zawrotnie wysokich obcasach, które głośno stukają na kamiennych płytach, ktoś powinien jej powiedzieć, że to już przesada. Sędzia wie, że strasznie tymi obcasami hałasuje, ale choć kroczy trzy metry za nim, od razu widać, że to ona rządzi.

Że gdyby chciała, mogłaby nawet wałęsać się po galerii, żuć gumę i robić z niej balony. Camille stwierdza, że Lolita w wieku trzydziestu lat zamieniła się w dziwkę.

Schodzą się wszyscy, Camille, Louis, dwóch kolegów z zespołu, którzy przed chwilą przyjechali. Zebranie prowadzi Louis. Jest rzeczowy, metodyczny, wszystko wie (swego czasu dostał się do ENA, ale wolał nauki polityczne). Sędzia uważnie słucha. Louis mówi o wschodnich akcentach.

O gangu Serbów lub Bośniaków, o ich brutalności, o tym, że strzelali, chociaż mogli tego uniknąć. Wspomina też Vincenta Hafnera, w skrócie relacjonując jego zbrojne wyczyny. Sędzia kiwa głową. Hafner plus Bośniacy, wybuchowa mieszanka, aż dziw, że nie doszło do większych strat, to źli ludzie, stwierdza sędzia, i ma rację.

Potem pyta o świadków. Zwykle po otwarciu w sklepie jubilerskim oprócz właścicielki i stażystki jest też sprzedawczyni. Ona jednak tego ranka się spóźniła, a kiedy przyszła, było już po wszystkim, usłyszała tylko ostatni strzał. Gdy

pracownik cudem unika napadu na sklep lub agencję bankową, w której jest zatrudniony, gliniarze natychmiast stają się podejrzliwi.

- Zwinęliśmy ją - mówi jeden z policjantów (sprawia wrażenie niezbyt przekonanego). - I przyciśniemy, ale nie wygląda, żeby miała coś na sumieniu.

Asystentka sędziego straszliwie się nudzi. Kołysze się na swoich szcudłach, przestępuje z nogi na nogę, ostentacyjnie spogląda w stronę wyjścia. Ma umalowane na krwistą czerwień paznokcie, nosi obcisłą bluzkę z odpiętymi dwoma górnymi guzikami, wygląda to, jakby odpadły, ukazując zawrotnie głęboki rowek między piersiami, człowiek nerwowo czeka, kiedy puści następny, ten, który jeszcze się trzyma i wokół którego materiał rozciąga się złowieszczo niczym krwiożerczy uśmiech. Camille patrzy na nią, w myślach ją szkicuje, dziewczyna robi wrażenie, ale tylko ogólne. Bo ze szczegółami już gorzej: duże stopy, krótki nos, nieco toporne rysy, krągłe, wysoko osadzone pośladki. Tyłek dla alpinisty. A te jej perfumy... Wonieją jodem. Człowiek czuje się, jakby stał obok kosza z ostrygami.

- Pani komisarz mówiła, że podobno ma pan informatora... - szepcze sędzia, odciągając Camille'a na bok.

Słowo „pani” wymawia z emfazą, zupełnie jakby trenował użycie zwrotu „pan minister”. Asystentka sędziego takich rozmów na boku nie cierpi. Wydaje głośnie westchnienie.

- Owszem - potwierdza Camille. - Jutro dowiem się więcej.

- Więc nie powinno to trwać długo.

- Nie powinno...

Sędzia jest zadowolony. Nie jest komisarzem, a mimo to lubi korzystne statystyki. Uznaje, że czas na niego. Spogląda surowo na asystentkę:

- Idziemy... - mówi władczym tonem.

Nieznoszącym sprzeciwu.

Sądząc z miny Lolity, drogo za to zapłaci.

16.00

Nieźle jest zeznanie tej fryzjerki. Spuszczając oczy niczym panna młoda, powtarza to samo, co mówiła glinom. To najdokładniejsza relacja ze wszystkich, jakie dotąd słyszałem. Bardzo precyzyjna. Przy takich świadkach jak ona nie żałuję, że miałem na twarzy kominiarkę. Z uwagi na zamieszanie panujące na zewnątrz trzymam się jak najdalej od tarasu. Zamawiam przy barze następną kawę.

Dziewczyna przeżyła, oberwał tylko samochód stojący przy chodniku. Zabrało ją pogotowie.

Teraz szpital. Ostry dyżur. Zanim wyjdzie albo przewiozą ją gdzie indziej.

Ale najpierw naładować na nowo magazynek mossberga. Siedem naboí.

Fajerwerki dopiero się zaczynają.

Upiększemy tę scenę.

18.00

Camille, choć zdenerwowany, nie może bębnić palcami w kierownicę. W jego samochodzie wszystkie funkcje są scentralizowane, to jedyne rozwiązanie dla kogoś, kto nie sięga stopami do ziemi i ma za krótkie ręce. A w samochodzie dla niepełnosprawnych trzeba bardzo uważać, czego się dotyka, wystarczy jeden nieopatrzny ruch i człowiek ląduje w rowie. Tym bardziej że Camille, oprócz innych ułomności, nie jest też zbyt sprawny manualnie, nie licząc rysowania, jest po prostu niezdarny.

Parkuje, przecina szpitalny parking, przepowiadając sobie, co powie lekarzowi, wszystkie te gładkie zdania, długo cyzelowane i ulatujące z głowy, kiedy wreszcie nadarzy się okazja. Dziś rano w izbie przyjęć było mnóstwo ludzi, więc poszedł od razu na piętro, do pokoju Anne. Tym razem zatrzymuje się przy recepcji, kontuar ma na poziomie oczu (sto pięć centymetrów, ocenia Camille, który w takich sprawach rzadko kiedy myli się

więcej niż o centymetr, dwa). Obchodzi więc kontuar i zdecydowanym ruchem otwiera małą bramkę opatrzoną surowym zakazem: „Wstęp wzbroniony”.

- Co jest - woła recepcjonistka - nie umie pan czytać?

Camille pokazuje legitymację.

- A pani?

Podnosząc kciuk w górę, recepcjonistka wybucha śmiechem.

- Świetne!

Chuda Murzynka o żywych oczach, kościstych ramionach, płaska jak deska, jakieś czterdzieści lat. Z Antyli. Na jej identyfikatorze widnieje imię Ophélie. Ma na sobie nieopisane paskudną bluzkę z żabotem, wielkie białe okulary motyle w hollywoodzkim stylu i z daleka jedzie od niej papierosami. Otwartą dłonią pokazuje, żeby Camille zaczekał, odbiera telefon, łączy rozmowę, odkłada słuchawkę, a potem odwraca się i patrzy na niego z nieskrywanym podziwem.

- Strasznie pan niski! To znaczy, jak na policjanta... Nie ma jakiegoś minimum wzrostu dla kandydata do policji?

Camille'owi nie w głowie teraz żarty, ale dziewczyna go rozbawiła.

- Opuścili mi - mówi.

- Ma się te chody, co?

Jeszcze chwila, a swoboda zamieni się w bezceremonialność i czy policjant, czy nie policjant, zaczną się poklepywać po plecach. Ucinając to, Camille oświadcza, że chce rozmawiać z lekarzem, który zajmuje się Anne Forestier.

- O tej porze należy zwrócić się do lekarza dyżurnego na oddziale.

Camille kiwa głową, że zrozumiał, i rusza do windy. Ale zaraz zawraca.

- Czy ktoś do niej dzwonił?

- O ile mi wiadomo, nie...

- Na pewno?

- Może mi pan wierzyć. Tym bardziej że tutejsi pacjenci rzadko kiedy są w stanie odbierać telefony.

Camille odchodzi.

- Proszę pana!

Z daleka macha do niego zamasyżycie żółtą kartką, jakby wachlowała kogoś wyższego od siebie. Camille znowu zawraca.

- Liścik miłosny... - szepcze dziewczyna, wpatrując się w niego łakomym wzrokiem.

Camille wsuwa do kieszeni szpitalny formularz, wjeżdża na piętro, żąda widzenia z lekarzem, musi chwilę poczekać.

Parking przed pogotowiem jest pełny. Idealne warunki, żeby się ukryć; nikt nie zauważy stojącego na dokładkę samochodu, pod warunkiem że nie zabawi zbyt długo w jednym miejscu. Wystarczy zachować czujność, dyskrecję. Mobilność.

I trzymać załadowanego mossberga na przednim siedzeniu nakrytego gazetą. Na wypadek gdyby...

A teraz pora zastanowić się, pomyśleć, co dalej.

Pierwsza opcja jest taka, żeby zaczekać, aż dziewczyna wyjdzie ze szpitala. Opcja najprostsza. Strzelanie do karetki jest sprzeczne z konwencją genewską, chyba że ma się konwencję genewską głęboko gdzieś. Kamery umieszczone nad hallem wejściowym niczemu nie służą, są tylko po to, żeby odstraszyć ewentualnych chętnych, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przed przystąpieniem do pracy unieszkodliwić je z kalibru 12. Moralnie nic... Technicznie -jak najbardziej wykonalne.

Nie, w tym rozwiązaniu słabym punktem jest raczej logistyka, a konkretnie wyjazd. Wąskie gardło. Chcąc sforsować barierę, zawsze można sprzątnąć strażnika, konwencja genewska nic nie przewiduje w temacie strażników, ale nie jest to najbardziej praktyczne rozwiązanie.

Inne rozwiązanie: za barierą. Tu jest małe okienko na strzał, bo opuszczając szpital, karetki muszą skrócić w prawo i jakieś czterdzieści metrów dalej czekać na zielone światło. Przyjeżdżają w pośpiechu, wiozą gorący towar, co innego z wyjazdem. Kiedy karetka zatrzymuje się na światłach, zmotywowany strzelec podchodzi spokojnie od tyłu, w sekundę otwiera tylną klapę, plus druga sekunda na wycelowanie i trzecia na strzał, i biorąc pod uwagę szok, w jaki wprawi taka

sytuacja kierowcę karetki i ewentualnych widzów, z powodzeniem wystarczy mu czasu, żeby wsiąść do samochodu, przejechać pod prąd czterdzieści metrów, a potem jest już dwupasmowy bulwar i dalej obwodnica. Betka. Sprawa załatwiona. Mechanizm ruszył, forsa jest coraz bliżej.

W obu przypadkach dziewczyna musi wyjść ze szpitala, wrócić do siebie, albo muszą ją przewieźć gdzie indziej.

Jeśli ta szansa na strzał nie wypali, trzeba będzie przemyśleć sprawę.

Pozostaje jeszcze możliwość dostawy do domu. Numer z posłańcem z kwaciarni. Albo z cukierni. Idzie się na górę, grzecznie puka do drzwi, wchodzi, wręcza słodycze i wychodzi. Tu konieczna jest wielka precyzja. Albo odwrotnie, hałaśliwa akcja. Dwie różne taktyki, z których każda ma swoje zalety. Pierwsza, strzał celowany, wymaga większych umiejętności i jest bardziej satysfakcjonująca, ale to metoda narcystyczna, myśli się wtedy bardziej o sobie niż o tamtym, brak w tym szerokiego gestu. Druga, głośna kanonada jest bezsprzecznie bardziej hojna, bardziej wielkoduszna, to nie- ledwie filantropia.

W rzeczywistości często decydują za nas okoliczności. Stąd konieczność kalkulacji. Uprowadzenia wydarzeń. Tego właśnie zabrakło Turkom, byli zorganizowani, ale zero umiejętności przewidywania! Kiedy się opuszcza swoją pipidówkę z zamiarem przeprowadzenia skoku w europejskiej stolicy zbrodni, trzeba przewidywać! A ci zjawili się na Roissy, marszcząc czarne grube brwi, żeby pokazać, jacy są groźni... Akurat, kuzyni jakiejś dziwki z Porte de la Chapelle, których największym wyczynem było obrabowanie sklepu spożywczego na przedmieściu Ankary i stacji benzynowej w Keskin... Do roli, którą mieli odegrać w tej historii, nie trzeba było rekrutować z elity, ale mimo wszystko konieczność zatrudnienia takich palantów, nawet jeśli najbardziej praktyczna, była niemal upokarzająca.

Nieważne. Przynajmniej przed śmiercią zobaczyli Paryż. Mogli mi za to chociaż podziękować.

Cierpliwość zawsze popłaca. Oto nasz gliniarz szybkim

kroczkiem przemierza parking i wchodzi do szpitala. Mam nad nim trzy długości przewagi i zamierzam ją utrzymać do końca. Ze swojego miejsca widzę, jak przystaje przed kontu- urem recepcji, siedząca w niej dziewczyna pewnie widzi, zupełnie jak w *Szczękach*, tylko czubek jego czaszki. Facet nie może ustać w miejscu, jest okropnie nerwowo. Zresztą nie czekając, obchodzi kontuar.

Mały, ale władczy.

Wysiadam z samochodu. Idę rozejrzeć się w sytuacji. Najważniejsze to działać szybko, jak najszybciej zamknąć tę sprawę.

18.15

Anne usnęła. Poplamione środkami kauteryzującymi brudnożółte bandaże na głowie nadają jej twarzy mleczną biel, zamknięte powieki wyglądają jak napompowane helem, a jej usta... Camille stara się utrwalić w pamięci ich kształt, ich linię pod kątem przyszłego szkicu, lecz oto nagle otwierają się drzwi, ktoś zagląda do środka, wywołuje go na zewnątrz i Camille wychodzi na korytarz.

Lekarzem dyżurnym jest poważny Hindus w małych oku- larkach i z identyfikatorem, na którym widnieje jego sześć- dziesięcioliterowe nazwisko. Camille musi po raz kolejny pokazać legitymację, którą młody lekarz długo studiuje, /ustanawiając się pewnie, jak się w tej sytuacji zachować. Na pogotowiu mundurowi są częstymi gośćmi, policjantów z Wydziału Kryminalnego widuje się tu rzadziej.

- Chciałbym wiedzieć, jak się czuje pani Forestier - wyjaśnia Camille, wskazując drzwi do jej pokoju. - Sędzia śledczy będzie ją musiał przesłuchać...

Zdaniem lekarza dyżurnego z tą sprawą należy zwrócić się do ordynatora oddziału, który zadecyduje, co można, a czego nie.

- Hmm... A w jakim jest stanie... Jaki jest jej stan?

- pyta Camille.

Lekarz trzyma w ręku zdjęcia rentgenowskie i kartki z

opisami, ale nie musi do nich zaglądać, zna dokumentację na pamięć: złamany nos („bez przemieszczeń”, zaznacza, operacja nie będzie konieczna) pęknięty obojczyk, złamane dwa żebra, zwichnięty nadgarstek i lewa stopa, połamane palce, również bez przemieszczeń, liczne rany cięte na dłoniach, ramionach, nogach i brzuchu, głęboka rana na prawej dłoni, ale żaden nerw nie został uszkodzony, niemniej jednak konieczna będzie jakaś rehabilitacja, nieco gorzej wygląda długa rana na twarzy, jest pewna obawa, że pozostanie blizna, nie licząc mnóstwa wybroczyn, ale radiolodzy zdążyli już ustalić, że:

- Wstrząs nie spowodował zaburzeń neurologicznych ani neurowegetatywnych. Nie doszło też do pęknięcia czaszki, potrzebna będzie natomiast chirurgia szczękowa, jak również trzeba będzie założyć trochę gipsu... Jakkolwiek nie ma jeszcze całkowitej pewności. Zobaczymy, co wykaże jutrzejszy tomograf.

- Czy bardzo cierpi? - pyta Camille i szybko dodaje: - Pytam oczywiście pod kątem rozmowy z sędzią śledczym...

- Staramy się, żeby cierpiała jak najmniej. Mamy w tych sprawach pewne doświadczenie.

Camille zdobywa się na uśmiech, mamrocze podziękowanie. Dyżurny lekarz dziwnie mu się przygląda, ma bardzo przenikliwe spojrzenie. Jakby mówił sobie: ależ ten człowiek przejęty... Jakby uważał zachowanie Camille'a za niezbyt profesjonalne, jakby miał ochotę poprosić go o ponowne pokazanie legitymacji. Decyduje się jednak sięgnąć do swoich zasobów współczucia, gdyż dodaje:

- Potrzeba czasu, by sytuacja się unormowała, wybroczyny wchłoną się, zostaną wprawdzie tu i ówdzie blizny, ale życiu pani... - (szuka nazwiska w swoich papierach) - ...pani Forestier nie zagraża już niebezpieczeństwo, nie odniosła też żadnych nieodwracalnych obrażeń. Powiedziałbym, że głównym problemem tej pacjentki nie jest już leczenie, tylko szok. Położymy ją na obserwacji na dzień lub dwa. Bo potem... może potrzebować pomocy.

Camille dziękuje. Nie ma tu już nic więcej do roboty, powinien wyjść, ale o tym oczywiście nie ma mowy. Nie mógłby.

Z prawej strony budynku nie ma nic, co mogłoby mi się przydać. Co innego z lewej. Wyjście awaryjne. I od razu jesteśmy na znajomym terenie; drzwi są niemal identyczne jak w toalecie w pasażu Moniera. Ognioodporne, z grubą poziomą sztabą od wewnątrz; drzwi, które tak łatwo można otworzyć z zewnątrz za pomocą zwykłej płytki giętkiego metalu, że aż powstaje pytanie, czy inżynierowie nie zaprojektowali ich aby specjalnie dla wygody włamywaczy.

Nasłuchuję, ale na próżno, są zbyt grube. Trudno, szybki rzut oka w prawo, w lewo, wsuwam płytkę między skrzydła, otwieram, przede mną korytarz. U jego wylotu następny, kilka pewnych, głośnych kroków na wypadek, gdybym się na kogoś natknął, i oto łąduję... w hallu wejściowym, tuż na tyłach recepcji. Co wskazuje, że szpitali nie zaprojektowano dla zabójców.

Obok po prawej stronie plan ewakuacyjny piętra. Rozkład gmachu jest skomplikowany, to wynik licznych dobudówek, rekonstrukcji, przeróbek, dla ochrony istna łamigłówka. Tym bardziej że na te plany wiszące na ścianach nikt nie zwraca uwagi, w razie pożaru trzeba by improwizować, ale tak... jak się na nie patrzy chłodnym okiem... Zwłaszcza w szpitalu. Nawet jeśli personel jest przeciążony, ludziom się wydaje, że są w dobrych rękach, a tymczasem w konfrontacji z osobnikiem zdecydowanym, dzierżącym w dłoni mossberga dobra znajomość planu ewakuacyjnego bardzo by się przydała.

Zresztą nieważne.

Wyjmuję komórkę, fotografuję plan ewakuacyjny. Układ wszystkich pięter jest podobny, szyby wind i kanalizacja wymuszają określoną konfigurację przestrzeni.

Wracam do samochodu. Chwila namysłu. Niewłaściwie skalkulowane ryzyko może spowodować klapę przedsięwzięcia o krok od celu.

18.45

W pokoju Anne Camille nie zapala światła, w półmroku siedzi na krześle (a krzesła w szpitalach są bardzo wysokie), próbuje uporządkować myśli. To wszystko dzieje się tak szybko.

Anne chrapie. Zawsze trochę chrapała, to zależy od pozycji, w jakiej leży. Kiedy orientuje się, że chrapała, jest trochę zmieszana. Wprawdzie teraz całą twarz ma posiniaczoną, ale normalnie, rumieniąc się, wygląda prześlicznie, ma cerę rudzielca, obsypaną drobnymi jasnymi piegami, które widać tylko w chwilach zakłopotania oraz w kilku innych okolicznościach.

- Nie chrapiesz - zapewniają często Camille - tylko głośno oddychasz, a to nie to samo.

Wtedy się rumieni, dla kontenansu poprawia włosy.

- Kiedy zaczniesz uważać moje niedoskonałości za wady - odpowiada z uśmiechem - będzie to znaczyło, że pora się rozstać.

Taki ma zwyczaj, że często napomyka o rozstaniu. Chwile, kiedy są razem, i te, kiedy już razem nie będą, traktuje na równi, tak jakby różnica między nimi była minimalna. Camille'a takie podejście uspokaja - to reakcja wdowca, człowieka podatnego na depresję. Nie wie, czy nadal jest w depresji, ale wdowcem jest na pewno. Od czasu Anne nie postrzega już wszystkiego w tonacji białe - czarne. Idą naprzód razem, ale jak długo to potrwa, nie wiedzą.

- Przepraszam cię, Camille...

Anne otworzyła oczy. Każde wymówione przez nią słowo okupione jest wysiłkiem woli. Mimo że spółgłoski wargowe brzmią ciężko, a zębowe sycząco, mimo że zasłania ręką usta, Camille wszystko rozumie, od razu.

- Za co mnie przepraszasz, najmilsza? - pyta.

Anne pokazuje swoje bezsilne ciało, pokój, obejmując tym gestem Camille'a, szpitalną salę, ich życie, świat.

- Za to wszystko...

Ma zagubione spojrzenie osoby cudem ocalałej, podobny wzrok widuje się często u ofiar zamachu. Camille chce ująć jej

dłoń, ale jego palce napotyka ją łubki. Musisz odpocząć, nie ci nie grozi, jestem przy tobie. Tak jakby to coś zmieniało. Ale mimo miotających nim bardzo osobistych wzruszeń górę biorą odruchy zawodowca. A zwłaszcza nie daje mu spokoju jedno pytanie. Dlaczego zabójca z pasażu Moniera z takim uporem próbował ją uśmiercić. Ze aż czterokrotnie próbował. Napięcie w czasie napadu, zgoda, spirala zdarzeń, tak, ale mimo wszystko...

- Czy wtedy u jubilera widziałaś albo słyszałaś jeszcze coś oprócz tego? - pyta.

Anne nie jest pewna, czy dobrze zrozumiała jego pytanie:

- Oprócz... czego?

Nie, nie takiego, Camille niezbyt przekonująco próbuje się uśmiechnąć, kładzie jej dłoń na ramieniu. Teraz niech się prześpi. Ale musi z nim jak najszybciej porozmawiać. Opowiedzieć o wszystkim, szczegółowo, być może jest tu coś, co mu umyka. To najważniejsze, żeby dowiedzieć się, co...

- Camille...

Nachyla się do niej.

- Przepraszam...

- Już przestań! - protestuje łagodnie Camille.

W tych bandażach, z tą obrzękłą, posiniaczoną twarzą, z tymi zapadniętymi ustami w półmroku pokoju Anne wygląda po prostu szpetnie. Camille widzi, jak czas robi swoje; nabrzmiałe krwiaki niepostrzeżenie zmieniają kolor z czarnych na niebiesko-fioletowo-żółte. Chce czy nie chce, powie- nien już iść. Największy ból sprawiają mu łzy Anne. Płynące nieprzerwanym strumieniem nawet w czasie snu.

Wstaje. Tym razem zdecydowany jest wyjść.

Zresztą tu i tak nic już nie może zrobić. Ostrożnie, jakby opuszczał dziecinny pokój, zamyka za sobą drzwi.

18.50

Dziewczyna z recepcji ma często swojej pracy powyżej uszu. Kiedy robi się trochę spokojniej, wychodzi na papierosa. To

normalne, w szpitalach rak traktowany jest jak kumpel z pracy. Zakłada ręce, ze smętną miną pali papierosa.

Wymarzona okazja. Przemykam pod murem, otwieram wejście awaryjne, kontrolny rzut oka, czy recepcjonistka przypadkiem nie wróciła, ale nie, widzę jej plecy przed budynkiem.

Trzy kroki, sięgam po wykaz przyjąć. Wystarczy wyciągnąć rękę.

Leki przechowywane są tu pod kluczem, ale karty szpitalne leżą w zasięgu ręki. To logiczne, taka pielęgniarka zagrożenie upatruje raczej w chorobach i lekach, nie myśli o przygodnych rabusiach.

Miejsce wypadku: Pasaż Moniera, Paryż VIII

Transport: karetka pogotowia LR-453

Godzina przyjęcia: 10.44

Nazwisko: Anne Forestier

Sala: 224

Data urodzenia: brak

Adres: 26, rue de la Fontaine-au-Roi Transfer: nie dotyczy
Zalecane badania: tomografia Ubezpieczenie: nie dostarczono
Zabiegi: Gd-11. 5

Wracam na parking. Recepcjonistka zapala już drugiego papierosa, wystarczyłoby mi czasu na skserowanie całego zeszytu.

Sala 224. Drugie piętro.

Po powrocie do samochodu gładzę lufę mossberga na moich kolanach niczym zwierzątko domowe. Liczyłem, że dowiem się, czy pacjentka zostanie przeniesiona na oddział specjalistyczny, czy zostanie tu, gdzie jest, ale się zawiodłem.

Jeśli są jeszcze jakieś pieniądze do zrobienia, to dużo. Więc wóz albo przewóz. A zważywszy, ile trudu kosztowały mnie przygotowania, nie będę ryzykował teraz utraty wszystkiego przez brak koncentracji.

Plan ewakuacyjny w moim telefonie potwierdza, że nikt już nie ogarnia tego gmachu jako całości. To rodzaj gwiazdy, której niektóre z ramion są zagięte, oglądana z jednej strony

przypomina wielobok, patrząc pod innym kątem - jak w tych dziecięcych rysowankach, kiedy szuka się wilka - widzi się czaszkę. Niezbyt to taktowne jak na szpital.

Nie w tym jednak rzecz. Jeśli moje wnioski są słuszne, na drugie piętro będę mógł się dostać schodami, a sala 224 znajduje się niecałe dziesięć metrów dalej. Ale wyjście będzie wymagało już bardziej skomplikowanej trasy, chodzi o zmylenie tropu, będę musiał dostać się na piętro, przejść przez korytarz, wejść jeszcze wyżej, potem sale neurochirurgii, troje kolejnych wahadłowych drzwi; do recepcji zjeżdża się windą po przeciwnej stronie gmachu, jakieś dwadzieścia kroków od awaryjnego wyjścia, a potem jeszcze długa droga przez parking do samochodu.

Pozostaje jeszcze ta możliwość, że ją przeniosą. W takim wypadku lepiej zaczekać tutaj. Znam nazwisko pacjentki, najpewniejszym posunięciem jest teraz zasięgnięcie języka.

Szukam numeru szpitala i dzwonię.

Naciśnij jeden, naciśnij dwa, ale z tym zachodu. Mossberg jest znacznie szybszy.

19.30

Camille, który przez cały dzień nie zaglądał do firmy, wzywa Louisa, żeby razem podsumowali stan bieżących upraw. W chwili obecnej mają na tapecie uduszonego transwestytę, młodą niemiecką turystkę, która prawdopodobnie popełniła samobójstwo, kierowcę samochodu zadźganego przez drugiego kierowcę, kłoszarda, który wykrwawił się w podziemiach hali sportowej, młodego narkomana wyłowionego z kanału w XIII dzielnicy i jedną zbrodnię w afekcie - podejrzany, siedemdziesięcioletni mężczyzna, właśnie przyznał się do winy. Camille słucha, próbuje podjęte kroki, ule tak naprawdę myślą jest nieobecny. Na szczęście Louis nadal zajmuje się prozą codzienności.

Ale kiedy skończył sprawozdanie, Camille prawie nic z niego nie zapamiętał.

Wniosek bilansu jest jeden: ale narozrabiał!

Dopiero teraz, ponieważ, dociera do niego powaga sytuacji. Wetknął palec w mechanizm, który trudno będzie opanować. Oszukał komisarz Michard, powołując się na informatora, którego nie ma, okłamał przełożonych, podał w prefekturze fałszywe nazwisko, wszystko po to, by dostać do prowadzenia sprawę, w którą jest osobiście zaangażowany...

Gorzej, jest kochankiem głównej ofiary.

Która, tak się składa, jest również głównym świadkiem w sprawie brutalnego napadu, w dodatku mającego związek z innym, w którym zginął człowiek...

Kiedy pomyśli o tym łańcuchu zdarzeń, o tej katastrofalnej serii idiotycznych, niegodnych nawet jego decyzji, jest załamany. Czuje się więźniem samego siebie. Niewolnikiem własnej zapalczywości. Jest totalnym idiotą, gdyż postępuje tak, jakby nikomu nie ufał; on, który najmniej zaufania ma do siebie. W gruncie rzeczy niezdolny wyjść poza własne ograniczenia, skazany jest na robienie tylko tego, w czym jest dobry. Intuicja, stanowiąca często o jego wyjątkowości, tym razem krąży wokół tematu impulsywności, braku miary, zaślepienia.

Zachował się tym bardziej niemądrze, że sprawa nie jest zbyt skomplikowana. Zjawiają się faceci, żeby dokonać napadu, i natykają się na Anne, która widzi ich twarze. Biją ją i zaciągają ją aż pod jubilerę na wypadek, gdyby przyszło jej do głowy uciekać. Co też zresztą próbuje zrobić. Facet stojący na warcie, zaskoczony, strzela do niej, chybia, ale kiedy chce postawić kropkę nad i, interweniuje jego współnik. Najwyższy czas, żeby zwiewać z łupem. Na ulicy Flandrin nadarza się kolejna okazja, ale wtedy znów wkraczają jego współnicy, co ratuje życie Anne.

Zawziętość tego gościa jest zatrważająca, ale można ją złożyć na karb napięcia chwili, ściga Anne, ponieważ znajduje się ona w zasięgu jego strzału.

A teraz klamka zapadła.

Napastnicy są już pewnie daleko. Raczej trudno sobie wyobrazić, żeby się kręcili w pobliżu. Z takim utargiem mogą pojechać dokądkolwiek, możliwości mają pod dostatkiem, aż za wiele.

Zatrzymanie ich zależy od tego, czy Anne zdoła przynajmniej jednego z nich rozpoznać. Potem to już klasyka. Przy środkach, którymi dysponuje policja, i kolejnych sprawach dochodzących nieprzerwanie dzień po dniu szansa na szybkie ich znalezienie jest jak jeden do trzydziestu, na znalezienie ich w rozsądnym terminie jak jeden do stu, a znalezienie ich któregoś dnia cudem lub przypadkiem - jak jeden do tysiąca. Tak czy inaczej, sprawa jest już w pewien sposób nieaktualna. W dzisiejszych czasach napadów jest tyle, że jeśli nie zatrzyma się sprawców od razu, to - jeżeli są zawodowcami - mają wszelkie szanse pozostać nieuchwytni.

Dlatego też, mówi sobie Camille, najlepiej z tym skończyć, zanim ta historia znajdzie się poza zasięgiem Le Guena. Bo on może jeszcze wszystko załatwić bez problemu. Dla niego jedno kłamstwo więcej to drobiazg, w końcu jest generalnym inspektorem, ale gdy sprawa trafi dalej, nie da się już nic zrobić. Jeśli Camille wszystko mu wyjaśni, Le Guen szepnie Hlówko komisarz Michard, a ona będzie zachwycona, mogąc w ten sposób zdobyć u swojego przełożonego punkty, które wcześniej czy później będą jej potrzebne, potraktuje to jako inwestycję na przyszłość. Trzeba z tym skończyć, zanim sędzia Pereira nabierze podejrzeń.

Camille powoła się na pokusę, gniew, zaślepienie, chwilowy obłęd, każdy bez trudu przyzna mu te cechy.

Podjęcie tej decyzji sprawia mu ulgę.

Decyzji, żeby z tym skończyć.

Niech kto inny zajmie się szukaniem sprawców napadu, tylu kolegów świetnie sobie z tym poradzi. W tym czasie on, Camille, pomoże Anne, zaopiekuje się nią, tego teraz najbardziej będzie potrzebowała.

A zresztą cóż więcej mógłby zrobić niż inni?

- Mogę na słówko...

Camille podchodzi do recepcjonistki.

- Dwie sprawy - mówi dziewczyna. - Ten formularz ubezpieczeniowy, który pan wepchnął do kieszeni. Coś mi się zdaje, że obchodzi to pana tyle co zeszłoroczny śnieg, ale tutejsza administracja jest bardzo skrupulatna, wie pan, o co

mi chodzi.

Camille wyjmując formularz. Brak na nim numeru ubezpieczenia, nie wiadomo, kto zapłaci za leczenie. Pokazując palcem plakat o poczerniałych, na wpół podartych rogach, przyklejony skoczkiem do szyby, dziewczyna recytuje formułkę:

- „W szpitalu podstawą dokumentacji są dane pacjenta”. To takie ważne, że wysyłają nas nawet na specjalne szkolenia. Podobno straty z tego tytułu idą w miliony.

Camille kiwa głową, że tak, rozumie, będzie musiał wybrać się do mieszkania Anne. Te sprawy to takie zawracanie głowy...

- I jeszcze coś - ciągnie recepcjonistka. - (Robi prowokującą minę uroczego dziewczątka, kompletny niewypał).

- Chodzi mi o mandaty, dałoby się coś z tym zrobić czy proszę o zbyt wiele?

Pieprzony zawód.

Camille, wykończony, z rezygnacją wyciąga rękę. Dziewczyna błyskawicznie otwiera szufladę. W środku jest co najmniej ze czterdzieści mandatów. Uśmiecha się, jakby mu pokazywała swój skarb. Każdy ząb ma innej wielkości.

- Dzisiaj jestem na noc - mówi przytylnym tonem. - Ale to nie reguła...

- Zapamiętam.

Pieprzony zawód.

Upycha mandaty po kieszeniach, w jednej się nie zmieszczą. Za każdym razem kiedy otwierają się drzwi wejściowe, omiata go podmuch świeżego powietrza, ale nie orzeźwia.

Jest tak okropnie zmęczony.

Nie przewidują przeniesienia. Nie w ciągu najbliższych dwóch dni, powiedziała przez telefon dziewczyna. Nie będę tkwił na tym parkingu przez dwa dni. Już i tak wystarczająco długo czekam.

Dochodzi dwudziesta. Dziwne godziny pracy jak na glinę. Miał już wyjść, ale nagle się czymś zafrasował, zamyślony patrzy na drzwi wejściowe, jakby ich nie poznawał. Za chwilę się zabierze i pójdzie.

Teraz.

Zapalam silnik, zaparkuję po przeciwnej stronie, gdzie nikt nie zostawia samochodu, za daleko do wejścia, pod samym murem, dwa kroki od zapasowej drogi wyjazdowej, *L* której będę mógł skorzystać, jak Bóg da. A w jego interesie jest dać, bo zaczynam już naprawdę tracić humor...

Wysiadam z wozu, pod osłoną stojących tu samochodów przechodzę przez parking i już jestem przed wejściem awaryjnym.

Korytarz. Pusty.

Z daleka widzę plecy małego gliniarza, który nadal nad czymś duma.

Dzięki mnie będzie miał niebawem inne tematy do medytacji, jeszcze chwila i wypchnę go w stratosferę.

19.45

Otwierając drzwi na parking i nadal rozmyślając o telefonie z prefektury, Camille nagle uświadamia sobie, że przypadek wskazał na niego jako na osobę najbliższą Anne. To oczywiście nieprawda, ale zawiadomiono właśnie jego, którego zadaniem jest zawiadamianie innych.

Jakich innych? - zadaje sobie pytanie. Daremnie wysila pamięć, ale nie zna żadnych „innych” w życiu Anne. Spotkał kilku jej znajomych, pamięta zwłaszcza pewną czterdziestoletnią kobietę o niezbyt gęstych włosach i wielkich zmęczonych oczach, idącą miarowym krokiem i sprawiającą wrażenie zziębniętej. „Koleżanka”, powiedziała o niej Anne. Camille próbuje przypomnieć sobie jej nazwisko. Charras, Charron... już wie: Charroi. Przechodzili akurat na drugą stronę bulwaru, miała na sobie niebieski płaszcz, wymieniły z Anne powitalny gest, uśmiech. Na Camille’u zrobiła wrażenie osoby rozbrawającej. „Okropna żmija...”, z uśmiechem szepnęła Anne, odwracając głowę.

Zwykle dzwoni do Anne na jej komórkę. Przed wyjściem ze szpitala szuka telefonu stacjonarnego do jej pracy. Jest prawie

dwudziesta, ale nigdy nie wiadomo. Odzywa się głos kobiety:

- Witamy w firmie Wertig & Schwindel. Nasze biura...

Camille czuje nagły napływ adrenaliny. W pierwszej chwili wydało mu się, że to głos Anne. Jest wstrząśnięty, bo podobną sytuację przeżył już z Irène. W miesiąc po jej śmierci wybrał przez pomyłkę ich prywatny numer i usłyszał głos Irène: „Dodzwoniłeś się do mieszkania Irène i Camille’a Verhoevenów. Chwilowo nie ma nas w domu...”. Szok był tak wielki, że się rozpląkał.

Ma zostawić wiadomość. Duka: „Dzwonię w sprawie Anne Forestier, przebywa obecnie w szpitalu, nie będzie mogła podjąć pracy... nie od razu, wypadek... nic poważnego, to znaczy tak, ale wkrótce sama zadzwoni... o ile to będzie możliwe”. Uczucie skrępowania, zakłopotania. Rozłącza się.

Z szybkością fali przyływu narasta w nim złość na samego siebie.

Odwraca się, widzi, że recepcjonistka obserwuje go z rozbawioną miną.

20.00

Drugie piętro.

Po prawej schody. Wszyscy wolą jeździć windą, na schodach jest zawsze pusto. Zwłaszcza w szpitalu, gdzie ludzie oszczędzają siły.

Mossberg jest wyposażony w lufę długości czterdziestu pięciu centymetrów z groszami. Całość łącznie z uchwytem bez trudu mieści się w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wymusza to wprawdzie dość sztywny sposób poruszania się, nienaturalną postawę robota, gdyż broń trzeba trzymać przyciśniętą do uda, ale inaczej się nie da, w każdej chwili należy być gotowym do strzału lub do odwrotu. Albo jednego i drugiego. W obu przypadkach najważniejsza jest precyzja. I motywacja.

Mały glina zszedł na dół, została w pokoju sama. Jeśli jeszcze nie wyszedł, usłyszy huk i będzie musiał wejść na górę, w przeciwnym razie dopuści się wykroczenia zawodowego. Nie

ręczę za jego przyszłość.

Jestem na pierwszym piętrze. Korytarz. Idę przez cały budynek aż do schodów po przeciwnej stronie. Wchodzę na drugie piętro.

Dobra strona służb publicznych jest taka, że wszyscy mają za dużo roboty, żeby zwracać uwagę na innych. W korytarzu pełno zboliałych rodzin, niecierpliwych przyjaciół, wchodzą i wychodzą z pokoi na paluszkach, zupełnie jak w kaplicy, takie miejsce onieśmiela, ludzie nie mają odwagi nawet zagadnąć zaaferowanych pielęgniarek.

Korytarz jest pusty. Jak bulwar po północy.

Sala 224 znajduje się na drugim końcu, idealne miejsce, zapewniające pacjentowi maksimum spokoju. Co do spokoju, postaramy się trochę w tym pomóc.

Kilka kroków w stronę tej sali. Drzwi należy otworzyć ostrożnie, nagły łomot obrzyna spadającego na ziemię w szpitalnym korytarzu natychmiast wzbudza niepokój, ludzie nie dociekają dlaczego. Klamka ustępuje z iście anielską uległością, prawą stopę wsuwam w drzwi, mossberga przekładam do drugiej ręki, rozchylam szeroko poły płaszcza, leży w łóżku, od progu widzę jej stopy, wyglądają jak u nieboszczyka, nieruchome i bezwładne, pochylając się nieco do przodu, widzę ją całą...

Ja pieprzę, ale gęba!

Naprawdę nieźle ją urządziłem.

Śpi z głową odwróconą na bok, z ust cieknie jej ślina, powieki ma opuchnięte jak balony, nie bardzo miałyby się ochotę taką poderwać. Od razu przychodzi mi na myśl wyrażenie „kwadratowa głowa”. Bardzo trafne i obrazowe. Jej głowa wygląda jak klocek, jak pudełko po butach, to pewnie przez te bandaże, ale największe wrażenie robi kolor skóry jej twarzy. Wygląda jak pergamin. Albo brezent. I cała opuchnięta. Jeśli miała w planach jakąś randkę, będzie ją musiała odłożyć na później.

Stoję w progu i pokazuję strzelbę.

Niech wie, że nie przychodzę z pustymi rękami.

Mimo szeroko otwartych drzwi nie budzi się. Aż szkoda

przychodzić, skoro człowieka czeka takie przyjęcie. Zwykle ciężko ranni, trochę jak zwierzęta, wyczuwają, co się święci. Zaraz się obudzi, to tylko kwestia sekund. I instynktu samozachowawczego. Jej spojrzenie padnie na strzelbę, zdążyła już zawrzeć z nią bliską znajomość, są jak dwie kumpelki.

Kiedy nas zobaczy, mnie i mossberga, natychmiast się przerazi. Siłą rzeczy. I trudno się jej dziwić. Zacznie się rzucać, podciągnie się na poduszkach, zacznie kręcić głową.

I bełkotać.

Zważywszy na to, jak zarobiła w szczękę, raczej nie będzie to składna wypowiedź. Jedyne, co zdoła wykrztusić, to „uhuuu” albo „uuuu”, coś w tym stylu, ale w braku klarowności postawi na głośność, a taki wrzask na całe gardło może zaalarmować personel. W takim przypadku przed przejściem do kwestii poważnych gestem pokaże, żeby była cicho, szszsz... położy palec na ustach, szszsz... Ona dalej będzie wrzeszczeć wniebogłosy. Szszsz, w końcu to szpital, do cholery!

- Proszę pana?

Głos za moimi plecami, z korytarza, dobiegający z dość daleka.

Nie odwracam się, stoję prosto, sztywno.

- ... Szuka pan kogoś?

Niby nikt tu na nikogo nie zwraca uwagi, ale jak tylko wycelujesz z broni myśliwskiej, od razu siada ci na karku jakiś gorliwy pracownik.

Unoszę wzrok na numer sali jak ktoś, kto widzi, że się pomylił. Pielęgniarka jest już niedaleko. Nie odwracając się, niewyraźnie bąkam:

- Pomyliłem się...

Zimna krew, oto klucz do sukcesu. Czy robisz napad, czy składasz przyjacielską wizytę pacjentce na ostrym dyżurze - zimna krew jest zawsze najważniejsza. W pamięci odtwarzam dokładny plan ewakuacyjny. Trzeba dotrzeć do schodów, wejść piętro wyżej i zaraz potem na lewo. Dobrze byłoby przyspieszyć, bo odwracając się teraz, musiałbym dobrać mossberga, strzelić i pozbawić szpital publiczny pielęgniarki,

tak jakby było wystarczająco dużo personelu. Więc wydłużyć krok. Ale najpierw przygotować broń do strzału. Bo nigdy nie wiadomo.

Ale żeby wprowadzić nabój do komory, muszę mieć obie ręce wolne. Poza tym repetowanie w tego typu strzelbie wywołuje bardzo specyficzny, metaliczny szcęk. Który w szpitalnym korytarzu niesie się dość niepokojącym echem.

- Windy są tam...

Na dźwięk ładowania głos natychmiast cichnie, zapada trwoźna cisza. Głos młody i świeży, ale poruszony, jakby urwany w pół słowa.

- Proszę pana!

Teraz, kiedy broń jest już gotowa do użytku, wystarczy poczekać, działać metodycznie. Najważniejsze to stać tyłem. Pod płaszczem można się domyślić sztywności broni, tak jakbym miał drewnianą nogę. Robię trzy kroki, rozchyłam lekko płaszcz, pojawia się koniuszek lufy; trwa to ułamek Hekundy, jest jak smuga światła lub błysk słońca na odłamku szyby. Coś nieuchwytnego, nieokreślonego, a jeśli broń zna się tylko z kina, trudno skojarzyć ją z tym, co się właśnie widziało. Coś się jednak widziało, chwila wahania, tak, to może być to, niemożliwe, ale właściwie, mimo wszystko...

Zanim pielęgniarka zdążyła się połapać...

„Pan”, nie podnosząc głowy, odwrócił się, rzucił, że się pomylił, zacisnął poły płaszcza, ruszył do schodów... Ale zamiast zejść, poszedł wyżej. Nie, nie uciekał, bo wtedy ruszyłby na dół. I ta sztywność... Bardzo dziwne. Trudno powiedzieć. Co to było? Na pierwszy rzut oka wyglądało na strzelbę. Tutaj? W szpitalu? Nie. Nie, nie wierzy. Zanim by dobiegł do schodów...

- Proszę pana... proszę pana?

20.10

Czas na niego. Policjant na służbie nie może się zachowywać jak pierwszy lepszy kochanek. Kto to widział, żeby śledczy przesiedział całą noc u wezglowia ofiary. Dość już dzisiaj

narobił głupstw.

No właśnie. Czuje wibrowanie komórki: to komisarz Michard. Wyjmuje aparat z kieszeni, odwraca się do recepcjonistki, unosi rękę na znak pożegnania. W odpowiedzi recepcjonistka do niego mruga i pokazuje palcem, żeby na chwilę podszedł. Camille waha się, czyby nie udać, że nie zrozumiał, ale jednak, z rezygnacją, nie mając już nawet siły na sprzeciw, podchodzi. Najpierw mandaty, o co go teraz poprosi?

- Zmywamy się? W policji chyba za wcześnie nie chodzi się spać, co?

Musi być w tym jakiś podtekst, bo mówiąc to, szczerzy w uśmiechu wszystkie nierówne zęby. Szkoda czasu na słuchanie takich rzeczy. Camille głęboko wzdycha, udaje, że się uśmiecha, pada ze zmęczenia. Już ma odejść, kiedy nagle słyszy:

- Ktoś zadzwonił, pomyślałam, że się pan ucieszy...

- Kiedy?

- Niedawno... Koło siódmej.

I nim Camille zdążył zapytać kto, recepcjonistka mówi:

- Jej brat.

Nathan. Camille nigdy go nie spotkał, słyszał tylko wiele razy jego głos na sekretarce Anne, głos gorączkowy, nagłący. I młody, jest między nimi piętnaście lat różnicy. Anne bardzo się nim zajmowała, jest z niego dumna, brat jest naukowcem w jakiejś bliżej nieokreślonej dziedzinie typu fotonika, nanonauka czy coś w tym stylu, w dyscyplinie dla Camille'a niezrozumiałej nawet z nazwy.

- I niezbyt miły jak na brata. Słuchając takiego, nie żal, że się nie ma rodzeństwa.

W umyśle Camille'a zapala się czerwone światło: skąd Nathan wie, że Anne jest w szpitalu, jak się dowiedział?

Momentalnie przytomnieje, szybko popycha uchylną bramkę i wchodzi do recepcji. Nie czekając na pytania, recepcjonistka odpowiada:

- Męski głos i... dość obcesowy - (Ophelia przewraca swoimi wielkimi oczami). - „Forestier... tak właśnie, jak leśniczy, a niby jak ma być pisane? Przez dwa f?” - (Naśladuje nieprzyjemny, władczy ton dzwoniącego). - „Co jej właściwie jest? Co mówią

lekarze?” (Naśladowany głos staje się już grubiański). - „Jak to, nie wiadomo?” (Głos oburzony, wręcz zgorszony)...

- Jakiś akcent?

Recepcjonistka kręci głową, że nie. Camille rozgląda się wkoło, wie, że konkluzja za chwilę nasunie się sama, czeka na uruchomienie się połączeń nerwowych, to tylko kwestia sekund...

- Głos młody?

Dziewczyna marszczy brwi.

- Nie taki znów młody... Powiedziałabym, jakieś czterdzieści lat. Moim zdaniem...

Co dalej, Camille już nie słucha. Potrącając wszystkich po drodze, rzuca się biegiem naprzód.

Schody, otwiera z impetem prowadzące na podest drzwi, które z hukiem się za nim zamykają. I, najszybciej jak tylko może przy długości swoich nóg, pędzi po stopniach na górę.

20.15

Sądząc z odgłosu kroków, mężczyzna wszedł piętro wyżej, uznaje pielęgniarka. Dwadzieścia dwa lata, ogolona prawie do skóry, z kolczykiem w dolnej wardze wygląda dość prowokacyjnie, ale w środku nic z tych rzeczy, miękka jak wosk, trudno w to uwierzyć, na co dzień jest aż nazbyt rozsądna i miła. Potem słyszy trzaśnięcie drzwi, przez moment stoi niepewna, waha się, facet może być wszędzie, w korytarzu, na wyższym piętrze, mógł zejść na dół albo przeciwnie, przejść przez mikrochirurgię, a potem to już szukaj wiatru w polu...

Co robić? Najpierw musi mieć pewność, nie można podnieść alarmu bez powodu, to znaczy nie mając pewności... Wraca do pokoju pielęgniarek. Nie, to niemożliwe, nikt przecież nie przychodzi do szpitala ze strzelbą. Ale co to mogło być? Proteza? Niektórzy odwiedzający przynoszą bukiety gladioli metrowej długości, tylko czy to sezon na gladiole? Powiedział, że pomylił pokoje.

Nie bardzo mu ufa. W szkole wybrała specjalizację „przemoc

wobec kobiet”, wie, że mężowie bywają agresywni, potrafią napastować żony nawet i w szpitalu. Wraca i zagląda do sali 224. Ta pacjentka wciąż tylko płacze, przez cały czas, za każdym razem kiedy się wejdzie, płacze, wciąż obmacuje twarz, przesuwa palcami po wargach, mówiąc, zasłania dłonią usta. Już dwa razy przyłapały ją w łazience przed lustrem, chociaż ledwie może ustać na nogach.

A jednak, zastanawia się pielęgniarzka, której to nie daje spokoju, co ten facet chował pod płaszczem, co to mogło być, wyglądało jak kij od szczotki, lecz kiedy płaszcz mu się rozchylił, tak jakoś metalicznie zabłysło. Co innego może być aż tak podobne do lufy broni? Może inwalidzka kula?

Znajduje się właśnie na tym etapie rozmyślań, kiedy nagle, na drugim krańcu korytarza pojawia się policjant, ten mały, ten, który się tu kręci od wczesnego popołudnia - mniej niż metr sześćdziesiąt, łysy, twarz przystojna, ale surowa, nieskory do uśmiechu - i pędzi przed siebie jak wariat, o mało jej nie potrafił, gwałtownym szarpnięciem otwiera drzwi, wpada do sali, wygląda, jakby chciał się rzucić na łóżko, krzyczy:

- Anne, Anne...!

I bądź tu mądry... Niby policjant, a zachowuje się zupełnie jak mąż.

Pacjentka jest bardzo rozgorączkowana, rzuca głową na boki, zasypywana pytaniami unosi rękę: nie krzycz. Policjant na okrągło powtarza:

- W porządku? Nic ci nie jest?

Jestem zmuszona poprosić go o spokój. Pacjentka patrzy na mnie i opuszcza rękę. W porządku...

- Widziałas kogoś? - dopytuje się policjant. - Czy ktoś tu wchodził? Widziałas go?

Głos ma poważny, słychać w nim niepokój.

- Czy ktoś tu wchodził? - zwraca się z pytaniem do mnie.

Co mam odpowiedzieć: tak, niezupełnie, nie...

- Jakiś pan pomylił piętra, otworzył drzwi...

Nie czekając na odpowiedź, odwraca się znów do pacjentki, wpatruje się w nią z napięciem, ta zaś tylko kiwa głową, jakby

traciła już wątek. Nic nie mówi, kręci tylko głową, że nie. Nikogo nie widziała. Po czym opada na łóżko, podciąga kołdrę pod samą brodę i znów zaczyna płakać. Nic dziwnego, mały policjant i jego pytania budzą w niej lęk. Facet jest podekscytowany jak pchła.

- Proszę pana, jesteśmy w szpitalu! - przypominam. Gestem pokazuję, że tak, wie, ale najwyraźniej myśli o czym innym.

- Zresztą czas wizyt się skończył.

Podrywa się.

- Którędy poszedł? - pyta.

A że nie od razu odpowiadam, powtarza:

- Ten facet, ten, który pomylił pokoje, którądy poszedł?

- Schodami, tamtędy... - mówię, badając puls pacjentki. Mówcie, co chcecie, ale mnie interesuje przede wszystkim pacjentka. Zazdrośni mężowie to nie moja działka.

Nie zdążyłam dokończyć zdania, a on już czmychnął jak królik. Słyszę, jak biegnie korytarzem do drzwi, potem po schodach, nastawiam ucha, ale nie potrafię powiedzieć, czy na górę, czy na dół.

Czyżby ta historia ze strzelbą mi się przyśniła?

Kroki na betonowych schodach niosą się echem jak w katedrze. Camille łapie się poręczy, zbiega kilka stopni w dół. i zatrzymuje się.

Nie. Na miejscu tamtego ruszyłyby na górę.

W tył zwrot. Nie są to stopnie typowych wymiarów, każdy musi być o centymetr wyższy, po dziesięciu człowiek jest zziąjany, po dwudziestu kompletnie padnięty. Co dopiero ktoś wzrostu Camille'a.

Dociera na piętro, ledwie dysząc, waha się: czy na miejscu tamtego wchodziłby jeszcze wyżej? Nie? Tak? Koncentruje się, nie, wyszedłby tutaj, na tym piętrze. W korytarzu Camille potrąca jakiegoś lekarza, który krzyczy:

- Co pan wyprawia?

Lekarz, którego Camille ledwie zdążył zauważyć - wiek nieokreślony, wyprasowany fartuch (znać jeszcze kanty po

żelazku), siwy jak gołąbek, ręce w kieszeniach - zatrzymał się, przestraszony widokiem tak rozgorączkowanego osobnika...

- Mijał pan kogoś? - woła Camille.

Lekarz bierze głęboki oddech, robi godną minę i już ma wygłosić ripostę.

- Faceta, do cholery! - krzyczy Camille. - Spotkał pan po drodze jakiegoś faceta?

- Nie... hmmm...

Camille'owi to w zupełności wystarcza, odwraca się, otwiera szarpnięciem drzwi, jakby je chciał wyrwać z zawiasów, znów wbiega po schodach, a potem zziębnięty rusza korytarzem, skręca w prawo, w lewo, żywej duszy, zawraca, przez cały czas biegiem, coś (możliwe, że zmęczenie) podpowiada mu, że to fałszywy trop, a uzmysłowiwszy to sobie, zaczyna biec coraz wolniej, zresztą i tak nie dałby rady przyspieszyć, i oto dociera do końca korytarza, skręca w prawo i staje przed ścianą z rozdzielnią elektryczności, której dwumetrowej wysokości drzwi pokrywają symbole jednogłośnie ostrzegające: „Grozi śmiercią lub kalectwem”. Dzięki za informację.

Wielką sztuką jest wyjść tak, jak się weszło.

Wyjść jest trudniej, wymaga to odporności, koncentracji, czujności, trzeźwego myślenia - dużo jak na jednego człowieka. Podobnie jest z napadem; pod koniec zawsze rośnie ryzyko spartaczenia roboty, człowiek zaczyna z pokojowymi zamiarami, potem napotyka opór i jeśli straci głowę, kończy, strzelając do tłumu, zostawiając za sobą jatkę będącą zwyczajnie skutkiem braku zimnej krwi.

Ale droga była wolna do samego końca. Oprócz jakiegoś doktora stojącego z zagubioną miną na schodach, którego wyminąłem, nie spotkałem nikogo.

Na parterze wychodzę szybkim krokiem. Choć każdemu tu spieszo, szpital nie jest miejscem, gdzie by się biegało, jak tylko przyspieszysz kroku, od razu się na ciebie gapią. Ale nim ktokolwiek zdążył zareagować, jestem już na zewnątrz. Zresztą niby na co zareagować?

Z prawej strony parking. Chłodne powietrze przyjemnie orzeźwia. Trzymam mossberga pod płaszczem, lepiej nie

straszyć pacjentów, na pogotowiu i bez tego wystarczająco marnie się czują. Zresztą jest tu całkiem spokojnie.

Za to na górze musi się dziać. Karzełek pewnie jak pies gończy z nosem w górze węszy, próbuje zrozumieć, co się dzieje.

Młoda pielęgniarka sama już nie wie, co widziała, strzelbę... i co jeszcze?

Opowiada kolegom, strzelba, akurat, jesteś pewna? A może to było działo przeciwpancerne?

I zaczynają się kpiny, lepiej powiedz, czym ty się raczysz na dyżurze, nie popalasz aby trawki?

Wtrąca się inna: może jednak powinnaś porozmawiać o tym z...

A ja mam wystarczająco wiele czasu, żeby spokojnie przejść przez parking i wsiąść do samochodu, bez pośpiechu ruszam, włączam się w sznur samochodów opuszczających szpital, w trzy minuty dojeżdżam do drogi wyjazdowej, skręcam w prawo, czerwone światło.

W tym miejscu będę mógł strzelić.

A jak nie, to zaraz potem.

Przy odpowiedniej motywacji...

Camille czuje się pokonany, mimo to przyspiesza kroku.

Tym razem wsiada do windy, zdąży złapać oddech. Gdyby był sam, grzmotnąłby pięścią w ścianę, a tak tylko głęboko wzdycha.

Na dole zyskuje potwierdzenie swoich przypuszczeń. W poczekalni pełno ludzi, pacjenci, personel, sanitariusze, wszyscy nieustannie wchodzą i wychodzą, korytarz z prawej prowadzi do wyjścia awaryjnego, z lewej na parking.

A to tylko jedna z siedmiu lub ośmiu możliwości opuszczenia budynku bez zwracania niczyjej uwagi.

Kogo przesłuchać? Od kogo zebrać zeznania, świadectwa? Zanim zdąży ściągnąć ekipę, dwie trzecie pacjentów zastąpią już następni.

Jest na siebie wściekły.

Wraca jednak na piętro, staje w drzwiach pokoju pielęgniarek. Dziewczyna o wydatnych ustach pochyła się nad rejestrem. Nie, nie wie, gdzie jest jej koleżanka, odpowiada, nie unosząc wzroku. Ale ponieważ Camille nie daje za wygraną, dodaje:

- Mamy mnóstwo pracy.

- Tym bardziej nie powinna być daleko...

Pielęgniarka chce coś odpowiedzieć, ale Camille'a już nie ma. Chodzi po korytarzu, gdy tylko otworzą się drzwi któregoś z pokoi, zagląda do środka, gotów jest nawet sprawdzić damską toaletę, w tym stanie, w jakim jest teraz, nic go nie powstrzyma, lecz nie ma takiej potrzeby, bo dziewczyna się zjawia.

Ma zakłopotaną minę przesuwając dłoń po wygolonej czaszce, ta kształtna tonsura przydaje jej rysom delikatności, stwierdza Camille, w myślach rysując jej portret, wygląda na mocno poruszoną, ale to mylące wrażenie, bo w rzeczywistości jest spokojna. Czego potwierdzeniem są jej pierwsze słowa. Odpowiada na pytanie, nie zatrzymując się, Camille musi truchtać, żeby za nią nadążyć.

- Ten pan pomylił pokoje, przeprosił...

- Słyszała pani jego głos?

- Właściwie nie bardzo, usłyszałam tylko, że przeprasza.

Takie truchtanie po szpitalnym korytarzu u boku młodej dziewczyny w celu uzyskania informacji absolutnie niezbędnych do ocalenia życia ukochanej kobiety - tego dla Camille'a już za wiele. Łapie dziewczynę za rękę, zmusza ją do zatrzymania się i spojrzenia w dół; jest poruszona determinacją, którą widzi w jego oczach, a także jego cichym, posępnym i wzburzonym głosem.

- Proszę, żeby się pani skupiła...

Camille czyta imię na jej plakietce: Cynthia. Rodzice naglądali się seriali telewizyjnych.

- Proszę się skupić, Cynthia. Ponieważ muszę się koniecznie dowiedzieć...

Więc Cynthia opowiada: mężczyzna stoi przed otwartymi drzwiami do sali, odwraca się ze spuszczoną głową, pewnie

speszony, w prochowcu, porusza się dziwnie sztywnym krokiem, ale cóż... Potem idzie do schodów, a człowiek, który chce uciec, nie wchodzi przecież na górę, tylko schodzi w dół, to chyba jasne, nie?

Camille z westchnieniem odpowiada, że rzeczywiście, tak, to jasne.

21.30

- Będzie dostarczony...

Szefowi ochrony to się nie podoba. Po pierwsze jest późno i musiał się znowu ubierać. W dodatku dzisiaj jest mecz. Były żandarm, chmurny brzuchaty facet o byczym karku, sangwinik wykarmiony wołowiną. Żeby przejrzeć taśmy z kamer ochrony, trzeba mieć pozwolenie. Podpisane jak należy przez sędziego.

- Przez telefon pan mówił, że je pan ma...

- Nie - nie tracąc pewności siebie, odpowiada Camille.

- Powiedziałem, że będę miał.

- Zrozumiałem co innego.

Typ upartego osła. Zwykle w kontakcie z osobnikiem tego pokroju Camille negocjuje, ale tym razem nie ma ani ochoty, ani czasu bawić się w takie podchody.

- A co pan zrozumiał? - pyta.

- No, że ma pan nakaz...

- Nie - przerywa mu Camille - nie mówię o nakazie sądowym, mówię o facecie, który wszedł do pana szpitala z myśliwską strzelbą, co pan z tego zrozumiał? Czy dotarło do pana, że facet dostał się na drugie piętro z zamiarem sprzątnięcia jednej z pacjentek? I że gdyby po drodze kogoś spotkał, jak nic by strzelił? I że jeśli wróci i urządzi masakrę, pan pierwszy za to beknie i z powrotem wyląduje pan na diecie?

Chodzi o kamery obejmujące zasięgiem wejście do izby przyjęć, więc szanse na to, żeby facet, o ile w ogóle istnieje, tędy się dostał do budynku, są niewielkie. Nie jest idiotą.

O ile w ogóle istnieje.

Zresztą w tym przedziale czasowym, kiedy mógł się tu

znaleźć, nic nie ma. Camille sprawdza jeszcze raz. Szef ochrony przestępuje z nogi na nogę, ciężkim dyszeniem wyraża oburzenie. Camille zbliża twarz do ekranu, mnóstwo ambulansów, karettek pogotowia i osób prywatnych, ludzi, którzy wchodzi i wychodzą, rannych, nierannych, idących lub biegnących. Żadnego punktu zaczepienia, który mógłby Camille'owi pomóc.

Wstaje, wychodzi. Ale zaraz zawraca, naciska klawisz, zabiera DVD i wychodzi.

- Co pan sobie wyobraża? - wrzeszczy ochroniarz.

- A protokół?

Camille gestem pokazuje: później.

I już jest z powrotem na parkingu. Ja na jego miejscu - rozważa, obserwując budynek - wszedłbym z boku. Wejściem awaryjnym. Przysuwa twarz, chcąc przyjrzeć się drzwiom z bliska, musi założyć okulary. Nie, brak śladów włamania.

Wszedł z powrotem do budynku, ruszył w głąb hallu i po lewej stronie odkrył, całkiem przypadkiem, korytarz prowadzący do wyjścia awaryjnego.

- Kto panią zastępuje, kiedy wychodzi pani na papierosa? - pyta recepcjonistkę.

Ophelia szczerzy w uśmiechu poźółkłe zęby.

- Nie mamy zastępstwa nawet na urlopy macierzyńskie, co dopiero na przerwy na raka!

Wszedł? Nie wszedł?

Wracając do samochodu, odsłuchuje pocztę głosową.

- Tu Michard! - (Ostry ton). - Proszę o telefon. Obojętnie kiedy. Chcę wiedzieć, co pan zdołał. A swoją drogą, czekam jutro skoro świt na pański raport.

Camille czuje się samotny. Bardzo samotny.

23.00

Noc w szpitalu to specyficzna pora. Nawet cisza zdaje się trwać w zawieszeniu. Natomiast tutaj, w izbie przyjęć, bez ustanku krążą po korytarzach sanitariusze z noszami, słychać,

niekiedy dalekie, krzyki, urywki głosów, pospieszne kroki, dzwonki alarmowe.

Anne udaje się w końcu zasnąć, lecz jest to sen niespokojny, pełen przemocy i krwi, wyczuwa pod dłonią bruk pasażu Moniera, z hiperrealistyczną dokładnością czuje spadający na nią grad odłamków szkła, znów przeżywa zderzenie z szybą wystawową, słyszy za sobą huk wystrzałów, ciężko dyszy przez sen. Młoda pielęgniarka z kolczykiem w dolnej wardze zastanawia się, czy jej nie obudzić. Zresztą niepotrzebnie, bo w końcu Anne za każdym razem sama gwałtownie się budzi, podrywa z krzykiem. Widzi przed sobą mężczyznę naciągającego na twarz kominiarkę, a potem powiększone ujęcia kolby jego broni, która za moment rozkwasi jej kość policzkową.

Przez sen opuszkami palców obmacuje twarz, wyczuwa szwy, potem usta, sprawdza zęby - resztki połamanych zębów wystające z jej dziąseł niczym pniaki.

Chciał ją zabić.

Wróci. Chce ją zabić.

DZIEŃ DRUGI

6.00

W nocy nie zmrzył oka. Kicia bezbłędnie wyczuwa jego emocje.

Wczoraj późnym wieczorem Camille musiał wstąpić do firmy, by pozamykać sprawy, na które nie miał czasu za dnia, wrócił do domu wykończony, nie rozbierając się, padł na kanapę, Kicia przytuliła się do niego i tak, nie zmieniając pozycji, spędzili noc. Zapomniał o niej, nie nakarmił, ale ona niczego się nie domaga, rozumie, że Camille ma problemy. Leży przy nim i mruczy. Camille zna na pamięć najsubtelniejsze niuanse jej mruczenia.

Jeszcze nie tak dawno podobne noce - bezsenne, pełne napięcia, nerwowe bądź nostalgiczne poświęcał Irène. Spędzał je z Irène. Roztrząsał ich wspólne życie, przetrawiał bolesne wspomnienia. Nie było nic ważniejszego od tematu jej śmierci. Nie było nikogo oprócz niej.

Camille zastanawia się, co sprawia mu teraz większy ból: czy lęk o Anne, widok jej zmasakrowanej twarzy, jej cierpienia, czy też właśnie to, że z upływem dni i tygodni wszystkie jego myśli niepostrzeżenie skupiły się na niej. Jest coś trywialnego w takim przejściu od jednej kobiety do drugiej, czuje, że popada w banał. Nigdy nie myślał o ponownym ułożeniu sobie życia, ale oto jego życie samo się układa, niejako niezależnie od niego. A mimo to najbardziej trwale, być może ostateczne, pozostają obrazy Irène. Przejmujące.

Odporne na wszystko, na upływ czasu, na nowe spotkania. A raczej... spotkanie, bo innych nie było.

Camille zaakceptował Anne, ponieważ jest, jak sama mówi, tylko gościem w jego życiu. Ona również swoje wycierpiała,

również nie chce niczego planować. Tyle tylko, że nawet nie planując, zaistniała w jego życiu. I w odwiecznym podziale na tych, którzy kochają, i tych, którzy są kochani, Camille dziś już nie potrafi powiedzieć, do których należy.

Poznali się wiosną. W pierwszych dniach marca. Od śmierci Irène upłynęły cztery lata, dwa, od kiedy wyszedł z depresji; nie tryskał energią, ale żył. Wiódł wolny od ryzyka i tęsknot żywot mężczyzny, któremu pisana jest samotność. Poza tym mężczyźnie jego wzrostu nie tak łatwo znaleźć kobietę, zresztą nieważne, już za tym nie tęsknił.

W spotkaniach jest zawsze coś z cudu.

Anne, która z natury nie jest osobą porywczą, tylko raz w życiu (przykładając rękę do serca, z rozbrajającym uśmiechem przysięgała, że naprawdę, tylko raz) urządziła awanturę w restauracji i traf chciał, że tego właśnie dnia u Fernanda dwa stoliki dalej Camille kończył kolację i że awantura zamieniła się w rękoczynny.

Wyzwiska, zniszczenia, zrzucone ze stolików talerze, girlandy sztucców na podłodze, goście wstają, proszą o płaszcze, właściciel, Fernand, wzywa policję, piekli się, wycenia poniesione szkody na astronomiczne sumy, natomiast Anne nagle przestaje krzyczeć. Na widok całej sceny ogarnia ją histeryczny śmiech.

Jej wzrok napotyka spojrzenie Camille'a.

Camille na moment zamyka oczy, bierze głęboki oddech, bez pośpiechu wstaje od stolika, wyciąga legitymację.

Przedstawia się: inspektor Verhoeven, Wydział Kryminalny.

Sprawia wrażenie, jakby pojawił się znikąd. Anne już się nie śmieje, patrzy na niego z niepokojem.

- A! Trafia mi się pan w samą porę! - woła właściciel.

Po czym, zdjęty nagłą obawą, dodaje:

- Eee... jak to, kryminalny?

Camille z wielkim znużeniem kiwa głową. Ujmuje właściciela za ramię, odprowadza go na bok.

A dwie minuty później opuszcza restaurację w towarzystwie Anne, która sama już nie wie, czy śmiać się, czy bać, dziękować czy czuć ulgę. Jest wolna i jak większość ludzi w

takiej sytuacji nie bardzo wie, co z tą wolnością zrobić. Camille domyśla się, że w tym momencie jak każda kobieta zastanawia się nad zobowiązaniem, które właśnie zaciągnęła. I w jakiej formie przyjdzie jej się odwdziaczyć. W końcu pyta:

- Co mu pan powiedział?

- Że panią aresztuję.

Nieprawda. W rzeczywistości Camille postraszył go nalotem policji. Cotygodniowym, aż trzeba będzie zamknąć lokal z powodu braku klientów. Typowe nadużycie władzy. Jest mu wstyd, ale facet mógł się postarać i robić lepsze profi-terolki.

Anne od razu wyczuwa kłamstwo, ale uznaje, że Camille jest zabawny.

Kiedy u wylotu ulicy mija ich radiowóz spieszący do Fernanda, Anne posyła Camille'owi swój najpiękniejszy uśmiech, uśmiech zabójczy, z dołeczkami w policzkach i drobnymi zmarszczkami wokół zielonych oczu... I nagle kwestia tego zobowiązania zaczyna Camille'owi ciążyć. Więc kiedy dochodzą do stacji metra, pyta krótko:

- Jedzie pani metrem?

Anne szybko myśli.

- Chyba wezmę taksówkę.

Camille jest pełen podziwu. On sam postąpiłby zupełnie inaczej. Krótkim gestem pożegnania unosi rękę i z pozorną powolnością schodzi do metra, choć w rzeczywistości schodzi najszybciej, jak może. I znika z pola widzenia.

Nazajutrz wylądowali w łóżku.

Kiedy Camille pod koniec dnia wychodził z firmy, na chodniku pod budynkiem stała Anne. Udał, że jej nie widzi, i ruszył do metra, a kiedy się odwrócił, Anne z pogodną miną stała wciąż w tym samym miejscu. Zagrywka Camille'a ją rozbawiła. Wpadł we własną pułapkę.

Poszli na kolację. Typowy wieczór. Wręcz rozczarowujący, gdyby nie towarzysząca mu aura dwuznaczności związana z tematem zobowiązania, która czyniła całą sytuację ekscytującą, a zarazem smutną. Co do reszty, cóż mogą sobie powiedzieć czterdziestoletnia kobieta i pięćdziesięcioletni mężczyzna, kiedy się spotkają? Starają się pomniejszać własne

porażki, choć całkiem ich nie przemilczają, wspominają o swoich ranach, choć się z nimi nie obnoszą, starają się jak najmniej o tym mówić... Temat swojej matki Maud Camille zamknął w paru słowach.

- Tak się zastanawiam... - zaczęła Anne.

I na pytający wzrok Camille'a dodała:

- Widziałam kilka jej obrazów. - Zawahała się. - Montreal?

Był zaskoczony, że zna twórczość jego matki.

Anne wspomniała o swoim życiu w Lyonie, o rozwodzie; zostawiła przeszłość za sobą, ale wystarczyło na nią spojrzeć, by zrozumieć, że to proces wciąż jeszcze niezamknięty. Camille chętnie dowiedziałby się czegoś więcej. Jaki mężczyzna? Jaki mąż? Jaka historia? Odwieczna męska ciekawość intymnego życia kobiety.

Zapytał, czy chce od razu spoliczkować właściciela, czy pozwoli mu uregulować rachunek. To przez ten śmiech Anne wszystko się zachwiało. Tak niebywale kobiecy.

Camille, który od niepamiętnych czasów nie był w łóżku z kobietą, nie musiał nic robić, Anne przywarła do niego, u dalej już poszło samo, w milczeniu, co było smutne, a zarazem radosne. Cóż, miłość.

I na tym się skończyło. Chociaż nie, od czasu do czasu jednak się widywali. Ich spotkania przypominały delikatne sondowanie. Anne jest kontrolerem zarządzania, jej praca polega na wizytowaniu biur podróży i sprawdzaniu ich funkcjonowania, finansów i różnych innych tego typu spraw, na których Camille kompletnie się nie wyznaje. W Paryżu rzadko spędza więcej niż dwa dni w tygodniu. Te wyjazdy, te nieobecności i powroty nadawały ich spotkaniom nieplanowany, nieprzewidywalny charakter, zawsze mieli wrażenie, że spotykają się przypadkiem. Już wtedy trudno im było powiedzieć, czym jest ich znajomość, dopiero się okaże, spotykali się, szli na kolację, potem do łóżka i tak krok po kroku...

Camille próbuje sobie przypomnieć, w którym momencie do niego dotarło, jak wiele miejsca zaczyna zajmować ta znajomość w jego życiu. Nie pamięta, kiedy to było.

Ale pojawienie się Anne odsunęło od niego śmierć Irène, jej

gorejące wspomnienie. Czyżby w końcu zaświtała mu myśl, że potrafi żyć bez Irène? Wcześniej czy później zapomina się, to nieuniknione. Ale zapomnienie nie oznacza uzdrowienia.

Jest wstrząśnięty tym, co spotkało Anne. Czuje się odpowiedzialny. Nie za to, co ją spotkało, bo na to nic nie poradzi, ale za wyjaśnienie tej sprawy, które zależy od niego, od jego woli, jego determinacji, jego kompetencji. Przytłaczająca świadomość.

Kicia, która przestała już mruczeć i zasnęła na dobre, z westchnieniem niezadowolenia zsuwa się na bok, kiedy Camille wstaje i podchodzi do sekretery; „zeszyt Irène” leży na miejscu, dawniej było ich mnóstwo, ale został tylko ten, ostatni, wszystkie inne któregoś wieczoru gniewu i zwątpienia wyrzucił. Zeszyt wypełniony jej podobiznami, Irène przy stole, Irène z uśmiechem unosząca szklanę, Irène śpiąca, Irène zamyślona, wszędzie Irène. Odkłada szkicownik na miejsce. Te cztery lata bez niej były na pewno najtrudniejszym i najbardziej nieszczęśliwym okresem jego życia, a mimo to nie może się oprzeć myśli, że zarazem najciekawszym, najbardziej rozwibrowanym. Nie odciął się od swojej przeszłości; to raczej przeszłość stała się... (szuka odpowiedniego słowa) bardziej stonowana? Wyciszona? Dyskretniejsza? Podobnie jak cała reszta rachunku, którego i tak nie zapłacił. Anne nie ma nic wspólnego z Irène, to dwie odrębne galaktyki odległe od siebie o tysiące lat świetlnych, lecz zbiegające się w jednym punkcie. Dzieli je to, że Anne jest, a Irène już odeszła.

Camille pamięta, że Anne również o mało nie odeszła, ale wróciła. Był sierpień. Późna noc, Anne stoi w oknie naga, zamyślona, z założonymi rękami, mówi: „To koniec, Camille”, nawet się do niego nie odwracając. I w milczeniu zaczyna się ubierać. W powieściach trwa to minutę, lecz w rzeczywistości ubranie się zajmuje nagiej kobiecie mnóstwo czasu. Camille siedzi nieruchomo, wygląda jak człowiek zaskoczony przez burzę, zrezygnowany.

I Anne wychodzi.

Nawet nie drgnął, rozumie. Jej odejście nie wywołuje trzęsienia ziemi, tylko głębokie przygnębienie i tępy ból. Ca-

mille żałuje, że odeszła, ale to rozumie, ponieważ był przekonany, że i tak od niego odejdzie. Z racji wzrostu często miewa takie chwile poczucia niższości. Siedzi w tej pozycji długo, a potem załamuje się i pada na kanapę. Jest prawie północ.

Nigdy się nie dowie, co w tym momencie nastąpiło.

Nie ma jej już od ponad godziny, nagle Camille podrywa się i bez cienia wahania, wiedziony niewytłumaczalną pewnością podchodzi do drzwi i otwiera je. Na pierwszym stopniu schodów, tyłem do niego siedzi Anne, ramionami obejmując kolana.

Mija kilka sekund, Anne wstaje, wymija go, wchodzi do mieszkania i w ubraniu kładzie się na łóżku twarzą do ściany. Płacze.

Camille przeżywał to już kiedyś z Irène.

6.45

Z zewnątrz budynek nie sprawia wrażenia specjalnie obokurnego, ale wystarczy wejść i od razu widać, do jakiego stopnia jest zaniedbany. Rząd aluminiowych, ledwo zipiących skrzynek na listy, wyglądających, jakby opłakiwały swój los. Napis na ostatniej: „Anne Forestier, szóste piętro”, został sporządzony przez nią własnoręcznie, litery e i r mocno ściśnięte, żeby się zmieściły na etykietce, są prawie nieczytelne.

Camille rezygnuje z jazdy ciasną windą.

Nie ma jeszcze siódmej, kiedy delikatnie puka do drzwi naprzeciwko.

Sąsiadka, pani Roman, właścicielka mieszkania, od razu otwiera, jakby spodziewała się jego wizyty. Natychmiast rozpoznaje Camille'a, to plus jego wzrostu, trudno go nie zapamiętać. Camille z marszu serwuje jej kłamstwo:

- Anne musiała nagle wyjechać... - (Naśladuje serdeczny uśmiech rzeczowego i cierpliwego przyjaciela, który liczy na zrozumienie). - Tak nagle, że oczywiście zapomniała połowy

rzeczy.

To maczystowskie „oczywiście” bardzo się sąsiadce podoba. Pani Roman jest samotną kobietą zbliżającą się do emerytury, o okrągłej puciołowanej twarzy upodabniającej ją do przedwcześnie podstarzałej dziewczynki. Ma chore biodro i lekko utyka. Z tego, co Camille zdążył zauważyć, jest prze-rażająco dobrze zorganizowana, metodyczna po najmniejsze drobiazgi.

Z miną wyrażającą pełne zrozumienie mruży oczy, od razu się odwraca i podaje Camille’owi klucz.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Ach nie, nie... - (Camille uśmiecha się szeroko). - Nic poważnego. - Pokazuje klucz. - Zatrzymam go do jej powrotu...

Nie bardzo wiadomo, czy to informacja, pytanie czy prośba, sąsiadka waha się, więc Camille, nie czekając, skinieniem głowy jej dziękuje.

Aneks kuchenny lśni czystością. W małym mieszkanku każdy przedmiot leży na swoim miejscu. Kobiety i ta ich obsesja porządku... Salon, którego druga część pełni funkcję sypialni, kanapa po rozłożeniu zamieniająca się w dwuosobowe łóżko z wgłębieniem pośrodku, istną fosą, w którą ciągle się zsuwają, aż w końcu śpią jedno na drugim. Co ma też swoje dobre strony. I biblioteczka, a w niej ze sto książek, wydań kieszonkowych wybranych według niewiadomego klucza, kilka bibelotów, które Camille’owi podczas pierwszej wizyty wydały się dość nijakie. Całość zrobiła na nim raczej przygnębiające wrażenie.

- Miałam bardzo mało pieniędzy. Ale nie skarzę się - oświadczyła Anne lekko urażona.

Chciał się usprawiedliwić, lecz go ubiegła.

- Taka jest cena rozwodu.

Mówiąc o sprawach poważnych, Anne patrzy rozmówcy prosto w oczy z miną niemal wyzywającą, zda się, gotowa do każdej konfrontacji.

- Wyjechałam z Lyonu z pustymi rękami, meble i to wszystko

kupiłam tutaj, okazynie. Nie chciałam mieć już niczego. I niczego już nie chcę. Może potem, ale na razie w zupełności mi to odpowiada.

To miejsce tymczasowe. Tak je określa Anne. Mieszkanie jest tymczasowe, ich związek jest tymczasowy. Pewnie dlatego tak im z sobą dobrze.

- Najdłużej po rozwodzie trwa sprzątanie - mawia też Anne.

Ciągle ta sprawa porządków.

Niebieski strój pacjentów na pogotowiu kojarzy się z kaftanem bezpieczeństwa, więc Camille postanowił przynieść jej trochę ubrań. Sądzi, że to ją podniesie na duchu. Wyobraża sobie nawet, że jak dobrze pójdzie, Anne będzie mogła zrobić krótki spacer po korytarzu, może nawet zejść do kiosku z gazetami na parterze.

W myślach sporządził krótką listę rzeczy, ale teraz, kiedy już tu jest, żadnej nie pamięta. A tak, liliowy dres. I nagle drogą skojarzeń przypomina sobie: tenisówki, te, w których Anne biega, chyba te, dość znoszone, jeszcze z piaskiem na podeszwach. Dalej jest już trudniej. Co zabrać?

Otwiera małą szafę, niewiele w niej ciuchów jak na kobietę. Dżinsy, ale które dżinsy? Bierze pierwsze z brzegu. T-shirt, sweter, jakie to skomplikowane. Poddaje się, wkłada to, co znalazł, do torby sportowej, jak leci.

I dokumenty.

Podchodzi do komody. Nad nią wisi mocno upstrzone lustro, pamiętające chyba jeszcze początki budynku; w róg tego lustra Anne wetknęła zdjęcie: to jej brat Nathan. Wyglądający na dwudziestopięciolatka chłopak o banalnej twarzy, uśmiechnięty i powściągliwy. Może dlatego, że Camille co nieco o nim już wie, na tej fotografii sprawia na nim wrażenie człowieka z głową w chmurach, oderwanego od rzeczywistości. To naukowiec. Podobno jest bardzo nie- zorganizowany, narobił nawet sporo długów, które Anne za niego spłaca. Zupełnie jak matka, „tym właśnie dla niego jestem”, mówi. Od zawsze spłacała jego długi. Mówi to z uśmiechem, tonem żartobliwym, lecz wyczuwa się, że ją to martwi. Pokrywała koszty jego mieszkania, jego studiów, jego rozrywek, płaciła

chyba za wszystko i trudno powiedzieć, czy ją to cieszy, czy nad tym ubolewa. Zdjęcie Nathana zostało zrobione na jakimś placu, chyba gdzieś we Włoszech, słoneczny dzień, ludzie chodzą w samych koszulach.

Camille otwiera komodę. Szuflada po prawej stronie jest pusta. W lewej kilka rozdartych kopert, jeden czy dwa rachunki za ubrania i z restauracji, sporo prospektów z pieczętą jej biura podróży, ale tego, czego Camille szuka, tu nie ma, ani karty kasy chorych, ani karty ubezpieczenia dodatkowego, musiała je mieć w torebce. Niżej same stroje sportowe. Camille spodziewał się znaleźć odcinki pensji, wyciągi bankowe, rachunki za wodę, telefon. Nic z tych rzeczy. Odwraca się. Jego wzrok pada na figurkę nagiej pływaczki, wyrzeźbionej w ciemnym drewnie młodej kobiety z włosami ułożonymi w trójkątne fale, leżącej na brzuchu i w wyciągniętych rękach trzymającej łyżkę. I z bajecznie kształtną pupą, godną poematu. Prezent od Camille'a. Wybrali się któregoś dnia do Luwru obejrzeć dostępne zbiory da Vinci, Camille wszystko jej objaśniał, ze swoją encyklopedyczną wiedzą może rozprawić na ten temat bez końca, a wychodząc, w sklepiku natrafili na tę pochodzącą z XVIII dynastii egipskiej młodą dziewczynę o bajecznie kształtnym siedzeniu.

- Masz identyczne, Anne.

Anne uśmiechnęła się, co miało oznaczać: chciałabym, ale miło, że to mówisz. Camille był pewny. Aż się zastanowiła, czy mówi to naprawdę szczerze.

- Naprawdę - nachylił się do niej i powtórzył z naciskiem.

I nim zdążyła zareagować, kupił figurkę. Wieczorem porównał obie okiem konesera, Anne najpierw się śmiała, potem jęczała, a potem wiadomo. A jeszcze potem płakała, czasami po miłości Anne płacze. To też musi mieć jakiś związek z porządkami, mówi sobie Camille.

Otóż to, zepchnięty pod samą ścianę posążek wygląda jak ukarany, od rzędu DVD, które Anne układa na tej półce, oddziela go pusta przestrzeń. Spojrzenie Camille'a zatacza szeroki luk. To dzięki swojemu darowi obserwacji jest tak znakomitym rysownikiem. Wniosek nasuwa się sam.

W mieszkaniu ktoś był.

Prawa szuflada jest pusta, ponieważ została gruntownie splądrowana. Camille podchodzi do drzwi wejściowych, sprawdza zamek. Żadnych śladów. A więc to ich sprawa, znaleźli adres i klucz do mieszkania Anne w jej torebce, którą napastnik, opuszczając pasaż Moniera, z sobą zabrał.

Czy to ten sam mężczyzna, który był w szpitalu, czy jest ich kilku i dzielą się zadaniami?

Zasięg, jaki przyjmuje to polowanie, ma w sobie coś absurdalnego. Zawziętość ich pościgu za Anne wydaje się nieproporcjonalna do okoliczności. Coś nam tu umyka, powtarza sobie Camille, coś, czego nie dostrzegliśmy, nie zrozumieliśmy.

Dzięki dokumentom, które stąd zabrali, prawdopodobnie wiedzą o niej już wszystko, gdzie ją znaleźć, gdzie pracuje, skąd pochodzi, dokąd może pojechać, próbując im się wymknąć, wiedzą wszystko.

Wyśledzenie jej i dopadnięcie to dla nich bagatela.

Zabicie jej to ćwiczenie stylistyczne.

Wystarczy, że Anne wystawi nogę za próg, i już po niej.

Camille nie może powiedzieć o tej wizycie komisarz Michard. Bo musiałby się przyznać, że jest blisko związany z Anne i że od samego początku kłamał. Wczoraj miała tylko wątpliwości. Dzisiaj nabierze podejrzeń. Camille się z tego nie wybroni. Nawet gdyby sprowadził techników z laboratorium, po wizycie takich speców jak ci, którzy byli tu wcześniej, nie znajdą nic, najmniejszego śladu, nic.

Zresztą Camille dostał się do mieszkania bez nakazu, bez pozwolenia, wszedł, ponieważ miał możliwość zdobycia klucza, ponieważ Anne poprosiła, żeby przyniósł jej dokumenty ubezpieczenia, sąsiadka może zeznać, że bywa tu regularnie i od dawna...

Lista jego kłamstw zaczyna się niebezpiecznie wydłużać. Ale nie to wzbudza w Camille'u największy lęk.

Tylko świadomość, że życie Anne wisi na włosku. Oraz jego własna bezsilność.

7.20

- Mnie się nigdy nie przeszkadza.

Kiedy ktoś, z kim pracujesz, zaserwuje ci przez telefon o siódmej rano taki tekst, od razu wiadomo - to osoba niebezpieczna dla otoczenia. Zwłaszcza jeśli tą osobą jest komisarz policji kryminalnej.

Camille rozpoczyna relację.

- Pański raport...? - przerywa mu komisarz.

- Pisze się.

- A więc...?

Camille znów zaczyna od początku, uważnie dobiera słowa, stara się być rzeczowy. Świadek jest hospitalizowany, tymczasem wszystko wskazuje na to, że napastnik dostał się do szpitala, wszedł do sali i próbował go ukatrupić.

- Chwileczkę, inspektorze, nie rozumiem. - (Podkreśla każde słowo, jakby jej inteligencja potykała się o niezdobyty mur). - Ów świadek, pani Foresti...

- Forestier.

- Jak pan woli. Więc pani Forestier twierdzi, że nie widziała nikogo wchodzącego do jej sali, czy tak? - (Nie zostawia mu czasu na odpowiedź, to nie jest pytanie). - Z kolei pielęgniarka utrzymuje, że wprowadzie kogoś widziała, ale nie jest pewna, więc jak to jest? Po pierwsze, kim jest ten „ktoś”? A nawet jeśli to napastnik, to w końcu jak, przyszedł czy nie przyszedł?

Trudno mieć do niej o to pretensję. Le Guen na jej miejscu zareagowałby tak samo. Odkąd Camille wystąpił o tę sprawę, wszystko zdaje się toczyć na opak.

- Ja mówię, że przyszedł! - upiera się Camille. - Pielęgniarka zauważyła strzelbę.

- Niesamowite! - woła z podziwem komisarz Michard.

- „Zauważyła”... A niech mi pan powie, czy szpital wniósł skargę?

Od samego początku tej rozmowy Camille wie, na czym się skończy. Mimo to próbuje, lecz wolałby mieć jak najmniej do czynienia ze swoją przełożoną. Która nie przypadkiem tak

daleko zaszła. Przyjaźń z Le Guenem zaś, nawet jeśli pomogła mu niejako siłą dostać tę sprawę, nie będzie go długo chronić, a wręcz mu zaszkodzi.

Camille'owi pulsuje w skroniach, czuje uderzenie gorąca.

- Nie, nie wniósł. - (Nie denerwować się, być cierpliwym i wyważonym, przekonującym, chętnym do wyjaśniania).

- Ale ja twierdzę, że przyszedł. Nie bał się przyjść do szpitala z bronią. Pielęgniarka wspomina o broni, z opisu mogącej przypominać strzelbę powtarzalną użytą podczas napadu i...

- ...,z opisu mogącej przypominać”...

- Dlaczego mi pani nie wierzy?

- Ponieważ bez skargi, bez dowodu rzeczowego, bez zeznań, bez jakiegokolwiek konkretnego faktu trudno mi sobie wyobrazić, że zwykły napastnik przyszedł do szpitala, żeby sprzątnąć świadka, oto dlaczego!

- „Zwykły” napastnik? - Camille się aż zakrztusił.

- Owszem, przyznaję, że dość brutalny, ale...

- „Dość” brutalny?

- Inspektorze, chyba nie będzie pan powtarzał wszystkiego, co mówię, dodając tylko cudzysłowy! Prosi mnie pan o ochronę policyjną dla świadka, jakby chodziło o skruszonego przestępcę mającego zeznawać przed sądem!

Camille otwiera usta. Za późno.

- Daję panu jednego mundurowego. Na dwa dni.

Wyjątkowo wredna odpowiedź. W razie gdyby doszło do jakiegoś incydentu, niedanie nikogo byłoby błędem z jej strony. A danie jednego celem powstrzymania uzbrojonego mordercy to jak zaproponowanie parawanu dla ochrony przed tsunami. Tyle że ze swojego punktu widzenia komisarz Michard ma cholerną rację.

- Jakim zagrożeniem dla tych ludzi może być pani Forestier, komisarzu Verhoeven? O ile mi wiadomo, była świadkiem napadu, a nie zamachu! Muszą wiedzieć, że ją tylko ranili, nie zabili, i pewnie sobie teraz tego raczej gratulują.

To oczywiście od samego początku.

W czym więc problem?

- A co mówi pana informator?

Odwieczna tajemnica: w jaki sposób podejmujemy decyzje? Od jakiego momentu uświadamiamy sobie wagę naszej decyzji? Trudno powiedzieć, ile było w tym udziału podświadomości, ale odpowiedź Camille'a pada natychmiast.

- Mouloud Faraoui.

Nawet jego to zaskoczyło.

Niczym człowiek wirujący na karuzeli niemal fizycznie odczuwa krzywą toru, który z chwilą wymówienia tego nazwiska wybrał, zawrotny luk prowadzący prosto w mur.

- Jest na wolności?

I nim Camille zdążył podchwycić w lot okazję, dodała:

- A właściwie to co on w tym wszystkim robi?

Dobre pytanie. Każdy gangster ma swoją specjalność. Falszerze, piraci, dilerzy, oszuści, szantażyści, włamywacze, kieszonkowcy - każdy działa na swoim polu. Mouloud Faraoui jest alfonsiem i wypłynięcie jego nazwiska w kontekście napadu jest co najmniej zaskakujące.

To jeden z luźnych znajomych Camille'a, bandzior zajmujący zbyt wysoką pozycję, żeby bawić się w informatora. Osobnik wyjątkowo brutalny, zdobył swój teren drogą terroru, przypisuje mu się liczne morderstwa. Sprytny, zły i długo nieuchwytny. Do czasu aż wpadł na sprawie, z którą nie miał nic wspólnego, w paskudną pułapkę: w jego samochodzie znaleziono trzydzieści kilo ecstasy z odciskami jego palców. Takiego zdradzieckiego ciosu się nie wybacza. Na próżno tłumaczył, że sportowa torba, w której znaleziono towar, służyła mu tylko podczas wizyt na siłowni - wylądował w pudle, ziejąc nienawiścią do całego świata.

- Co? - pyta Camille.

- Faraoui! Pytam, co on w tym wszystkim robi? A po pierwsze, czy to pana krewny? Nie wiedziałam...

- Nie, żaden krewny... To bardziej skomplikowana sprawa, chodzi o historię z tymi trzema bandami, rozumie pani...

- Nie, no właśnie nie rozumiem.

- Zajmę się tym i pani powiem.

- Pan się tym... „zajmie”?

- Chyba nie będzie pani powtarzała wszystkiego, co mówię,

dodając tylko cudzysłowy!

- Pan sobie ze mnie żartuje! - wrzasnęła Michard i szybko zakryła ręką słuchawkę.

Gdy Camille usłyszał wyjąkane cichym głosem „przepraszam, kochanie”, zatkało go ze zdumienia: czyżby ta kobieta miała jakieś dzieci? W jakim wieku? Córkę? Czyż ton jej głosu nie wskazywał, że zwraca się do dziecka? Komisarz Michard podejmuje rozmowę cichszym już głosem, lecz tym bardziej wyczuwalne jest jej zdenerwowanie. Z sapania w telefonie Camille domyśla się, że przechodzi do innego pomieszczenia. Do tej pory Camille ją irytował, lecz teraz w jej głosie eksploduje jakieś zbyt długo hamowane wkurzenie, chociaż okoliczności zmuszają ją do szepotu.

- O co tak naprawdę chodzi w tej pana historii, inspektorze?

- Po pierwsze, to nie jest „moja” historia. I dla mnie też jest siódma rano. Na niczym mi tak nie zależy, jak na tym, żeby to pani wytłumaczyć, ale potrzebuję czasu na...

- Inspektorze... - (Cisza). - Nie wiem, co pan robi. Nie rozumiem, co pan robi. - (W jej głosie nie znać już śladu zdenerwowania, mówi to takim tonem, jakby chciała zmienić temat. I po części tak jest). - Ale dziś wieczorem chcę mieć pański raport, czy to jasne?

- Nie ma sprawy.

Mimo łagodnej aury Camille jest złany potem. Tym specyficznym, gorączkowym, zimnym potem, który po raz ostatni czuł tamtego dnia, kiedy popędził szukać Irène, tamtego dnia, kiedy zginęła. Tamtego dnia uparł się, myślał, że zrobi to lepiej od innych... Nie, nawet tak nie myślał. Postąpił tak, jakby tylko on jeden mógł to zrobić, i to był błąd z jego strony; kiedy ją znalazł, Irène już nie żyła.

A dzisiaj Anne?

Mówi się, że mężczyzna opuszczony przez kobietę już zawsze będzie w ten sam sposób opuszczany. I tego właśnie Camille tak się boi.

8.00

Turcy nie wiedzą, co stracili. Dwie duże ciężkie torby z biżuterią. Nawet jeśli po tym, co weźmie paser, ważyć będą o połowę mniej, ale to drobiazg. Sprawa jest na dobrej drodze. I liczę, że przy odrobinie szczęścia sporo mi jeszcze zostanie.

Jeśli zostanie.

Jeśli nie, poleje się krew.

Żeby się tego dowiedzieć, żeby się upewnić, potrzebna jest przede wszystkim metoda. Wytrwałość.

A na razie... niech stanie się światło: lektura!

„Le Parisien”. Strona trzecia.

Pożar w Saint-Ouen...

Bingo! Kafejka Le Balto po drugiej stronie ulicy. Filiżanka mocnej kawy. Papieros. Kawa i fajka, to się nazywa prawdziwe życie! Kawę mają tu podłą, jak w dworcowym bufecie, ale jest ósma rano, nie będę wybrzydzał.

Otwieram gazetę. Fanfary.

SAINT-OUEN

Spektakularny i zagadkowy pożar w Saint-Ouen: dwie ofiary śmiertelne.

Wczoraj koło południa w strefie Chartriery w następstwie wyjątkowo potężnej eksplozji wybuchł wielki pożar. Natychmiast powiadomieni strażacy z Saint-Ouen szybko uporali się z katastrofą, która zniszczyła liczne pracownie i warsztaty. Przypomnijmy, że obszar ten, na którym w przyszłości ma powstać strefa Wielofunkcyjnego Zagospodarowania Przestrzeni, obecnie jest niemal w całości opuszczony, dlatego pożar o takim zasięgu od razu wydał się podejrzany.

W zgliszczach jednego ze strawionych ogniem warsztatów policja odkryła wrak terenowego porsche cayenne oraz dwa doszczętnie zwęglone ciała. Tu właśnie doszło do wybuchu; śledczy odkryli na miejscu ślady znacznej ilości semtexu. Na podstawie znalezionych fragmentów oprzyrządowania elektronicznego eksperci

przypuszczają, że materiał wybuchowy mógł zostać zdalnie zdetonowany przy użyciu telefonu komórkowego.

Zważywszy zakres zniszczeń, ustalenie tożsamości obu ofiar okaże się prawdopodobnie niezwykle trudne. Wszystkie elementy zdają się wskazywać na starannie zaplanowane zabójstwo, mające na celu uniemożliwienie ich identyfikacji. Śledczy będą próbowali przede wszystkim ustalić, czy ofiary w chwili wybuchu jeszcze żyły, czy były martwe...

Sprawa załatwiona.

„Śledczy będą próbowali ustalić... ” Ale ubaw! Przyjmuję zakłady. Jeśli glinom uda się dotrzeć do nikomu nieznanym, niefigurującym w żadnej kartotece braci Yildiz, przekażą ich dołą na policyjne sieroty.

Czas na mnie, obwodnica, zjazd przez Porte Maillot, boczna aleja, Neuilly-sur-Seine.

Jak u tych burżujów pięknie. Gdyby nie byli takimi idiotami, miałyby się niemal ochotę być jednym z nich. Parkuję dwa kroki od liceum, tutejsze trzynastolatki noszą ciuchy warte dziesięciokrotność minimalnej pensji. Niekiedy człowiekowi żal, że mossberg nie został uznany za instrument wyrównywania różnic społecznych.

Mijam liceum, skręcam w prawo. Dom jest mniej okazały niż inne w sąsiedztwie, ogród jest skromniejszy, a przecież przez ręce właściciela tej posesji przechodzi rocznie ze skoków i włamań tyle kasy, że wystarczyłoby na zbudowanie wieżowca w La Défense. To nieufny oślizgły typ, nieustannie zmieniający zasady. Obie torby z biżuterią miał odebrać od najemcy przechowalni bagażu na Gare du Nord.

W jednym miejscu odebranie towaru, w drugim wycena, w trzecim negocjacje.

Drogo każe sobie płacić za bezpieczeństwo transakcji.

9.30

Camille nie może się doczekać, kiedy będzie ją mógł przehluchać. Co konkretnie widziała w pasażu Moniera? Ale pokazanie jej, jak bardzo jest zaniepokojony, byłoby równoznaczne z przyznaniem, że grozi jej niebezpieczeństwo, z napędzeniem jej strachu, z dodaniem do jej cierpień jeszcze i lęku.

A przecież musi do tego wrócić.

- Jak to co? - krzyczy Anne. - Co widziałam? Co?

Noc nie przyniosła jej ukojenia, obudziła się jeszcze bardziej wyczerpana. Jest okropnie podminowana, nieustannie zbiera jej się na łyż, można to wyczuć z drżenia jej głosu, ale mówi trochę wyraźniej niż wczoraj, swobodniej wymawia sylaby.

- Nie wiem - odpowiada Camille. - To może być cokolwiek.

- Co?

Camille rozkłada ręce.

- Chcę się tylko upewnić, rozumiesz?

Nie, Anne nie rozumie. Ale zgadza się zastanowić, pochyła głowę, żeby spojrzeć na Camille'a pod innym kątem. Camille przymyka oczy, kiwa głową, uspokój się, pomóż mi.

- Nie słyszałaś, jak rozmawiali?

Anne nie reaguje, Camille nie jest pewny, czy zrozumiała pytanie. Ale potem z wymijającym, nie bardzo wiadomo co oznaczającym gestem mówi:

- Chyba po serbsku...

Camille aż podskoczył.

- Jak to „po serbsku”? Znasz jakieś serbskie słowa?

Jest trochę sceptyczny. On sam spotyka coraz więcej Słowenów, Serbów, Bośniaków, Chorwatów, Kosowian, zjeżdżają do Paryża falami, ale nigdy nie potrafił rozróżnić ich języków.

- Nie jestem pewna...

I rezygnując z dalszych prób, opada ciężko na poduszki.

- Chwileczkę, zaczekaj - Camille nie daje za wygraną - to ważne...

Anne otwiera z powrotem oczy i z trudem wykrztusza:

- Chyba... *kraj*.

Camille nie wierzy własnym uszom, to tak jakby nagle odkrył, że asystentka sędziego Pereiry mówi biegle po japońsku.

- *Kraj?* To po serbsku?

Anne kiwa głową, że tak, ale chyba nie jest zbyt pewna.

- To znaczy „stop”.

- Ależ, Anne... skąd to wiesz?

Anne zamyka oczy z miną mówiącą: ależ on nieznośny, trzeba mu wszystko wciąż powtarzać.

- Przez trzy lata zajmowałam się Europą Wschodnią...

Niewybaczalne. Tyle razy mu o tym mówiła. Piętnaście lat pracy w branży turystyki międzynarodowej. Zanim została kontrolerem, organizowała wyjazdy w niemal wszystkie zakątki świata. A zwłaszcza na wschód Europy. Od Polski po Albanie. Oprócz Rosji.

- I obaj mówili po serbsku?

Anne kręci tylko głową, że nie, ale Camille'owi trzeba zawsze wszystko tłumaczyć.

- Słyszałam tylko głos jednego... W toalecie. Drugi, nie wiem... - (Mówi niewyraźnie, ale bez problemu można ją zrozumieć). - Nie jestem pewna, Camille...

Ale on ma już potwierdzenie: ten, który wrzeszczy, który zgarnia biżuterię i który popycha współnika, to Serb. A ten, który stoi na czatach - Vincent Hafner.

To on spuszcza łomot Anne, on dzwoni do szpitala, on wchodzi do sali, w której leży Anne, on też zapewne był w jej mieszkaniu. I on mówi bez akcentu.

Recepcjonistka to potwierdza.

Vincent Hafner.

Gdy zbliża się pora pójścia na tomografię, Anne prosi o kule. Już samo zrozumienie, o co jej chodzi, wymaga czasu. Camille tłumaczy - chce iść tam o własnych siłach. Pielęgniarki wnoszą w górę oczy, gotowi bez ceregieli ją zabrać, Anne krzyczy, wyrывa się i z założonymi rękami siada na łóżku. Nie.

Tym razem wszyscy zrozumieli. Zjawia się pielęgniarka

oddziałowa, Florence, o wielkich rybich ustach, to nierozsądne, pani Forestier, zawieziemy panią prosto na tomografię piętro niżej, wszystko pójdzie bardzo szybko, po czym pewna siebie, nie czekając na odpowiedź, wychodzi, całą swoją postawą daje do zrozumienia, że ma pod dostatkiem pracy i nie pozwoli zawracać sobie głowy taką dziecinadą... Ale nie zdąża jeszcze nawet dojść do drzwi, gdy słyszy głos Anne, zaskakująco czysty, sylaby są może nie całkiem wyraźne, ale sens jest zrozumiały dla wszystkich: nie ma mowy, pójdę na własnych nogach albo nie pójdę wcale.

Pielęgniarka zawraca, Camille próbuje wstawić się za Anne, ale kobieta piorunuje go wzrokiem, a ten to kto? Camille wycofuje się, staje pod ścianą, jego zdaniem pielęgniarka zaprzepaściła szansę na proste i pokojowe załatwienie sprawy. Zaraz się okaże.

Na piętrze robi się głośno, w drzwiach pokoi pojawiają się głowy, pielęgniarki próbują przywrócić porządek, wracajcie do łóżek, nie ma tu nic do oglądania, a wtedy oczywiście zjawia się lekarz, Hindus o sześćdziesięcioliterowym nazwisku, jest tu od wieczora do rana, pewnie ma dyżury równie długie jak nazwisko i zarabia tyle co sprzątaczkę, nic dziwnego, w końcu to Hindus. Podchodzi do Anne. Uważnie jej słucha, nachylając się, ogląda jej wybroczyzny, pacjentka w takim stanie prezentuje się niezbyt pięknie, ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co ją czeka w ciągu najbliższych kilku dni, tego typu siniaki rozwijają się naprawdę paskudnie. Łagodnym głosem próbuje jej przemówić do rozsądku. Ale przede wszystkim ją osłuchuje, nikt nie rozumie po co, tomograf nie czeka na pacjentów, termin to termin. Tymczasem on...

Pielęgniarka się niecierpliwi, pielęgniarze przestępują z nogi na nogę. Lekarz kończy osłuchiwać Anne, a potem się do niej uśmiecha i prosi o kule. Jego koledzy czują się zdradzeni.

Camille odprowadza wzrokiem wspierającą się na kulach Anne, z obu stron podtrzymywaną przez pielęgniarkę.

Idzie powoli, ale idzie. Na własnych nogach.

10.00

- To nie jest przybudówka komisariatu...

W gabinecie panuje niewyobrażalny bałagan. On jest chirurgiem, można tylko mieć nadzieję, że w głowie ma lepiej poukładane.

Hubert Dainville, szef oddziału traumatologii. Spotkali się wczoraj na schodach, kiedy Camille gonił ducha. Dostrzeżony w przelocie sprawiał wrażenie mężczyzny w nieokreślonym wieku. Dziś ma pięćdziesiąt lat. Wyczuwa się, że jest dumny ze swoich siwych, naturalnie kręconych włosów, są symbolem jego starzejącej się męskości, to już nie fryzura, to cała koncepcja świata. Wymanikiurowane dłonie. Typ mężczyzny, który nosi niebieskie koszule z białym kołnierzykiem i chusteczkę w butonierce garnituru. Podstarzały playboy. Pewnie próbował przelecieć połowę swojego personelu i pewnie własnemu urokowi przypisuje sukcesy, li tylko statystyczne. Jego fartuch jest zawsze nienagannie wyprasowany, lecz on sam nie ma już tej ogłupiałej miny co wczoraj na schodach. Przeciwnie, zachowuje się jak udzielny władca. Rozmawiając z Camille'em, zajmuje się czym innym, jakby sprawa została już załatwiona, jakby nie miał czasu do stracenia.

- Ja też nie - mówi Camille.

- Słucham?

Doktor Dainville marszczy brwi i unosi głowę. Dla niego to bolesne, kiedy czegoś nie rozumie. Jest nieprzyzwyczajony. Przerywa przeglądanie papierów.

- Powiedziałem, że ja też nie mam czasu do stracenia

- ciągnie Camille. - Widzę, że jest pan bardzo zajęty, a tak się składa, że ja też mam sporo roboty. Na panu ciąży odpowiedzialność, na mnie również.

Dainville się krzywi. Niezbyt przekonany argumentacją Camille'a wraca do papierkowej roboty. A ponieważ mały glina nadal stoi w drzwiach, bo jeszcze do niego nie dotarło, że rozmowa skończona, rzuca:

- Pacjentka potrzebuje odpoczynku. Odniosła silne obra-

zenia. - (Mówiąc to, świdruje Camille'a wzrokiem). - Jej stan zakrawa na cud, równie dobrze mogłaby zapaść w śpiączkę. Mogłaby nie żyć.

- Mogłaby też być w domu. Albo w pracy. Czemu nie, mogłaby nawet dokończyć zakupy. Problem w tym, że spotkała na swej drodze faceta, który też nie miał czasu do stracenia. Tak jak pan. Który uważał, że jego racje są więcej warte niż racje innych.

Facet pokroju Dainville'a momentalnie wyzwała w człowieku ducha rywalizacji, jego białe włosy zdają się upięte na kogucim grzebieniu. Nieznośny. I zadziorny. Mierzy Camille'a spojrzeniem.

- Wiem, że policja czuje się wszędzie jak u siebie w domu, ale nasze sale, inspektorze, nie są pokojami przesłuchań. To szpital, nie teren manewrów. Gania pan jak szalony po korytarzach, straszy personel...

- Sądzi pan, że biegam po korytarzach w ramach joggingu?

Dainville zbywa to machnięciem ręki.

- Jeśli ta pacjentka stwarza zagrożenie, dla siebie lub dla Hzpitala, przewieźcie ją w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Jeźli nie, dajcie nam spokój i pozwólcie pracować.

- Ile ma pan miejsc w kostnicy?

Zaskoczony Dainville szybkim ruchem, znowu upodabniającym go do koguta, podrywa głowę.

- Pytam o to, bo dopóki nie będzie można przesłuchać tej kobiety, sędzia nie zezwoli na żaden transfer. Nie zaczyna pan operacji, nie mając pełnej jasności, z nami jest tak samo. Nasz problem jest bardzo podobny do pana problemu. Im późniejsza interwencja, tym większe szkody.

- Nie rozumiem ani w ząb tych pańskich metafor, inspektorze.

- Wyrażę się jaśniej. Istnieje możliwość, że zabójca jej szuka. Jeśli udaremni mi pan wykonywanie pracy, a on urządzi masakrę w pańskim szpitalu, będzie pan miał podwójny problem. Za mało miejsc w kostnicy oraz, jako że pacjentka jest w stanie odpowiedzieć na nasze pytania, oskarżenie o utrudnianie pracy policji.

Dziwny facet z tego Dainville'a, działa na zasadzie wyłącznika elektrycznego: jest prąd albo nie ma. Nic pomiędzy. I nagle - jest. Doktor patrzy na Camille'a szczerze rozbawiony, ukazując w uśmiechu zęby równe jak spod linijki - przedniej jakości porcelana. Dainville lubi sprzeciw; jest szorstki, wyniosły, nieuprzejmy, ale lubi komplikacje. Agresywny, niemal wojowniczy, ale w gruncie rzeczy lubi zostać pokonany. Takich jak on Camille spotkał mnóstwo. Najpierw dają człowiekowi ciężki wycisk, a potem, kiedy już leży rozłożony na łopatkach, są jak do rany przyłoż.

Możliwe, że ten właśnie kobiecy aspekt spowodował, że został lekarzem.

Spoglądają na siebie. Dainville jest człowiekiem inteligentnym, wyczuwa sprawę.

- W porządku - mówi spokojnie Camille. - To jak konkretnie robimy?

10.45

- Nie będą mnie operować - oznajmia Anne.

Camille potrzebuje kilku sekund na przyswojenie tej informacji. Chciałby się cieszyć, lecz woli zachować ostrożność.

- To dobrze... - mówi zachęcającym tonem.

Wyniki rentgena i tomografii potwierdzają wczorajszą diagnozę młodego internisty. Potrzebna będzie chirurgia szczękowa, ale reszta sama się wygoi. Tyle że zostanie trochę blizn przy ustach, a przede wszystkim na lewym policzku. Co to znaczy „trochę”? Dużo? Widocznych? Anne uważnie obejrzała się w lustrze, usta ma tak pokiereszowane, że nie wiadomo, co zostanie, a co zniknie. Jeśli chodzi o ranę na policzku, to dopóki pokrywają ją szwy, trudno cokolwiek stwierdzić.

To kwestia czasu, powiedział lekarz.

Mina Anne wyraźnie wskazuje, że wcale nie podziela jego zdania. A właśnie, czasu to Camille też za dużo nie ma.

Przyszedł, żeby przekazać jej istotną wiadomość. Są w

pokoju sami.

Odczekawszy chwilę, startuje:

- Mam nadzieję, że zdołasz ich rozpoznać...

Anne wykonuje gest, który można różnie rozumieć.

- Powiedziałas, że ten, który do ciebie strzelał, był dość wysoki... Jaki był?

To idiotyczne próbować teraz coś z niej wydobyć. Laboratorium kryminalistyki i tak zacznie wszystko od początku, takie naleganie da wręcz odwrotny skutek. A jednak.

- Uroczy - mówi Anne, starannie wymawiając to słowo.

Camille'a zatkało.

- Co?... Jak to „uroczy”?

Anne rozgląda się wokół siebie. Camille nie wierzy własnym oczom; na jej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Umownie nazwijmy to uśmiechem, bo wykrzywiła tylko wargi, obnażając ślady po trzech wybitych zębach.

- Uroczy... jak ty...

W czasie agonii Armanda Camille wiele razy to przeżywał: przy najmniejszej poprawie wskaźnik optymizmu natychmiast szybuje w górę. Anne próbuje żartować, niewiele brakuje, a Camille pognałby do recepcji, żądając wypisania jej ze szpitala. Nadzieja jest matką głupich.

Chciałby odpowiedzieć tym samym tonem, ale wzięty z zaskoczenia tylko coś bąka. Anne już z powrotem zamknęła oczy. Camille ma przynajmniej pewność, że jest przytomna, że rozumie, co się do niej mówi. Już ma się odezwać, gdy przerywa mu wibrowanie komórki na szafce nocnej. Podaje ją Anne. Nathan.

- Spokojnie - mówi z miejsca Anne, zamykając oczy.

Ma cierpliwy wyraz twarzy lekko znużonej starszej siostry, która bierze wszystko na siebie. Camille słyszy gorączkowy, nagły głos brata.

- Napisałam ci już wszystko w SMS-ie...

Bardzo się stara mówić normalnie, chce, żeby brat ją zrozumiał, ale przede wszystkim chce go uspokoić, dodać mu otuchy.

- Nie ma nic nowego - dodaje niemal wesoło. - I nie masz się

co bać, nie jestem sama.

Unosząc wymownie oczy w górę, zerka na Camille'a, nieznosny ten Nathan.

- Ale skąd! Słuchaj, muszę iść już na rentgen, zadzwonię. Ja też.

Wyłącza komórkę i z westchnieniem podaje ją Camille'owi.

Ich sam na sam nie potrwa długo, więc Camille korzystając z okazji, przekazuje jej rzecz najważniejszą:

- Anne... nie powinienem się zajmować tą sprawą... Rozumiesz?

Rozumie. Kiwając głową, mruczy „mhmm...”, to znaczy, że tak.

- Naprawdę rozumiesz?

Mhmm... mhmm... Camille robi głęboki wydech, rozładować napięcie, zrobić to dla siebie, dla niej, dla nich obojga.

- Bo wiesz, trochę się pospieszyłem. A potem...

Ujmuje jej rękę, gładzi ją opuszkami palców. Jego dłoń jest mniejsza, ale męska, żyłasta, bardzo ciepła, Camille zawsze miał ciepłe dłonie. Żeby jej nie przerazić, musi wybierać, co może powiedzieć.

Nie może powiedzieć: napastnik, który cię tak zmasakrował, nazywa się Vincent Hafner, jest bardzo brutalny, próbował cię zabić i jestem pewny, że znowu spróbuje.

Powinien raczej powiedzieć: jestem przy tobie, nic ci nie grozi.

Przemilczeć: moi szefowie w to nie wierzą, ale jeśli mam rację, facet jest psychopatą i przed niczym się nie cofnie.

Zapewnić: szybko go znajdziemy i będzie po sprawie. Dlatego powinnaś nam pomóc go zidentyfikować. Jeśli możesz.

Zataić: postawimy na jeden dzień mundurowego pod twoimi drzwiami, co kompletnie nic nie da, bo dopóki ten gość jest na wolności, grozi ci niebezpieczeństwo. Przed niczym się nie cofnie.

Nie wspominać o wizycie tych ludzi u ciebie w mieszkaniu, o kradzieży twoich dokumentów, o wszystkich ich poczynaniach, żeby cię dopaść. Ani o możliwościach, jakimi on sam dysponuje, prawie żadnych. W dużej mierze z własnej winy.

Powiedzieć: nie bój się, wszystko będzie dobrze.

- Wiem...

- Pomożesz mi, Anne, prawda? Pomożesz mi?

Anne kiwa głową, że tak.

- Nie mów nikomu, że się znamy, zgoda?

Zgadza się. Ale w jej oczach pojawia się błysk podejrzliwości. Sytuacja staje się trochę niezręczna.

- Co tu robi ten policjant na korytarzu?

Dostrzegła go, kiedy Camille wchodził. Camille unosi brwi. Zwykle kłamie albo ze zdumiewającym tupetem, albo nieporadnie jak ośmioletnie dziecko. Wypisz, wymaluj typ człowieka przechodzącego od razu z jednej skrajności w drugą.

- Chodzi o...

Wystarczy jedna sylaba. A osobie takiej jak Anne nawet taka sylaba nie jest potrzebna. Z czegoś w oczach Camille'a, z ułamka jego wahania, natychmiast się domyśla.

- Myślisz, że on wróci?

I nim Camille zdąży zareagować:

- Czy coś przede mną ukrywasz?

Camille na moment się zawahał, a kiedy chce odpowiedzieć, że nie, ona już wie, że tak. Przygląda mu się z uwagą. Camille czuje własną bezużyteczność, czuje, jak bardzo są oboje w tej chwili samotni, teraz, kiedy powinni się wzajem wspierać. Anne potrząsa głową, jakby się zastanawiała: co ze mną będzie?...

- Więc przyszedł... - mówi w końcu.

- Szczerze mówiąc, nic mi o tym nie wiadomo.

Nie w taki sposób odpowiada człowiek, któremu szczerze mówiąc, nic o tym nie wiadomo. Anne natychmiast zaczyna się trząść. Drżą jej ramiona i ręce, blednie na twarzy, spogląda na drzwi, na umeblowanie pokoju, jakby się właśnie dowiedziała, że to ostatnie pomieszczenie w jej życiu, jakby wskazano łożę jej śmierci. Camille, jak zwykle niezręczny, pogarsza tylko sprawę.

- Jesteś bezpieczna - mówi.

Brzmi to jak zniewaga.

Anne odwraca twarz do okna i wybucha płaczem.

Najważniejsze, żeby teraz odpoczęła. Żeby nabrała sił, wszystkie starania Camille'a zmierzają w tym jednym celu. Jeśli na zdjęciach nikogo nie rozpozna, śledztwo prostą drogą poprowadzi w przepaść. Jeśli podsunie jakikolwiek trop, tylko pierwszy, Camille czuje się na siłach, żeby rozwikłać całą resztę.

Skończyć z tym. Jak najszybciej.

Kręci mu się w głowie, jakby był podchmielony, czuje mrowienie na skórze, otaczająca go rzeczywistość zdaje się lekko falować.

W co najlepszego wdepnął?

Jak się to wszystko skończy?

12.00

Technik z laboratorium nosi polskie nazwisko, jedni mówią Krystkowiak, inni Krystoniak, tylko Camille wymawia je prawidłowo: Krzysztofiak. Facet z bokobrodami, ma w sobie coś z nostalgicznego rockersa. Nosi swój sprzęt w małej walizeczce z aluminiowymi okuciami.

Doktor Dainville dał im godzinę, zakładając, że skończy się na dwóch. Camille wie, że będą potrzebowali czterech. Technik, który ma na koncie z tysiąc takich sesji, wie, że może to potrwać i sześć godzin. A nawet dojść do dwóch dni.

W swojej kartotece ma setki zdjęć, musi przeprowadzić ostrą selekcję. Rzecz w tym, żeby nie pokazać ich zbyt wiele, bo już po chwili wszystkie twarze wyglądają podobnie i cała operacja staje się bezcelowa. Wśród mnóstwa innych umieścił fotografie Vincenta Hafnera oraz trzech facetów, o których wiadomo, że byli jego współnikami. Jak również wszystkich notowanych Serbów i im podobnych.

Nachyla się do Anne.

- Dzień dobry pani...

Miły głos. Łagodny. Ruchy powolne, precyzyjne, dające poczucie bezpieczeństwa. Anne, która przez godzinę spała, teraz z opuchniętą twarzą siedzi na łóżku podparta mnóstwem

poduszek. Wykrzywia usta w grymasie przypominającym uśmiech, nie rozchyła warg z powodu wybitych zębów. Technik otwiera walizeczkę i rozkładając swój sprzęt, serwuje zwykle, wypróbowane teksty.

- Może nam pójść bardzo szybko, czasami dopisze szczęście.

I tytułem zachęty szeroko się uśmiecha. Stara się zawsze wprowadzić lekki ton, bo kiedy pokazuje komuś zdjęcia, to zwykle ta osoba albo sama ciężko oberwała, albo była świadkiem jakiejś nagłej i brutalnej sceny, albo została zgwałcona, albo kogoś zamordowano na jej oczach, tego typu sprawy, więc atmosfera rzadko bywa wyluzowana.

- Ale czasami - ciągnie z poważną, wyważoną miną - wymaga to czasu. Więc jak się pani poczuje zmęczona, proszę mi powiedzieć, dobrze? Nie ma pośpiechu...

Anne kiwa głową. Przenosi zamglone spojrzenie na Camille'a, tak, rozumie. Pokazuje, że tak.

Na ten sygnał technik mówi:

- W porządku, a teraz wyjaśnię, co będziemy robić.

12.15

Nagle Camille'owi, choć nie jest w nastroju, przychodzi do głowy, że może to jakiś dowcip albo prowokacja ze strony komisarz Micharda. Ale nie, wszystko jest jak najbardziej na Horio. Mundurowy, którego mu przysłano, to ten sam funkcjonariusz, którego spotkał wczoraj w pasażu Moniera, wy-Hoki chudy facet, wyglądający, z tymi sino podkrążonymi oczami, jakby dopiero co powstał z grobu. Gdyby Camille był przesądny, uznałby to za złą wróżbę. Otóż jest przesądny. Wierzy w gesty odczyniające uroki, boi się złych znaków i na widok policjanta z twarzą truposza stojącego pod pokojem Anne, trudno mu zachować spokój.

Policjant już unosi rękę, żeby zaszalutować, ale Camille przerywa mu w pół gestu.

- Verhoeven - przedstawia się.

- Inspektorze... - odpowiada policjant, wyciągając do niego

kością, zimną dłoń.

Metr osiemdziesiąt trzy, ocenia Camille.

I zaradny. Już zdążył wypatrzeć najwygodniejsze krzesło w poczekalni. Obok niego stoi pod ścianą mały granatowy plecak; pewnie żona przygotowuje mu kanapki i termos z pićciem. Ale Camille wyczuwa przede wszystkim woń nikotyny. Gdyby to była ósma wieczorem, a nie południe, z miejsca wywaliliby go za drzwi, gdyż przy pierwszym papierosie przyczajony zabójca obserwuje jego trasę, oblicza czas trwania jego rytuału, przy drugim sprawdza dokładność swoich ustaleń, przy trzecim czeka, aż policjant wyjdzie, a kiedy już maksymalnie się oddali, wystarczy mu tylko wejść do pokoju Anne i posłać jej serię z powtarzalnej strzelby. Przysłali mu największego, ale być może również najgłupszego. Na razie nie ma powodu do obaw. Camille raczej sobie nie wyobraża, żeby zabójca wrócił tak szybko, i to w biały dzień.

Tym momentem krytycznym będzie zmiana nocna.

- Nie wolno się panu stąd ruszyć, zrozumiano?

- Nie ma sprawy, inspektorze! - odpowiada z zapalem glina.

Taka odpowiedź może naprawdę napędzić stracha.

12.45

Na drugim końcu korytarza znajduje się mała poczekalnia, do której nikt nigdy nie zagląda, niefortunnie usytuowana, nie wiadomo, dlaczego akurat tutaj, były plany, żeby zamienić ją na biuro, ale to niemożliwe, wyjaśniła Florence, pielęgniarzka o zachłannych ustach, obowiązują normy, musi zostać tam, gdzie jest, bezużyteczna. Tego wymaga regulamin. Europejskie dyrektywy. Więc personel zaczął w końcu składować tam środki medyczne, w szpitalu wciąż brakuje miejsca. Kiedy przychodzi komisja bhp, przewozi się to wszystko na wózkach do piwnicy, a potem z powrotem na górę, komisja bhp jest zadowolona, stempluje formularz, gdzie trzeba.

Camille odsuwa dwa stosy kartonów z opatrunkami i przyciąga dwa krzesła. Przy niskim stoliku wspólnie z Louistem

(ciemnoszary garnitur od Cifonellogo, biała koszula Swann & Oscar, buty Massaro, wszystko szyte na miarę, Louis jest jedynym funkcjonariuszem w wydziale odzianym w równowartość swojej rocznej pensji) sporządzają bilans sytuacji. Louis informuje Camille'a o przebiegu aktualnych śledstw, niemiecka turystka faktycznie odebrała sobie życie, kierowca nożownik został zidentyfikowany, chwilowo się ukrywa, za dwa, trzy dni go dopadną, siedemdziesięciodziesięcioletni przestępca wyjawiał, co nim powodowało: zazdrość. Camille szybko odfajkowuje bieżące sprawy, wracają do tego, co go teraz zaprzęta.

- Jeśli pani Forestier potwierdzi, że to Hafner... - zaczyna Louis.

- Nawet jeśli go nie rozpozna - przerywa mu Camille - to wcale nie znaczy, że to nie on!

Louis dyskretnie wzdycha. Taka nerwowość jest obca zwyczajom jego szefa. Naprawdę, coś tu nie gra. I niełatwo mu będzie wytłumaczyć, że już wiedzą, w czym rzecz...

- Naturalnie - zgadza się Louis. - Nawet jeśli go nie rozpozna, może to być mimo wszystko Hafner. Tyle że Hafner kompletnie zniknął z obiegu. Rozmawiałem z kolegami, którzy zajmowali się styczniowym skokiem, nawiasem mówiąc, zastanawiają się, dlaczego nie przydzielono im tej sprawy...

Camille zbywa to machnięciem ręki, nic im do tego.

- Nikt nie wie, gdzie się podziewał od stycznia, zaczęły się spekulacje, mówiono, że jest za granicą, że na Riwierze. Nic dziwnego, że z nieboszczykiem na koncie, zwłaszcza pod koniec kariery, facet dba o dyskrecję, ale nawet jego najbliżsi zdają się nic nie wiedzieć...

- „Zdają się...”

- Właśnie, to samo pomyślałem, ktoś przecież musi coś wiedzieć, nie znika się tak z dnia na dzień. Zaskakujący jest natomiast ten jego nagły powrót. Wydawałoby się, że nie wytknie raczej nosa z kryjóWKi.

- Jakież przecieki?

Kwestia informacji pozostaje otwarta. Opryszków, którzy napadają i grabią sklepy, jest pełno, ale prawdziwi profesjo-

naliści ruszają do akcji, dopiero mając względną pewność, kiedy spodziewany łup wart jest odsiadki grożącej w razie ewentualnych problemów. Dlatego zawsze pierwsze, co interesuje policję, to źródło informacji, od tego najczęściej wszystko się zaczyna. Co do pasażu Moniera, spóźniona sprzedawczyni jest poza podejrzeniami. Więc siłą rzeczy nasuwa się jedno:

- Zapytamy również panią Forestier, co robiła w pasażu Moniera - mówi Camille.

Pytanie zostanie zadane pro forma, gdyż właściwie prawie nie wymaga odpowiedzi. Zada je, ponieważ musi je zadać, ponieważ w normalnych okolicznościach takie by właśnie zadał, i tyle. Camille nie wyznaje się na terminarzu Anne, nigdy nie wie, w które dni jest w Paryżu, w które nie, trudno mu spałmętać jej wyjazdy i spotkania; wystarcza mu wiedza, czy jest dziś wieczorem lub jutro, bo już pojutrze to wielka niewiadoma.

Tymczasem Louis Mariani jest świetnym policjantem. Systematyczny, inteligentny, wykształcony znacznie gruntowniej niż to konieczne, z intuicją i..., i...? I podejrzliwy. Brawo. Podstawowa zaleta u policjanta.

Na przykład kiedy komisarz Michard nie wierzy, że Hafner dostał się uzbrojony do szpitala i wszedł do pokoju Anne - jest nieufna, ale kiedy pyta, co Camille knuje, i żąda od niego dziennego raportu - jest podejrzliwa. Tak samo Camille: kiedy zadaje sobie pytanie, czy Anne zobaczyła coś jeszcze oprócz twarzy napastników, jest podejrzliwy.

A kiedy Louis prowadzi śledztwo w sprawie kobiety atakowanej w trakcie napadu, zadaje sobie pytanie o powód jej bytności właśnie tam i wtedy. W środku tygodnia, kiedy powinna być w pracy. W porze otwierania sklepów. Czyli wtedy, gdy oprócz niej nie ma tam prawie żadnych przechodniów ani klientów. Sam mógłby ją o to zapytać, ale z niezrozumiałych powodów to jego szef przesłuchuje zawsze tę kobietę, można by wręcz pomyśleć, że uważa to za swoją prywatną działalkę.

Więc Louis jej nie zapytał. Załatwił to inaczej.

Camille poruszył ten problem, formalności stało się zadość i już ma przejść do kolejnego punktu, kiedy Louis mu przerywa, sięga do swojej torby i spokojnie w niej grzebie. Wyjmuje jakiś dokument. Od pewnego czasu do czytania wkłada okulary. W zasadzie trochę za wcześnie na dalekowzroczność, myśli Camille. Ile właściwie lat ma Louis? To trochę tak, jakby miał syna i nigdy nie mógł przypomnieć sobie od razu jego wieku - pyta go o to co najmniej trzy razy w roku.

Dokument jest fotokopią z nagłówkiem sklepu jubilerskiego Desfossés. Teraz z kolei okulary wkłada Camille. I czyta: „Anne Forestier”. Jest to kopia zamówienia dotyczącego „luksusowego zegarka” za osiemset euro.

- Pani Forestier przyszła odebrać zamówienie złożone dziesięć dni wcześniej.

Tyle czasu sklep potrzebował na wygrawerowanie napisu. Tekst jest wypisany na kwicie drukowanymi literami, bo na tak kosztownym prezencie nie może być mowy o pomyłce, jeden błąd ortograficzny w nazwisku i nietrudno wyobrazić sobie minę klientki... Proszona jest wręcz o wypisanie tekstu własnoręcznie, co wykluczy ewentualną dyskusję w razie jakichś komplikacji. Na kwicie widać wielkie pismo Anne.

Imię, które miało zostać wygrawerowane na odwrocie koperty zegarka: „Camille”.

Cisza.

Obaj zdejmują okulary. Równoczesność tego gestu pogłębia ich zakłopotanie. Nie unosząc wzroku, Camille odsuwa lekko fotokopię.

- To... przyjaciółka.

Louis kiwa głową. Przyjaciółka. W porządku.

Bliska. W porządku. Do Louisa dociera, że ma spore zaległości. Ze z życia Verhoevena umknęły mu pewne epizody. Z błyskawiczną szybkością oblicza swój handicap.

Zatrzymał się na Irène, cztery lata temu. Dobrze się znali, bardzo lubili, Irène nazywała go swoim „Loulou” i przyprowadzała o pąsy pytaniami o jego życie seksualne. Potem, po śmierci Irène, była klinika - Louis regularnie odwiedzał w niej Camille'a, dopóki Camille nie powiedział, że woli być sam.

Potem spotykali się coraz rzadziej. I dopiero wiele miesięcy później trzeba było podstępnie komisarza Le Guena, by Camille niejako pod przymusem znów zaczął się zajmować² „grubymi” sprawami, sprawami morderstw, porwań i uprowadzeń, zabójstw... i by poprosił Louisa, żeby do niego dołączył. Co działo się w życiu Camille’a między kliniką a dniem dzisiejszym, tego Louis nie wie. A przecież na pojawienie się kobiety w życiu mężczyzny tak systematycznego jak Verhoeven powinno wskazywać wiele znaków, drobnych zmian w zachowaniu, w organizacji czasu, wszystkie te rzeczy, na które Louis jest zwykle bardzo wyczulony. A on niczego nie dostrzegł, niczego się nie domyślił. Aż do dnia dzisiejszego byłby skłonny sądzić, że obecność kobiety w życiu Verhoevena jest czysto przypadkowa - a to dlatego, że intensywny związek miłosny w życiu wdowca o skłonnościach depresyjnych przejawia się bardziej spektakularnie. Chociaż... to dzisiejsze ożywienie, ta gorączkowość... Jest w tym jakaś sprzeczność, której Louis nie potrafi rozgryźć.

Patrzy na swoje okulary leżące na stole, jakby oczekiwał, że pozwolą mu wyraźniej ujrzeć sytuację: a więc Camille ma „bliską przyjaciółkę”. Która nazywa się Anne Forestier. Camille pokasłuje.

- Nie proszę cię, żebyś w to wchodził, Louis. Wystarczy, że sam tkwię w tym po uszy. Nie potrzebuję przypomnienia, że działałam wbrew zasadom, to moja i tylko moja sprawa. A ty nie musisz narażać się na takie ryzyko. - (Wlepia wzrok w swojego zastępcę). - O nic innego cię nie proszę, jak tylko o trochę czasu, Louis. - (Cisza). - Muszę jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Zanim Michard się dowie, że ją okłamałem, bo chciałem, żeby mi przydzieliła śledztwo w sprawie osoby blisko ze mną związanej. Jeśli ci ludzie zostaną szybko zatrzymani, sprawa stanie się niebyła. A przynajmniej będzie można to jakoś załatwić. Ale w przeciwnym razie, jeśli zaczniesz się przeciągać i zostaną przyłapani na gorącym uczynku, znasz ją, zrobi piekło. Nie ma żadnego powodu, żebyś szedł na dno razem ze mną.

² Pierre Lemaitre, *Alex*, MUZA, Warszawa 2013.

Louis sprawia wrażenie lekko nieobecnego, siedzi zamyślony, rozgląda się wokół, wygląda, jakby czekał na kelnera, żeby złożyć zamówienie. Wreszcie wskazując kopię kwitu, ze smętnym uśmiechem mówi:

- Na wiele nam się to nie przyda! - (Ma głos człowieka, który liczył na sensacyjne odkrycie i srogo się rozczarował).

- Nie uważa pan? Camille to dość popularne imię. Nie wiadomo nawet, czy męskie, czy żeńskie...

A ponieważ Camille nie odpowiada, kończy:

- Co mam z tym zrobić?

Poprawia węzeł krawata.

I odsuwa kosmyk z czoła. Lewą ręką.

Po czym wstaje, zostawiając dokument na stoliku. Camille bierze go, mnie i wkłada do kieszeni.

13.15

Technik z laboratorium spakował sprzęt i wyszedł, mówiąc:

- Dziękuję, myślę, że wykonaliśmy dobrą robotę.

Zawsze to mówi, niezależnie od rezultatu.

Mimo zawrotu głowy, jaki temu towarzyszy, Anne wstała z łóżka i wróciła do łazienki. Ta potrzeba przeglądania się, ciągłego sprawdzania zakresu zniszczeń, jest silniejsza od niej. Bez bandaży na głowie widać tylko jej krótkie brudne włosy, w dwóch miejscach wygolone, żeby można było założyć szwy. Wyglądają jak dziury w głowie. Pod dolną szczęką również ma szwy. Dzisiaj twarz wydaje się jeszcze większa, wszyscy jej to powtarzają, w pierwszych dniach zawsze tak jest, puchnie się, tak, wiem, do cholery, już to słyszałam, ale nikt jej nie uprzedził, jak to wygląda naprawdę. Twarz puchnie jak balon, staje się przekrwiona jak u pijaczki. Twarz kobiety pobitej kojarzy się z upodleniem, w poczuciu gwałtownej niesprawiedliwości stwierdza Anne.

Opuszkami palców dotyka kości policzkowych; tępy ból, nieokreślony i podstępny, chyba już nigdy nie ustąpi.

I te zęby, dobry Boże, ten widok robi na niej przejmujące

wrażenie, sama nie wie czemu, to tak jakby jej odjęto pierś, czuje się pozbawiona jakiejś integralnej części siebie. Nie jest już tą samą osobą, nie jest już kompletna, wstawią jej sztuczne zęby, nigdy się już po tym przeżyciu nie podniesie.

Przed chwilą wzięła udział w identyfikacji, obejrzała dziesiątki zdjęć. Zrobiła, co jej kazano, była posłuszna, zdyscyplinowana, rozpoznawszy go na zdjęciu, pokazała palcem.

To on.

Jak to wszystko się skończy?

Camille w pojedynkę nie jest w stanie jej ochronić, ale na kogo innego może liczyć w konfrontacji z człowiekiem, który postanowił ją zabić?

Który zapewne chce z tym skończyć. Podobnie jak ona. Każde z nich po swojemu próbuje z tym skończyć.

Anne ociera łzy, sięga po chusteczki higieniczne. Wytarcie złamanego nosa to cała operacja.

13.20

Dzięki zdobytemu doświadczeniu prawie zawsze udaje mi się uzyskać to, czego chcę. W tym momencie sięgam po wyjątkowe środki, ponieważ mi się spieszy, ale również dlatego, że leży to w mojej naturze. Taki już jestem, niecierpliwy i szybki.

Potrzebuję pieniędzy i nie chcę stracić tych, które w pocie czoła zarobiłem. Dla mnie te pieniądze są jak punkty do emerytury, tyle że pewniejsze.

I nie dopuszczę, żeby ktoś pozbawił mnie widoków na przyszłość.

Dlatego zwiększam tempo.

Dwadzieścia minut uważnej obserwacji, a wcześniej krążenia po okolicy najpierw pieszo, potem samochodem, potem znów pieszo. Żywej duszy. Kolejne dziesięć minut obserwuję teren przez lornetkę. Potwierdzam SMS-em swoje przybycie, mijam fabrykę, podjeżdża furgonetka, otwierają się tylne drzwi,

wsiadam i szybko je zamykam.

Wóz stoi na jakimś nieużytku przemysłowym, ten facet zawsze wynajduje takie miejsca, nie wiem, jak on to robi, powinien działać raczej w filmie niż w branży zbrojeniowej.

W środku furgonetki ład jak w głowie informatyka, wszystko jest na swoim miejscu.

Paser zgodził się wypłacić mi drobną zaliczkę, prawie maksimum dopuszczalne w takiej sytuacji. Plus oprocentowanie zasługujące na kulkę między oczy, ale nie mam wyboru, muszę sfinalizować tę sprawę; chwilowo rezygnuję z mossberga na rzecz sześciostrzelnego karabinu wyborowego M40A3 kaliber 7,62. W futerale z pełnym osprzętem, tłumik, luneta Schmidt & Bender, dwa pudełka z amunicją umożliwiającą precyzyjne prowadzenie ognia na dużą odległość, szybko i skutecznie. Z pistoletów natomiast wybieram samopowtarzalnego walthera P99 z magazynkiem na dziesięć naboii, wyposażonego w niesamowicie skuteczny tłumik. Dodatkowo biorę piętnasto-centymetrowy nóż myśliwski Buck Special, zawsze może się przydać.

Panienska miała już przedsmak tego, co potrafię.

Teraz wrzucamy najwyższe obroty, mocne wrażenia dobrze jej zrobią.

13.30

Tak, to Vincent Hafner.

- Dziewczyna jest absolutnie pewna. - Technik Krzysztofiak dołączył do Camille'a i Louisa w małej poczekalni.

Ma dobrą pamięć - dodaje z satysfakcją.

- Chociaż długo ich nie oglądała... - ryzykuje Louis.

- To może wystarczyć, zależy przede wszystkim od okoliczności. Niektórzy świadkowie mogą przez wiele minut patrzeć na obiekt, a godzinę później nie być w stanie go rozpoznać. Inni widzą go przez minutę, ale jego rysy z niewiadomych powodów zapadają im głęboko w pamięć.

Camille milczy, to tak jakby mówiono o nim: jemu wystarczy

wychwycić czyjąś twarz w metrze i dwa miesiące później potrafi ją odtworzyć z dokładnością do jednej zmarszczki.

- Czasami świadkowie wypierają wspomnienia - ciągnie Krzysztofiak - ale jeśli facet spuszcza ci łomot, a potem z bliska strzela do ciebie z samochodu, to raczej dobrze to zapamiętasz.

Nawet jeśli w tych słowach jest odrobina humoru, trudno ją wychwycić.

- Wykluczaliśmy pewne grupy wiekowe, typy fizjonomii itp. Nie ma wątpliwości, to Hafner.

Wyświetla na ekranie zdjęcie mężczyzny kolo sześćdziesiątki, wysokiego, sfotografowanego w pełnej okazałości w momencie aresztowania. Metr osiemdziesiąt, ocenia Camille.

- Osiemdziesiąt jeden - sprawdzając w karcie z rysopisem, precyzuje Louis, który zna swojego szefa, wie nawet, co oznacza jego milczenie.

Camille nakłada w myśli obraz mężczyzny, którego ma przed oczami, na postać napastnika z pasażu Moniera, zamaskowanego, uzbrojonego, który przykładła broń do ramienia i strzela, który wcześniej kolbą wymierzał ciosy w głowę, w brzuch... Przełyka ślinę.

Zdjęcie przedstawia barczystego osobnika o kanciastej twarzy, szpakowatych włosach i jasnych wąskich brwiach akcentujących proste, beznamienne spojrzenie. Stary wyga. Brutal. Camille wygląda jak zahipnotyzowany tą fotografią. Louis widzi, że drżą mu dłonie.

- Jacyś inni? - pyta, zawsze chętny, żeby zmienić temat.

Na ekranie Krzysztofiaka pokazuje się zarośnięta gęba, fotografia en face, oświetlenie antropometryczne, krzaczaste brwi, ponure spojrzenie.

- Pani Forestier przez moment się zawahała. Nic dziwnego, dla nas oni wszyscy są do siebie podobni, można się trochę pogubić. Przejrzała wiele zdjęć, wróciła do tego, chciała zobaczyć jeszcze inne, ale zawsze wybierała to. Wysoce prawdopodobne, że to ten. Nazywa się Duśan Ravie. Jest Serbem.

Camille unosi głowę. Są coraz bliżej. Louis zdążył już wystukać hasło.

- Przebywa we Francji od 1997 roku. - (Błyskawicznie

przerzuca jego akta). - Sprytny. - (Czyta chyba z prędkością światła i jeszcze nadąża z kojarzeniem faktów). - Dwukrotnie zatrzymany, niewystarczające dowody, zwolniony. Nie można wykluczyć, że pracuje z Hafnerem. Opryszków nie brakuje, ale prawdziwych zawodowców jest niewielu, to dość wąskie środowisko.

- A ten gdzie się teraz podziewa?

Louis rozkłada ręce. Gdzie... Od stycznia nie wiadomo, wszelki śluch o nim zaginął, ma na koncie morderstwo, przy swojej doli z poczwórnego skoku ma środki, żeby się na dłużej przyczaić. Pojawienie się gangu, zwłaszcza w tym samym składzie, jest rzeczywiście zaskakujące. Z morderstwem na koncie, a znów startują... Dziwne.

Wracają do Anne.

- Co ze stopniem wiarygodności jej świadectwa?

- Jak zwykle regresywny. Za pierwszym razem wysoki, za drugim znaczny, przy trzecim byłby jeszcze niższy.

Camille wierci się niecierpliwie. Louis przeciąga rozmowę, licząc, że szef odzyska panowanie nad sobą, ale po wyjściu technika widzi, że nic to nie dało.

- Muszę mieć tych facetów - mówi spokojnie Camille, kładąc płasko dłonie na stoliku. - Muszę ich mieć natychmiast.

Louis, zamyślony, przytakuje: skąd w nim ten napęd do działania, to zaślepienie?

Camille przygląda się obu profilom.

- Tego poszukam najpierw - mówi, wskazując na zdjęcie Hafnera. - To on jest niebezpieczny. Zajmę się tym.

Powiedział to z taką determinacją, że Louis, który ma już w tych sprawach doświadczenie, przeczuwa bliskość katastrofy.

- Proszę posłuchać... - zaczyna.

- A ty - przerywa mu Camille - ty zajmiesz się Serbem. Zobaczę się z Michard i z sędzią i załatwię nakazy. Póki co skontaktuj się z wszystkimi wolnymi chłopakami. Zadzwoni w moim imieniu do Jourdana, poproś, żeby wypożyczył nam ekipę. Idź też do Hanola, popytaj wszystkich, będę potrzebował ludzi.

Wobec tego zalewu coraz bardziej mętnych poleceń Louis

odsuwa kosmyk z czoła. Lewą ręką. Camille to zauważył.

- Rób, co mówię - prosi łagodnym głosem. - Ja cię kryję, nie masz się co bać o przyszłość...

- Nie boję się. Tyle że łatwiej pracować, kiedy się rozumie.

- Wszystko już zrozumiałeś, Louis. Co mam ci powiedzieć, o czym byś jeszcze nie wiedział?

Trzeba niemal wytężyć słuch, żeby usłyszeć, co mówi. Nakrył swoją ciepłą ręką dłoń zastępcy. Nie mogę tego spieprzyć... rozumiesz? (Jest wzruszony, ale zachowuje opanowanie). Więc przetrząśniemy środowisko.

Louis kiwa głową, zgoda, nie jestem pewny, czy wszystko rozumiem, ale zrobię, co pan każe.

- Informatorzy - ciągnie Camille - kable, dziwki, ale przede wszystkim uderzamy w nielegalnych.

To znani policji, figurujący w kartotece imigranci bez dokumentów, ludzie, na których przymyka się oko, ponieważ stanowią nieocenione źródło wszelkiego rodzaju przecieków. Informacja albo bilet powrotny - to bardzo owocna alternatywa. Jeśli Serb zachował kontakty ze swoimi (a jakby inaczej), namierzenie go jest kwestią nie dni, tylko godzin.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej dokonał spektakularnego skoku... Jeśli z poczwórnym napadem i morderstwem na koncie nie opuścił Francji, to znaczy, że miał powód, żeby zostać.

Louis odsuwa kosmyk z czoła. Prawą ręką.

- Przygotuj błyskawiczną operację - kończy Camille.

Jak tylko dostanę zielone światło, zadzwonię. Ja dołączę po drodze, ale będę uchwytyną na komórkę.

14.00

Camille siedzi przed ekranem.

Akta „Vincent Hafner”.

Sześćdziesiąt lat. Z czego łącznie czternaście spędzone za kratkami. W młodości ima się różnych zajęć (włamania, haracze, sutenerstwo), lecz dopiero w 1972 roku, w wieku

dwudziestu pięciu lat, napadając na opancerzoną furgonetkę w Puteaux, odkrywa swoje prawdziwe powołanie. Są drobne komplikacje, zjawiają się gliny, jedna osoba ranna, wyrok: osiem lat. Odsiaduje dwie trzecie i wyciąga z tego doświadczenia wnioski: naprawdę lubi tę robotę. Wpadł tylko przez nieostrożność, więcej go nie złapią. W rzeczywistości i owszem, łapią go kilka razy, ale zarabia tylko pomniejsze wyroki, tu dwa lata, tam trzy. Ogólnie biorąc, można powiedzieć: piękna kariera.

A poczynając od 1985 roku - koniec aresztowań. W dojrzałym wieku Hafner osiągnął mistrzostwo w fachu. Podejrzewany o jedenaście napadów ani razu nie został zatrzymany, poddany przesłuchaniu, zawsze zero dowodów, żelazne alibi, niepodważalne zeznania. Artysta.

Hafner jest bossem, prawdziwym bossem, jego dokonania to potwierdzają, takim, z którym nie ma żartów. Znakomicie poinformowany, starannie przygotowuje swoje skoki, ale jak już wkroczy do akcji - musi się dziać. Ofiary ranne, bite lub katowane, nieraz ciężkie obrażenia - nie ma trupów, ale trwale okaleczonych nie brakuje. Po spotkaniu z Hafnerem całe to towarzystwo kuleje, utyka, chodzi o kulach, nie sposób zliczyć zmasakrowanych twarzy i lat spędzonych na rehabilitacji. Technika jest prosta: dając wycisk pierwszej z brzegu osobie, chce wymusić respekt, reszta od razu zrozumie, a potem wszystko już pójdzie o wiele lepiej.

Wczoraj pierwsza z brzegu była Anne Forestier.

Skok w pasażu Miniera pasuje do jego profilu. Szkiejąc na marginesie swojego bloku twarze Hafnera, Camille przegląda jednocześnie zeznania z jego poprzednich spraw.

Przez długie lata Hafner bazuje na niewielkiej rezerwie tuzina chłopaków, z której czerpie w miarę swoich potrzeb oraz ich dyspozycyjności. Camille szybko oblicza, że z tego grona średnio trzy osoby siedzą zwykle w więzieniu, w areszcie tymczasowym lub przebywają na warunkowym zwolnieniu. Hafner najczęściej się wymyka. Ale do napadu, podobnie jak do każdego przedsięwzięcia, trudno jest pozyskać stabilny i wykwalifikowany personel. W tej dziedzinie liczba strat

przewyższa nawet średnią w branży. W ciągu kilku lat co najmniej sześciu dawnych członków „gangu Hafnera” łąduje na złomie, wypada z obiegu. Dwóch dostaje dożywocie za zabójstwo, dwaj zostają zlikwidowani (bliźniacy, trzymali z sobą od początku do końca), piąty po wypadku na motorze jeździ na wózku inwalidzkim, ostatni zostaje uznany za zaginionego w wypadku cessny u wybrzeży Korsyki. Czarna seria dla Hafnera. Skądinąd przez wiele miesięcy nie łączono go z żadnym napadem. Z tego logiczny wniosek, co do tego wszyscy są zgodni: Hafner, który musiał odłożyć sporo kasy, przeszedł w końcu na emeryturę. Pracownicy i klienci jubilerów mogą zapalić świeczkę przed swoim świętym patronem.

Ten poczwórny skok w styczniu jest więc niespodzianką. Tym bardziej że z racji skali jest zupełnie wyjątkowy w karierze Hafnera. Sprawcy napadów rzadko kiedy pracują na akord. Wprost trudno sobie wyobrazić, ile siły fizycznej, nerwów wymaga pojedynczy skok, szczególnie przy metodach tak brutalnych jak metody Hafnera. Potrzebna jest też niezawodna organizacja, a kiedy planuje się obrobić cztery firmy jednego dnia, cztery cele muszą dojrzeć o tej samej porze, muszą się zgadzać odległości między nimi, muszą... Potrzebna jest koniunkcja wielu sprzyjających okoliczności. Nic dziwnego, że tak źle się to kończy.

Camille przegląda teraz zdjęcia ofiar.

Najpierw ofiara z drugiego skoku ze stycznia. Twarz młodego sprzedawcy ze sklepu jubilerskiego na ulicy Rennes po wizycie prawdziwych zawodowców. Około dwudziestu pięciu lat, skatowany tak, że... W porównaniu z nim Anne wygląda niemal jak nietknięta. Spędził w śpiączce cztery dni.

Potem ta z trzeciego. Klient. Powiedzmy. Bardziej wyglądający na okaleczonego weterana pierwszej wojny światowej niż na klienta antykwariatu przy Luwrze. Akta od razu stwierdzają: „stan poważny”. Zważywszy kształt jego czaszki (zainkasował liczne ciosy kolbą strzelby w twarz, to kolejny punkt wspólny z Anne), można się z tym tylko zgodzić: stan poważny.

Ostatnia ofiara. Ta leży w kałuży własnej krwi na podłodze swojego sklepu na ulicy Sèvres. W pewnym sensie czystsza robota: dwa strzały w pierś.

Ten punkt to również rzadkość w karierze Hafnera. Dotąd jego poczynania nie pociągały ofiar śmiertelnych. Tyle że tym razem, przy braku swojej dawnej ekipy, musi układać się z personelem dostępnym na rynku. Wybrał Serbów. Nie najlepszy pomysł. Są odważni, lecz w gorącej wodzie kąpani.

Camille spogląda na swój blok. Pośrodku strony twarz Vincenta Hafnera z antropometrycznego zdjęcia, a wokół niej naszkicowane pospiesznie migawkowe podobizny jego ofiar; największe wrażenie robi odtworzona z pamięci twarz Anne, taka, jak ją ujrzał po raz pierwszy w szpitalu.

Camille wrywa kartkę, zgniata i wyrzuca do kosza. A potem notuje słowo podsumowujące jego ocenę sytuacji.

„Pilne”.

Gdyż Hafner zrezygnował w styczniu ze swojej emerytury - w dodatku z dość przypadkową ekipą - nie bez istotnego powodu.

Nie licząc motywacji finansowej, nie bardzo wiadomo jakiego.

Pilne również dlatego, że nie zadowala się samym powrotem do obiegu. Celem zmaksymalizowania zysku porywa się na poczwórny skok, którego wynik okazuje się dość problematyczny.

Pilne wreszcie dlatego, że zgarnawszy w styczniu pokaźny łup, z czego jemu samemu przypadło w udziale jakieś dwieście czy trzysta tysięcy euro, sześć miesięcy później znów wraca. *Hafner revival*. I jeśli tym razem nie zgarnął tyle, na ile liczył, powtórzy numer, zagrożone jest życie niewinnych ludzi, ostrożność nakazuje wcześniej go złapać.

Każdy by tu wyczuł jakąś niejasność. Camille nie wie gdzie, ale wie, że jest. Coś tu się nie zgadza. Musiało się gdzieś coś zdarzyć.

Jest na tyle doświadczony, by zdawać sobie sprawę, że człowieka takiego jak Hafner bardzo trudno będzie zlokalizować. I że na razie najszybsze i najbardziej owocne będzie znalezienie jego współnika, Ravica.

W nadziei, że wyciągnie się od niego trop, którym będzie można pójść wyżej.

I jeśli Anne ma przeżyć, koniecznie musi to być trop właściwy.

14.15

- Sądzi pan, że to... rozsądne? - niepokoii się przez telefon sędzia Pereira. - (Głos ma trochę niepewny). - W gruncie rzeczy zamierza pan urządzić obławę!

- Ależ nie, panie sędzio, żadną obławę!

Niewiele brakuje, a Camille by się zaśmiał. Nie robi tego, bo sędzia jest zbyt bystry, żeby dać się nabrać na takie sztuczki. Ale jest też wystarczająco zajęty, by zaufać doświadczonym policjantom, kiedy proponują jakieś rozwiązania.

- Przeciwnie, panie sędzio - dowodzi Camille - będzie to łapanka bardzo ukierunkowana. Znamy trzy czy cztery kontakty, do których Ravie mógł się zwrócić o pomoc po tym styczniowym zabójstwie, chodzi tylko o lekkie potrząśnięcie gałęzią, o nic więcej.

- Co na to komisarz Michard? - pyta sędzia.

- Zgadza się - odpowiada krótko Camille.

Jeszcze z nią nie rozmawiał, ale ręczy za jej zgodę. To najstarsza z urzędniczych metod: powiedzieć jednemu, że drugi się zgadza, i vice versa. Jak wszystkie wypróbowane techniki, jest bardzo skuteczna. Właściwie zastosowana jest wręcz niezawodna.

- No dobrze, inspektorze, niech pan działa.

14.40

Wysoki glina nadal stawiał pasjansa w swojej komórce, aż nagle się połapał, że osoba, która właśnie przeszła obok niego, jest tą samą, której ma pilnować. Szybko się podrywa, rusza za nią, wołając, proszę pani, zapomniał jej nazwiska, proszę pani,

ona się nie odwraca, przystaje tylko na chwilę przed pokojem pielęgniarzek.

- Wychodzę.

Brzmi to dość lekko, jakby mówiła do widzenia, do jutra. Wysoki glina przyspiesza kroku, podnosi głos.

- Proszę pani...!

Dyżur ma młoda pielęgniarzka z kolczykiem w wardze. Ta, której się wydawało, że widziała strzelbę, ale potem, że jednak nie. A przecież... Bez słowa biegnie za pacjentką, wymija wysokiego policjanta, jakby przejmując sprawę w swoje ręce, w szkole uczą ich też stanowczości, a zresztą wystarczy pół roku w szpitalu i potrafi się już w życiu wszystko.

Dogania pacjentkę, łagodnym gestem ujmuje ją za ramię. Anne, która spodziewała się pewnych trudności, zatrzymuje się i odwraca. Determinacja w postawie pacjentki, jej stanowczość sprawiają, że młoda pielęgniarzka uznaje sytuację za delikatną. Dar perswazji młodej pielęgniarzki osłabia determinację Anne. Patrzy na kolczyk dziewczyny, na jej wygoloną czaszkę, na jej rysy sugerujące pewną łagodność i kruchość - twarz banalna, ale spojrzenie wiernego psa, którym umie się posłużyć i które powoduje, że człowiek mięknie.

Żadnego otwartego sprzeciwu, żadnej reprimendy ani prawienia morałów, zaczyna z zupełnie innej nuty.

- Jeśli chce pani wyjść, muszę najpierw usunąć pani szwy.

Anne dotyka policzka.

- Nie, nie te - mówi pielęgniarzka - na te jeszcze za wcześnie. Te dwa tutaj.

Ze wzrokiem profesjonalistki, ale i z uśmiechem wyciąga rękę i bardzo delikatnie przesuwa palcami po szwach na głowie Anne. I uznawszy propozycję za przyjętą, prowadzi Anne z powrotem do jej pokoju. Wysoki policjant usuwa się na bok, nie wie, czy ma zawiadomić przełożonych, czy nie, rusza za nimi.

Po drodze zatrzymują się w małej salce zabiegowej naprzeciwko pokoju pielęgniarzek.

- Proszę usiąść... - (Pielęgniarzka wyjmuje narzędzia).

- Niech pani usiądzie - uprzejmie nalega.

Policjant, który został w korytarzu, odwraca wstydliwie wzrok, jakby zastał je obie w toalecie.

- Aj...

Anne natychmiast podskoczyła, choć pielęgniarka ledwie musnęła palcami ranę.

- Boli?

Jej mina wyraża niepokój; to dziwne, a jeśli dotknę tutaj? A tu? Ze zdjęciem szwów lepiej byłoby poczekać, zobaczyć się z lekarzem, możliwe, że zleci nowe prześwietlenie, nie ma pani gorączki? Dotyka czoła Anne, nie boli pani głowa? Anne uświadamia sobie, że znalazła się dokładnie tu, dokąd pielęgniarka chciała ją sprowadzić, że siedzi bezwolna, gotowa wrócić do pokoju. Stąd jej bunt.

- Nie, żadnego lekarza, żadnego prześwietlenia, wychodzę - oświadcza i wstaje.

Wysoki glina sięga po telefon służbowy, zawsze, obojętnie, co się dzieje, dzwoni do swojego szefa po instrukcje. Zrobiłby to nawet, gdyby po przeciwnej stronie korytarza zjawił się uzbrojony po zęby zabójca.

- To nierozsądne - mówi zatroskana pielęgniarka.

- W razie infekcji...

Anne nie wie, co przez to rozumieć, czy rzeczywiście istnieje zagrożenie, czy słowa te mają tylko zrobić na niej wrażenie.

- O, a tak przy okazji - (pielęgniarka przeskakuje z tematu na temat) - nie dostaliśmy jeszcze pani ubezpieczenia. Czy prosiła pani już kogoś o dostarczenie dokumentów? Nalegam, żeby zobaczył panią lekarz albo żeby szybko zrobili pani rentgen, tak żeby pani mogła wyjść możliwie najszybciej.

Ton jest zwyczajny, ugodowy, propozycja jawi się jako dobre rozwiązanie, rozwiązanie rozsądne.

Anne jest wyczerpana, zgadza się i rusza do swojego pokoju ciężkim krokiem, bliska zemdlenia, bardzo szybko się męczy, ale właśnie przypomniało jej się coś innego. Coś nie- / związanego ani z rentgenem, ani z ubezpieczeniem. Zatrzymuje się, odwraca i pyta:

- Czy to pani widziała tego mężczyznę ze strzelbą?

- Widziałam mężczyznę - natychmiast odpowiada pie-

lęgniarka. - Ale nie widziałam strzelby.

Spodziewała się tego pytania. Odpowiedź jest zwykłą formalnością. Od początku tych pertraktacji czuła, że pacjentka umiera ze strachu. Ona nie chce wyjść, ona ucieka.

- Powiedziałabym, gdybym zobaczyła strzelbę. I myślę, że już by pani tu nie było, to nie szpital połowy.

Młoda, ale bardzo fachowa. Anne ani trochę jej nie wierzy.

- Nie - mówi, świdrując ją wzrokiem, jakby odgadywała jej myśli. - Tyle że nie jest pani pewna.

Jednak wraca do pokoju, kręci jej się w głowie, przeliczyła się z siłami, jest wykończona, musi się położyć. Przespać.

Pielęgniarka w zamyśleniu zamyka drzwi. Mimo wszystko ten facet, to coś, co trzymał pod płaszczem, długie, krępujące ruchy... cóż to mogło być?

14.45

Komisarz Michard większość czasu spędza na zebraniach. Camille sprawdził jej terminarz, spotkanie za spotkaniem, przechodzi z jednego zebrania na drugie, idealna sytuacja. W ciągu niecałej godziny zostawił jej na komórcie siedem wiadomości. „Ważne”. „Pilne”. „Niecierpiące zwłoki”. „Priorytetowe”. Wyczerpał w nich niemal cały zasób słownictwa dotyczącego pośpiechu, wywarł maksimum nacisku, spodziewa się agresywnego tonu. Tymczasem ona przeciwnie, jest bardzo cierpliwa, bardzo opanowana. I jeszcze bardziej szczwana, niż sądził. Rozmawia przez telefon szeptem, pewnie wyszła na chwilę na korytarz.

- I sędzia zgadza się na naloty policji?

- Tak - zapewnia Camille. - Właśnie dlatego, że nie chodzi o „naloty” sensu stricto, zamierzamy...

- Inspektorze, ile dokładnie macie obiektów?

- Trzy. Ale wie pani, jak to jest, jeden obiekt prowadzi do drugiego, trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Kiedy Camille ucieka się do takich sentencji, można przyjąć, że goni resztką sił.

- A, „żelazo”... - rozważa pani komisarz.

- Potrzebuję trochę ludzi.

Zawsze kończy się na tym samym, na kwestii środków. Michard głęboko wzdycha. Rzecz w tym, że najczęściej tego, o co cię proszą, nie masz.

- Na niedługo - broni swego Camille. - Trzy, cztery godziny.

- Na trzy obiekty?

- Nie, żeby...

- Wiem, żeby „kuć żelazo”... ale niech mi pan powie, inspektorze, nie obawia się pan odwrotnego skutku?

Michard wie, w czym rzecz, obława robi sporo hałasu, obiekt ucieka, im bardziej się szuka, tym szanse na znalezienie są mniejsze.

- Właśnie dlatego potrzebuję ludzi.

Taka rozmowa może trwać godzinami. Prawda jest taka, że komisarz Michard ma głęboko w nosie to, że inspektor urządzi obławę. Jej strategia polega wyłącznie na tym, żeby sławiąc opór na tyle długo, by móc potem powiedzieć: a nie mówiłam?

- Skoro sędzia się zgadza... - mówi w końcu. - Niech pan się zwróci do kolegów. O ile pan coś wskóra.

Praca kasiarza bardzo przypomina pracę aktora filmowego, siedzi się i czeka, a potem w kilka minut odrabia się całą dniówkę.

Więc czekam. I kalkuluję, antycypuję, odwołuję się do własnego doświadczenia.

Jeśli jej stan zdrowia pozwoli, gliniarze pewnie poproszą ją o identyfikację. Jeśli nie dziś, to jutro, to tylko kwestia godzin, jeśli jest dobrą obywatelką i cokolwiek zapamiętała, pokażą jej zdjęcia i natychmiast wkroczą na wojenną ścieżkę. W tym momencie najłatwiej im będzie pójść tropem Ra- vica. Na ich miejscu tak właśnie bym zrobił. Bo to najprostsza z najpewniejszych technika, umieszcza się w korytarzach pułapki na szczury, a potem wali taranem w drzwi. Robi się mnóstwo hałasu, zastrasza, sztuczka stara jak sama policja.

A najlepszy punkt obserwacyjny znajduje się u Luki. Na

ulicy Tanger. Kwatera główna Serbów. Wszystko to tandetni bossowie, którzy na okrągło rzną w karty, obstawiają wyścigi i siedzą w oparach dymu papierosowego tak gęstych, że wyglądają jak pszczelarze okadzający ule. Lubią wiedzieć, co się dzieje. I kiedy dzieje się coś godnego uwagi, wieść o tym dociera do kafejki z telefoniczną szybkością.

15.15

Verhoeven kazał spuścić psy. Zgromadzić wszystkich na pokładzie. Trochę nawet na wyrost.

Korzystając z tego, że ma zgodę komisarz Michard, zwołuje cały chwilowo dyspozycyjny personel, pod zaniepokojonym okiem Louisa obdzwaniania wszystkich, prosi kumpli o pomoc, tu wypożyczą mu jednego chłopaka, tam dwóch, trochę to zakrawa na łataninę, ale w końcu robi się sporo narodu, nikt za bardzo nie wie, z jakiego tytułu się tu znalazł, Camille wydaje polecenia tak władczym tonem, że nikt o nic nie pyta, a zresztą, powiedzmy sobie szczerze, jest niezła zabawa, nakładamy koguty na dachy radiowozów, śmigamy na pełnym gazie po mieście - potrząśnie się trochę półświatkiem, pogoni kota różnym dilerom, kieszonkowcom, hotelarzom i alfonsom, w końcu, do cholery, czy nie po to człowiek poszedł do policji, żeby się zabawić w kowbojów? Camille powiedział, że to tylko kilka godzin. Porządnie się zmachamy i wrócimy do domu.

Niektórzy z kolegów mają pewne wątpliwości, zdenerwowany Camille podaje mnóstwo powodów, ale niewiele wyjaśnień. Trochę to odbiega od tego, co zrozumieli, myśleli, że chodzi po prostu o nalot na trzy cele jednocześnie, nic więcej, tymczasem Camille przygotowuje operację równie błyskawiczną, lecz na znacznie szerszą skalę, wciąż domaga się więcej ludzi, nikt nie wie, ilu już zdołał zgromadzić, stąd pewien niepokój.

- Jeśli dopadniemy faceta, którego szukamy - tłumaczy Camille - wszystko wróci do normy, przełożeni będą się pu-

szyc, rozdadzą dowódcom wszystkich ekip medale zasługi.

Zresztą to kwestia tylko paru godzin, jeśli się szybko uwinie, zanim szefowie zdążą pomyśleć, w którym lokalu pijemy drinka, będziemy już z powrotem w biurze.

To wystarczy, żeby koledzy ustąpili i dali trochę ludzi. Policjanci wsiadają do wozów, Camille jedzie na czele, Louis zasiada przy telefonie.

Operacji Verhoevena daleko będzie do przykładowej dyskrecji. I o to właśnie chodzi.

Godzinę później w Paryżu nie ma ani jednego opryszka urodzonego między Zagrzebiem a Mostarem, który by jeszcze nie wiedział o gorączkowym poszukiwaniu Ravica. On sam gdzieś się ukrył, policja okadza dymem korytarze i tunele, daje wycisk putanom, zgarnia wszystkich po drodze z wyraźnym uwzględnieniem nielegalnych.

Terapia wstrząsowa.

Wyją syreny, koguty omiatają fasady, w XVIII dzielnicy jedna z ulic zostaje z obu stron zamknięta, z budynku wyskakuje trzech facetów, prosto w ręce policji, Camille stoi przy samochodzie i obserwując scenę, rozmawia przez telefon z ekipą, która właśnie otacza jakąś spelunkę w XX dzielnicy.

Gdyby Camille o tym pomyślał, mógłby poczuć nostalgię. Kiedyś w podobnej sytuacji - mówimy tu o czasach Wielkiej Ekipy, brygady Verhoevena - Armand zamykał się w archiwum, na kratkowanych stronicach wielkiego zeszytu wynotowywał setki nazwisk z podobnych spraw i dwa dni później podawał dwa, które mogły posunąć cię o krok do przodu. A w tym czasie Maleval, jak tylko się Louis odwrócił, skopywał tyłki wszystkiemu, co żywe, lał dziwki po pyskach, a kiedy już miałeś mu zwrócić uwagę, dostarczał decydujące zeznanie, które pozwalało ci zyskać trzy dni.

Ale Camille o tym nie myśli. Jest skupiony na działaniu.

Skacząc po kilka stopni naraz, pokonuje schody różnych obskurnych hotelików w towarzystwie gliniarzy, którzy przerywają schadzki, wyplaszają zawstydzonych mężów z gołymi fiutami, wyciągają spod nich dziwki, szukamy Dušana Ravica, jego, jego rodziny, kogokolwiek, nawet kuzyn się

nada, ale nie, nic im to nie mówi, więc przesłuchuje się je dalej, tymczasem klienci w pośpiechu wciągają spodnie, licząc, że uda im się niepostrzeżenie wymknąć, najedli się strachu jak nigdy, dziewczyny mają gołe piersi, bardzo małe, tycie, spod skóry widać im kości miednicy, Ravie?, nic im to nie mówi. Duśan? - powtarza jedna z nich, jakby nigdy nawet nie słyszała takiego imienia, ale jednak się boją, to widać. Camille mówi: spadamy. Chce napędzić stracha wszystkim, a nie ma na to zbyt wiele czasu. Dwie godziny. Trzy, jak wszystko dobrze pójdzie.

Dalej, na północy, przed podmiejskim domkiem czterech policjantów sprawdza przez telefon adres u Louisa, po czym bez pukania, z bronią w ręku wchodzi, wszystko fruwa w powietrzu, znajdują dwieście gramów haszyszu. Duśan Ravie? Nikt go nie zna, zostaje sprowadzona cała rodzina oprócz starców, mimo wszystko sporo tego jest.

Camille, którego wóz na sygnale prowadzi as kierownicy, ani przez chwilę nieschodzący z czwartego biegu, nie wypuszcza komórki z ręki, jest w stałym kontakcie z Louistem. Rozkazy inspektora i nacisk na ekipy sprawiły, że jego eks-cytacja udzieliła się wszystkim.

Na komisariat XIV dzielnicy przywożą trzech młodzianów z Kosowa, Duśan Ravie?, na migi pokazują, że nie znają, to się jeszcze okaże, na razie trochę się ich przeczółga, niech ob-wieszczą światu Dobrą Nowinę: gliny szukają Ravica.

Camille dostaje wiadomość, że na komisariacie XV dziel-nicy mają dwóch kieszonkowców z Pozarevacu, sprawdza to u Louisa, który sprawdza to na mapie Serbii. Pozarevac leży na północnym wschodzie, Ravie jest z Elemiru na północy, ale nigdy nie wiadomo. Camille daje znak, spadamy. Prze-straszyć. Wywrzeć presję.

Louis z niezmałym spokojem udziela przez telefon wszystkim odpowiedzi, w głowie sporządził plan Paryża, sklasyfikował miejsca, ustalił hierarchię grup mogących do-starczyć informacji.

Ktoś zadaje Camille'owi pytanie, przez sekundę zastanawia się nad tym pomysłem i odpowiada tak, a wtedy zgarniają

również akordeonistów z metra, wyciągają ich nawet z wagonów, kopniakami w tyłek wyganiają z pociągu, akordeoniści ściskają w kieszeniach płócienne mieszki, w których brzęczą monety. Duśan Ravie? Tępe spojrzenia, policjant chwyta jednego z nich za mankiet, Duśan Ravic, ten kręci głową, że nie zna, mruga oczami, dostawicie mi go do domu, rzuca Camille i wychodzi na świeże powietrze, bo na dole komórka nie ma zasięgu, spogląda z niepokojem na zegarek, ale nic nie mówi. Zastanawia się, ile ma jeszcze czasu, nim dobierze mu się do skóry komisarz Michard.

Godzinę temu gliniarze bez ostrzeżenia wylądowali u Luki. Zgarnęli co trzeciego chłopaka, nie bardzo wiadomo, czym się kierując, być może nawet sami nie wiedzą. Ich celem jest zasianie paniki. A to dopiero początek. Dobrze to skalkulowałem, za niespełną godzinę cała wspólnota zostanie wyrzucana do góry nogami, szczury rozpierzchną się na wszystkie strony, zaczną szukać dróg wyjścia.

Mnie w zupełności wystarczy jeden szczur. Duśan Ravie.

Teraz, kiedy rozpoczęła się operacja, nie mam czasu do stracenia. Jadę przez cały Paryż, docieram na miejsce.

Mała uliczka w XIII dzielnicy między ulicami Charpier i Ferdinand-Conseil, prawie zaułek. Budynek z zamurowanymi oknami na parterze, jego dawna brama wejściowa wieki temu poszła z dymem, zastąpiła ją plansza ze sklejki zniszczona przez deszcze, bez zamka, bez klamki, trzaskająca dniami i nocami, dopóki ktoś nie zdecyduje się czymś jej podeprzeć, wtedy jako tako się trzyma, do przyścia następnego gościa lub mieszkańca, kiedy znów zaczyna obsesyjnie trzaskać. A korowód ludzi jest tu permanentny, ćpuny, dilerzy, zatrudnieni na czarno, całe rodziny. Spędziłem tu wiele dni (i sporo nocy), niepotrzebnie się ukrywając, znam tę ulicę jak własną kieszeń. I tak jej nienawidzę, że bez sekundy wahania mógłbym ją całą wysadzić dynamitem.

To tutaj przyprowadziłem Ravica, grubego Duśana, któregoś styczniowego wieczoru w czasie przygotowań do Wiel-

kiego Historycznego Skoku. Przed budynkiem rozciągnął w uśmiechu swoje grube wargi.

- Jak mam cizię, tu ją przyprawdam.

„Cizię”... Co za debil. Dziś już żaden Francuz nie ośmieliłby się czegoś takiego powiedzieć. Do tego trzeba być Serbem.

- Cizię... - powtórzyłem. - Którą cizię?

Mówiąc to, przyglądałem się miejscu, można sobie wyobrazić, jakiego rodzaju dziewczynę się tu sprowadza, skąd taka pochodzi i co z nią można zrobić. Cały Ravier.

- Nie jedną cizię - powiedział Ravier.

Cieszył się, że może wypaść na pogromcę serc. Ze może podać szczegóły. To, co należało przez to zrozumieć, było bardzo proste: ten bałkański debil korzystał z barłogu w tej obskurnej ruderze, żeby przelatywać płatne dziwki, a miał na to środki.

Ostatnimi czasy jego życie seksualne chyba nie za bardzo kwitło, bo od dawna go tu nie było - wystarczająco długo się ukrywał, żeby to wiedzieć - i zapewne nie ma najmniejszej ochoty tu wrócić. Do takich miejsc nikt dla własnej przyjemności, chyba że z cizią, nie przychodzi, tu przychodzi się tylko, kiedy nie ma się innego wyjścia. A jeśli dopisze mi lut szczęścia i jeśli gliny należycie wykonują swoją pracę, nie będzie miał innego wyjścia.

Jeśli potrzęsą porządnie gałęzią, Ravier się zawaha, lecz szybko zrozumie, że tylko w tej nędznej norze nikt nie będzie go szukał.

Odkręciłem tłumik, żeby schować walthera P99 do skrytki na rękawiczki, teraz mogę pójść i napić się kawy, ale za niecałe pół godziny muszę być gotów do działania, bo skoro Ravier musi tu wrócić, chcę być pierwszym, który go przywita.

Przynajmniej tyle jestem mu winien.

Posadzili wielkiego osiłka w pokoju na komisariacie, z papierów wynika, że pochodzi z Bujanovacu, Louis sprawdza, to na samym południu kraju. Duśan Ravier albo jego brat, albo siostra? Nie jesteśmy czepialscy, wszystko, co pomoże nam go

znaleźć, będzie mile widziane, facet nie rozumie nawet, o co się go pyta, trudno, jeden z policjantów posyła mu prawego prostego w ryło. Duśan Ravie? Tym razem rozumie już lepiej, na migi pokazuje, że nie zna, dostaje znowu, Camille mówi: zostaw, nic nie wie. Piętnaście minut później trzy dziewczyny, z czego dwie siostry, aż żal patrzeć, nie mają nawet siedemnastu lat, bez papierów, robią laskę przy Porte de la Chapelle, bez prezerwatywy, jeśli się podwójnie zapłaci, chude, sama skóra i kości. Duśan Ravie? Odpowiadają, że nie znają, trudno, stwierdza Camille i wyjaśnia, że zostaną zatrzymane na maksimum czasu dopuszczalne przez prawo, dziewczyny zaciskają usta, wiedzą, że alfonsi spuszcza im manto proporcjonalne do długości aresztu, nikt nie lubi tracić pieniędzy, kapitał jest po to, żeby krążyć, żeby wędrować po ulicy, dziewczyny zaczynają się trząść. Duśan Ravie? Znow pokazują, że nie, i nie przestają pokazywać tego przez całą drogę do radiowozu... Camille daje koledze dyskretny znak, puść je.

W korytarzach komisariatów słychać wrzaski i lamenty, ci, którzy znają trochę francuski, grożą zawiadomieniem konsulatu, ambasady, akurat, kto by się tym przejmował. Mogą zawiadomić choćby i papieża, jeśli jest Serbem.

Louis, przez cały czas z telefonem przy uchu, rozdziela instrukcje, informuje Verhoevena, przemieszcza ekipy. Kartograf w jego głowie włącza kierunkowskazy, zwłaszcza na północy i północnym wschodzie. Louis lokalizuje, informuje, wydaje dyspozycje. Camille wsiada do wozu. Ani śladu Ravica. Jeszcze nie.

Czy wszystkie dziewczyny są takie chude? Nie wszystkie. Ta z rozpadającej się rudery w XI dzielnicy jest wręcz monstrualnie gruba, trzydzieści lat, dzieciaki płaczą, jest ich co najmniej ósemka, ojciec w samych gatkach, chudy jak szparag, ale choć niewysoki, i tak patrzy na Camille'a z góry, wąsaty, oni wszyscy mają wąsy, przynosi papiery z szuflady w komodzie, wszyscy pochodzą z Prokoplje, Louis przez telefon mówi, że to centrum kraju. Duśan Ravie? Mężczyzna milczy, zastanawia się, nie, naprawdę nie zna, zabierają go, dzieciaki

czepiają mu się nóg, takie dramatyzowanie to właściwie ich praca, za godzinę wszyscy znajdą się na ulicy i z wypisanym flamastrem na kartonie tekstem pełnym błędów ortograficznych, między kościołem Saint-Martin a ulicą Blavière, będą uprawiać żebraninę.

A karciarze - trudno o lepsze źródło informacji. W czasie kiedy kobiety harują, najmłodsze uprawiają nierząd, a pozostałe pilnują dzieci, oni całymi dniami gadają. Camille zjawia się z trójką chłopaków, gracie znużonym gestem rzucają karty na stół, już czwarty raz w tym miesiącu zawraca im się głowę, ale tym razem to karzeł, zapięty pod brodę, w kapeluszu, patrzy wszystkim po kolei w oczy, z dziką i pełną determinacji miną świdruje ich wzrokiem, wygląda, jakby szukał zwady. Ravie? Tak, znają, ale słabo, spoglądają po sobie, widziałeś go? Nie, przykro im, chętnie by pomogli, otóż to, mówi Camille i odprowadza na bok najmłodszego, rośłego faceta, można by pomyśleć, że specjalnie największego wybrał, i tak faktycznie jest, bo wystarczy mu wyciągnąć rękę, żeby złapać go za jaja, wtedy odwraca wzrok, a wysoki chłopak z krzykiem pada na kolana. Ravie? Jeśli ten nic nie mówi, to znaczy, że nic nie wie. Albo że stracił jaja, ryzykuje jeden z policjantów. Dowcipkują. Ale nie Camille, który opuszcza lokal. Wszystkich zgarniają.

Godzinę później policjanci, pochylając głowy z powodu niskiego stropu, schodzą do piwnicy, wielkiej jak magazyn, ale nie wyższej niż metr sześćdziesiąt, osiemdziesiąt maszyn do szycia, osiemdziesięciu zatrudnionych na czarno. W środku gorąco, musi być ze trzydzieści stopni, wszyscy pracują nadzy do pasa, żaden z nich nie ma więcej niż dwadzieścia lat. W kartonach stopy koszulek polo z naszywką „Lacoste”, właściciel chce wszystko wyjaśnić, przerywają mu w pół słowa. Duśan Ravie? To lokalne rzemiosło jest tolerowane, przemyka się oczy, gdyż właściciel dostarcza wielu informacji, tym razem mrużąc oczy, udaje, że szuka w pamięci, chwileczkę, chwileczkę, policjant mówi, że lepiej będzie zawołać inspektora Verhoevena.

Zanim zjawił się Camille, policjanci zdążyli już przewrócić wszystkie kartony, przejąć nieliczne dokumenty, literują Louisowi nazwiska młodych robotników, którzy przywierają plecami do ściany, jakby się chcieli wtopić w kamień. W dwadzieścia minut po nalocie policji w pomieszczeniu robi się tak gorąco, że zostają wyprowadzeni na górę i stoją teraz rządkiem na ulicy sterroryzowani lub pogodzeni z losem.

Camille zjawia się kilka minut później. Jako jedyny nie musi schylać głowy, schodząc na dół po schodach. Właściciel pochodzi ze Zrenjanina leżącego na samej północy, niedaleko Elemiru, rodzinnego miasta Ravica. Ravic? Nie znam. Jesteś pewny? - pyta Camille.

Czuje się, że świerzbi go ręka.

16.15

Zbyttno się nie oddaliłem w obawie, że mógłbym przeoczyć nadejście mojego przyjaciela. Za długo się też ukrywałem, by popełnić błąd taki, jak zapalenie papierosa czy otwarcie okna, żeby przewietrzyć wóz, ale jeśli gruby Ravic ma się tutaj schronić, byłoby dobrze, żeby zjawił się szybko, bo jego stary kumpel pada ze zmęczenia.

W tym momencie gliny poruszają niebo i ziemię, co powinno go już niebawem sprowadzić w te strony.

I oto proszę, ledwie padło jego imię, kogo widzimy wychodzącego zza rogu ulicy? Mojego przyjaciela Dušana, nie do pomylenia z nikim innym, szerokiego jak szafa, z byczym karkiem i z nogami w iksa jak u klauna.

Zaparkowałem trzydzieści metrów od wejścia i jakieś pięćdziesiąt od miejsca, w którym się pojawił. Kiedy tak idzie, lekko zgarbiony, mogę mu się przyjrzeć. Nie wiem, czy ma na składzie jakąś cizję, ale wygląda nietęgo.

Niezbyt heroicznie.

Nie trzeba być jasnowidzem, żeby patrząc na jego ciuchy (ta budrysówka liczy sobie dobre dziesięć lat) i zdeptane buty, domyślić się, że jest bez grosza.

A to bardzo zły znak.

Gdyż po tym, jak się obłowił na styczniowym skoku, miał za co odnowić garderobę. To ten typ, który będąc przy kasie, nakupowałby błyszczących garniturów, hawajskich koszul i butów z jaszczurczej skóry. Jego widok w tak dziadowskim wydaniu budzi spory niepokój.

Ukrywając się po morderstwie i czterech napadach, zmuszony był nie przebierać w środkach. A jego cizia była jednym z najbardziej oczywistych. Człowiek, który szuka schronienia w takim miejscu, musi być naprawdę splukany.

Z czego wniosek, że najprawdopodobniej on też dał się zrobić w konia. Dokładnie tak jak ja. Co było właściwie do przewidzenia, ale to trochę deprymujące. Będę musiał coś z tym zrobić.

Ravie bez wahania otwiera drzwi ze sklejki, które z hukiem się zatraskują, facet do delikatnych nie należy, jest wręcz impulsywny.

Zresztą to z powodu jego porywczosci tak wylądowaliśmy, gdyby wtedy w styczniu nie wpakował dwóch kul 9 mm w pierś jubilera...

Ostrożnie wysiadam, dochodzę do drzwi wejściowych kilka sekund po nim, słyszę jego ciężkie kroki gdzieś po prawej. Lampy pod sufitem już nie ma, korytarz słabo oświetlają plamy światła spod niedomykających się drzwi mieszkań. Na palcach wchodzę za nim po schodach, jedno piętro, drugie, trzecie, to potworne, jak w tym domu cuchnie, moczem, hamburgerami, ziołem. Na podeście poniżej przystaję, słyszę, że puka do drzwi. Trochę się tego obawiałem, że będą ludzie, spotkania to nie ułatwi, wszystko zależy od tego, ilu ich jest.

Na górze otwierają się drzwi, zamykają, wchodzę wyżej, widzę, że mają założony zamek, ale to stary model, da się łatwo otworzyć wytrychem. Najpierw jednak przykładam ucho i słyszę ochryplą od papierosów głos Ravica, dziwne uczucie znowu go usłyszeć. Musiałem się mocno natrudzić, żeby go odnaleźć, wypłoszyć z jego nory.

Tymczasem Ravie na zadowolonego nie wygląda. W środku słyhać zamieszanie. I głos młodej dziewczyny mówiącej

powoli, jakby się skarżyła, ale nie za głośno, raczej jakby jęczała.

Nasłuchuję, znowu głos Ravica, chciałbym się upewnić, że jest ich tylko dwoje, przez długą chwilę stoję tak pod drzwiami, najpierw słysząc tylko łomot własnego serca, wydaje mi się, że w środku są tylko oni, dobra, zakładam czapkę, starannie chowam pod nią wszystkie włosy, wciągam gumowe rękawiczki, sięgam po walthera, odciągam kurek, na czas otwierania drzwi przekładam go do lewej ręki, a słysząc charakterystyczny trzask zapadki, przekładam go z powrotem do prawej, popycham drzwi i widzę ich oboje od tyłu, nad czymś pochylonych, czując za plecami czyjąś obecność, gwałtownie się prostują, odwracają, dziewczyna ma jakieś dwadzieścia pięć lat, brzydka, brunetka.

I martwa. Ponieważ natychmiast posyłam jej kulę prosto w czoło. Dziewczyna wybałusza oczy ze zgorzszą miną, jakby zaproponowano jej cenę znacznie poniżej jej stawki, jakby zobaczyła wchodzącego do pokoju Świętego Mikołaja w kalesonach.

Gruby Ravie szybko wsuwa rękę do kieszeni, jemu z kolei posyłam kulę w lewą kostkę, najpierw podskakuje, przestępuje z nogi na nogę, jakby stał na rozżarzonych węglach, a potem powstrzymując wrzask, zwała się na podłogę.

Teraz, kiedy już ucziliśmy spotkanie, będziemy mogli porozmawiać.

Mieszkanie składa się z jednego pomieszczenia, dość nawet sporego, z aneksem kuchennym, z łazienką, ale wszystko wygląda obskurnie, i brud, aż trudno uwierzyć.

- Coś ta twoja cizia, stary, nie bardzo dbała o porządek.

Od razu zauważyłem niski stolik, a na nim strzykawki, łyżeczki, folia aluminiowa... Mam nadzieję, że cała forsa Ravica nie poszła na heroinę.

Zainkasowawszy kulę, dziewczyna osunęła się na materac. Na jej chudych ramionach widać pokłute żyły. Wystarczyło, że uniosłem jej nogi, żeby spoczęła na pięknym łożu śmierci. Płatanina ciuchów i koców pod nią wygląda bardzo oryginalnie, jak patchwork. Oczy ma wciąż otwarte, ale jej

wcześniej zgorszona mina złagodniała, wygląda na pogodzoną z losem.

Za to Ravie nadal gardłuje. Siedzi na podłodze na jednym pośladku z wyciągniętą nogą, trzyma się za zmiążdżoną kostkę, z której tryska krew, i wrzeszczy: „O kurwa, o kurwa...”. Tutaj hałasami nikt się nie przejmuje, wszędzie włączone telewizory, kłócą się pary, wydziera się dzieciarnia i pewnie też chłopaki, najarawszy się jak mopsy, grywają o trzeciej rano na perkusji. Ale dobrze by było, żeby mój Serb, choćby tylko na potrzeby konwersacji, trochę się skupił.

Przywałam mu kolbą walthera w gębę, żeby skierować jego uwagę na rozmowę, trochę się uspokoił, wciąż trzyma się za nogę, ale już nie krzyczy, jęczy z zamkniętymi ustami. To pewien postęp. Jednak nie jestem pewny, czy mogę na niego liczyć, na jego delikatność, z natury swej do powściągliwych nie należy, raczej jest z tych krzykliwych. Biorę więc jakiś T-shirt, zwijam go i wpycham mu do ust. I żeby mieć naprawdę spokój, jedną rękę przywiązuję mu do pleców. Drugą ciągle próbuje złapać się za zakrwawioną kostkę, ale ma za krótkie ręce, zgina nogę, skręca się, naprawdę okropnie cierpi, nikt by nie powiedział, ale kostka to bardzo wrażliwe miejsce, mnóstwo w niej drobnych kosteczek, wystarczy, że człowiek skręci stopę na schodach, i od razu wyje z bólu, trafiona z kalibru 9 mm, kiedy jest już tylko miazgą mięśnia i potrzaskanych kości wiszącą na kilku ścięgnach, przyprawia o prawdziwe katusze. I bardzo okalecza. Zresztą kiedy strzelam w to, co z niej zostało, wyraźnie widzę, że to żaden teatr, że naprawdę cierpi.

- Całe szczęście, że ta twoja cizia nie żyje, bo byłoby jej przykro oglądać cię w tym stanie.

Ale Ravie nie wiecieć czemu, może aż tak mu na niej nie zależało, zdaje się nią nie przejmować. Jakby myślał tylko o sobie. Atmosfera w pokoju staje cię ciężka, ten smród krwi, smród prochu, uchylę okno. Mam nadzieję, że nie płaci dużo, bo okno wychodzi na mur.

Wracam i pochylam się nad Serbem, jest spocony jak mysz, nic dziwnego, skoro nie może usiedzieć w miejscu, skręca się

na wszystkie strony, zaciska wolną rękę na nodze. Krwawi mu głowa. Mimo knebla z kącików ust ścieka mu ślina. Łapię go za włosy, bo to jedyny sposób, żeby zwrócić jego uwagę.

- Posłuchaj, grubasie, nie zamierzam spędzić tu nocy. Daję ci okazję wypowiedzenia się i doradzam gotowość do współpracy, bo o tej porze do cierpliwych nie należę. Od dwóch dni nie spałem i jeśli mnie kochasz, szybko odpowiesz na moje pytania i tym sposobem wszyscy spokojnie pójną do łóżek, twoja cizia, ty, ja, wszyscy, okay?

Ravie nigdy nie mówił zbyt dobrze po francusku, jego wypowiedzi upstrzone są mnóstwem błędów składniowych i językowych, przy nim trzeba zawsze wyrażać się jasno. Używać prostych słów, przekonujących gestów. Na przykład na poparcie moich życzliwych słów wbijam nóż myśliwski w szczątki jego kostki, ostrze przechodzi na wylot i wbija się w podłogę. Tak czy siak, w podłodze będzie dziura, potracą mu to z kaucji, kiedy będzie zdawał mieszkanie, trudno. Choć zakneblowany, jednak wrzeszczy, zwija się we wszystkie strony jak robak, jego wolna ręka trzepocze w powietrzu niczym skrzydło motyla.

Myślę, że najważniejsze już zrozumiał. Daję mu czas na przyswojenie informacji, zastanowienie się nad sytuacją. I w końcu mówię:

- Moim zdaniem od początku umówiliście się z Hafnerem, żeby mnie wystawić. Ty też musiałeś uważać, że trzech to dużo, że dwóch w zupełności wystarczy. No cóż, to pewne, udziały się wtedy zwiększają.

Ravie spogląda na mnie zza zasłony łez, to nie smutek, tylko ból, ale czuję, że utrafiłem w sedno.

- Ale ponieważ jesteś głupi jak but... Tak, tak, Duśan, jesteś prawdziwym debilem! A myślisz, że dlaczego Hafner cię wybrał, jak nie dla twojej głupoty? Ach, sam widzisz!

Wykrzywia się, wygląda na to, że sprawa tej kostki naprawdę go gnębi.

- Więc pomagasz Hafnerowi mnie wystawić... a potem sam pozwalasz się wystawić. Co tylko potwierdza moją diagnozę: jesteś głupi jak but.

Nie wydaje się, żeby wskaźnik IQ był jego głównym zmartwieniem. W tym momencie przejmuje się tylko swoim zdrowiem, przelicza własne kości. I słusznie, bo stwierdzam, że już samo poruszenie tematu mnie wnerwia.

- Przypuszczam, że nie ścigałeś Hafnera. Facet jest zbyt niebezpieczny, nie czułeś się na siłach, żeby żądać od niego wyjaśnień, to nie ta liga i ty to wiesz. Poza tym miałeś trupa na karku, wolałeś się zamelinować. Ale ja potrzebuję Hafnera. Więc żeby pomóc mi go znaleźć, powiesz wszystko, co wiesz: coście między sobą ustalili, jak potoczyły się sprawy, powiesz mi wszystko, co wiesz, zgoda?

Propozycja wydaje mi się rozsądna. Wyciągam mu knebel, ale wybuchowy charakter natychmiast bierze w nim górę i wrzeszczy coś, czego nie rozumiem. Wolną ręką łapie mnie za szyję, ten kretyn ma uścisk wieśniaka, potwornie mocny, cudem mu się wyrwam. Oto czym kończy się okazanie zaufania.

I pluje mi w twarz.

W tym kontekście jest to zrozumiała reakcja, co nie zmienia faktu, że nieprzyjazna.

Dociera do mnie, że wybrałem niewłaściwą taktykę. Chciałem zachować się jak człowiek dobrze wychowany, ale Ravic to wieśniak, cackanie się z nim nic nie da. Za bardzo cierpi, żeby stawić prawdziwy opór, w gruncie rzeczy to słabeusz, dwoma kopniakami w głowę rozkładał go na ziemi i kiedy próbuje uwolnić się od noża, który przygwaźdża mu nogę do ziemi, ja szukam tego, co mi potrzebne.

Leży na tym jego cizia. Trudno, chwytam koldrę (trzeba być naprawdę niewybrednym, żeby na czymś takim spać), mocno pociągam, dziewczyna przetacza się i ląduje na brzuchu z zadartą spódnicą, nogi ma blade i chude. Kłula się nawet pod kolanami. Tak czy inaczej, jej dni były policzone.

Odwracam się w chwili, gdy Ravicowi udaje się wyrwać nóż tkwiący w jego kostce. Facet jest silny jak tur.

Strzelam mu w kolano, wywołując w nim reakcję, że tak powiem, wybuchową. Z wrzaskiem dosłownie wzbija się w górę, ale nim zdąży dojść do siebie, odwracam go, narzucam

kołdrę i na nim siadam. Szukam odpowiedniej pozycji, nie chcę, żeby się udusił, jest mi potrzebny, ale chcę, żeby się skupił na moich pytaniach. I żeby przestał wrzeszczeć.

Przyciągam jego rękę, to śmieszne uczucie tak na nim siedzieć, człowiek podskakuje jak w wesołym miasteczku albo na rodeo, biorę nóż myśliwski, rozplaszczam jego dłoń na podłodze, ale ten bydlak się rzuca, czuję się jak rybak, który wyciąga dwustufuntową rybę.

Najpierw odcinam mu mały palec. Na wysokości drugiego członku. Normalnie trochę czasu zajmuje należyte oddzielenie kości, ale Ravie nie docenia takiej finezji. Więc poprzestaję tylko na odcięciu, co dla takiego jak ja estety jest bardzo bolesne.

Gotów jestem się założyć, że za niespełna kwadrans Ravie powie mi wszystko, co chcę wiedzieć. Pytam go, ale tylko pro forma, bo wciąż nie jest wystarczająco skupiony, no i z tą kołdrą i ze mną na niej siedzącym, nie mówiąc już o jego kostce i kolanie, nie jest mu łatwo wysławiać się po francusku.

Następnie atakuję palec wskazujący - ale on się rzuca, aż trudno uwierzyć - i wracam myślą do swojej wizyty w szpitalu.

Jeśli intuicja mnie nie myli, za małą chwilkę usłyszę od mojego Serba bardzo złe nowiny.

A wtedy rozwiązanie będzie musiało prowadzić przez tę dziewczynę. Myślę, że to naprawdę nieuniknione. Logicznie rzecz biorąc, teraz ona powinna okazać gotowość do współpracy.

Dla własnego dobra.

17.00

- Verhoeven?

Nawet nie „inspektorze”. Jest zbyt znużona. Żadnych wstępów, zbędnych uprzejmości. Komisarz Michard ma tyle do powiedzenia, że nawet nie wie, od czego zacząć. Więc 7.

nawyku startuje:

- Będzie się pan musiał tłumaczyć...

Do hierarchii odwołują się zawsze ludzie bez wyobraźni.

- Sędziemu pan mówi o „ukierunkowanej” operacji, mnie sprzedaje wersję o „trzech celach” i przeczesuje pan pięć dzielnic, to jakieś żarty czy co?

Camille otwiera usta. Lecz ona, zupełnie jakby to dostrzegła, z miejsca wchodzi mu w słowo:

- Tak czy inaczej, może pan wstrzymać swoją demonstrację siły, inspektorze, jest już niepotrzebna.

Kłapa. Camille zamyka oczy. Wystartował w biegu na czas i oto kilka metrów przed metą dał się wyprzedzić.

Obok niego Louis rozgląda się wkoło, zaciskając usta; on też już rozumiał. Camille jednym palcem potwierdza, że sprawa przepadła, a potem ręką pokazuje, żeby zwolnił ludzi. Louis natychmiast chwyta komórkę. Wystarczy spojrzeć na minę inspektora Verhoevena i wszystko jest jasne. Wokół koledzy spuszczaają głowy z udawanym rozczarowaniem, dostaną opieprz, ale i tak zabawę mieli przednią, niektórzy rozchodząc się do radiowozów, unoszą rękę gestem solidarności, Camille odpowiada im gestem, zda się, rezygnacji.

Komisarz Michard daje mu czas na przetrwanie informacji, ale ta cisza jest tylko antraktem, podstępny i pełnym podtekstów.

Kiedy Anne znowu stoi przed lustrem, do pokoju wchodzi pielęgniarzka. Ta starsza, Florence. Starsza... Na pewno jest młodsza od Anne, poniżej czterdziestki, ale tak bardzo chciałaby wyglądać na dziesięć lat mniej, że ją to postarza.

- Wszystko dobrze?

W lustrze spotykają się ich spojrzenia. Zapisując godzinę na tabliczce wiszącej w nogach łóżka, pielęgniarzka uśmiecha się do Anne. Ja, nawet z takimi ustami, nigdy już nie będę miała takiego uśmiechu, myśli Anne.

- Wszystko dobrze?

Też pytanie! Nie ma ochoty na rozmowę, zwłaszcza z nią. Nie powinna była ustąpić tej drugiej, młodszej. Powinna była wyjść, czuje, że tutaj grozi jej niebezpieczeństwo. A zarazem

nie może się zdecydować, tyle samo powodów przemawia za wyjściem, ile za zostaniem.

No i jest jeszcze Camille.

Jak tylko o nim pomyśli, zaczyna dygotać, jest sam, bezsilny, nigdy mu się nie uda. A jeśli się uda, będzie już za późno.

Ulica Jambier 45, komisarz Michard mówi, że już tam jedzie. W XIII dzielnicy. Camille dotrze na miejsce za kwadrans.

Pod pewnym względem obława przyniosła efekty, nawet jeśli nie te, o które chodziło. Wspólnota Serbów uaktywniła się, chcąc odzyskać spokój, zapewnić sobie dyskrecję niezbędną do prowadzenia interesów, do życia lub zwyczajnie przeżycia, zmobilizowała swoje siatki wywiadowcze, namierzyła Ravica, dla nich to drobiazg, i anonimowy rozmówca doniósł, że na ulicy Jambier znajduje się ciało. Camille liczył na ciało żywe, ale niestety.

Na wieść o przyjeździe policji budynek w mgnieniu oka opustoszał, czmychnęły nawet koty, żadnych świadków, nie będzie kogo przesłuchać, nikogo, kto coś słyszał lub widział. Śledztwo na pustyni. Zostały tylko dzieci, z nimi nie ma ryzyka, a wiele można zyskać, po powrocie wszystko opowiedzą, na razie mundurowi trzymają je z daleka, na chodniku, są hałaśliwe, śmieją się, kłócą, dla nich, niechodzących do szkoły, takie podwójne morderstwo jest jak przerwa w lekcjach.

Na górze w progu mieszkania stoi komisarz Michard ze skrzyżowanymi rękami jak w kościele. Czekając na przyjazd techników z laboratorium, nie wpuści nikogo oprócz Verhoevena, środek ostrożności podjęty bez przekonania i zapewne bezcelowy, w norze tej dziewczyny musiało się przewinać tyle narodu, że skromnie licząc, znajdą co najmniej z pięćdziesiąt odcisków, włosów i zarostu różnego pochodzenia, cóż, zrobi się, co trzeba, ale tylko po to, by procedurom stało się zadość.

Kiedy zjawia się Camille, komisarz Michard nawet na niego nie spojrzy, nie odwraca się, tylko spokojnym, czujnym i

ostrożnym krokiem po prostu wchodzi do środka, a on w ślad za nią. Każde z nich w milczeniu przeprowadza własną analizę sytuacji, sporządza listę rzeczy ewidentnych. Dziewczyna - narkotyki i prostytutka - zginęła pierwsza. Widząc ją leżącą na brzuchu, w pozycji, jakby się dąsała, nietrudno się domyślić, że koc, który skromnie okrywa Ravica, spod niej wyciągnięto, ją samą spychając bezceremonialnie pod ścianę. Gdyby znajdowały się tu tylko te bezkrwiste zwłoki, oglądane tysiące już razy, z oznakami stężenia pośmiertnego, niewiele by zostało do dodania, przedawkowanie lub morderstwo, one wszystkie umierają prawie w tej samej pozycji, ale są jeszcze inne zwłoki, zupełnie inna historia.

Komisarz postępuje kroczykiem naprzód, zatrzymuje się w pewnej odległości od kałuży krwi zastygłej na brudnej podłodze. Kostka, krwawa miazga, trzyma się nogi tylko na kilku strzępach skóry. Odcięta? Odpiłowana? Camille wyjmując okulary, przykuca, uważnie ogląda, szuka wzrokiem po podłodze, nieco dalej dostrzega ślad po kuli, wraca do kostki, znać na niej ślad noża, sztyletu, jak Indianin wypatrujący zbliżającego się wroga nachyla się jeszcze niżej, widzi wyraźny ślad dźgnięcia czubkiem ostrza w parkiet, wstaje, próbując odtworzyć ten fragment sceny. Najpierw kostka, a potem palec.

Komisarz Michard oblicza. Pięć palców. Liczba się zgadza, ale nie kolejność, bo palec wskazujący tu, środkowy tam, kciuk jeszcze dalej, każdy obcięty na wysokości drugiego członu. Bezkrwisty kikut dłoni zwisa bezwładnie obok łóżka. Koc jest nasiąknięty czarną krwią. Koniuszkiem długopisu komisarz Michard go odchyła. Pojawia się twarz Ravica, która wiele mówi o tym, co przeżył.

Wszystko to skończyło się strzałem w kark.

- A więc? - pyta komisarz tonem niemal wesołym. Oczekuje dobrych wiadomości.

- Moim zdaniem - zaczyna Camille - faceci wchodzi...

- Niech pan mi oszczędzi tych swoich popisów, komisarzu, przecież wyraźnie widać, co się stało! Nie, ja chcę wiedzieć, co

pan robi, pan!

Co robi Camille? - zastanawia się Anne.

Pielęgniarka wyszła, zamieniły trzy słowa, Anne zachowywała się agresywnie, tamta udawała, że tego nie zauważa.

- Nic pani nie potrzebuje?

Nie, nie, Anne tylko kręci głową, myśli już o czym innym. Każde spojrzenie w lustro ją załamuje, a zarazem nie może się powstrzymać, by nie patrzeć. Wraca przed lustro, znów się kładzie, znowu wstaje. Teraz, kiedy ma już wszystkie wyniki badań, nie może wysiedzieć w miejscu, ten pokój dręczy ją i przygnębia.

Uciekać. Decyzja zapadła.

Z całą siłą ozywają w niej dawne dziecięce odruchy, żeby uciec, żeby się ukryć. Podobnie jak ofiara gwałtu, wstydzi się. Wstydzi się tego, kim się stała, tego, co przed chwilą oglądała w lustrze.

Co robi Camille? - zastanawia się Anne.

Komisarz Michard cofa się i stawiając stopy dokładnie w tych samych miejscach co przy wchodzeniu, opuszcza pokój. Jak w synchronicznym balecie ich wyjście zbiega się z przybyciem techników. Z racji swojego zwalistego zadka przez mały korytarz komisarz wycofuje się tyłem. W końcu staje na podeście, zakłada ręce i z uśmiechem odwraca się do Camille'a. Teraz słucham.

- Podwójny skok w styczniu był dziełem gangu dowodzonego przez Vincenta Hafnera, a do którego należał też Ravie.

Camille wskazuje kciukiem pokój, który raptem rozjaśniają światła laboratoryjnych projektorów, komisarz kiwa głową, wszystko to już wiemy, ale niech pan mówi dalej.

- Gang reaktywował się i wczoraj zaatakował jubilera w pasażu Moniera. Akcja się powiodła, ale był pewien problem, obecność tej klientki, Anne Forestier. Nie wiem, co oprócz ich twarzy zobaczyła, ale coś tam jeszcze było. Wciąż ją przesłuchujemy, na ile pozwala jej stan, ale nadal nic wiemy co. W każdym razie coś na tyle istotnego, że Hafner

kilkakrotnie próbował ją zabić. Nawet w szpitalu... - (Unosi obie ręce w górę). - Wiem, wiem! Chociaż nie mamy żadnych dowodów jego bytności!

- Czy sędzia zarządził rekonstrukcję napadu?

Od czasu wizyty sędziego w pasażu Moniera Camille o niczym go nie informował. Teraz będzie musiał mu sporo powiedzieć za jednym zamachem.

- Jeszcze nie - odpowiada pewnym siebie tonem. - Ale zważywszy zwrot w tej sprawie, jak tylko świadek będzie w stanie...

- A tutaj? Przyszliśmy uwolnić Ravica od jego części łupu?

- Przyszliśmy, żeby zmusić go do mówienia. Możliwe, że o łupie...

- Ta sprawa budzi wiele wątpliwości, inspektorze Verhoeven, ale koniec końców mniej niż pańska osobista postawa.

Camille zmusza się do uśmiechu, doprawdy wszystkiego już próbował.

- Możliwe, że trochę się pospieszyłem...

- „Pospieszyłem”? Pan postępuje wbrew wszelkim zasadom, twierdzi pan, że chodzi o drobną operację, a w rzeczywistości, nie pytając nikogo o zdanie, urządza pan obławę na całą trzynastkę, osiemnastkę, dziewiętnastkę i połowę piętnastki.

Dla spotęgowania efektu na moment milknie.

- To wyraźne przekroczenie uprawnień od sędziego.

To musiało nastąpić, ale jak zawsze następuje za wcześnie.

- Oraz od przełożonych. Wciąż czekam na pański raport, zachowuje się pan jak wolny elektron. Za kogo się pan ma, inspektorze Verhoeven?

- Wykonuję swoją pracę.

- Jaką pracę?

- „Chronić i służyć”. Chronić!

Camille odsuwa się trzy kroki, bo najchętniej skoczyłby jej do gardła.

- Zbagatelizowała pani tę sprawę - mówi. - To nie tylko sprawa tej kobiety, którą okrutnie poturbowano. Napastnicy to recydywiści, pierwszego człowieka zabili w styczniu w trakcie poczwórnego skoku. Ich boss, Vincent Hafner, to

prawdziwy oprych, a do pomocy ma Serbów, którzy też do subtelnych nie należą. Nie wiem jeszcze, z jakiego powodu, ale Hafner próbuje tę kobietę zabić i choć nie chce pani tego słuchać, jestem święcie przekonany, że zjawił się w szpitalu ze strzelbą. Jeśli nasz świadek zostanie sprzątnięty, będziemy się musieli z tego tłumaczyć, z panią na czele!

- Zgoda, ta kobieta jest niezmiernie ważna, a żeby ubiec zagrożenie, którego nie potrafi pan udowodnić, zgarnia pan w Paryżu wszystkich urodzonych między Belgradem a Sarajewem.

- Sarajewo leży nie w Serbii, tylko w Bośni.

- Słucham?

Camille przymyka oczy.

- Zgoda - przyznaje - popełniłem błąd, mój raport...

- Rzecz już nie w tym, inspektorze.

Verhoeven marszczy brwi, jego wewnętrzny alarm zaczyna gorączkowo migotać. Dobrze wie, jak daleko może się posunąć komisarz Michard, jeśli zechce.

- Robiąc taki hałas, wypłoszył go pan z lasu, inspektorze - ciągnie, ruchem głowy pokazując pokój, w którym spoczywa ciało Ravica. - W rzeczywistości ułatwił pan pracę zabójcy.

- Nie jest powiedziane.

- Nie, ale taka kwestia istnieje. W każdym razie brutalna operacja przeczyszczenia terenu ograniczona wyłącznie do przedstawicieli mniejszości etnicznych, zorganizowana bez zgody przełożonych, przy przekroczeniu uprawnień uzyskanych od sędziego, ma swoją nazwę, inspektorze.

Szczerze mówiąc, takiego podejścia do sprawy Camille nie przewidział. Blednie.

- To się nazywa rasistowska nagonka.

Camille zamyka oczy. Katastrofa.

Co robi Camille? Anne nie tknęła posiłku, salowa, dziewczyna z Martyniki, i tak go przyniosła, trzeba jeść, nie wolno się poddawać, Anne czuje nagły przypływ agresji do całego świata. Przed chwilą na słowa pielęgniarki: „Wszystko będzie

dobrze, zobaczy pani”..., odpaliła:

- Już to widzę!

Tamta mówiła to ze szczerego serca, naprawdę chciała pomóc, Anne postąpiła źle, odrzucając jej dobrą wolę, jej chęć pomocy. Ale ponieważ pielęgniarka zareagowała klasycznym chwytem, cierpliwym milczeniem, Anne zaatakowała:

- A panią już ktoś kiedyś zmasakrował? Próbował zabić ciosami kolby, kopniakami? Często do pani strzelano ze strzelby myśliwskiej? No, niech pani o tym opowie, czuję, że to mi na pewno pomoże...

Kiedy Florence ruszyła do wyjścia, Anne zawołała ją i powiedziała z płaczem: Przepraszam, tak mi przykro, pielęgniarka machnęła ręką, pokazując, że nie ma sprawy.

Ma się wrażenie, że te kobiety zniosą chyba wszystko.

- Chciał pan dostać tę sprawę, wystąpił o nią, powołując się na informatora, którego nie potrafi pan dostarczyć. A swoją drogą, skąd pan się dowiedział o tym napadzie, inspektorze?

- Od Guérina.

Rzucił to bez namysłu. Nazwisko pierwszego kumpla, który przyszedł mu do głowy. Nie mógł wymyślić nic innego, zdał się na opatrność, ale z opatrnością jest jak z homeopatią, jeśli się w nią nie wierzy... Skutek bywa katastrofalny. Będzie musiał zadzwonić do Guérina, ale ten mu nie pomoże, jeśli ryzyko będzie zbyt duże.

- A Guérin, jak on się o tym dowiedział? - pyta zamyślona komisarz. I zaraz się poprawia: - To znaczy dlaczego akurat panu o tym powiedział?

Coraz bliższa perspektywa zmusza Verhoevena do podbicia stawki, co zresztą robi przez cały czas, od samego początku.

- Tak jakoś wyszło...

Wyczerpał już wszystkie pomysły. Komisarz Michard zdaje się coraz bardziej interesować tą sprawą. Odbiorą mu ją. Może nawet gorzej. Groźba poinformowania prokuratury, wszczęcia dochodzenia przez Główny Inspektorat Służb Policyjnych staje się coraz bardziej realna.

Na ułamek sekundy przed jego oczami pojawia się obraz pięciu obciętych palców, to palce Anne, od razu je poznaje. Zabójca jest już w drodze.

Komisarz Michard przetacza swój wielki zadek na podest, pozostawiając Camille'a sam na sam z jego myślami.

Camille podziela jej zdanie: niewykluczone, że pomógł zabójcy znaleźć Ravica, ale chcąc działać szybko, nie miał innego wyjścia. Hafner chce się pozbyć wszystkich świadków i uczestników skoku w pasażu Moniera: Ravica, Anne, a zapewne wkrótce też i ostatniego figuranta, kierowcy...

We wszystkich tych przypadkach on, Hafner, jest kluczem do sprawy, on patroluje całą tę historię.

Główny Inspektorat Służb Policyjnych, komisarz, sędzia - co będzie, zobaczymy, mówi sobie Camille. Dla niego sprawą absolutnie najpilniejszą jest ochrona Anne.

Przypomina sobie, czego uczyli go w szkole jazdy: jeśli nie weźmiesz zakrętu, są dwa wyjścia. Hamowanie jest niewłaściwą reakcją, istnieje wtedy duże prawdopodobieństwo, że wypadniesz z drogi. Paradoksalnie skuteczniej jest przyspieszyć, lecz do tego trzeba przewyciężyć swój instynkt samozachowawczy, który każe ci się zatrzymać.

Camille postanawia przyspieszyć.

To jedyny sposób wyjścia z groźnego wirażu.

Nie chce myśleć, że to również ten sam sposób, który należy zastosować przed rzuceniem się w przepaść.

A sposobów, w jaki można tego dokonać, nie jest znowu aż tak wiele...

18.00

Za każdym razem, widząc Moulouda Faraouiego, Camille stwierdza, że ma on niewiele wspólnego z facetem, który nazywa się Mouloud Faraoui. Ślady marokańskich korzeni przetrwały w jego rodowym nazwisku, lecz fizycznie rozcięńczyły się w trzech pokoleniach nieoczekiwanych związków i przypadkowych zbliżeń, w chaotycznym tyglu ras, co

zaowocowało zaskakującym efektem. Twarz tego człowieka jest streszczeniem jego historii. Jasny szatyn, prawie blondyn o długim nosie, z kwadratową szczęką naznaczoną szramą po ranie, która musiała swego czasu być bardzo bolesna, nadającą mu wygląd czarnego charakteru, i o lodowatych zielononiebieskich oczach. Trudno określić jego wiek, gdzieś między trzydziestką a czterdziestką. Dla pełnej jasności należałoby przeczytać jego akta i wymienione w nich dokonania, które potwierdzają jego wyjątkowo przedwczesną dojrzałość. W rzeczywistości ma trzydzieści siedem lat.

Jest spokojny, niemal nonszalancki, oszczędny w słowach i ruchach. Sadowi się naprzeciwko Camille'a, nie spuszczać z niego oczu, spięty, jakby oczekiwał, że ten zaraz wyciągnie służbową broń. Jest nieufny. Chociaż niewystarczająco, bo zamiast spokojnie siedzieć u siebie w domu, siedzi teraz tutaj, w rozmównicy zamkniętego zakładu karnego: groziło mu dwadzieścia lat, dostał dziesięć, odsiedzi siedem, a przebywa tu już dwa. Patrząc na niego, Camille czuje, że mimo butnej miny czas mu się okropnie dłuży.

Niespodziewana wizyta gliniarza powoduje, że nieufność Faraouiego sięga zenitu. Siedzi wyprostowany, z założonymi nogami. Obaj nic sobie jeszcze nie powiedzieli, ale liczba informacji, jakie zdążyli już wymienić, jest wręcz nieprawdopodobna.

Już sama wizyta inspektora Verhoevena jest piekielnie skomplikowanym przekazem.

W pudle wszyscy o wszystkim wiedzą. Więzień nie zdążył jeszcze wejść do rozmównicy, a po korytarzach już rozeszła się wieść o wizycie Camille'a. Co glina z kryminalnego może chcieć od sutenera pokroju Faraouiego, oto jest pytanie, i właściwie nieważne nawet, o czym rozmawiają, po zakładzie zaraz zaczną krążyć domysły i hipotezy, od najbardziej racjonalnych po najbardziej niedorzeczne, zależnie od interesów poszczególnych osób oraz od ciężaru gatunkowego obecnych gangów jedne i drugie będą się zderzać jak w gigantycznym flipperze, a potem kłębek będzie się już sam rozwijał.

Oto dlaczego Camille siedzi teraz z założonymi rękami w

rozmównicy i tylko patrzy na Faraouiego. Nic więcej. Praca wykonuje się sama, Camille nie musi nawet kiwnąć palcem.

Lecz jest to milczenie naprawdę przegniatające.

Faraoui siedzi, nic nie mówiąc, czeka, co dalej. Camille ani drgnie. Myśli o tym, jak zapytany przez komisarz Michard wpadł na pomysł, żeby podać nazwisko tego przestępcy. Podświadomie już wtedy wiedział, jak to wykorzysta, chociaż zrozumiał to dopiero później: to najszybszy sposób dotarcia do Vincenta Hafnera.

Zanim dobrnie do końca tej drogi, na którą wkroczył, tego tunelu, czekać go będą ciężkie chwile, w tempie, w jakim przybywa wody w wannie, narasta w nim niepokój, ma dość tej intensywnej obserwacji Faraouiego, wstanie, otworzy okno. Samo już przyjście tutaj potężnie nim tąpnęło.

Oddychać. Oddychać. I będzie musiał znowu tu przyjść...

Myśli również o tym, jak wyskoczył wtedy z tymi „trzema bandami”. Jego umysł działa szybciej od niego, Camille najpierw podejmuje decyzję, a dopiero potem ją rozumie. I teraz to rozumie.

Zegar odlicza sekundy, potem minuty, w zamkniętym pomieszczeniu rozmównicy niedomówienia śmigają z szybkością wibracji.

Faraoui się pomylił, w pierwszym momencie myślał, że chodzi o próbę milczenia, kiedy jedna ze stron czeka, aż druga się odezwie, i vice versa, rodzaj biernego siłowania się, technika dość powszechnie stosowana, ale Faraoui zna reputację inspektora Verhoevena, to nie ten typ gliny, który zniżyłby się do podobnej praktyki. Czyli chodzi o coś innego, Camille widzi, jak Faraoui spuszcza głowę, intensywnie myśli. A że jest inteligentny, dochodzi do jedyne go możliwego wniosku i już zamierza wstać.

Uprzedzając to, Camille nie patrząc, gestem go powstrzymuje. Faraoui, który ma niezawodnego nosa do tego, co mu się opłaca, postanawia podjąć grę. Czas wciąż płynie.

Czekają. Dziesięć minut. Kwadrans. Dwadzieścia minut.

W końcu Camille daje znak. Rozkłada ręce.

- No dobrze. Nie to, żeby mi zbywało czasu...

Wstaje. Faraoui nadal siedzi. A nawet z dyskretnym, prawie niedostrzegalnym uśmiechem opada na oparcie krzesła, jakby chciał się przeciągnąć.

- Traktuje mnie pan jak posłańca?

Camille stoi już przy drzwiach, uderza w nie płasko dłonią, żeby go wypuścić. Odwraca się.

- W pewnym sensie tak.

- A co ja z tego będę miał?

Camille robi zgorszoną minę.

- Jak to... pomogłeś wymiarowi sprawiedliwości swojej ojczyzny! To chyba już coś, nie?

Otwierają się drzwi, strażnik usuwa się, żeby przepuścić Camille'a, który na chwilę zatrzymuje się w progu.

- A właśnie, Mouloud... Ten facet, który cię wtedy zrobił, jak mu było... Cholera, mam jego nazwisko na końcu języka...

Faraoui nie wie, kto go zrobił, poruszył niebo i ziemię, żeby się tego dowiedzieć, ale nic nie odkrył, wszyscy wiedzą, że oddałby cztery lata paki za tę wiedzę. I nikt nawet nie próbuje sobie wyobrazić, co zrobi z tym facetem, kiedy go wreszcie dopadnie.

Uśmiecha się i kiwa głową. Zgoda.

I to jest główny przekaz Camille'a.

Spotkać się z Faraouim to tak, jakby komuś oznajmić: zawarłem właśnie układ z zabójcą.

Jeśli podam mu nazwisko człowieka, który go zrobił, nie będzie mi mógł niczego odmówić.

W zamian za to nazwisko będę mógł go posłać w pościg za tobą, dopadnie cię, nim zdążysz złapać oddech.

Od tej chwili możesz zacząć odliczać sekundy.

19.30

Camille siedzi przy biurku, koledzy zaglądają do jego pokoju, unoszą rękę gestem powitania, słyszeli już o sprawie, nic dziwnego, wszyscy tylko o nim teraz mówią. Tym, którzy wzięli udział w „rasistowskiej nagonce”, nic nie grozi, ale

takie hasło krąży, komisarz Michard rozpoczęła już swoją krecią robotę. Paskudna sprawa. Ale co ten Camille knuje? Nikt nic nie wie. Nawet Louis prawie nic nie powiedział, więc krążą już domysły, glina takiej rangi, podobno coś przeszkobał, jedni są zaskoczeni, inni zdziwieni, wiadomo już, że komisarz jest wściekła, a to jeszcze nic w porównaniu z sędzią, tylko patrzeć, jak wszystkich wezwie na dywanik. Dzisiaj po południu nawet do inspektora generalnego Le Guena strach było podejść, a tu niespodzianka, jak ktoś zajrzy do jego gabinetu, zobaczy Verhoevena, który, spokojny niczym baptysta, zdaje raport jak gdyby nigdy nic albo jakby sprawa tego napadu i komanda zabójców była jego prywatną działką. Nic z tego nie rozumiem, a ty? Ja też nie. Mimo wszystko to dziwne. Ale ludzie długo tego nie walcują, wzywają ich już inne sprawy, na dole słychać zamieszanie, w korytarzach jakieś głosy. Tutaj pracuje się dzień i noc, bez chwili wytchnienia.

Camille musi zasiąść do tego raportu, spróbować zminimalizować rozmiary szykującej się katastrofy. Potrzebuje tylko trochę czasu, bardzo niewiele, jeśli jego strategia okaże się owocna, wkrótce dopadnie Hafnera.

Tylko dzień lub dwa.

I taki jest cel jego raportu. Zyskanie dwóch dni.

Jak tylko Hafner zostanie namierzony i zatrzymany, wszystko się wyjaśni, wątpliwości wokół tej sprawy ustąpią, Camille tłumaczy się, usprawiedliwia, dostaje służbowy list polecony z ostrzeżeniem: może to oznaczać zdjęcie z urzędu, wstrzymanie awansu do końca pracy zawodowej, możliwe nawet, że będzie zmuszony poprosić - lub przystać - na przeniesienie, nieważne: kiedy Hafner trafi za kratki, Anne będzie bezpieczna. A reszta...

W chwili gdy już ma zasiąść do pisania tego delikatnego tekstu (Camille i raporty...), przypomina mu się strona z bloku rysunkowego, którą wcześniej wyrzucił. Wstaje, wyciągają z kosza. Twarz Hafnera, twarz Anny na szpitalnym łóżku. Wyglądając jedną ręką zmiętą kartkę na swoim biurku, drugą sięga po telefon i dzwoni do Guérina, zostawia

mu wiadomość, trzecią już tego dnia. Jeśli Guérin od razu nie oddzwania, to znaczy, że nie chce. Za to inspektor generalny Le Guen od wielu godzin szuka Camille'a. Wszyscy wszystkich szukają. Cztery wiadomości z rzędu: „Co ty wyrabiasz, Camille! Zadzwoń!”, wścieka się. A jest naprawdę o co. Ledwie Camille zaczyna swój raport, jego komórka znów wibruje. Le Guen. Tym razem odbiera i zamykając oczy, czeka na lawinę.

Tymczasem Le Guen przeciwnie, cichym, spokojnym głosem mówi:

- Nie sądzisz, Camille, że powinniśmy się spotkać?

Camille może odpowiedzieć tak lub odpowiedzieć nie. Le

Guen jest jego przyjacielem, jedynym, który mu pozostał po wszystkich jego życiowych zawirowaniach, jedynym zdolnym zmienić kierunek drogi, na którą wstąpił. Ale Camille milczy.

Znalazł się w jednym z tych przełomowych momentów, które mogą - lub nie - uratować życie, a milczy.

Nie to, żeby nagle poczuł się masochistą lub miał samobójcze ciągoty. Przeciwnie, umysł ma niezwykle jasny. Na czystym kawałku kartki z bloku trzema pociągnięciami szkicuje profil Anne. Tak samo szkicował Irène, kiedy tylko miał wolną chwilę, to był u niego odruch, jak u innych ogryzanie paznokci.

Le Guen swoim najbardziej perswazyjnym, wyważonym tonem próbuje przemówić mu do rozsądku:

- Przez całe popołudnie rozrabiałeś, ludzie pytają, czy szukamy terrorystów, zakłócasz wszystkie istniejące układy. Informatorzy podnoszą krzyk, że się ich bierze za zdrajców. Twoi koledzy przez cały rok urabiają tych ludzi, a ty im psujesz szyki. W trzy godziny rujnujesz ich całoroczną pracę, a zabójstwo tego Serba, jak mu tam, Ravica, jeszcze bardziej ją utrudni. Teraz musisz mi powiedzieć, co jest naprawdę grane.

Camille nie podjął rozmowy, patrzy na swój rysunek. Równie dobrze mogła to być inna kobieta, rozmyśla, a jest Anne. I w jego życiu, i w pasażu Moniera. Dlaczego właśnie ona, a nie inna? Nie wiadomo. Poprawiając na rysunku zarys

ust Anne, Camille mógłby niemal poczuć ich soczystość, pociągnięciem ołówka podkreśla to miejsce pod brodą, które go tak rozczula.

- Słuchasz mnie, Camille?

- Tak, Jean, słucham cię.

- Nie jestem pewny, czy da się jeszcze coś zrobić. Mam duże trudności z uspokojeniem sędziogo. To inteligentny facet i właśnie dlatego nie wolno go traktować jak idioty. A godzinę temu miałem na głowie dyrekcję, ale myślę, że da się jeszcze ograniczyć szkody.

Camille odkłada rysunek, przechyla głowę, próbował poprawić portret Anne i kompletnie go spieprzył. Zawsze tak jest, jeśli coś robić, to od ręki, kiedy zaczyna się poprawiać, fiasko murowane.

I nagle przychodzi mu do głowy coś zupełnie nowego, pytanie tak zaskakujące, że nigdy dotąd go sobie nie zadawał: co będzie ze mną potem? Czego naprawdę chcę? I jak to czasami bywa w dialogach głuchych, którzy nie mogą się ani usłyszeć, ani porozumieć, obaj dziwnym trafem dochodzą do tego samego wniosku:

- Czy to sprawa osobista, Camille? - pyta Jean. - Znasz tę dziewczynę? Osobiście?

- Ale skąd, Jean, co też ci chodzi po głowie?

Le Guen odczekuje bolesną chwilę. Potem wzrusza ramionami.

- Jeśli będą problemy, zaczną drążyć...

Nagle Camille uświadamia sobie, że być może w całej tej sprawie chodzi nie tylko o miłość, że to co innego. Wkroczył na mroczną i wyboistą ścieżkę, nie ma pojęcia, dokąd go zaprowadzi, ale czuje, ale wie, że nie kierowała nim ślepa miłość do Anne.

Do tego, by dalej podążał tą ścieżką, niezależnie od kosztów, skłania go co innego.

W gruncie rzeczy robi ze swoim życiem to, co zawsze robił ze swoimi dochodzeniami; drąży do końca, żeby zrozumieć, jak do tego doszło.

- Jeśli natychmiast się nie wytłumaczysz, Camille - ciągnie

Le Guen - jeśli nie zrobisz tego tu i teraz, komisarz Michard zawiadomi prokuraturę. A wtedy nie obejdziesz się bez wewnętrznego śledztwa...

- Wewnętrznego śledztwa... ale w jakiej sprawie?

Le Guen znowu wzrusza ramionami.

- W porządku. Jak sobie chcesz.

20.15

Camille delikatnie puka do drzwi, brak odpowiedzi, otwiera i widzi Anne z oczami wlepionymi w sufit, siada przy jej łóżku.

Nie odzywają się. Ujmuje jej rękę, Anne nie reaguje, wszystko w niej tchnie bezbrzeżną rezygnacją, kapitulacją. Jednak po paru minutach zupełnie zwyczajnym tonem mówi:

- Chcę wyjść...

Powoli podciąga się na łóżku, podpira na łokciach.

- Skoro nie będziesz operowana, powinni cię wkrótce wypuścić - mówi Camille. - To kwestia jednego lub najwyżej dwóch dni.

- Nie, Camille. - (Anne powoli wymawia słowa). - Chcę wyjść natychmiast, zaraz.

Camille marszczy brwi.

- Zaraz - kręcąc głową, powtarza Anne.

- Nie można ot tak, wyjść w środku nocy. No i potrzebna jest opinia lekarza, recepty i...

- Nie! Chcę wyjść, Camille, słyszysz?

Camille wstaje, powinien ją uspokoić, Anne zaczyna się denerwować. Lecz ona była szybsza, spuściła nogi z łóżka, wstaje.

- Nie chcę tu zostać, nikt mnie do tego nie zmusi!

- Ależ nikt nie chce cię...

Przeceniła własne siły, czuje zawrót głowy, przytrzymuje się Camille'a, siada z powrotem na łóżku, spuszcza głowę.

- Jestem pewna, że tu przyszedł, on chce mnie zabić, na tym nie poprzestanie, wiem to, czuję to.

- Nic nie wiesz, nic nie czujesz! - protestuje Camille.
Użycie siły nic nie da, bo powoduje nią paniczny strach,
głuchy na głos rozumu czy autorytetu. Znowu zaczyna dy-
gotać.

- Pod twoimi drzwiami stoi strażnik, nie może ci się nic stać...

- Daj spokój, Camille! Jeśli nie siedzi akurat w toalecie,
zdobywa punkty na swojej komórce! Nawet nie zauważył, że
wyszłam z pokoju...

- Poproszę o kogo innego. Nocą...

- Co, nocą?

Anne próbuje wytrzeć nos, ale to bardzo bolesna operacja.

- Przecież wiesz... Nocą strach ma wielkie oczy, ale za-
pewniam...

- Nie, niczego mi nie zapewniasz. Właśnie...

Już samo to słowo obojgu sprawia wielki ból. Anne chce
wyjść właśnie dlatego, że Camille nie może zapewnić jej
bezpieczeństwa. Wszystko to jego wina. Anne ze złością rzuca
chusteczkę na podłogę. Camille próbuje jej pomóc, ale ona
niczego nie chce, zostaw mnie, sama sobie poradzę...

- Jak to „sama”?

- Zostaw mnie, Camille, nie jesteś mi już potrzebny. Lecz
mówiąc to, z powrotem się kładzie, utrzymanie się na nogach
nie jest takie proste, zmęczenie bierze górę, Camille unosi
kołdrę. Zostaw mnie, powtarza Anne.

Więc ją zostawia, znowu siada na krześle, próbuje wziąć ją
za rękę, ale jej ręka jest zimna, bezwładna.

Pozycja, w jakiej Anne leży na łóżku, dla Camille’a jest jak
obelga.

- Możesz już iść... - mówi Anne.

Nie patrzy na niego. Odwróciła głowę do okna.

DZIEŃ TRZECI

7.15

Camille od dwóch dni prawie nie zmrużył oka. Ogrzewając dłonie o kubek z kawą, wpatruje się w las za wielkim balkonowym oknem pracowni. To tutaj, w Montfort, przez długie lata, niemal do śmierci malowała jego matka. Potem pracownia stała opuszczona, plądrowana przez złodziei i dzikich lokatorów, Camille zupełnie się o nią nie troszczył, ale nigdy, sam nie bardzo wie czemu, jej nie sprzedał.

Potem któregoś dnia po śmierci Irène postanowił pozbyć się wszystkich rzeczy matki, wszystkich jej obrazów, chodziło o zadawnione z nią porachunki: to z powodu jej nałogu nikotynowego dziś mierzy metr czterdzieści pięć.

Niektóre z płócien Maud Verhoeven trafiły do muzeów za granicą. Camille obiecywał sobie, że pieniędzy zebranych tą drogą też się pozbędzie, ale oczywiście tego nie zrobił. Choć właściwie tak. Kiedy po śmierci Irène powrócił do życia wśród ludzi, wyremontował i na nowo urządził tę pracownię na obrzeżach lasu w Clamart, dawny domek strażnika posiadłości ziemskiej, dziś już nieistniejącej. Kiedyś to miejsce było jeszcze większym odludziem niż teraz, kiedy najbliższe domy stoją już w odległości trzystu metrów, ale jest to trzysta metrów gęstego lasu. Również droga dalej już nie prowadzi, tutaj się kończy.

Odnovił wówczas całe wnętrze, na podłodze położył czerwoną posadzkę w miejsce poprzedniej, z obluzowanymi płytkami, które ślizgały się pod stopami, zrobił łazienkę z prawdziwego zdarzenia oraz antresolę, gdzie urządził swoją sypialnię. Dół zajmuje obszerny salon z otwartą kuchnią, którego jedną ze ścian tworzy wielkie balkonowe okno z wi-

dokiem na skraj lasu.

Podobnie jak w czasach dzieciństwa, kiedy spędzał tutaj całe popołudnia, przyglądając się matce przy pracy, ten wielki las nadal budzi w nim lęk. Dziś jest to lęk dorosłego człowieka i ma w sobie coś regresywnego, bolesnego, a zarazem cudownego. Jedyne tęsknota, na którą sobie pozwala, sprowadza się do tego opalanego drewnem wielkiego i lśniącego żeliwnego pieca, ustawionego pośrodku pokoju, w miejscu poprzedniego, zainstalowanego jeszcze przez matkę i ukradzonego w czasach, kiedy dom stał otworem dla wszystkich.

Jeśli zrobić to nieumiejętnie, całe ciepło idzie do góry, w sypialni na antresoli robi się upał nie do wytrzymania, tymczasem na dole marzną człowiekowi stopy, ale ten wiejski typ ogrzewania podoba się Camille'owi, bo trzeba umieć na to ciepło zasłużyć, napalenie w tym piecu wymaga tyleż uwagi, ile doświadczenia. A on potrafi zrobić to tak, żeby trzymał ciepło całą noc. W najchłodniejsze dni zimy rankiem w pomieszczeniu robi się już rześko, lecz ten wstępny etap, nałożenie drewna i rozpalenie, Camille traktuje jak małe misterium.

Wymienił również dużą część dachu, zastępując go szymbami, które zapewniają stały widok na niebo; gdy się spogląda w górę, ma się wrażenie, że chmury i deszcz spływają człowiekowi prosto na głowę. Kiedy pada śnieg, wygląda to wręcz niepokojąco. Takie przeszklenie dachu niczemu nie służy, wpuszcza tylko światło, ale akurat światła nigdy tu nie brakowało. Le Guen, człowiek praktyczny, odwiedziwszy go tutaj, oczywiście o to zapytał.

- No cóż - odrzekł Camille. - Sam jestem nieduży, ale ambicje mam kosmiczne.

Kiedy tylko może, przyjeżdża do Montfort. Spędza tu urlopy, weekendy, z rzadka kogoś zaprasza. Byli tu Louis i Le Guen, przyjechał też Armand, ale choć nie wynika to ze świadomej decyzji Camille'a, niewiele osób wie o tym miejscu. On sam spędza tu czas głównie na rysowaniu, zawsze z pamięci. Pośród stert szkiców, w setkach bloków

rysunkowych zgromadzonych w salonie znajdują się podobizny wszystkich ludzi, których aresztował, wszystkich zmarłych będących bohaterami jego śledztw, sędziów, z którymi pracował, kolegów, z którymi się widywał, ale ze szczególnym upodobaniem rysował przesłuchiwanym przez siebie świadków, te pojawiające się i odchodzące postaci osłupiałych, zaszokowanych przechodniów, wiedzących wszystko najlepiej gapiów, roztrzęsionych kobiet, rozemocjonowanych młodych dziewczyn, mężczyzn wciąż jeszcze wzburzonych otarciem się przed chwilą o śmierć - są tu prawie wszyscy, dwa, może trzy tysiące rysunków, ogromna, niemająca sobie równej galeria portretów: codzienność policjanta z Wydziału Kryminalnego w interpretacji artysty, którym nie dane mu było zostać. Camille jest rysownikiem, jakich mało, porażającym celnością spojrzenia; jak sam niekiedy mówi, jego szkice są zręczniejsze od niego, i jest w tym trochę prawdy. Do tego stopnia, że w porównaniu z nimi czasem nawet fotografie sprawiają wrażenie mniej wiernych, mniej udanych. Kiedyś, kiedy zwiedzali pałac Salé, Camille spojrzał na Anne i nagle wydała mu się tak śliczna, że mówiąc: nie ruszaj się, wyjął komórkę i zrobił jej zdjęcie, tylko jedno, żeby wyświetlało się, kiedy do niego zadzwoni, a potem i tak sfotografował jeden ze swoich rysunków, trafniejszy, prawdziwszy i bardziej mu się z nią kojarzący.

Jest wrzesień, nie nastąpiły jeszcze chłodne dni, więc przyjechawszy wieczorem, Camille rozpałił w piecu wyłącznie dla samego komfortu ognia, jak to nazywa.

Powinna tu zamieszkać jego kotka, ale ona nie lubi wsi, taka już jest, że uznaje tylko Paryż i nic więcej. Kicię również Camille często rysował. I Louisa. I Jeana. I kiedyś Malewala. Wczoraj wieczorem tuż przed pójściem spać wyjął wszystkie swoje szkice Armanda, znalazł nawet ten, który zrobił w dniu jego śmierci: Armand leży na łóżku z pociągłą i nareszcie spokojną twarzą, za sprawą której wszyscy nieboszczycy są do siebie mniej lub bardziej podobni.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, na skraju tak zwanego podwórka, zaczyna się las. Wraz z nocą nadciąga wilgoć i dziś

rano jego samochód cały jest pokryty rosą.

Bardzo często rysował ten las, a nawet odważył się i malował go akwarelami; nie ma jednak wielkiego wyczucia koloru. Jego specjalnością jest emocja, ruch, uchwycenie tematu na żywo, ale nie jest kolorystą. Jego matka była. On nie.

Dokładnie piętnaście po siódmej dzwoni jego komórka.

Nie odstawiając kubka z kawą, odbiera. Louis przeprasza, że dzwoni.

- Daj spokój - odpowiada Camille. - Mów...

- Pani Forestier nie ma już w szpitalu.

Krótką chwilą milczenia. Gdyby napisać biografię Camille'a, byłaby w dużej mierze historią jego milczenia. Louisa, który go dobrze zna, nadal nurtują pytania. Jakie naprawdę miejsce w jego życiu zajmuje kobieta, która zniknęła? Czy to ona stoi za poczynaniami Verhoevena? Ile w jego postawie jest z egzorcyzmów? W każdym razie milczenie Verhoevena wymownie pokazuje, jak wiele zamieszania spowodowała ta historia w jego życiu...

- Kiedy zniknęła? - pyta w końcu Camille.

- Dokładnie nie wiadomo, dziś w nocy. Pielęgniarka była u niej koło dwudziestej drugiej, rozmawiała, sprawiała wrażenie spokojnej, ale godzinę temu zmienniczka zastała pokój pusty. Większość ubrań zostawiła w szafie, żeby wyglądało, że wyszła tylko na chwilę. Dlatego upłynęło trochę czasu, zanim się okazało, że naprawdę zniknęła.

- Strażnik?

- Twierdzi, że ma problemy z prostatą, jego nieobecności mogą trwać dość długo.

Camille upija łyk kawy.

- Natychmiast wyślij kogoś do jej mieszkania.

- Już tam byłem, przed telefonem do pana. Nikt jej nie widział...

Camille wpatruje się w skraj lasu, jakby stamtąd oczekiwał pomocy.

- Nie wie pan, czy ma jakąś rodzinę? - pyta Louis.

Camille odpowiada, że nie, nie wie. Tak naprawdę ma, córkę w Stanach Zjednoczonych. Próbuje przypomnieć sobie

jej imię. Agathe. Ale nic nie mówi.

- Jeśli pojechała do hotelu - ciągnie Louis - znalezienie jej może trochę potrwać. Ale mogła też zwrócić się o pomoc do kogoś ze znajomych. Pojadę i sprawdzę u niej w pracy.

- Nie, zostaw - mówi Camille z westchnieniem. - Ty zajmuj się nadal sprawą Hafnera. Jest coś nowego?

- Na razie nic, wydaje się, że zniknął na dobre. Ostatni znany adres: nikogo. W miejscach, gdzie zwykle bywał, ani śladu po nim. Żaden ze znanych nam kontaktów nie widział go od początku roku...

- Od styczniowego napadu?

- Tak, mniej więcej.

- Zaszły się gdzieś daleko...

- Tak właśnie wszyscy myślą. Niektórzy nawet przypuszczają, że nie żyje, lecz nie ma na to żadnych dowodów. Mówi się też, że jest chory, ta informacja dość często powraca, ale zważywszy na jego występ w pasażu Moniera, wygląda mi raczej na faceta w pełni formy. Nadal szukamy, ale nie bardzo wierzę...

- Kiedy będą wyniki z laboratorium w sprawie śmierci Ravica?

- Najwcześniej jutro.

Louis na moment taktownie milknie; u niego jest to bardzo szczególny rodzaj milczenia, zarezerwowany na okoliczność trudnych pytań. I pyta:

- Kto zawiadomi komisarz Michard, pan czyja?

- Ja to zrobię.

Odpowiedź padła natychmiast. Zbyt szybko. Camille odstawia kubek do zlewu. Wiedziony niezawodną intuicją Louis czeka na ciąg dalszy. I rzeczywiście:

- Posłuchaj, Louis... wołałbym sam jej poszukać - mówi Camille.

Można się domyślić, że Louis potakuje ostrożnym skinieniem głowy.

- Myślę, że zdołam ją znaleźć... dość szybko.

Przekaz jest czytelny, oznacza: ani słowa o tym komisarz Michard.

- Już jadę, Louis. Wcześniej mam spotkanie, ale zaraz potem przyjeżdżam.

Spływająca mu po plecach kropla zimnego potu nie ma nic wspólnego z temperaturą w pokoju.

7.20

Szybko kończy się ubierać, ale nie może tak wyjechać, to silniejsze od niego, najpierw musi się upewnić, czy wszystko jest pod kontrolą. Wciąż to irytujące wrażenie, że wszystko i zawsze jest w jego rękach.

Na palcach wchodzi na antresolę.

- Już nie śpię...

Wtedy przestaje się skradać, przysiada na brzegu łóżka.

- Chrapałam? - nie odwracając się, pyta Anne.

- Przy złamanym nosie to nieuniknione.

Raptem uderza go jej pozycja. Już w szpitalu odwracała głowę w drugą stronę, do okna, nie chce mnie już oglądać, wyczuwa, że nie jestem w stanie jej ochronić.

- Tutaj jesteś bezpieczna, nic złego nie może cię spotkać.

Anne kiwa głową, nie wiadomo, czy na tak, czy na nie.

Na nie.

- Znajdzie mnie. Przyjedzie.

Odwraca się na plecy i na niego patrzy. Niewiele brakuje, a Camille zwątpiłby w swoje zapewnienia.

- To niemożliwe, Anne. Nikt nie wie, że tu jesteś.

Anne znów tylko kiwa głową. Znaczenie tego gestu nie budzi wątpliwości: mów sobie, co chcesz, i tak mnie znajdzie, przyjedzie i mnie zabije. To się przeradza w obsesję, wymyka się spod kontroli. Camille ujmuje jej dłoń.

- To normalne, że po tym, co cię spotkało, boisz się. Ale zapewniam...

Tym razem jej skinienie głową może znaczyć: jak ci to wytłumaczyć? Albo: odpuść, Camille.

- Muszę już jechać - mówi Camille, spoglądając na zegarek.

- Na dole masz wszystko, co trzeba, widziałas, pokazywałem

ci...

Tak. Jest jeszcze bardzo osłabiona. Nawet w półmroku pokoju trudno nie zauważyć spustoszeń spowodowanych przez wybroczyny i siniaki.

Wszystko jej pokazał, gdzie jest kawa, łazienka, apteczka ze środkami opatrunkowymi. Nie chciał, żeby opuszczała szpital, kto będzie czuwał nad jej stanem zdrowia, kto usunie szwy? Ale nie mógł nic zrobić, rozgorączkowana, nerwowa nie chciała zostać ani chwili dłużej, groziła, że wróci do siebie do domu. Nie mógł jej powiedzieć, że tam na nią czekają, że to zasadzka, co robić, jak to zrobić, dokąd ją zabrać, jak nie tutaj, na to odludzie?

Więc stało się. Anne jest tutaj.

Wcześniej nie było tu żadnej kobiety. Camille odsuwa od siebie tę myśl, bo prawda jest taka, że na dole pod drzwiami wejściowymi zginęła Irène. W ciągu tych czterech lat wszystko się zmieniło, wszystko odnowił, a zarazem wszystko pozostało takie samo. On także „zrobił porządk”. Na tyle, na ile się dało, bo tego nigdy nie robi się naprawdę dobrze, strzępy życia przetrwały tu i tam, kiedy się rozejrzy wokół, wszędzie je widzi.

- Zrób, jak mówiłem - ciągnie - zamk...

Anne nakrywa dłonią jego dłoń. Przy tych usztywnionych szynami palcach w jej geście nie ma nic romantycznego. Chce tylko powiedzieć: już mi to mówiłeś, wszystko zrozumiałam, uciekaj. Camille ucieka. Schodzi z antresoli, wychodzi, zamyka drzwi na klucz, wsiada do samochodu.

Jego sytuacja znacznie się skomplikowała, ale sytuacja Anne jest teraz dużo bezpieczniejsza. Brać wszystko na siebie, nieść cały świat na własnych barkach... Czy przy normalnym wzroście też by się tak do wszystkiego poczuwał?

8.00

Las mnie przygnębia, nigdy go nie znosiłem. A już ten jest chyba najgorszy ze wszystkich. Clamart, Meudon, czyli

nigdzie. Smutne to jak niedziela w rajku. Plansza zapowiada przedmieście, domki jednorodzinne, posiadłości udające rezydencje bogaczy, co to właściwie jest, ni to miasto, ni wieś, ni przedmieście. Peryferie. Ciekawe, czego peryferie? Kiedy się widzi, jak bardzo dbają o te swoje ogrody i tarasy, nie wiadomo już, co budzi większe niedowierzanie, czy odludzie, jakim jest to miejsce, czy zadowolenie, jakie zdają się czerpać z tego mieszkańcy.

Za tymi szeregami domków nie ma już nic, jak okiem sięgnąć tylko las, GPS potrzebuje dwóch godzin na zlokalizowanie ulicy Pave-de Meudon, a po lewej ta ulica de la Mor te-Bouteille³ - kto, na Boga, wymyślił taką nazwę? Nie mówiąc już o tym, że nie da rady tu dyskretnie zaparkować, trzeba jechać hen, na koniec świata, a dalej iść na piechotę.

Ledwo żyję, nie dojadam, jestem wykończony, chcę załatwić wszystko za jednym zamachem. I nie lubię chodzenia. W dodatku po lesie...

Niech się trzyma damulka, już ja jej wygarnę i to zaraz. Mam wszystko co trzeba, żeby zrozumiała. A kiedy załatwię sprawę, pojedę w miejsce, gdzie las jest zabroniony. W promieniu co najmniej stu kilometrów nie chcę widzieć żadnego drzewa, chcę plaży, zabójczych koktajli, kilku partnerów do pokera. Chcę dojść do siebie po tych emocjach. Mam już swoje lata. Kiedy będzie po wszystkim, chcę korzystać z życia, póki jeszcze czas. Dlatego teraz muszę wziąć się w garść, wędrować przez ten idiotyczny las, uważając na wszystko po drodze, to niesamowite, aż trudno uwierzyć, ilu ludzi można spotkać w takiej głuszy, młodzi, starzy, pary, skoro świt towarzystwo rusza w teren, spaceruje, ćwiczy. Spotkałem nawet kogoś na koniu.

Ale im dalej w las, tym mniej narodu. Dom stoi dość daleko na uboczu, jakieś trzysta metrów dalej, droga dochodzi tylko tu, dalej nic już nie ma, tylko las.

Poruszanie się ze strzelbą z lunetą, nawet ukrytą w futerale, trochę odbiega od lokalnego kolorytu, schowałem ją więc do sportowej torby. Tym bardziej że raczej nie wyglądam na

3 Ulica Martwej Butelki (przyp. tłum.).

gościa, który wybrał się na grzyby.

Od kilku minut nie spotykam już nikogo, GPS się pogubił, ale innej drogi tu nie ma.

Będę mógł w spokoju wykonać zadanie.

8.30

Każde trzaśnięcie drzwi, każdy metr korytarza, każdy rzut oka na kraty ciąży mu i wiele go kosztuje. Bo Camille w głębi duszy się boi. Kiedy jakiś czas temu zaświtała mu myśl, że któregoś dnia będzie musiał tu przyjść, natychmiast ją odrzucił. Ale znów wypłynęła na powierzchnię, nie przestawała szamotać się jak wielka błotna ryba, sączyć mu do ucha, że wcześniej czy później dojdzie do tego epokowego spotkania. Brakowało mu tylko okazji, żeby tu przyjść, żeby ulec tej neodpartej potrzebie, ale tak, żeby nie musiał się za siebie wstydzić.

Ciężkie metalowe bramy zamkniętego zakładu karnego otwierają się i zamykają, przed nim, za nim, wszędzie dookoła.

Podążając naprzód swoim lekkim ptasim krokiem, Camille czuje, że kręci mu się w głowie i zbiera mu się na wymioty.

Eskortujący go strażnik jest pełen uszanowania, niemal ostrożny, jakby znał sytuację i jakby w tych wyjątkowych okolicznościach Camille'owi przysługiwały szczególne względy. Camille we wszystkim dopatruje się znaków.

Jedna sala, druga i wreszcie rozmównica. Otwierają się drzwi, wchodzi, siada przy metalowym stole przymocowanym do podłogi, serce wali mu jak szalone, czuje suchość w ustach. Czeka. Kładzie dłonie płasko na blacie, widzi, że drżą, chowa je pod stołem.

W głębi pomieszczenia otwierają się drugie drzwi.

Camille widzi najpierw buty oparte na metalowym podnóżku inwalidzkiego fotela, buty z czarnej skóry, do przesady błyszczące, potem fotel rusza, bardzo powoli, jakby z obawą lub nieufnością. A wtedy pojawiają się dwie nogi oraz kolana,

których wypukłość pod tkaniną spodni wskazuje na tuszę, i fotel zatrzymuje się w pół drogi, ukazując tylko dwie pulchne dłonie, białe, z niewidocznymi żyłkami, zaciśnięte na wielkich gumowych kołach. Jeszcze metr i oto wreszcie on.

Mężczyzna milczy. Od samych drzwi patrzy Camille'owi prosto w oczy i do końca nie odwróci wzroku. Strażnik podchodzi, odsuwa od stołu metalowe krzesło, robiąc miejsce na fotel, i na znak Camille'a wychodzi.

Stało się. Są twarzą w twarz.

Camille Verhoeven, inspektor policji śledczej, po raz pierwszy od czterech lat ma przed sobą mordercę swojej żony.

Pamięta wysokiego mężczyznę, szczupłego, lecz już wtedy z tendencją do nadwagi, o staroświeckiej elegancji, trochę w typie dekadenta, zmysłowego w stopniu wprawiającym niemal w zakłopotanie, zwłaszcza usta. Więzień, którego teraz widzi, jest otyły i zaniedbany. Rysy ma identyczne jak kiedyś, lecz ich proporcje w tej nalanej twarzy zupełnie się zmieniły. Przetrwało tylko jego dawne oblicze, niczym subtelnie wymodelowana maska nałożona na facjatę tłuszciocha. Włosy ma zbyt długie, przethuszczone.

I spojrzenie dokładnie takie jak kiedyś, chytre i fałszywe.

- Tak było sądzone - mówi Buisson drżącym głosem, zbyt wysokim, zbyt głośno. - I stało się teraz - stwierdza, jakby to był koniec rozmowy.

Już w czasach swojej świetności lubował się we frazesach. W gruncie rzeczy to właśnie, to upodobanie do górnolotności, ta afektowana arogancja uczyniły z niego sześciokrotnego mordercę. Camille i on momentalnie, od pierwszego wejrzenia się znienawidzili. A dalszy rozwój wydarzeń potwierdził, że intuicja ich nie zawiodła. Ale nie pora wracać do prehistorii.

- Tak - mówi krótko Camille - stało się teraz.

Jego głos nie drży. Teraz, kiedy siedzi przed Buissonem, jest już spokojniejszy. Ma duże doświadczenie w takich konfrontacjach twarzą w twarz i wie, że nie pęknie. Ten, któremu Camille tak często w myślach życzył śmierci, cier-

pień i katuszy, nie jest już tym samym człowiekiem i ujrzenie go takim po latach uświadamia mu, że teraz może nareszcie poprzestać na spokojnej antypatii, definitywnej, gdyż nie ma już żadnego pośpiechu. Przez wszystkie te lata lokował w zabójcy Irène całą swoją nienawiść, furię i odrazę, ale teraz to już dawne dzieje.

Z Buissonem sprawa skończona.

Za to historia Camille'a wciąż trwa.

Jego osobiste poczucie winy za śmierć Irène będzie go zawsze dręczyło. Nigdy się go nie pozbędzie, taka jest konstatacja, pewnik, który wszystko tłumaczy. Reszta jest tylko ucieczką.

Uświadomiwszy to sobie, Camille unosi w górę głowę i do oczu napływają mu łzy, łzy, które natychmiast przybliżają go do Irène niezmienionej, uroczej, wiecznie młodej tylko dla niego. On się starzeje, ona, promienna, nigdy się już nie zmieni, to, co jej zrobił Buisson, nie ma żadnego wpływu na wspomnienia Camille'a, na tę wiązkę intymnych obrazów, reminiscencji i emocji stanowiących kondensację miłości, jaką ją darzył.

Jego życie zachowało ślad tej miłości, dyskretny, lecz nieusuwalny jak blizna na policzku.

Buisson siedzi nieruchomo. Od początku tego spotkania boi się.

Wzruszenie Camille'a, krótkie i szybko opanowane, nie wywołało żadnego skrepowania między nimi. Na słowa będzie jeszcze czas, najpierw musiało się znaleźć miejsce na milczenie. Camille otrząsa się, nie chce, żeby Buisson dopatrywał się w tym jego nieoczekiwanym wzruszeniu oraz w ich wzajemnym milczeniu rodzaju cichej komitywy. Nie chce z nim niczego dzielić. Wyciera nos, chowa chusteczkę do kieszeni, opiera łokcie na stole, splata dłonie pod brodą i wlepia wzrok w Buissona.

Buisson od wczoraj obawiał się tej chwili. Kiedy się dowiedział - a stało się to bardzo szybko - że Verhoeven złożył wizytę Mouloudowi Faraouiemu, zrozumiał, że w końcu wybiła jego godzina. W nocy nie zmrużył oka, przewracał się

na przycy, nie mógł uwierzyć, że to właśnie teraz. Jego śmierć była więcej niż pewna. Gang Faraouiego jest w tym więzieniu wszechobecny, nie ukryje się przed nim żaden karaluch ani konfident. Jeśli Camille znalazł sposób, jak zafundować sobie usługi Faraouiego - na przykład w zamian za nazwisko tego, kto go wrobił - za godzinę, za dwa dni Buisson, opuszczając jadalnię, zarobi dłutem w gardło albo założą mu garotę, a dwóch kulturystów przytrzyma go za ramiona. Zostanie przerzucony razem z fotelem przez poręcz trzeciego piętra. Albo uduszony własnym materacem. Wszystko zależy od zlecenia, Verhoeven może nawet, jeśli mu się spodoba, zażyczyć sobie bardzo długiej agonii, zakneblowany Buisson będzie konał przez całą noc w cuchnącej toalecie albo, związany, w szafie w pracowni będzie patrzył, jak kropla po kropli uchodzi z niego krew...

Buisson boi się śmierci.

Myślał już, że Camille zaniechał zemsty. Lęk, który zdążył go już opuścić, powraca z tym większą siłą i tym bardziej dojmujący, że zemsta wydaje mu się dzisiaj mniej zasłużona. Lata spędzone w więzieniu i wszystko, co tu przeżył, pozycja, którą zdołał wypracować, respekt, który umiał sobie zaskarbić, władza, którą zdobył, wzbudziły w nim swoiste przeświadczenie o przedawnieniu, które Verhoeven w kilka godzin zburzył. Wystarczyło, że złożył wizytę Faraouiemu, a wszyscy zrozumieli, że przedawnienie było tylko pozorne, że odroczenie dla Buissona dobiega końca. Dużo się o tym mówiło na korytarzach, Faraoui szeroko rozgłosił nowinę, napędzenie stracha Buissonowi musiało być częścią układu z Verhoevenem. Niektórzy klawisze widzą, że więźniowie patrzą na niego teraz innym niż przedtem wzrokiem.

Pytanie tylko, dlaczego teraz.

- Podobno zostałeś bossem...

Buisson zastanawia się, czy ta konstatacja jest odpowiedzią na jego pytanie. Ale nie. Camille tylko stwierdził fakt. Buisson jest człowiekiem bardzo inteligentnym. Podczas próby ucieczki Louis strzelił mu w plecy, w wyniku czego wyładował na fotelu, ale wcześniej stanowił dla policji twardy orzech do

zgrzyzenia. Jego przybycie do więzienia poprzedziła pochlebna reputacja, stał się nawet swego rodzaju gwiazdą, bo tak długo wymykał się policji kryminalnej, i ten drobny kapitał sympatii zdołał z niemalym talentem spożytkować w kontaktach z innymi więźniami, wznosząc się umiejętnie ponad wojny klanowe, oddając przysługi jednym i drugim; taki intelektualista, człowiek, który zna się na rzeczy, to w takim miejscu rzadkość. W ciągu tych lat stworzył gęstą siatkę kontaktów najpierw tutaj, potem - za pośrednictwem wychodzących na wolność więźniów, którym nadal oddawał przysługi - na zewnątrz, wystawiał kandydatów, organizował rozmowy, przewodniczył spotkaniom. W zeszłym roku interweniował nawet w bratobójczej walce dwóch klanów z zachodniego przedmieścia, przedstawił projekt ugody, prowadził negocjacje. Koronkowa robota. Nie miesza się w żadne wewnętrzne handle, ale zna je wszystkie. A o tym, co się dzieje za murami więzienia w materii przestępczości, lecz tej na pewnym poziomie, wie wszystko, co powinno się wiedzieć, więc jest człowiekiem wpływowym, który wiele może.

Niemniej jednak, skoro Camille tak postanowił, może jutro, a może za godzinę, będzie człowiekiem martwym.

- Wyglądasz na niespokojnego... - zauważa Camille.

- Czekam - mówi Buisson.

I od razu żałuje tych słów zakrawających na prowokację, a więc na porażkę. Camille unosi rękę, nie ma sprawy, rozumiem.

- Zaraz mi pan wyjaśni...

- Nie - mówi Camille. - Niczego nie będę wyjaśniał. Powiem tylko, jak się sprawy dalej potoczą, to wszystko.

Buisson pobladł. Luz okazywany przez Verhoevena odbiera jako dodatkową groźbę. Buntuje się.

- Należy mi się wyjaśnienie! - krzyczy.

Fizycznie jest dziś kim innym, ale w środku ani trochę się nie zmienił. Ten sam co zawsze przerost ego. Camille sięga do kieszeni. I kładzie na stole zdjęcie.

- Vincent Hafner. Jest...

- Wiem, kim jest...

Odpowiedź padła natychmiast, jakby usłyszał zniewagę. Poza tym odczuł ulgę. Buisson w lot pojął, że trafia mu się szansa.

Camille'a zaskoczyła spontaniczna i bezwiedna euforia w jego głosie, lecz tego nie komentuje. Można się było tego spodziewać. Buisson natychmiast próbuje ściemniać, kręcić.

- Osobiście go nie znam... Żadna z niego legenda, ale mimo to jest kimś, kto się liczy. Cieszy się sławą... drapieżnika. Brutal.

Dopiero umieszczenie elektrod na jego czaszce mogłoby ujawnić, z jak zawrotną szybkością łączą się neurony w jego mózgu.

- W styczniu tego roku zniknął - ciągnie Camille. - Na długi czas zapadł się jak kamień w wodę, nikt go nie mógł znaleźć, nawet najbliżsi, ci, którzy z nim pracowali. Słuch o nim zaginął. I oto nagle ni stąd, ni zowąd znów się pojawia, wygląda, że wręcz odmłodził, podejmuje swoje dawne sprawdzone metody działania. Wraca do pracy rzeński jak skowronek.

- I to się panu wydaje dziwne.

- Trochę trudno mi połączyć jego tak nagłe zniknięcie... z tym efektownym powrotem. U faceta kończącego karierę to dość zaskakujące.

- Czyli że coś tu nie gra.

Camille przybiera zatroskaną minę, minę człowieka niezadowolonego z siebie, niemal wściekłego.

- Można tak powiedzieć, że tak, coś tu nie gra. Coś, czego nie rozumiem.

Widząc nieznaczny uśmiech Buissona, Camille gratuluje sobie, że postawił na jego próżność. To ona uczyniła z niego zbrodniarza recydywistę. Ona zaprowadziła go do więzienia. I to z jej powodu przyjdzie mu pewnego dnia zginąć w swojej celi. Mimo to niczego się nie nauczył, jego narcyzm pozostał nietknięty, jest studnią bez dna, zawsze gotowy doprowadzić go do upadku. „Coś, czego nie rozumiem”, to kluczowe słowa, sygnał dla Buissona, bo on rozumie. I nie potrafi tego ukryć.

- Sprawa może być pilna...

Trzeba wytrwać do końca. Camille nie pokazuje po sobie, jak bardzo cierpi, zniżając się do takich sztuczek. Ale jest śledczym, a cel uświęca środki. Podnosi więc wzrok na Buissona, udaje zaintrygowanego.

- Mówią, że Hafner jest dość ciężko chory... - cedzi powoli Buisson.

Wybrawszy pewną strategię, najlepiej się jej trzymać.

- No to niech zdycha - mówi Camille.

Na efekt nie trzeba długo czekać.

- I właśnie to każe mu działać, to, że niedługo zdechnie! Jest z dużo młodszą dziewczyną... Dziwką najniższego sortu, która mając dziewiętnaście lat, zdążyła już zaliczyć pułk facetów. Jak nic musi lubić tę robotę, to jedyne wyjaśnienie...

Camille zastanawia się, czy Buisson okaże się na tyle bezczelny lub bezmyślny, żeby pójść na całego. I owszem.

- Mimo to Hafner podobno stracił głowę dla tej dziewczyny. Miłość, inspektorze, to potężna siła, co? Coś pan o tym wie...

Choć Camille tego nie okazuje, jest wystawiony na ciężką próbę, jeszcze sekunda i z tym skończy. Ma wewnętrzne poczucie porażki. Właśnie pozwolił Buissonowi nurzać się w swojej przeszłości. „Miłość, inspektorze...”

Buisson musiał to wyczuć, resztką instynktu samozachowawczego bierze górę nad rozkoszowaniem się sytuacją.

- Jeśli Hafner jest ciężko chory - podejmuje - to możliwe, że chce tę swoją panienkę zabezpieczyć finansowo. Nawet najczarniejsze charaktery miewają szlachetne odruchy.

Krążyły takie słuchy, Louis mu o tym wspominał, lecz potwierdzenie ich, choć drogo kosztowało, warte było poniesienia tej ofiary.

Daleko w głębi tunelu Camille dostrzega błysk światła. Ulga, jaką poczuł, nie uszła uwagi Buissona. Ale to zboczenie, nawet ryzykując życiem, nie może się powstrzymać przed spekulowaniem, co inspektora Verhoevena sprowadza, jaką wagę musi przywiązywać do tych poszukiwań, skoro zdecydował się zwrócić z tym do niego, Buissona. I jakie to musi być pilne. Ledwie uratował własną skórę, a już głów-

kuje, co z tego będzie miał.

Ale Camille go ubiega.

- Chcę mieć Hafnera natychmiast. Daję ci dwanaście godzin.

- To niemożliwe. - Buisson aż się zakrztusił z wrażenia.

Widząc, że Camille wstaje, widzi też, że wymyka mu się ostatnia szansa pozostania przy życiu. Wali nerwowo pięściami w podłokietniki fotela. Camille pozostaje niewzruszony.

- Dwanaście godzin i ani minuty dłużej. Pod prężierzem czasu działa się zawsze skuteczniej.

Uderza otwartą dłoń w drzwi. W chwili, gdy się otwierają, odwraca się do Buissona ze słowami:

- Nawet i później mogę kazać cię sprzątnąć, jak mi się spodoba.

Wystarczyło, że to powiedział, by obaj zrozumieli, że musiał to powiedzieć, ale że to nieprawda.

Ze gdyby tak miało być, Buisson już dawno by nie żył.

Ze inspektor Verhoeven nie mógłby zlecić zabójstwa, bo taki już jest.

I teraz, kiedy Buisson już wie, że niczym nie ryzykuje, kiedy zrozumiał, że być może tak naprawdę nigdy niczym nie ryzykował, postanawia, że znajdzie to, czego Verhoeven chce się dowiedzieć.

Opuszczając więzienie, Camille czuje ulgę, a zarazem ogromne przygnębienie, jak ostatni rozbitek ocalały z katastrofy.

9.00

Chłód powietrza daje mi się we znaki na równi ze zmęczeniem. Nie od razu się go czuje, ale kiedy się człowiek nie rusza, szybko przenika do szpiku kości. Ułatwi mi to celność, nie powiem!

Za to miejsce przynajmniej jest spokojne. Dom jedno-kondygnacyjny, rozłożysty, parterowy, chociaż z wysokim dachem. Od frontu teren jest całkowicie odkryty. Rozkładam

się pod osłoną jakiejś miniaturowej przybudówki, pewnie dawnej królikarni czy czegoś w tym stylu.

Tam zostawiam strzelbę z lunetą, biorę z sobą tylko walthera i nóż myśliwski i ruszam na rekonesans.

Rozeznanie się w topografii to sprawa zasadnicza. Jeśli niszczyć, to tylko tam, gdzie to konieczne. Działać skrupulatnie. I z wielką dokładnością. Jak to się mówi? A tak, „z chirurgiczną precyzją”. Użycie tutaj mossberga byłoby jak użycie wałka do namalowania miniatury. Chirurgiczna precyzja oznacza robienie precyzyjnych dziur w precyzyjnych miejscach. A że wielkie drzwi balkonowe na pewno sporo wytrzymują, gratuluję sobie, że wybrałem M40A3 z lunetą, bo akurat ta broń jest precyzyjna. Dziurawi niezwykle skutecznie.

Na prawo od domu znajduje się coś w rodzaju pagórka. Niewielki kopiec będący składowiskiem materiałów budowlanych, gipsu, bloków cementu, które człowiek obiecuje sobie uprzątnąć, nigdy jednak tego nie robi. Nie jest to wymarzone stanowisko, ale tylko takim dysponuję. Mam stąd widok na duży fragment salonu, co prawda z ukosa. Żeby oddać strzał, będę musiał stanąć. W ostatniej sekundzie. Dostrzegłem ją już raz czy dwa, ale przechodziła za szybko. Nic nie szkodzi, bo musiałbym działać w pośpiechu.

Tymczasem wszystko trzeba robić jak należy.

Anne wstała z łóżka i od razu podeszła do drzwi, żeby sprawdzić, czy Camille dobrze je zamknęła. Dom był wiele razy okradany, nic dziwnego, w tak ustronnym miejscu... i teraz wszystko jest tu pancerne. Wielkie drzwi balkonowe to podwójna szyba z hartowanego szkła, nawet gdyby ją zaatakować młotkiem, nie drgnie.

- To jest kod alarmu - powiedział Camille, pokazując kartkę wyrwaną z zeszytu. - Naciskasz krzyżyk, numer i krzyżyk. To uruchamia alarm. Wprawdzie nie jest połączony z komisariatem, i trwa tylko minutę, ale możesz mi wierzyć, bardzo skutecznie odstrasza.

Cyfry są takie: 29091571. Anne wołała nie pytać, do czego nawiązują.

- To data urodzin Caravaggia... - wyjaśnił Camille z przeproszającą miną. - Niezły pomysł na kod, niewiele osób ją zna. Ale jeszcze raz zapewniam, nie będzie ci potrzebny.

Poszła też na tyły domu, gdzie mieści się pralnia i łazienka. Jedyne drzwi prowadzące na zewnątrz są pancerne i również zaryglowane.

Potem wzięła prysznic, nie mogła umyć porządnie włosów, nawet zawahała się, czyby nie zdjąć łubków usztywniających palce. Nie zrobiła tego, bo wciąż ją bardzo bołą, wystarczyło, że dotknęła opuszków, o mało nie krzyknęła. Musi sobie jakoś poradzić. Ujęcie w dłoń jakiegokolwiek przedmiotu to prawdziwy wyczyn, zupełnie jakby miała niedźwiedzie łapy. Do ablucji używa głównie prawego kciuka, lewy jest zwichnięty.

Prysznic cudownie jej zrobił, przez całą noc czuła się brudna, miała wrażenie, że na wylot przesiąknęła szpitalnym zapachem.

Najpiew długo poddawała się pieszczocie gorącej, niesamowicie kojącej wody, potem uchyliła okno i powiew chłodnego powietrza ją orzeźwił.

Za to twarz jej się nie zmieniła. W lustrze wygląda tak samo jak wczoraj, tyle że jest jeszcze brzydsza, coraz bardziej obrzmiała, tu bardziej posiniała, tam bardziej poźółkła. I te wybite zęby...

Camille prowadzi ostrożnie. Zbyt ostrożnie. Zbyt wolno, tym bardziej że odcinek autostrady nie jest długi i kierowcy mają skłonność do zapominania o ograniczeniach szybkości. Myślami jest daleko, do tego stopnia nimi zaprzątnięty, że automatyczna skrzynia biegów schodzi na najniższe obroty; siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, sześćdziesiąt, pięćdziesiąt, no i zwykle tego konsekwencje: ryk klaksonów, wyzwicka wyprzedzających, miganie reflektorami - w tym tempie samochód wlecze się aż do obwodnicy. Wszystko

zaczęło się od pytania: spędził noc z kobietą w najbardziej sekretnym miejscu swojego życia, ale co tak naprawdę o niej wie? Co oboje, Anne i on, nawzajem o sobie wiedzą?

Szybko podsumował, co wie o nim Anne. Opowiedział jej o wszystkim, co najważniejsze, o Irène, o matce, o ojcu.

W gruncie rzeczy w jego życiu tak wiele się nie dzieje. Śmierć Irène to po prostu o jeden dramat więcej niż u większości ludzi.

A co wie o Anne? Niewiele więcej. Praca, ślub, brat, rozwód, dziecko.

Stwierdziwszy to, Camille odbija na środkowy pas, wyjmując komórkę, włącza internet, otwiera przeglądarkę, a że ekran jest naprawdę mały, wkłada okulary, telefon wyslizguje mu się z rąk, trzeba będzie sięgnąć pod siedzenie pasażera, co przy wzroście metr czterdzieści pięć nie będzie łatwe.

Więc samochód zjeżdża jeszcze bardziej na prawo, na pas, po którym można pełznąć w ślimaczym tempie, sąsiadujący z poboczem awaryjnym, i wlecze się tak przez dłuższą chwilę, dopóki Camille nie wyłowi komórki, ale przez cały ten czas myślą podąża tym tropem.

Co wie o Anne.

Jej córka. Jej brat. Jej praca w biurze podróży.

Co jeszcze?

W tym momencie włącza się jego wewnętrzny kierunkowskaz, co objawia się mrowieniem. Między łopatkami.

I nagłym napływem śliny do ust.

Wyłowisz komórkę, Camille wystukuje na klawiaturze: „Wertig & Schwindel”. Niełatwo to napisać, pełno w tych nazwiskach jakichś dziwnych zgłosek, ale w końcu się udało.

Nerwowo bębni palcami w kierownicę, czekając, aż wyświetli się strona, wreszcie jest, a na niej palmy i wymarzone plaże - przynajmniej dla tych, którym marzą się plaże. Ogłuszająco trąbiąc, wyprzedza go jakaś półciężarówka, Camille lekko odbija, ale nadal wpatruje się w maleńki ekran, organizacja, słowo wstępne od prezesa, a kogo to obchodzi, wreszcie jest schemat organizacyjny firmy. Camille jedzie

środkiem linii wytyczającej pobocze awaryjne, wraca na swój pas, lewym bokiem ociera się o jakiś samochód, znów ryk klaksonu brzmiący jak wyzwiska rozgorączkowanego kierowcy. Dział zarządzania i kontroli, dyrektor Jean-Michel Faye. Rzut oka na ekran, drugi na szosę, dojeżdżamy do Paryża, Camille przysuwa ekran bliżej oczu, jest jego zdjęcie, Jean-Michel Faye, lat trzydzieści, przy kości, rzadkie włosy, ale zadowolona z siebie mina, menedżer pełną gębą.

Jadąc obwodnicą, Camille przesuwa niekończącą się listę kontaktów, na której znajduje się elita firmy, wszyscy, którzy się liczą, na liście współpracowników szuka fotografii Anne, przesuwiają się kolejne zdjęcia, kursor jest już na dole strony, przeoczył literę F, cofa się do początku listy i wtedy słyszy z tyłu syrenę, spogląda w lusterko wsteczne, zjeżdża na prawą stronę prawego pasa, ale już za późno, policjant na motorze go wyprzedza, dając znak, że ma zjechać na pobocze. Camille odkłada komórkę. Cholera.

Parkuje. Te gliny to prawdziwe utrapienie.

W tym domu nie ma nic dla kobiety, żadnej suszarki, żadnego lustra, typowo męskie wnętrza. Nawet herbaty. Anne znalazła kubki, wybrała ten z napisem cyrylicą:

*Мой дядя самых честных правил
Когда не в шутку занетог*

Znalazła też herbatę ziołową, ale starą, zupełnie już bez smaku.

Prawie od razu zorientowała się, że w tym domu przyjdzie jej wciąż modyfikować swoje zwykłe ruchy, że wszystko będzie wymagało dodatkowego wysiłku. Gdyż jest to dom człowieka mającego metr czterdzieści pięć wzrostu, więc wszystko - klamki, szuflady, przedmioty, kontakty - umieszczone jest tu niżej niż w innych domach. Gdzie spojrzeć, wszędzie widać urządzenia do wspinania się, stołek, drabina, taborety... bo dziwnym trafem nic tu tak naprawdę

nie jest też na miarę Camille'a. Gospodarz tego miejsca chyba nie całkiem wykluczył możliwość dzielenia go z kimś, bo wszystko znajduje się na wysokości pośredniej, pomiędzy tą, która jest dogodna dla niego, a tą do przyjęcia dla drugiej osoby.

Dla Anne stwierdzenie tego jest jak cios w serce. Nigdy nie litowała się nad Camille'em, tego typu reakcji Camille raczej w nikim nie wzbudza, nie, jest po prostu wzruszona. Czuje się winna, tutaj bardziej niż gdzie indziej, i teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej czuje się winna, że tak zawładnęła jego życiem, że wciągnęła go w swoje sprawy.

Musi wziąć się w garść. Zdecydowanym ruchem, gestem wyrażającym złość na samą siebie wylewa herbatę do zlewu.

Jest ubrana w spodnie od liliowego dresu i sweter z golfem, nic innego do włożenia tu nie ma. Ubranie, w którym przyjechała do szpitala, było całe we krwi, pielęgniarki wszystko wyrzuciły, a większość ciuchów, które Camille przywiózł jej z domu, postanowiła zostawić w szpitalu, żeby - na wypadek, gdyby ktoś wszedł do pokoju pod jej nieobecność - stworzyć wrażenie, że wyszła tylko na chwilę. Camille zaparkował pod wejściem awaryjnym, przemknęła na tyłach recepcji, wsiadła do samochodu i skuliła się na tylnym siedzeniu.

Obiecał, że przywiezie jej ubrania dziś wieczorem. Ale dziś wieczorem oznacza inny dzień.

Mężczyźni na wojnie codziennie muszą zadawać sobie pytanie: czy to dzisiaj umrę?

Bo mimo wielkiej pewności siebie Camille'a on się zjawi.

Pytanie tylko kiedy? Anne stoi przy wielkiej szybie. Od wyjazdu Camille'a, od kiedy zaczęła krążyć po tym domu, las za tą szybą przyciągają z magnetyczną siłą.

W świetle poranka wygląda jak senny omam. Anne odwraca się, żeby pójść do łazienki, ale myślą znowu jest w lesie. Właśnie przyszło jej do głowy niemądre skojarzenie: przypomniała jej się *Pustynia Tatarów* i ten bastion na skraju pustyni, skąd ma nadciągnąć niezwyciężony wróg.

Jak ująć z tego z życiem?

Te gliny to wspaniała rzecz.

Kiedy wysiadł z samochodu (a żeby to zrobić, musi jak mały chłopiec odbić się od siedzenia, wyrzucając nogi daleko przed siebie), kolega na motorze poznał, że to inspektor Verhoeven. Pracuje w dwuosobowym zespole i ma swój od-cinek działania, więc nie może się zbyt oddalać, ale zaproponował, że kawalek, powiedzmy do Porte Saint-Cloud, pojedzie przodem, żeby utorować mu drogę, przedtem jednak inspektora upomniał, rozmawianie przez telefon, kiedy się prowadzi, nawet jeśli są po temu powody, jest bardzo nieostrożne, to, że służy w policji kryminalnej, nie upoważnia go do tego, by stwarzać zagrożenie na drodze, nawet jeśli jest bardzo zajęty. Tym sposobem Camille zyskał dobre pół godziny, nadal stukając w klawiaturę komórki, tyle że dyskretnie. Kiedy dojeżdżali do bulwarów, kolega zamachał do niego ręką, a wtedy Camille z powrotem włożył okulary, dziesięć minut później zaś stwierdził, że Anne Forestier nie figuruje na liście współpracowników firmy Wertig & Schwindel. Ale kiedy jeszcze raz sprawdził, okazało się, że strona nie była aktualizowana od grudnia 2005 roku... W tym czasie Anne musiała jeszcze mieszkać w Lyonie.

Wjeżdża na parking, wysiada z samochodu i kiedy rusza po schodach do biura, dzwoni jego komórka.

Guérin. Camille odwraca się na pięcie, odbiera połączenie i szybko wychodzi na dziedziniec, nikt nie musi słyszeć, o co zamierza poprosić Guérina.

- Miło, że oddzwaniaasz - mówi rozradowanym tonem.

I wyjaśnia, o co chodzi, tak żeby go nie wystraszyć, a zarazem uczciwie postawić sprawę, chcę cię prosić o przysługę, zaraz ci wyjaśnię, ale nie musi, Guérin o wszystkim już wie, komisarz Michard też zostawiła mu wiadomość, prawdopodobnie z tego samego powodu. I kiedy za chwilę do niej zadzwoni, będzie zmuszony powiedzieć jej, tak jak teraz Camille'owi, że w żadnym razie nie mógł poinformować go o tym skoku.

- Bo od czterech dni jestem na urlopie, stary... Dzwonię do ciebie z Sycylii.

Kurwa, kurwa, kurwa. Camille najchętniej dałby sobie w twarz. Dziękuje Guérinowi, nie, nic poważnego, bez obaw, tak, tobie też i rozłącza się. Myślami jest już gdzie indziej, gdyż telefon od kolegi nie spowodował ustąpienia mrowienia w krzyżu ani dość nieprzyjemnego napływu śliny do ust - u Camille'a są to wyraźne oznaki podniecenia zawodowca.

- Witam, inspektorze! - mówi sędzia.

Camille powraca do rzeczywistości. Od dwóch dni czuje się jak zamknięty w jakimś ogromnym, wirującym z zawrotną szybkością bąku. Dziś rano bąk zachowuje się jak wolny elektron.

- Pan sędzia!...

Camille szeroko się uśmiecha, najszerzej, jak potrafi. Ktoś na miejscu Pereiry mógłby pomyśleć, że Camille niecierpliwie wypatrywał jego przyjścia. Mało tego, że wychodzi mu na spotkanie, że jego widok sprawia mu nieopisaną ulgę, wyciąga otwartą dłoń na powitanie, z niedowierzaniem potrząsa głową, dwóch wielkich duchem zawsze się spotka.

Wielki duchem sędzia zdaje się jednak nie podzielać entuzjazmu Camille'a. Dość chłodno ściska mu rękę. Camille szuka wzrokiem podążającej jego śladem asystentki na szczydlach, ale nie zdążył jej wypatrzeć, bo sędzia już go wyprzedził, maszeruje sztywnym i pospiesznym krokiem, wchodzi na górę, całą swoją postawą wyrażając niechęć do rozmowy.

- Panie sędzio?

Pereira odwraca się, przystaje, patrzy ze zdziwieniem.

- Czy mógłby mi pan poświęcić chwilę? - pyta Camille.
W sprawie pasażu Moniera...

Po dobroczynnym ciepłe łaźienki chłód panujący w salonie bezlitośnie przypieczętowanie powrót do rzeczywistości.

Camille podał jej bardzo precyzyjne, bardzo techniczne wskazówki na temat pieca, które Anne oczywiście szybko

wyleciały z głowy. Pomagając sobie pogrzebaczem, otwiera żeliwne drzwiczki i w ziejący pustką otwór wsuwa polano, które nie chce się zmieścić, wpycha je z całej siły, weszło, zamyka drzwiczki i po chwili pokój wypełnia lekko cierpka woń płonącego drewna. Anne postanawia zrobić sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy.

Nie może się w żaden sposób rozgrzać, jest wychłodzona od środka. Czekaając, aż woda się zagrzeje, znów spogląda na las...

Potem sadowi się na kanapie i przegląda rysunki Camille'a, leżą wszędzie, jest w czym wybierać. Twarze, postaci, mężczyźni w mundurach, z zaskoczeniem natrafia na wysokiego policjanta z nierozgarniętą miną i żółtawymi workami pod oczami, tego, który stał przed jej pokojem i który chrapał tak głośno, że uciekła. Stoi na straży w jakimś miejscu, trzy pociągnięcia ołówka Camille'a i policjant jak żywy.

To portrety poruszające, lecz bezlitosne. Niekiedy Camille bywa znakomitym karykaturzystą, bardziej okrutnym niż zabawnym, pozbawionym złudzeń.

I nagle (tego się nie spodziewała) w bloku leżącym na szklanym blacie niskiego stolika widzi siebie. Na wielu stronach, ona. Zawsze bez daty. Natychmiast do oczu napływają jej łzy. Płacze przede wszystkim nad Camille'em, którego wyobraża sobie siedzącego tu samotnie i całymi dniami szkicującego z pamięci ich wspólne chwile. I nad sobą. Niemającą nic wspólnego z tą kobietą, którą jest dzisiaj, szkice pochodzą z czasów, kiedy była jeszcze atrakcyjna, miała wszystkie zęby, nie miała tych krwiałków, ran na policzku i wokół ust, tego zagubionego spojrzenia. Camille kilkoma pociągnięciami ołówka szkicował tylko z grubsza tło, ale prawie na każdym z rysunków Anne kojarzy okoliczności, jakimi się inspirował. Anne w ataku histerycznego śmiechu, to u Fernanda, w dniu kiedy się poznali, Anne stojąca w drzwiach gabinetu Camille'a, wystarczy przewracać kolejne strony, by odtworzyć ich historię, oto Anne w kawiarni Verdun, dokąd wybrali się na drugim

spotkaniu, żeby porozmawiać. Ma na głowie czapkę, uśmiecha się, jest piekielnie pewna siebie, a widząc, jak ją wtędy Camille zapamiętał, całkiem słusznie.

Pociąga nosem, sięga po chusteczkę. Oto ona, maszeruje ulicą niedaleko Opery na spotkanie z Camille'em, który kupił bilety na *Madame Butterfly*, i zaraz potem znów ona w taksówce udająca Cio-Cio-San. Każda strona opowiada o ich byciu razem, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, od pierwszego spotkania. Tu i tam Anne, pod prysznicem, w łóżku, na wielu stronach płacze, czuje się brzydka, ale Camille patrzy na nią czułym okiem. Wyciąga rękę do pudełka kleenexów, ale żeby dosięgnąć, musi wstać.

I dokładnie w chwili, gdy wyciąga chusteczkę, przez drzwi balkonowe pada strzał i kula roztrzaskuje niski stolik.

Odkąd się obudziła, bała się tej chwili, a mimo to jest zaskoczona. Nie tyle huk wystrzału, ile uderzenie kuli wywołuje w niej wstrząs i przeświadczenie, że cała fasada domu zaraz się zawali. I ten stolik, który nagle pod jej dłonią rozpryskuje się w drobny mak. Anne wydaje okrzyk i odruchowo, jak jeź, natychmiast się kuli. Rzut oka na szybę, widzi, że nie pękła. W miejscu, gdzie przeszła kula, widać dużą opalizującą dziurę, okoloną długimi rysami... Jak długo wytrzyma?

Natychmiast do niej dociera, że jest idealnym celem. Nie wiadomo skąd znajdując w sobie tyle siły, jednym wybiciem bioder wykonuje przewrót przez oparcie kanapy.

Upadek na bok zgniata jej pęknięte zebra, zapiera jej dech, ciężko zwala się na podłogę, krzyczy, lecz instynkt samozachowawczy jest silniejszy, mimo bólu Anne momentalnie przywiera do oparcia kanapy, jednocześnie zadając sobie pytanie, czy kula może je przebić i jej dosięgnąć. Serce wali jej tak, że mało nie wyskoczy z piersi. Od stóp do głów przenikają ją fale dreszczy, trzęsie się jak w febrze.

Druga kula przelatuje tuż nad jej głową i trafia w ścianę, Anne odruchowo spuszcza głowę, na jej twarz, na szyję, na

oczy lecą kawałki tynku, jak długa wyciąga się na podłodze, rękami osłaniając głowę.

Niemal w tej samej pozycji, co w toalecie w galerii Moniera, kiedy ją tak skatował.

Telefon. Natychmiast zadzwonić do Camille'a. Albo na policję. Niech ktoś przyjedzie. Szybko.

I wtedy dociera do niej cała trudność sytuacji: komórkę zostawiła na górze, przy łóżku, a dostanie się na antresolę wymaga przejścia przez cały pokój.

Bez żadnej osłony.

Kiedy trzecia kula trafia w piec z hukiem gongu, ogłuszającym jak uderzenie obuchem, a odbiwszy się rykoszetem, roztrzaskuje obraz na ścianie, Anne zatyka uszy, jest tak przerażona, że nie może na niczym skupić myśli. Popadła w stan osłupienia, w którym jak na cofniętej taśmie filmowej przesuwały się obrazy z pasażu Moniera, migawki ze szpitala i ciągle powracająca, poważna i pełna wyrzutu twarz Camille'a. Podobne myśli zapewne ma człowiek tuż przed śmiercią.

Która jest coraz bliższa. Nie będzie wciąż pudłował. A tym razem jest zupełnie sama, bez cienia nadziei na jakąkolwiek pomoc.

Przełyka ślinę. Nie może tu zostać, wcześniej czy później uda mu się dostać do domu, Anne nie wie jeszcze jak, ale uda mu się na pewno. Musi koniecznie zadzwonić do Camille'a. Powiedział, żeby włączyła alarm, ale kartka z kodem leży obok pilota po przeciwnej stronie salonu. A telefon jest na górze.

Musi się dostać na antresolę.

Unosi głowę, rozgląda się, podłoga, dywan z kawałkami tynku, ale stąd nie nadejdzie pomoc, musi sama działać. Decyzja zapadła. Przewraca się na plecy, obiema rękami ściąga sweter, wełna zahacza o łubki na palcach, Anne ciągnie, zrywa go z siebie, liczy do trzech i na trzy siada, plecami przywierając do oparcia kanapy, przyciskając do brzucha zwinięty w kłębek sweter. Jeśli strzeli w oparcie, jest martwa.

Nie zwlekać.

Rzut oka w prawo, od schodów dzieli ją jakieś dziesięć

metrów. Rzut oka w lewo, ale przede wszystkim w górę: z miejsca, w którym się znajduje, widzi za oknami w dachu gałęzie drzew. A jeśli się na nie wdrapie, jeśli wejdzie tam-tędy? Najpilniejsze to zadzwonić po pomoc, do Camille'a, na policję, gdziekolwiek.

Drugiej szansy już nie będzie miała. Podciąga nogi, przysiada na piętach i odrzuca sweter daleko w lewą stronę, niezbyt mocno, tak żeby dość długo i wysoko unosił się w powietrzu. I ledwo go rzuciła, już się podrywa, już biegnie do schodów. Jak było do przewidzenia, pierwsza kula pada tuż za nią...

Strzelania naprzemiennego nauczyłem się dawno temu. Jeden cel umieszcza się z prawej strony, drugi z lewej, po czym trzeba jak najszybciej w oba trafić.

Z bronią złożoną do strzału obserwuję przez celownik wnętrze pokoju. Kiedy sweter wzlatuje w górę, jestem gotowy, strzelam, chcąc go jeszcze kiedyś włożyć, będzie musiała oddać go do reperacji, bo trafiam w sam środek.

I natychmiast strzelam drugi raz, widzę, jak pędzi do schodów, jest na drugim stopniu, kiedy kula trafia w pierwszy. A ona znika na antresoli.

Pora zmienić strategię. Odstawiam strzelbę do królikarni i biorę pistolet. I nóż myśliwski, w razie gdyby trzeba było dokończyć dzieła. Wypróbowałem go już na moim druhu Ravicu. Niezawodny sprzęt.

Jest teraz na piętrze. Zagonienie jej tam nie było specjalnie trudne, spodziewałem się Bóg wie jakich problemów, a tymczasem wymagała tylko odpowiedniego pokierowania. Teraz wystarczy obejść dom. Mimo wszystko muszę trochę podbiec, w życiu nie ma nic za darmo, bo w końcu zorientuje się, w czym rzecz.

Ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zdążę przed nią.

Pierwszy stopień eksploduje tuż pod jej stopami.

Anne czuje, jak zatrząsły się pod nią schody, wbiega tak

szybko, że potyka się i pada jak długa na podest antresoli, uderzając głową w komodę, bo trochę tu ciasno.

Natychmiast się podnosi. Spoglądając w dół, upewnia się, że jest poza zasięgiem wzroku i strzału. Tutaj zostanie. Pierwsza rzecz to telefon do Camille'a. Musi natychmiast przyjechać, musi jej pomóc. Szuka gorączkowo na komodzie, nie, musi być gdzie indziej. Na szafce nocnej też nie ma. Gdzie ta pieprzona komórka? I wtedy przypomina sobie, że kładąc się, położyła ją po drugiej stronie łóżka i włączyła do kontaktu, żeby się naładowała, szuka pod ubraniami, jest. Nie może złapać tchu, serce tak jej łomocze, że zbiera jej się na wymioty, wali pięścią w kolano, ileż czasu trwa uruchomienie tego telefonu. Camille... Wreszcie wybiera numer.

Camille, odbierz natychmiast, błagam...

Jeden sygnał, dwa...

Camille, proszę, powiedz mi, co mam robić...

Dłoń, w której trzyma telefon, trzęsie się.

- Dzień dobry, dodzwoniłeś się do Camille'a Verh...

Rozłącza się, jeszcze raz wybiera numer, znów odzywa się skrzynka głosowa. Tym razem Anne zostawia wiadomość:

- Camille, on tu jest! Błagam cię, zadzwoń...!

Pereira spogląda na zegarek. Sędziemu niełatwo znaleźć wolną chwilę. Jest okropnie zajęty. Dla Verhoevena przekaz jest jasny: sprawa już właściwie do niego nie należy. Sędzia potrząsa głową, przykro mu, ten rozkład zajęć, prawdziwe urwanie głowy. Camille w duchu dopowiada: zbyt wiele nieprawidłowości, zbyt wiele niejasności, zbyt wiele wątpliwości, możliwe nawet, że zostanie zawieszony w obowiązkach. A wtedy komisarz Michard, żeby się bronić i zabezpieczyć, zawiadomi prokuraturę; groźba śledztwa Głównego Inspektoratu Służb Policyjnych w sprawie poczynań inspektora Verhoevena staje się coraz bardziej realna.

Sędzia Pereira bardzo by chciał znaleźć czas, waha się, stroi miny, sprawdźmy, patrzy na zegarek, nie, naprawdę

nie, tak mu przykro, co by tu zrobić, stoi dwa stopnie wyżej niż Verhoeven, patrzy na niego z góry, naprawdę się waha, nie lubi uciekać w taki sposób. Do ustępstwa skłania go nie inspektor Verhoeven, lecz sumienność zawodowa.

- Za chwilę do pana zadzwonię, inspektorze. Jeszcze przed południem...

Camille rozkłada ręce, dziękuję. Sędzia Pereira skłania głowę, nie ma sprawy.

To spotkanie ostatniej szansy i Camille dobrze o tym wie. Przyjaźń i poparcie Le Guena oraz stosunkowo życzliwa postawa sędziego dają mu cień nadziei, że być może zdoła uniknąć katastrofy. Czepia się tej myśli, sędzia wyraźnie czyta to z jego twarzy. Swoje robi również, co tu kryć, ciekawość, co dzieje się z Verhoevenem, to, co od dwóch dni o nim opowiadają, wydaje się tak dziwne, że chciałoby się to zgłębić, wyrobić sobie własny pogląd.

- Dziękuję - mówi Camille.

Brzmi to jak wyznanie winy, jak prośba, Pereira kiwa głową, a potem, zakłopotany, odwraca się i odchodzi.

Anne nagle unosi głowę. Przestał strzelać. Gdzie jest?

Tyły domu. Uchylone okno łazienki na dole. Otwór o wiele za wąski, żeby się przez niego przecisnąć, ale otwór, a nikt nie wie, do czego taki człowiek jest zdolny.

Nie zastanawiając się, ile ryzykuje, nie myśląc, że być może on nadal czai się za szklaną ścianą na parterze, Anne zbiega pędem po schodach, przeskakuje ostatni stopień, skręca na prawo, o mało się nie przewraca.

Kiedy wpada do pralni, mężczyzna stoi naprzeciwko niej, za oknem.

W obramowaniu futryny jego uśmiechnięta twarz wygląda jak z portretu. Przełożył ramię przez otwór, w wyciągniętej ręce trzyma wymierzony w nią pistolet z tłumikiem i z niesamowicie długą lufą.

Ujrawszy ją, strzela.

Po odejściu sędziego Camille wbiega po schodach. Na podeście pojawia się Louis, piękny jak gwiazda filmowa, w garniturze od Christiana Lacroix, w koszuli w delikatne prążki z Savile House, w butach od Forzieriego.

- Zaraz się z tobą zobaczę, Louis, wybacz...

Louis gestem ręki daje znak, że zaczeka, nie ma pośpiechu. Usuwa się, zajrzy później, ten facet to chodząca dyskrecja.

Camille wpada do gabinetu, rzuca płaszcz na krzesło i spoglądając na zegarek, wykręca numer siedziby Wertig & Schwindel. Kwadrans po dziewiątej. Ktoś odbiera.

- Chciałbym rozmawiać z Anne Forestier.

- Chwileczkę - mówi telefonistka - zaraz sprawdzę.

Oddech. Uścisk imadła słabnie. Niewiele brakuje, a wydałby okrzyk ulgi.

- Przepraszam... z kim pan chciał rozmawiać? - pyta dziewczyna. - (W jej głosie słychać uśmiech, liczy na zrozumienie). - Przepraszam, ale jestem tu na zastępstwie...

Camille przełyka ślinę. Czuje, jak imadło o jeden obrót śruby zaciska się z powrotem na jego splocie słonecznym, ale tym razem ból promieniuje już na całe ciało, lęk narasta z szybkością...

- Anne Forestier - powtarza Camille.

- W jakim dziale pracuje?

- Hmm... w kontroli zarządzania czy coś podobnego.

- Przykro mi, nie mam jej w wykazie pracowników... Proszę zaczekać, z kimś pana połączę...

Camille się garbi. Odzywa się jakaś kobieta, możliwe, że ta, o której Anne powiedziała: „Suka”, ale być może nie ona, bo: Anne Forestier, nie, to jej nic nie mówi, nikomu to nic nie mówi, jest pan pewny nazwiska? Mogę pana połączyć z kim innym, a w jakiej sprawie?...

Camille się rozłącza.

Czuje suchość w ustach, powinien napić się wody, ale nio ma czasu, trzęsą mu się ręce.

Wpisuje swoje hasło.

Jednym kliknięciem wchodzi do branżowej bazy danych:

„Anne Forestier”. Jest ich mnóstwo. Precyzuje: „Anne Forestier, urodzona...”.

Datę może odszukać, poznali się na początku marca, a trzy tygodnie później dowiedziawszy się, że ma urodziny, zaprosił ją do Nénesse. Nie miał czasu szukać prezentu, po prostu ją zaprosił, na co z uśmiechem stwierdziła, że kolacja urodzinowa jest super, że uwielbia desery. Narysował wtedy na serwetce jej portret i podarował jej, nic nie powiedział, ale był z niego zadowolony, wypadł bardzo prawdziwie, natchnienie mu dopisało. Takich dni było wiele.

Sięga po komórkę, sprawdza w notatniku datę: dwudziestego trzeciego marca.

Anne ma czterdzieści dwa lata. Więc rok 1965. Urodzona w Lyonie? Nie jest pewny. Szuka we wspomnieniach tamtego wieczoru; czy mówiła mu, gdzie się urodziła? Usuwa „Lyon”, naciska „szukaj”, wyskakują dwie Anne Forestier, to częsty przypadek, wystarczy wpisać datę urodzenia i przy wystarczająco pospolitym nazwisku wszędzie znajdzie się swoich bliźniaków.

Pierwsza Anne Forestier nie jest jego Anne. Umarła czternastego lipca 1973 roku w wieku ośmiu lat.

Druga też nie. Zmarła szesnastego października 2005 roku. Dwa lata temu.

Camille co chwila pociera palce o wnętrze dłoni. Dobrze zna to uczucie ekscytacji, jest treścią jego pracy, ale teraz to już nie tylko ekscytacja zawodowca, ale zetknięcie się z anomalią. A w materii anomalii on sam jest niekwestionowanym mistrzem, wystarczy na niego spojrzeć. Tyle że tym razem ta anomalia łączy się z inną, z anomalią jego zachowania, którego nikt już nie rozumie.

Które on sam już przestaje rozumieć.

O co walczy?

Z kim?

Niektóre kobiety oszukują co do daty urodzenia. To nie w stylu Anne, ale nigdy nie wiadomo.

Camille wstaje i otwiera szafę. Nikt w niej nigdy nie sprząta. Jego usprawiedliwieniem, dlaczego sam tego nie

zrobi, jest wzrost. Kiedy go to urządza... Dopiero po wielu minutach znajduje instrukcje, których szuka. Nikogo nie może poprosić o pomoc.

- Najdłużej po rozwodzie trwa sprzątanie - stwierdziła Anne.

Rozpłaszcza dłonie na blacie, żeby się skoncentrować. Nie, tak nie może, potrzebny mu ołówek i papier. Szkicuje. Szuka w pamięci. Są u niej w domu, Anne siedzi na rozkładanej kanapie, Camille przed chwilą powiedział, że to mieszkanie jest trochę... jakby to ująć, ale jest po prostu ponure. Próbował znaleźć jakieś w miarę bezbolesne słowo, ale taki początek zdania, a po nim długa chwila kłopotliwej ciszy, to najprostsza droga, żeby pograć się w jej oczach, to tylko kwestia czasu.

- Zupełnie się tym nie przejmuję - odrzekła oschłym tonem Anne. - Chciałam się wszystkiego pozbyć.

Powraca do niego pewne wspomnienie. Trzeba wrócić do rozwodu, nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawiali, Ca mille o nic nie pytał.

- To było dwa lata temu - powiedziała Anne.

Natychmiast odkłada ołówek i jednym palcem sprawdzając procedury, z drugim na klawiaturze zamawia dane dotyczące ślubu i / lub rozwodu w 2005 roku niejakiej Anne Forestier, selekcionuje wyniki, odrzuca wszystko, co nic dotyczy jego poszukiwań, zostaje jedna Forestier Anne urodzona 20 lipca 1970 roku. Trzydzieści siedem lat... Czyta „Skazana za oszustwo wyrokiem z 27 kwietnia 1998”.

Anne jest notowana.

Informacja ta jest takim wstrząsem, że nie od razu dociera do niego jej rzeczywiste znaczenie. Anne i notowana.

Czyta. Skazana pod zrzutem fałszerstwa czeków, fałszowania i podrabiania dokumentów. Jest tak ogłuszony, że dopiero po dłuższej chwili zauważa, że Anne Forestier odsiada wyrok w zakładzie karnym w Rennes.

To nie ta Anne. Też Forestier, też Anne, ale niemająca nic wspólnego z jego Anne.

Chociaż... Wyszła już na wolność. Kiedy? Czy kartoteka jest aktualizowana? Musi wprowadzić nowe procedury, żeby się

dowiedzieć, jak dotrzeć do fotografii antropometrycznej tej więźniarki, jestem zdenerwowany, zbyt zdenerwowany, mówi sobie i czyta: „zamówienie F4, potwierdzić”. Kobieta, która pojawia się en face i z profilu, jest bardzo gruba i najwyraźniej jest Azjatką.

Miejsce urodzenia: Da Nang.

Powrót do ekranu. Ulga. Jego Anne nie jest znana policji. Ale piekielnie trudno ją znaleźć.

Camille mógłby trochę odetchnąć, ale nie, w piersi czuje ucisk, w tym pokoju brakuje powietrza, ciągle to powtarza.

Kiedy Anne zobaczyła go przed sobą, padła na ziemię, kula utkwiała w gzymsie, kilka centymetrów nad jej głową. Po tej, która z hukiem odbiła się od żeliwnego pieca, wystrzał sprawia wrażenie niemal stłumionego, za to niesie się głośnym echem po lesie.

Oszalała ze strachu, na czworakach, gorączkowo usiłuje wydostać się z pomieszczenia. Niesamowite, to prawie powtórka sceny sprzed dwóch dni w pasażu Moniera. Anne, ślizgając się, znów próbuje uciec, zanim mężczyzna zdąży jej strzelić w plecy...

Obraca się, jej usztywnione palce ślizgają się po wypastowanej posadzce, nieważny ból, już go nie czuje, powoduje ją wyłącznie instynkt.

Następna kula muska jej ramię i wbija się w drzwi. Anne biegnie nieporadnie jak mały szczeniak i wreszcie dopada drzwi. Oto cudem uratowana siedzi po drugiej stronie, plecami przywierając do ściany. Czy uda mu się wejść? Jak?

To dziwne, ale wciąż ściska w dłoni komórkę. Zbiegała po schodach, przez salon, dobiegła aż tu, nie wypuszczając jej z ręki, jak dziecko, które kurczowo trzyma swojego misia, kiedy wokół lecą bomby i pociski.

Co teraz robi? Chciałaby wyrzucić i sprawdzić, ale jeśli się zaczął, trzecią kulę zarobi w głowę.

Pomyśleć. Szybko. Jej palce już wystukują numer Camille'a. To samo. Rozłącza się. Jest sama.

Zadzwoić na policję? Ale gdzie w takiej dziurze jest policja? Upłynie wieczność, zanim im wszystko wyjaśni, a nawet jeśli, ile czasu zajmie im dojechanie tutaj?

Tyle że Anne zdąży już dziesięć razy zginąć. Bo on jest tu, na miejscu, za ścianą domu.

Teraz jedynym wyjściem jest Caravaggio.

Pamięć to dziwny instrument, teraz, kiedy jego zmysły są wyostrome jak brzytwa, wszystko mu się przypomina. Agathe, córka Anne, studiuje zarządzanie. W Bostonie!. Tego Camille jest pewien, Anne mówiła, że ją tam odwiedziła (jechała z Montrealu, tam też widziała jeden z obrazów Maud Verhoeven), że to bardzo ładne, bardzo europejskie miasto, „staroświeckie”, dodała, chociaż nie bardzo wiedział, co chce przez to powiedzieć, skojarzyło mu się to luźno z Luizjaną, on sam nie lubi podróżować.

Trzeba spróbować z inną kartoteką, więc potrzebne są inne instrukcje. Znów rzut oka do szafy, potem lista instrukcji, nadal nie potrzebuje zezwolenia instancji wyższej, wystarczy to, które już ma, sieć działa błyskawicznie, uniwersytet w Bostonie, cztery tysiące wykładowców, trzydzieści tysięcy studentów, liczba nie do przerobienia, Camille sprawdza w stowarzyszeniach studenckich, kopiuje wszystkie listy, wkleja je do folderu, tego z opcją wyszukiwania według nazwiska.

Żadnej Forestier. Może jej córka wyszła za mąż? Może nosi nazwisko ojca? Najpewniej będzie szukać po imieniu. Są Agaty, są Agathy, ale tylko dwie Agathe i jedna Agate. Trzy CV.

Agathe Thomasson, dwadzieścia siedem lat, Kanadyjka. Agate Leandro, dwadzieścia trzy lata, Argentynka. Agathe Jackson, Amerykanka. Ani jednej Francuzki.

Nie ma Anne. A teraz nie ma Agathe.

Camille waha się: czy szukać ojca Anne?

- Dał się wybrać na skarbnika czterdziestu towarzystw. W jeden dzień opróżnił czterdzieści kont bankowych i słuch po

nim zaginął.

Anne opowiadała o tym ze śmiechem, ale był to dziwny śmiech. Przy tak skąpych danych nie będzie to łatwe: czy był handlowcem, co sprzedawał? Gdzie mieszkał? Jak dawno temu miało miejsce to zdarzenie? Za dużo tu niewiadomych.

Zostaje Nathan, brat Anne.

Nieemożliwe, żeby naukowiec (co to była za dziedzina, astrofizyka czy coś podobnego), który z definicji musiał publikować, nie znaleźć w internecie. Camille z trudem łapie oddech. Realizacja zamówienia chwilę trwa.

Żadnego naukowca o tym nazwisku nie ma. Nigdzie. Najbliższy jest Nathan Forest, Nowozelandczyk, sześćdziesiąt trzy lata.

Camille jeszcze wielokrotnie zmienia kąta poszukiwań, próbuje z Lyonem, z Paryżem, z biurami podróży... Podejmując ostatnią próbę z telefonem stacjonarnym Anne, czuje, że mrowienie między łopatkami ustępuje. Już wie. To prawie pewne.

Numer jest zastrzeżony, obejście tego jest żmudne, ale niezbyt skomplikowane.

Nazwisko abonentki: Maryse Roman. Adres: ulica Fontaine-au-Roi. No jasne, mieszkanie zajmowane przez Anne należy do sąsiadki i wszystko jest na jej nazwisko, bo wszystko jest jej własnością, telefon, meble, zapewne również biblioteczka z mocno przypadkowym miszmaszem książek.

Anne wynajmuje umeblowane mieszkanie.

Camille mógłby coś zrobić, wysłać kogoś, żeby to sprawdził, ale już nie warto. Do tego ducha, znanego mu jako Anne Forestier, nie należy nic.

Na próżno roztrząsa sprawę pod każdym możliwym kątem, wniosek zawsze jest ten sam.

W rzeczywistości żadna Anne Forestier nie istnieje.

Kogo więc ściga Hafner?

Anne kładzie komórkę na podłodze, będzie się musiała poczołgać, robi to, pomagając sobie łokciami, powoli, gdyby

się mogła wtopić w podłogę... Ogarnia wzrokiem salon. I widzi mały pomocnik, na którym Camille zostawił kartkę z kodem.

Skrzynka alarmowa znajduje się obok drzwi wejściowych.

29091571

Kiedy rozdzwania się alarm, Anne zakrywa uszy i odruchowo klęka, jakby jego syrena była kontynuacją kanonady z prawdziwej broni palnej, tylko w innej formie. Jest ogłuszająca, mało nie pękną bębenki.

Gdzie on jest? Choć wszystko w niej się przed tym wzbrania, powoli wstaje i ryzykuje ostrożny rzut oka. Nie ma nikogo. Lekko odejmuje ręce od uszu, ale to wycie jest tak przeraźliwe, nie pozwala skupić się, pomyśleć. Zasłaniając uszy, podchodzi do szyby.

Uciekł? Uścisk w jej gardle nie ustępuje. To byłoby zbyt proste. Nie mógł tak po prostu uciec. Tak szybko.

Do Camille'a ledwie dociera głos Louisa, który w tym momencie wsunął głowę do gabinetu.

- Idzie do pana sędziego Pereira...

Camille wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Żeby to zrozumieć, żeby wyciągnąć właściwe wnioski, będzie potrzebował czasu, będzie potrzebował wielkiej inteligencji, stanowczości, racjonalnego myślenia i dystansu; będzie potrzebował mnóstwa umiejętności, których nie posiada.

- Co? - pyta.

Louis powtarza. Dobrze, mruczy Camille, wstając. Sięga po płaszcz.

- Wszystko w porządku? - pyta Louis.

Ale Camille nie słucha. Właśnie wyjął z kieszeni komórkę. I widzi, że ma nową wiadomość. Dzwoniła Anne! Szybko naciska klawisz, otwiera pocztę głosową. Słyszac pierwsze słowa „On tu jest! Błagam cię, zadzwoń...!”, rzuca się do drzwi, potrąca Louisa, wypada na korytarz, zbiega pędem po schodach, piętro niżej o mały włos nie potrąca jakiejś kobiety, a to komisarz Michard, której towarzyszy sędzia

Pereira, właśnie idą, żeby się z nim spotkać, porozmawiać, sędzia już otwiera usta... Camille nawet na ułamek sekundy nie zwalnia, pędząc po schodach woła:

- Później wszystko wyjaśnię!

- Verhoeven! - ryczy komisarz Michard.

Ale on jest już na dole przy samochodzie. Trzaskają drzwi, samochód się wycofuje, a jednocześnie przez otwarte okno wysuwa się ręka, stawiając na dachu koguta, natychmiast syrena i zapalone reflektory, wypada z parkingu jak burza, mundurowy gwizdże, zatrzymując ruch, żeby go przepuścić.

Camille pędzi pasem dla autobusów, taksówek, wybiera numer Anne, nastawia na cały regulator głośnik.

Odbierz, Anne!

Odbierz!

Anne wstała. Odczekuje dłuższą chwilę. Nieobecność mężczyzny jest niezrozumiała. Może to podstęp, ale mijają sekundy i nic. Alarm umilkł, ustępując miejsca wibrującej ciszy.

Podchodzi do okna, staje z boku, na wpół osłonięta, w każdej chwili gotowa się cofnąć. Nie mógł tak po prostu uciec. Tak szybko. Tak nagle.

I w tym dokładnie momencie widzi go przed sobą.

Przeżrana cofa się o krok.

Stoją oddzieleni szybko, w odległości niecałych dwóch metrów od siebie.

Nie ma z sobą broni, patrzy jej prosto w oczy, podchodzi bliżej. Gdyby wyciągnął rękę, dotknąłby szyby. Uśmiecha się, potrząsa głową. Nie spuszczać z niego oczu, Anne cofa się. Mężczyzna wyciąga otwarte dłonie niczym Jezus na tym obrazie, który pokazał jej kiedyś Camille. Otwarte spojrzenie, rozłożone ręce. Podnosi je do góry i powoli obraca się dookoła, jakby go trzymała na muszce.

Spójrz, jestem nieuzbrojony.

Wykonawszy pełen obrót, staje z powrotem twarzą do niej i wciąż rozkładając ręce, uśmiecha się znowu, jeszcze szerzej,

zachęcająco.

Anne stoi nieruchomo. Mówi się, że zahipnotyzowane światłami samochodu króliki zastygają w bezruchu, czekając na śmierć.

Mężczyzna, nie spuszczać z niej wzroku, robi krok, drugi, powoli podchodzi do szyby i powolnym łagodnym gestem kładzie dłoń na klamce, czuje się, że nie chce jej spłoszyć, zresztą Anne wciąż ani drgnie, wpatruje się w niego, coraz szybciej oddycha, jej serce zaczyna znów bić plucho, ciężko, boleśnie. Mężczyzna stoi nieruchomo, za- Htygł nawet jego uśmiech, czeka.

Trzeba z tym skończyć, mówi sobie Anne, dotarliśmy już prawie do końca drogi.

Przenosi spojrzenie na posadzkę tarasu. Nie zauważyła, że położył na ziemi swoją skórzaną kurtkę, z której kieszeni ostentacyjnie wystaje kolba pistoletu, a z drugiej trzonek noża. Jak łupy wojenne rzymskiego żołnierza. Mężczyzna sięga ręką i powoli wyjmuje je z kieszeni, pokazując podszewkę od środka, spójrz, puste ręce, puste kieszenie.

Musi tylko zrobić dwa kroki. Tyle ich już zrobiła. On nawet nie drgnie.

W końcu Anne nagle, jak przed skokiem w płomienie, podejmuje decyzję. Podchodzi i z wielkim trudem z powodu usztywnionych palców, nie mówiąc już o całkowitym braku siły w ręce, odryglowuje zasuwę.

Kiedy zamek ustępuje, kiedy drzwi się rozsuwają, kiedy pozostaje mu już tylko zrobić krok, żeby wejść do środka, Anne szybko się cofa, zakrywając dłonią usta, jakby nagle do niej dotarło, co najlepszego zrobiła.

Mężczyzna wchodzi. A wtedy ona, nie mogąc się powstrzymać, wrzeszczy:

- Łajdak! Łajdak, łajdak, łajdak...

Cofając się, na cały głos, przez łzy napływające z daleka, z głębi swojego jestestwa wykrzykuje obelgę, łajdak, łajdak.

- No, no...

Mężczyzna wyraźnie uważa, że Anne przesadza. Wcho dzi do środka z ciekawą i zaintrygowaną miną gościa, agen ta

nieruchomości, niezła ta antresola, sporo światła... Zdy szana Anne wycofała się pod schody prowadzące na piętro

- Już lepiej? - pyta mężczyzna, odwracając się do niej

- Uspokoił się?

- Dlaczego chce mnie pan zabić? - krzyczy Anne.

- Ale... co też ci przyszło do głowy!

Szczerze zmartwiony, prawie zgorszony.

Anne jest przerażona, cały jej strach, cała wściekłość znajdują wreszcie ujście, głos staje się piskliwy, już nie zakrywa ust grzbietem dłoni, już się nie hamuje, jest w niej tylko nienawiść, a jednocześnie boi się go, boi się, że znów jej przyłoży, cofa się...

- Próbuje mnie pan zabić!

Mężczyzna wzdycha, z góry już znużony... Jakie to przykre. Anne ciągnie:

- Nie tak to miało wyglądać!

Zrozpaczony wobec takiej naiwności kiwa głową.

- Ależ miało!

Trzeba jej naprawdę wszystko tłumaczyć. Lecz ona jeszcze nie skończyła.

- Nie! Miał mnie pan tylko pchnąć! Sam pan powiedział: „Tylko cię lekko pchnę”!

- Ale... - (Nie do wiary, że musi jej tłumaczyć tak podstawowe rzeczy). - Ależ to musiało wyglądać wiarygodnie. Rozumiesz? Wia-ry-god-nie!

- Wszędzie mnie pan ściga!

- Tak, ale nie zapominaj, że w słusznej sprawie...

Żartuje. To tylko potęguje wściekłość Anne.

- Nie takie były ustalenia, idioto!

- No cóż, nie wtajemniczyłem cię we wszystkie detale, to fakt... A poza tym nie nazywaj mnie idotą, bo zaraz ci przyłożę, że popamiętasz!

- Od samego początku próbuje mnie pan zabić!

Tym razem mężczyzna już się wkurza.

- Zabić cię? Mylisz się, moja mała! Gdybym chciał cię zabić, to przy tych wszystkich okazjach, jakie po drodze miałem, już byś teraz ze mną nie rozmawiała. - (Dla pod-

kreślenia tych słów unosi palec). - Ciebie wykorzystałem, żeby zrobić wrażenie, a to coś zupełnie innego! I możesz mi wierzyć, znacznie trudniejszego, niżby się zdawało. W samym tylko szpitalu napędzenie strachu temu twojemu gli-niarzowi bez ściągania przy tym Gwardii Narodowej to była koronkowa robota, wymagająca niezwykłych umiejętności!

Argument skutkuje. Anne wychodzi z siebie.

- Oszpecił mnie pan! - zaperza się. - Wybił mi pan zęby! Skato...

Mężczyzna krzywi się ze współczuciem.

- Fakt, muszę przyznać, że wyglądasz niepięknie.

- (Z trudem powstrzymuje uśmiech). - Ale to da się załat-wić, lekarze dzisiaj potrafią zdziałać cuda. O, na przykład, jeśli zainkasuję forszę, zafunduję ci z przodu dwa złote zęby. Albo srebrne, jak wolisz. Ale gdybyś chciała znaleźć męża, z przodu doradzałbym raczej złote, wyglądają szykowniej ...

Anne opada na kolana, kuli się. Nie ma już w niej łez, jest wyłącznie nienawiść.

- Kiedyś pana zabiję...

Mężczyzna się śmieje.

- A jaka zawzięta... Mówisz tak, bo jesteś zła. - (Chodzi po salonie, jakby był u siebie). - Nie, nie - głos mu poważnieje - zapewniam cię, że jak wszystko dobrze pójdzie, usuniesz szwy, wstawisz sobie plastikowe zęby i grzecznie wró cisz do domu.

Przystaje i spogląda na schody, na antresolę na górze.

- Całkiem miłe miejsce. Nieźle urządzone, co? - (Patrzy na zegarek). - A teraz, wybaczysz... ale nie będę mógł zostać.

Podchodzi do Anne, która natychmiast przywiera do ściany.

- Nic ci przecież nie zrobię!

- Wynoś się! - wrzeszczy Anne.

Mężczyzna kiwa głową, że dobrze, ale jego uwagę zaprzęta co innego, stoi u podnóża schodów, patrzy na najniższy stopień, po czym przenosi wzrok na otwór po kuli w szybie.

- Niezły jestem, co? - (Zadowolony z siebie odwraca się do Anne, chciałby, żeby się z nim zgodziła). - Uwierz mi, to

bardzo trudne! Nawet sobie nie wyobrażasz jak!

Jest boleśnie rozczarowany brakiem podziwu dla swojej sprawności.

- Wynocha...!

- Tak, masz rację. - (Rozgląda się wkoło. Z satysfakcją).

- Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Udana z nas ekipa, co? Teraz - (wskazuje rozrzucone po całym pokoju łuski po pociskach) - powinno pójść już gładko, albo się na tym ani trochę nie znam.

Kilka zdecydowanych kroków i już jest na progu tarasu.

- Niezbyt odważni ci twoi sąsiedzi, co? Mogłoby tak przez cały dzień dzwonić i pies z kulawą nogą by nie zajrzał, żeby sprawdzić, co się dzieje... Co było do przewidzenia, wszędzie jest tak samo. A, jeszcze jedno...

Wychodzi na taras, podnosi kurtkę, sięga do wewnętrznej kieszeni.

- To - mówi, rzucając kopertę Anne - wykorzystasz dopiero wtedy, gdy wszystko pójdzie zgodnie z planem. A twoim żywotnym interesem jest, żeby wszystko poszło zgodnie z planem. Tak czy inaczej, nie ruszysz się bez mojego pozwolenia, rozumiano? W przeciwnym razie to, co dotąd przeżyłaś, będziesz mogła potraktować jako zadatek.

Nie czekając na odpowiedź, znika.

Na podłodze kilka metrów dalej dzwoni i wibruje telefon Anne. Po wyciu alarmu brzmi to jak metaliczny terkot dziecięcego telefonu.

Camille. Musi odebrać.

„Zrób, jak powiedziałem, i wszystko będzie dobrze”.

Przyciska klawisz. Nawet nie udaje wykończonej.

- Już go nie ma... - mówi.

- Anne? - krzyczy Camille. - Co powiedziałaś? Anne?

Camille jest przerażony, jego głos brzmi bezbarwnie.

- Przyszedeł - mówi Anne. - Włączyłam alarm, przestraszył się i uciekł...

Camille słabo słyszy. Wyłącza syrenę w radiowozie.

- Nic ci nie jest? Już jadę, nic ci nie jest, powiedz...!

- W porządku, Camille - (Anne podnosi głos) - już wszystko

dobrze.

Camille, zdyszany, zwalnia. Lęk w nim ustąpił miejsca gorączkowości. Chciałby już być na miejscu.

- Co się stało, powiedz!

Anne, obejmując ramionami kolana, płacze.

Najchętniej by umarła.

10.30

Camille trochę się uspokoił, wyłączył syrenę i zdjął koguta z dachu. Musi teraz połączyć w całość sporo elementów, a wciąż targają nim emocje, nie jest w stanie ich uporządkować...

Od dwóch dni porusza się po grząskim gruncie, z każdej strony czyha przepaść. A Anne otworzyła następną, tuż pod jego stopami.

Teraz, kiedy prawdopodobnie ważą się losy jego dalszej kariery, kiedy w ciągu dwóch dni kobietę, która jest mu bliska, trzykrotnie próbowano zastrzelić, kiedy odkrył, że ta kobieta żyje z nim pod fałszywym nazwiskiem, kiedy nie wie, jaką tak naprawdę rolę odgrywa w całej sprawie, powinien obmyślać strategię, iść za głosem rozsądku, tymczasem jego umysł bez reszty zaprzęta jedno pytanie, definiujące wagę wszystkich pozostałych: kim w jego życiu jest Anne?

Nie, nie tylko jedno, jest jeszcze drugie: czy to coś zmienia, że ona nie jest Anne?

Powraca do początków ich historii, do tych wieczorów, kiedy się szukali, kiedy ledwie się muskali, kiedy wreszcie wylądowali w łóżku... W sierpniu Anne od niego odchodzi, a godzinę później znajduje ją siedzącą na schodach - zwykły manewr z jej strony? Sprytne posunięcie? Słowa, pieszczoty, pocałunki, godziny i dni razem spędzone - to tylko i wyłącznie manipulacja?

Za chwilę stanie przed kobietą, która podaje się za Anne Forestier, z którą od wielu miesięcy sypia i która od pierwszego dnia go okłamuje. Nie wie, co o tym myśleć, czuje się

pusty w środku, jak przepuszczony przez wyżymaczkę.

Jaki istnieje związek między fałszywą tożsamością Anne a wydarzeniami w pasażu Moniera?

A zwłaszcza co w tym wszystkim robi on, Camille?

Ale najważniejsze jest to, że ktoś próbuje ją zabić.

Sam już nie wie, kim jest ta kobieta, ale jednego jest pewny. Jego powinnością jest ją ochronić.

Kiedy wchodzi do domu, Anne wciąż siedzi na podłodze, plecami oparta o drzwiczki pod zlewem, ramionami oplatając kolana.

W tym zamięcie myśli Camille zapomniał, jak ona teraz wygląda. Przez całą drogę towarzyszyła mu inna Anne, ta z początków ich znajomości, śliczna i roześmiana, o zielonych oczach i z dołeczkami w policzkach. Widząc ją z ty sineżółtą twarzą, z tymi szwami, w tych brudnych bandażach i z palcami w łubkach, przeżywa wstrząs. Prawie taki sam jak wtedy, gdy zobaczył ją w sali na ostrym dyżurze.

Zdjęty współczuciem momentalnie mięknie. Anne siedzi bez ruchu, nie patrzy na niego, wzrok ma wbity w jeden punkt, jest jak zahipnotyzowana.

- Wszystko dobrze, najdroższa? - pyta Camille, podchodząc do niej.

Wygląda, jakby próbował oswoić jakieś zwierzątko. Klęka obok, przytulają, co przy jego wzroście nie jest takie proste, ujmując pod brodę, zmusza do podniesienia głowy, uśmiecha się do niej.

Anne patrzy, jakby dopiero teraz odkryła jego obecność

- Och, Camille...

Pochyliła się i opiera mu głowę na ramieniu.

Teraz już może nastąpić koniec świata.

Ale na koniec świata jeszcze za wcześnie.

- Powiedz mi...

Anne patrzy w prawo, w lewo i nie wiadomo, czy jest

wzruszona, czy nie wie, od czego zacząć.

- Przyszedł sam? Było ich kilku?

- Nie, sam... - odpowiada poważnym, drżącym głosem.

- Czy to ten, którego rozpoznałaś na zdjęciach? Hafner, czy to był on?

Tak, Anne tylko kiwa głową. Tak, to on.

- Opowiedz mi, co się zdarzyło.

W czasie kiedy Anne opowiada (urywane słowa, żadnych pełnych zdań), Camille rekonstruuje scenę. Pierwszy strzał. Odwraca głowę i spogląda na kawałki szkła na podłodze w miejscu, gdzie stał niski stolik, szczątki drewna wiśniowego, które wyglądają jak poszatutowane przez huragan. Wciąż słuchając, wstaje i podchodzi do szyby, otwór po kuli znajduje się zbyt wysoko, by mógł do niego sięgnąć, w myślach odtwarza tor pocisku.

- Mów dalej...

Staje pod ścianą, potem podchodzi do pieca, dotyka palcem śladu po kuli, spogląda z daleka na wielką dziurę w ścianie, a potem rusza do schodów. Stoi przy nich przez dłuższą chwilę z dłonią opartą na tych szczątkach najniższego stopnia, z namysłem spogląda na szczyt schodów, odwraca się do miejsca, skąd padł strzał, po przeciwnej stronie salonu, i wchodzi na drugi stopień.

- A potem? - pyta.

Wychodzi z pokoju, idzie do łazienki. Głos Anne dobiega teraz z daleka, ledwie go słyhać. Camille przez cały czas odtwarza scenę, jest u siebie, ale teraz jest to miejsce zbrodni. A więc: hipotezy, ustalenia, wnioski.

Uchylone okno. Anne wchodzi do łazienki, Hafner czeka po drugiej stronie, przełożywszy ramię przez framugę, mierzy do niej z broni z tłumikiem. Wyżej Camille odkrywa ślad po kuli na gzymsie, wraca do salonu.

Anne umilkła.

Camille przynosi szczotkę ze schowka pod schodami i pośpiesznie zmiata pod ścianę kawałki szkła i drewna z niskiego stolika. Strzepuje szybko kanapę. Podgrzewa wodę.

- Chodź - mówi wreszcie. - Już po wszystkim...

Siedzą razem, Anne przytulona do niego, i popijają to, co Camille nazywa herbatą, naprawdę ohydztwo, ale nie warto robić z tego sprawy.

- Wywiozę cię gdzie indziej.

Anne kręci głową, że nie.

- Dlaczego?

Nieważne, nie i już. Chociaż ślady po kulach w oknie, na drzwiach, na schodach, roztrzaskany niski stolik w salonie dowodzą nieroztropności tej decyzji.

- Uważam, że...

- Nie - ucina Anne.

To załatwia sprawę. Camille mówi sobie, że skoro Hafnerowi nie udało się dostać do domu, mało prawdopodobne jest, żeby kolejną próbę podjął jeszcze dzisiaj. Co jutro, zobaczymy. W ciągu trzech dni rozegrało się tyle, co przez całe lata, w tej sytuacji jutro...

I rzecz również w tym, że Camille nareszcie doszedł do kolejnego wniosku.

Zajęło mu to trochę czasu, tego czasu, którego potrzebuje każdy znokautowany bokser, żeby podnieść się z desek, żeby podjąć walkę.

Jest już tego bliski.

Musi mieć jeszcze tylko godzinę lub dwie. Niewiele więcej. A na razie zamknie dom, sprawdzi wszystkie drzwi, zostawi tu Anne.

Więcej już nie rozmawiają. Bieg ich myśli przerywają tylko wibracje komórki Camille'a, ktoś bez przerwy do niego dzwoni. Nie musi nawet sprawdzać, wiadomo kto.

To bardzo dziwne uczucie przytulać do siebie nieznaną kobietę, którą się tak dobrze zna. Camille powinien zadać jej mnóstwo pytań, ale na to czas będzie potem. Najpierw musi rozplątać ten węzeł gordyjski.

Ogarnia go zmęczenie. To pochmurne niebo, ten las za oknem, ten ciężki senny dom zamieniony w schron bojowy, to przytulone do niego, brzemiennie tajemnicą ciało... prze-

spałby cały dzień, gdyby posłuchał głosu własnych pragnień. Ale on słucha Anne, wsłuchuje się w jej oddech, w jej usta, kiedy dopija herbatę, w jej milczenie, w ten niemy ciężar, który między nimi zaległ.

- Znajdziesz go? - pyta prawie szeptem Anne.

- O, na pewno.

Odpowiedź przysłała mu bez trudu, wyraża przekonanie tak głębokie i tak silne, że nawet Anne jest pod wrażeniem.

- I od razu mi o tym powiesz, prawda?

Z podtekstów kryjących się w każdym zdaniu można by napisać książkę. Camille marszczy brwi: dlaczego?

- Bo chcę się upewnić, nie rozumiesz?

Anne podniosła głos i tym razem nie zakryła ust ręką, obnażone dziąsło z wybitymi zębami jest jak wymierzenie policzka.

- Oczywiście...

Jeszcze trochę, a by ją przeprosił.

Ich milczenie osiąga wreszcie stan harmonii. Anne usnęła. Camille'owi brak słów, lecz gdyby miał ołówek, kilkoma pociągnięciami odtworzyłby na papierze ich wspólną samotność. Każde z nich dotarło do kresu własnej historii, są razem i osobno. Nie potrafi sobie tego wytłumaczyć, ale nigdy nie czuł się jej bliższy, wiąże go z nią jakieś nieokreślone poczucie solidarności. Powoli wypuszcza Anne z objęć, delikatnie opiera jej głowę na kanapie i wstaje.

W drogę. Teraz trzeba się dowiedzieć, co się za tym wszystkim kryje

Wchodzi po schodach powoli jak skradający się Indianin, zna każdy stopień, wie, który trzeszczy, stąpa bezgłośnie, bo poza tym niewiele też waży.

Sypialnia jest mansardą pod bardzo spadzistym dachem i pod ścianami pokój ma nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów wysokości. Camille kładzie się na podłodze i podczołguje do odchylanej drewnianej kłapy w nogach łóżka; to właz prowadzący na poddasze. W środku jest czarno od kurzu, od pajęczyn, już samo wetknięcie tam ręki to przygoda, Camille wsuwa ramię, szuka po omacku, wyczuwa pod

dłonią folię, łapie ją i przyciąga do siebie. To szara plastikowa torba na śmieci, a w niej gruba teczka z aktami obwiązana gumką. Nie otwierał jej od...

Jak mówiliśmy, ta sprawa nieustannie zmusza go do konfrontacji z tym, czego się boi.

Rozgląda się, ściąga z poduszki poszewkę, ostrożnie owija w nią plastikową torbę, z której przy najmniejszym ruchu wzbijają się tumany kurzu przypominającego popiół. Zabiera wszystko i po cichutku schodzi na dół.

Kilka minut później zostawia liścik do Anne. „Odpocznij. Dzwon, kiedy będziesz chciała. Wrócę jak najszybciej”. Umieszcze cię w bezpiecznym miejscu, nie, tego nie śmie napisać. Potem obchodzi dom, naciska wszystkie klamki, sprawdza wszystkie zamki.

Przed wyjściem spogląda z daleka na leżącą na kanapie Anne. Ściska mu się serce, że ją tak zostawia. Wychodzi niechętnie, lecz nie może zostać.

W drogę. Z owiniętą w pasiastą poszewkę grubą teczką pod pachą wychodzi na podwórko i rusza do samochodu, który zaparkował pod lasem.

Potem się odwraca. Milczący dom wygląda jak ustawiony na tacy w środku lasu, kojarzy się z siedemnastowieczną martwą naturą, ze szkatułką. Camille myśli o pogrążonej we śnie Anne.

Ale kiedy jego samochód powoli wyjeżdża z podwórka i zagłębia się w las, Anne leży na kanapie z otwartymi oczami.

11.30

Im bliżej Paryża, tym bardziej umysłowy pejzaż Camille'a się upraszcza. Nie rozjaśnia mu się w głowie, ale teraz już wie, gdzie stawiać znaki zapytania.

Zadawanie sobie właściwych pytań jest w tej chwili sprawą najważniejszą.

W trakcie skoku na jubilera zabójca bierze na zakładnika kobietę podającą się za Anne Forestier. Katuje ją, chce ją

zabić i ścigają aż tutaj.

Co łączy ukrytą tożsamość Anne z tym napadem?

Wszystko zdaje się wskazywać, że znalazła się tam przypadkiem, po prostu przyszła odebrać zamówiony zegarek dla Camille'a, ale te dwa zdarzenia, choć z pozoru odległe, są jednak z sobą powiązane. Ściśle powiązane.

Czy są na świecie dwie rzeczy, które nie byłyby z sobą powiązane?

Od Anne Camille nie dowiedział się prawdy, nie wie nawet, kim ona sama naprawdę jest. Teraz musi zacząć od innego punktu wyjścia. Od drugiego końca nici.

Na komórce ma trzy telefony od Louisa, który, co dla niego typowe, nie zostawił wiadomości. Tylko krótki SMS: „Potrzebna pomoc?”. Kiedyś, kiedy Camille już z tym wszystkim skończy, zaproponuje Louisowi adopcję.

I trzy wiadomości od Le Guena, wszystkie sprowadzające się do jednego. Zmienia się tylko ton, głos Jeana z każdą wiadomością słabnie, a każda następna jest krótsza. I ostrzejsza. „Słuchaj, musisz do mnie koniecznie zadz...” Camille przechodzi do następnej. „Dlaczego nie...?” Przechodzi do następnej. W ostatniej Le Guen jest poważny.

I nieszczęśliwy: „Jeśli mi nie pomożesz, nie mogę ci pomóc”. Camille wyłącza komórkę.

Usuwa z umysłu wszystko, co przeszkadza mu w podążaniu dalszym tokiem myśli. Musi się skupić na najważniejszym.

Wszystko się niesamowicie komplikuje.

Spojrzenie na tę sprawę drastycznie zmieniły zastanawiające zniszczenia w jego domu.

Robią oczywiście wrażenie, ale nawet nie będąc ekspertem w sprawach balistyki, trudno sobie nie zadawać pytań. Za szklaną ścianą długości dwudziestu metrów Anne jest sama. Po drugiej stronie znajduje się mężczyzna zmotywowany, sprawny, znakomicie wyposażony. To, że nie potrafi gładko jej sprzątnąć, no cóż - to pech. Ale że potem przełożywszy rękę przez otwarte okno, nie jest w stanie z sześciu metrów położyć jej trupem, to już daje do myślenia. Tak jakby od pasażu Moniera ścigało go jakieś fatum. Czyżby więc od

początku tylko odstawiał aż takiego pechowca? Trudno uwierzyć w taki niefart...

Można by wręcz przyjąć, że ktoś, kto mając tyle po temu sposobności, nie zabija Anne, musi być wybornym strzelcem. W otoczeniu Camille'a nigdy wielu takich nie było.

A skoro już powstaje taka kwestia, siłą rzeczy nasuwają się następne.

Na przykład: jak zdołał dotrzeć za Anne aż do Montfort?

Zeszłej nocy Camille przemierzył tę samą trasę, tylko w przeciwnym kierunku, z Paryża. Wyczerpana Anne zaraz na początku podróży zasnęła, obudziła się dopiero po przyjeździe.

Nawet nocą na obwodnicy paryskiej, na autostradzie, na szosie krajowej panuje spory ruch. Ale Camille dwukrotnie się zatrzymywał, przez wiele minut obserwował ruch na drodze, a na koniec pojechał trasą okrężną, trzema lokalnymi szosami, na których reflektory są widoczne z daleka.

Jest w tym jakaś niepokojąca powtarzalność: robiąc obławę na Serbów, Camille doprowadził zabójców do Ravi- ca, wywożąc Anne do Montfort, doprowadził ich do niej.

To najbardziej wiarygodna hipoteza. W każdym razie tamci chcą, żeby tak pomyślał. Bo teraz, kiedy już wie, że Anne nie jest Anne, że cała ta sprawa nie jest tą, za którą ją do tej pory brał, bardziej uzasadnione hipotezy wyglądają mniej wiarygodnie.

Camille jest pewny, że nikt za nim nie jechał. Co oznacza, że tamci zjawili się w Montfort, ponieważ wiedzieli, że tam przyjadzie.

Trzeba więc rozważyć inne rozwiązania. A tym razem może je policzyć na palcach jednej ręki.

Za każdym rozwiązaniem stoi nazwisko, nazwisko jakiejś bliskiej osoby. Na tyle bliskiej Camille'owi, żeby wiedziała o Montfort. Żeby wiedziała, że jest blisko związany z kobietą pobitą w pasażu Moniera.

Żeby wiedziała, że chcąc zapewnić jej bezpieczeństwo, tutaj ją przywiezie.

Camille główkuje, zastanawia się, ale na próżno wciąż

szuka i szuka, nazwisk tych nie jest tak dużo. Jeśli wyłączyć Armanda, który czterdzieści osiem godzin temu poszedł z dymem, lista ich jest wręcz krótka.

I Vincenta Hafnera, którego nigdy nie widział, też na niej nie ma.

Ta konkluzja jest dla Camille'a jak otwarcie otchłani.

Upewnił się już, że Anne nie jest Anne. Teraz już wie, że Hafner nie jest Hafnerem.

To tak, jakby całe śledztwo zaczynało się od początku.

Powrót do punktu wyjścia.

A dla Camille'a, po tym, co już narozrabiał, jest to właściwie jednoznaczne z przepustką do więzienia.

Oto nasz mały stróż prawa znowu w drodze, krąży wte i wewte między Paryżem a domem na wsi, istna wiewiórka w kołowrotku. Albo chomik. Miota się, mam nadzieję, że się to w końcu opłaci. Nie jemu oczywiście, bo jemu to, jak myślę, uginają się już nogi, znalazł się w potrzasku, tylko patrzeć, jak się o tym dowie. Taki mały, a spadnie z wysoka.

Nie, mam nadzieję, że mnie się to opłaci.

Teraz już nie ma mowy, żeby mi się nie udało.

Dziewczyna spisała się bez zarzutu, można wręcz powiedzieć, że zapłaciła własnym ciałem. Potem trzeba będzie się bardziej sprężyć, ale na razie wszystko idzie jak z płatka.

Za sprawą mojego druha Ravica zafundowałem im porządną rozgrzewkę. Gdyby jeszcze żył, pierwszy by o tym zaświadczył, choć zważywszy na to, ile mu na koniec zostało palców, na Biblię nie mógłby przysiąc.

Jak się nad tym zastanowić, byłem dla niego miły, dałem wręcz dowód współczucia. Wpakowanie mu kuli w łeb było w pewnym sensie aktem miłosierdzia. Naprawdę, ci Serbowie są tacy jak Turcy, nie znają słowa dziękuję. To leży w ich kulturze. Tacy już są. A potem się skarżą, że mają kłopoty.

Teraz pora na sprawy poważne. Tam, gdzie przebywa teraz (nie wiem, czy serbscy bandyci mają swoje niebo, ale terroryści na pewno tak), Ravię będzie zadowolony. Weźmie

pośmiertny odwet, bo czuję w sobie mordercze żądze. Przyda mi się tylko trochę szczęścia, do tej pory go nie potrzebowałem, muszę cieszyć się kredytem zaufania u decydentów na górze.

I jeśli Verhoeven zrobi, co do niego należy, to już tylko kwestia czasu.

Na razie wrócę do mojej spokojnej przystani, muszę trochę dojść do siebie, bo potem trzeba będzie działać bardzo szybko.

Moje reakcje są nieco przytępione, ale motywacja pozostaje niezmienną i tylko to się liczy.

12.00

W łazience Anne znowu ogląda swoje dźiąsło, tę dziurę, ten horror. Do szpitala została przyjęta pod fałszywym nazwiskiem, nie będzie mogła odzyskać swojej historii choroby, zdjęć rentgenowskich, analiz, opinii lekarskich, wszystko trzeba będzie robić na nowo. Zaczynać od zera, w każdym tego słowa znaczeniu.

Twierdzi, że nie chciał jej zabić, bo jest mu potrzebna. Niech sobie mówi, co chce, Anne za grosz mu nie wierzy. Dla niego równie dobrze może żyć, jak nie żyć. Bił ją tak brutalnie, z taką zajadłością... Teraz utrzymuje, że to było tylko na pokaz, ale Anne nie wątpi, że sprawiało mu to tak wielką frajdę, że gdyby mógł ją jeszcze bardziej skatować, toby to zrobił.

W apteczce znajduje małe ostro zakończone nożyczki i pęsetę. Lekarz, ten młody Hindus, zapewniał, że rana jest niezbyt głęboka, liczył, że za dziesięć dni będzie można zdjąć szwy, lecz ona chce to zrobić już teraz. W szufladzie biurka Camille'a znalazła również lupę, ale dwa prowizoryczne narzędzia plus słabo oświetlone pomieszczenie trudno nazwać idealnymi warunkami do przeprowadzenia takiego zabiegu. Tyle że nie chce dłużej czekać. I tym razem nie chodzi o jej obsesję na punkcie sprzątania. W czasach, kiedy

byli jeszcze razem, mówiła Camille'owi, że chce posprzątać. W przeciwieństwie do tego, co już potem, po wszystkim pomyśli Camille, tak bardzo go nie okłamywała. Możliwie jak najmniej. Bo Camille'a trudno okłamywać. Czy też aż nazbyt łatwo, co na jedno wychodzi.

Anne ociera twarz mankietem, usuwanie szwów już samo w sobie nie jest proste, a w dodatku z wilgotnymi oczami... Szwów jest jedenaście. W lewej ręce trzyma lupę, w prawej nożyczki. Z bliska te cienkie czarne nitki wyglądają jak małe insekty. Wsuwa spiczasty koniec ostrza pod pierwszy supełek i natychmiast przeszywają ból, przejmujący, ostry jak czubek tych nożyczek. Normalnie nie powinno boleć; boli, bo rana się nie zabiłiła. Albo wdała się infekcja. Trzeba wepchnąć czubek ostrza na tyle głęboko, żeby nic podważyć, Anne wykrzywia się, krótkie cięcie, pierwszy insekt załatwiony, pozostaje go tylko usunąć. Trzęsą jej się ręce, nic nadal zespolona ze skórą stawia opór, mimo ich drżenia musi ją pociągnąć pęsetą. W końcu ustępuje, straszne uczucie, kiedy tak wysuwa się spod rany, Anne przygląda się z uwagą, ale jeszcze nic nie widzi, bierze się do drugiego szwu, jest tak zdenerwowana i spięta, że musi usiąść i zaczerpnąć powietrza...

Wraca przed lustro, wykrzywiając twarz, rozciera ranę, teraz drugi szew, potem trzeci. Usuwa je o wiele za wcześnie, pod lupą widzi, że rana jest czerwona, że jeszcze się nie zasklepiła. Czwarty szew, wrosnięty w ciało głębiej niż poprzednie, stawia prawdziwy opór, ale wołą Anne nic nie zachwieje, zaciska zęby, grzebie w ranie koniuszkiem ostrza, udaje jej się w końcu podważyć nic, ta się wyslizguje, próbuje jeszcze raz, rozgrzebana rana zaczyna krwawić, wreszcie nic ustępuje, Anne siłą ją wyciąga, teraz rana, różowa na brzegach, czerwona w środku, krwawi już na całego, kroplami krwi wielkości łez, potem kolejne szwy przegrywają walkę, Anne wyciąga je spod skóry i wyrzuca zwłoki do umywalki, ostatnie usuwa trochę na oślep, bo ledwie osuszy ranę, a na powierzchni pojawia się już następna krew, kończy dopiero wtedy, kiedy wszystkie szwy zostają usunięte.

Krew płynie i płynie. Długo się nie zastanawiając, Anne sięga do apteczki po plastikową butelkę z dziewięćdziesięcioprocentowym spirytusem, żadnego kompresu, tylko dłoń złożona w koszyczek, na nią spirytus i od ręki aplikuje go na ranę.

Co za ból... Anne wrzeszczy i wali pięścią w umywalkę; ból palców, na których łubki zdążyły się już rozluźnić, wywołuje kolejny krzyk. Ale dziś to jej własny krzyk, nikt go nie wydarł z niej siłą.

Jeszcze raz, dłoń, spirytus i na twarz. Bliska omdlenia opiera się obiema rękami o brzeg umywalki, ale wytrzymuje.

Potem, kiedy ból ustaje, przyciska mocno do policzka kompres nasączony spirytusem. Kiedy go unosi, pojawia się obrzmiała paskudna rana, jeszcze trochę krwawiąca.

Blizna, która zostanie. Biegnąca w prostej linii w poprzek policzka. U mężczyzny taką bliznę nazywa się szramą. Nie wiadomo, jak będzie wyglądała potem ta, ale od razu widać, że już nigdy nie zniknie.

Stało się.

I gdyby musiała wbić w tę ranę nóż, zrobiłaby to.

Bo chce to na zawsze zapamiętać. Na zawsze.

12.30

Parking pogotowia jest jak zwykle zatłoczony. Tym razem, żeby na niego wjechać, Camille musi pokazać legitymację.

Recepcjonistka jest rozpromieniona jak kwiat róży. Róży lekko przywiędłej, lecz wzbudzającej sympatię.

- I co, związała?

I jakby wiedząc, co to dla inspektora Verhoevena oznacza, robi zasmuconą minę, co się stało, to musiał być dla pana cios, to porażka policji, prawda? Camille chciałby mieć to już z głowy, ale to nie takie łatwe, jak myśli.

- A co z jej ubezpieczeniem?

Camille zawraca.

- To nie moja działka, ale kiedy pacjentka bierze nogi za

pas i nie mamy nawet numeru ubezpieczenia, żeby zaksięgować jej pobyt, to tyle panu powiem, że na górze robi się nerwowo. A szefostwo naskakuje na wszystkich bez różnicy, winny czy niewinny, mnie też się dostało... Dlatego pytam.

Camille kiwa głową, rozumiem, miną wyraża współczucie, recepcjonistka wraca do odbierania telefonów. Jasne, trafiając tu pod fałszywym nazwiskiem, Anne nie mogła przedstawić legitymacji ubezpieczeniowej. Oto dlaczego nie znalazł u niej żadnego dokumentu na jej nazwisko. Bo, oprócz tego fałszywego, nie ma nazwiska.

Nagle bierze go ochota, żeby do niej zadzwonić, ot tak, bez powodu, jakby bał się załatwić tę sprawę bez niej, poza jej plecami, chciałby jej powiedzieć: Anne...

I nagle do niego dociera, że z pewnością nie nazywa się Anne. To wszystko, z czym w jego wyobraźni łączy się to imię, nadaje się na szmelc, Camille czuje się zagubiony, stracił wszystko, z jej imieniem włącznie.

- W porządku? - pyta recepcjonistka.

Tak, w porządku, robi zaaferowaną minę, to najskuteczniejsza metoda wprowadzenia innych w błąd.

- A gdzie jest jej dokumentacja? - pyta. - Jej dokumentacja medyczna.

Anne uciekła zeszłej nocy, wszystko jest jeszcze na górze.

Camille dziękuje. Wchodzi na górę, ale nadal nie wie, jak to rozegrać, nie ma najmniejszego pomysłu. Więc, chcąc się zastanowić, robi kilka kroków po korytarzu. Dochodzi aż do końca, kilka metrów dzieli go od małej poczekalni zamienionej w pokój do wszystkiego, gdzie wspólnie z Louistem głowili się nad pierwszym ruchem.

I widzi, jak klamka powoli opada, drzwi z wahaniem otwierają się, jakby ze środka miało wyjść jakieś nieśmiałe lub bojaźliwe dziecko.

W rzeczywistości dziecku bliżej do emerytury niż do przedszkola: pojawia się Hubert Dainville we własnej osobie, wielki boss, ordynator oddziału ze śnieżnym brushin- giem na głowie, jakby przed chwilą zdjął z włosów lokówki.

I czerwony jak piwonia, kiedy dostrzega Camille'a. Zwykle nikt się tu nie kręci, ta sala donikąd nie prowadzi, niczemu nie służy, nikt do niej nie zagłada.

- A pan co tu robi? - pyta wściekły, władczy, gotowy kąsać.

A pan? - miałby wielką ochotę odpowiedzieć Camille, ale nie jest to dobra metoda. Robi minę człowieka, który się zgubił.

- Zabłądziłem... Poszedłem korytarzem w niewłaściwą stronę.

Chirurg z czerwonego robi się różowy, konsternacja opada, do głosu dochodzi temperament, odchrząkuje i zdecydowanym krokiem rusza korytarzem. Maszeruje tak szybko, jakby go wzywano do izby przyjęć.

- Nic tu po panu, inspektorze.

Camille rusza drobnym truchtem, ledwie za nim nadaża, tym bardziej że stara się jednocześnie jak najszybciej coś wymyślić.

- Dziś w nocy pański świadek opuścił szpital! - ciągnie doktor Dainville, jakby miał mu to osobiście za złe.

- Tak, już wiem.

Camille nie widzi innego wyjścia, sięga do kieszeni, wyjmuje komórkę i ją upuszcza, aparat spada na ziemię z czystym, dzwięcznym odgłosem domowego incydentu.

- A niech to!

Doktor Dainville, już przy windzie, odwraca się i widzi plecy inspektora Verhoevena, który na klęczkach zbiera szczątki swojego telefonu. Co za platfus! Drzwi się otwierają, wsiada do windy.

Camille podnosi swoją nieuszkodzoną komórkę i udając, że ją składa, wraca po własnych śladach do małej poczekalni.

Mijają sekundy. Minuta. Waha się, czy wejść, coś go przed tym powstrzymuje. Kilka następnych sekund. Na pewno się myli. Czeka. Nic. Trudno. Już ma zawrócić. A tu nie.

Drzwi znowu się otwierają, tym razem energicznie.

Kobieta, która z nich wychodzi, ma zaaferowaną minę, to pielęgniarka Florence. Na widok Camille'a z kolei ona się rumieni, jej nabrzmiące usta układają się w idealne O, sekunda wahania i już za późno, straciła szansę na zmylenie

przeciwnika. Gestem, który potwierdza jej zakłopotanie, wsuwa opadły kosmyk włosów za ucho, patrzy na Camille'a z ostentacyjnym spokojem, zamykając drzwi, jestem kobietą pracującą, zajęta i skoncentrowaną na zadaniu, nie mam sobie nic do wyrzucenia. Nikt w to nie wierzy, nawet ona. Camille w żadnym wypadku nie wykorzystałaby swojej przewagi, nigdy by czegoś takiego nie zrobił... Ma do siebie o to wielki żal, ale musi. Świdruje ją wzrokiem, przechyla głowę, zwiększa-presję, nie chciałem wam przeszkadzać, taktowny jestem, czyż nie? Zachowuje się tak, jakby czekając na korytarzu, aż Florence skończy swoje sprawy z doktorem Dainville'em, zdobył na komórce dodatkowe punkty.

- Potrzebna jest mi dokumentacja pani Forestier

- oświadcza.

Florence rusza korytarzem, ale nie wydłuża kroku, tak jak rozmyślnie to zrobił doktor Dainville. Nie ma w niej wielkiego oporu. I cienia złościwości.

- No nie wiem... - zaczyna.

Camille zamyka oczy, w duchu błagając, żeby nie zmuszała go do powiedzenia: porozmawiam o tym z doktorem Dainville'em, myślę, że...

Stań! przed gabinetem.

- Nie wiem... czy dokumentacja jeszcze tu jest.

Ani razu się do niego nie odwracając, otwiera wielką szufladę z umocowanymi na szynach teczkami. Bez wahania wyjmuje dokumentację Forestier, grubą teczkę ze zdjęciami, tomografią, sprawozdaniami, oddanie tego pierwszej lepszej osobie, która o to prosi, nawet jeśli to policjant, to poważna sprawa dla pielęgniarki...

- Po południu dostarczę pani wniosek od sędziego

- mówi Camille. - A na razie mogę podpisać pokwitowanie odbioru.

- Nie trzeba - mówi szybko Florence. - To znaczy, jeśli sędzia...

Camille zabiera dokumentację, dziękuje. Patrzą na siebie. Dla Camille'a bolesne jest nie tylko to, do jak niskiej uciekł się metody, by wydobyć od niej informacje, do których nie

jest uprawniony, ale również zrozumienie tej kobiety.

Zrozumienie, że te nabrzmiałe usta wyrażają nie tyle chęć zachowania młodości, ile przejmujące wołanie o miłość.

13.00

Mijasz bramę, ruszasz aleją. Przed sobą widzisz różowy budynek, nad sobą wielkie drzewa, mogłoby ci się zdawać, że idziesz do prywatnego domu, bo trudno sobie wyobrazić, że za tymi oknami kładzie się na stołach i kroi trupy. Waży się serca i wątroby, rozpiłowuje czaszki. Camille zna na pamięć to miejsce i go nienawidzi. Lubi za to tutejszych ludzi, pracowników, techników, lekarzy, zwłaszcza Nguyena. Ma sporo związanych z nim złych i przykrych wspomnień, a to ludzi wiąże.

Camille jest tu częstym gościem, temu i owemu skinie głową. Wyczuwa pewną rezerwę, wyczuwa, że jego wizytę poprzedziły pogłoski. Wyczuwa to z zakłopotanych uśmiechów, z napięcia i wahania rąk.

Za to Nguyen jest zawsze taki sam, nieprzenikniony jak sfinks, trochę wyższy od Camille'a, równie szczupły, ostatnim razem uśmiech na jego twarzy gościł w 1984 roku. Ścisła dłoń Camille'a, słucho, spogląda na dokumentację, którą ten mu wręcza. Podejrzliwie.

- Rzuć tylko okiem. W wolnej chwili.

„Rzuć tylko okiem” znaczy: „potrzebuję twojej opinii, mam pewne wątpliwości, ty mi powiesz jakie, bo ja nic ci nie powiem, żeby na ciebie nie wpływać, i gdybyś mógł to zrobić szybko...”

„W wolnej chwili” znaczy: sprawa nie jest oficjalna, czyli jest prywatna - oto potwierdzenie pogłosek, jakoby Verhoeven znalazł się w oku cyklonu - więc Nguyen mówi zgoda, Camille'owi nigdy się nie odmawia. Tym bardziej że Nguyen niczym nie ryzykuje, a poza tym lubi zagadki, wyłapywanie luk, nieścisłości, wskazanie palcem na detal, uwielbia to, jest lekarzem sądowym.

- Zadzwonisz koło dziewiętnastej?

Co powiedziawszy, zamyka dokumentację w szufladzie biurka. To sprawa prywatna.

13.30

Czas zajrzeć do biura. Wiedząc, co go tam czeka, Camille nie ma na to najmniejszej ochoty, lecz musi.

Idąc korytarzami, pozdrawia kolegów, nie trzeba być wielkim psychologiem, by wyczuć ich skrzępowanie. W Instytucie Medycyny Sądowej było to dyskretne. Tutaj jest krzyżące. Jak w każdym biurze, trzy dni w zupełności wystarczą, by pogłoska się rozeszła. A im bardziej mglista, tym bardziej się rozprzestrzenia. Klasyka. Niektóre gesty sympatii mają wydźwięk kondolencji.

Ale Camille, nawet gdyby go zapytano, nie miałby najmniejszej ochoty mówić ani się tłumaczyć, z nikim i przed nikim, zresztą nawet by nie wiedział, od czego zacząć. Na szczęście wszyscy z jego zespołu są w terenie, w biurze jest tylko ich dwóch, Camille kiwa głową na powitanie, kolega rozmawia przez telefon, unosi rękę, dzień dobry, inspektorze, ledwie zdążył się odwrócić, Camille'a już nie ma.

Od razu zjawia się Louis. Wchodzi do gabinetu inspektora. Obaj mężczyźni patrzą na siebie.

- Sporo osób pana poszukuje...

Camille nachyla się nad biurkiem. Wezwanie do komisarz Michard.

- Rozumiem...

Dziewiętnasta trzydzieści. Późna godzina. Sala konferencyjna. Neutralne miejsce. W wezwaniu nie wspomina się, kto jeszcze będzie. Nie jest to rutynowa procedura. Kiedy policjant znajdzie się na celowniku, nie wzywa się go po to, żeby się tłumaczył, bo to byłoby równoznaczne z uprzedzeniem go, że może zostać podjęte przeciw niemu dochodzenie. Tak więc uprzedzony czy nie, nic to nie zmieni, bo jeśli Michard ma na niego coś konkretnego, to Camille i

tak nie zdąży już tego zneutralizować.

Nie stara się zrozumieć, o co chodzi, nie ma pośpiechu, dziewiętnasta trzydzieści to tak jak za sto lat.

Odwiesza płaszcz, sięga do kieszeni i wyjmuje plastikową torebkę, trzyma ją oburącz, jakby to była laska dynamitu, starając się nie dotknąć palcami jej zawartości. Stawia kubek na biurku. Louis podchodzi, z zaciekawieniem nachyla się i cicho czyta: *Mouï gngn caMbix necmbix npabun...*

- To pierwsza zwrotka *Eugeniusza Oniegina*, prawda?

Tym razem Camille zna odpowiedź. Tak. Kubek należał do Irène, ale tego Louisowi nie mówi.

- Chciałbym, żebyś dał do zbadania odciski. Jak najszybciej.

Louis kiwa głową, że dobrze, zamyka plastikową torebkę.

- Dam to na rachunek... sprawy Pergolina?

Claude Pergolin, transwestyta uduszony we własnym domu.

- Na przykład... - zgadza się Camille.

Coraz trudniej działać, w nic go nie wtajemniczając. Camille waha się, czy to zrobić, przede wszystkim dlatego, że długo by opowiadać tę historię, ale również dlatego, że dopóki Louis o niczym nie wie, dopóty nie naraża się na żadne zarzuty.

- Skoro chcemy mieć wyniki od razu - mówi Louis

- skorzystam, że jest jeszcze pani Lambert.

Pani Lambert ma ogromną słabość do Louisa; podobnie jak inspektor Verhoeven, ona też byłaby chętna do adopcji. Jest zajadłą działaczką związkową, walczy z uporem o emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat. Sama ma sześćdziesiąt osiem i co roku znajduje nowy wybieg, żeby dalej pracować. Jeśli nikt nie wyrzuci jej przez okno, ma przed sobą jeszcze trzydzieści lat aktywności związkowej.

Mimo pośpiechu Louis się nie rusza. Z plastikową torebką w rękach, głęboko zamyślony, stoi w progu gabinetu jak młody mężczyzna szykujący się do oświadczenia.

- Chyba przegapiłem sporo odcinków...

- Nie przejmuj się, ja też - odpowiada Camille z

uśmiechem.

- Wolał mnie pan trzymać z dala... - (Natychmiast unosi rękę). - To nie żaden wyrzut z mojej strony!

- Owszem, Louis, to wyrzut. I masz świętą rację, że go robisz. Tyle że teraz...

- Już za późno?...

- Otóż to.

- Za późno na wyjaśnienia czy za późno na wyrzuty?

- To jeszcze gorsze, Louis. Za późno na wszystko. Za późno, żeby zrozumieć, żeby zareagować, żeby ci wyjaśnić... I z pewnością za późno, żebym z tego wyszedł z honorem. Jak widzisz, sytuacja nie wygląda dobrze.

Gestem ręki omiatając sufit, wysokie sfery, Louis potwierdza:

- Wygląda na to, że nie wszyscy są tacy cierpliwi jak ja.

- Ty dowiesz się o wszystkim pierwszy - mówi Camille.

- Gwarantuję. Jestem ci to winien. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, czeka cię nie lada niespodzianka. Największy sukces, o jakim można marzyć, pracując w policji: zablęśnięcie w oczach przełożonych.

- „Sukces to...”

- No, dalej, Louis! Poproszę o cytaty!

Louis się uśmiecha.

- Albo nie - ciągnie Camille - pozwól mi zgadnąć: Saint-John Perse! Nie, lepiej: Noam Chomsky!

Louis wychodzi z gabinetu.

- A, właśnie... - mówi, wsuwając z powrotem głowę. - Na podkładce... chyba coś dla pana jest, nie jestem pewny...

Akurat.

Post-it. Wielkie kanciaste pismo Jeana: „Bastille, wyjście od ulicy Roquette, piętnasta”, a to oznacza znacznie więcej niż spotkanie.

Kiedy inspektor generalny woli zostawić anonimową wiadomość na biurku podwładnego, zamiast zadzwonić na komórkę, to raczej zły znak. Jean Le Guen mówi jasno: chcę się zabezpieczyć. Mówi także: jestem na tyle twoim przyjacielem, żeby podjąć to ryzyko, ale spotkanie z tobą

mogłoby przyspieszyć koniec mojej kariery, więc zrobimy to dyskretnie.

Przy swoim wzroście Camille zdążył już przywyknąć do pewnego ostracyzmu, czasami wystarczy mu wsiąść do metra... Ale znaleźć się w pozycji podejrzanego przez samą policję, nawet jeśli przy tym, co od trzech dni się dzieje, nie jest to już właściwie niespodzianką, to cios poniżej pasa.

14.00

Fernand to porządny gość. Dureń, tyle że niewkurzający. Restauracja jest zamknięta, ale mi otworzył. Jestem głodny, więc przyrządza mi omlet z borowikami. Dobry z niego kucharz. Lepiej by było, gdyby nim pozostał, ale cóż, tak już jest, pracownikowi zawsze się marzy, żeby być szefem. Zadużył się po uszy i po co? Po to, żeby mieć satysfakcję bycia „szefem”. Idiota. Mnie tam to pasuje, idioci są przydatni. Zważywszy na to, jak zaporowe odsetki mu narzuciłem, jest mi winien więcej, niż zdoła kiedykolwiek spłacić. Przez półtora roku, prawie miesiąc w miesiąc, ratowałem jego biznes z tarapatów. Nie wiem, czy ma tego świadomość, ale jego restauracja jest już moja, wystarczy jedno pstryknięcie palcami i tak zwany szef ląduje na garnuszku opieki społecznej. Pilnuję się, żeby mu o tym nie wspominać. Fernand oddaje mi liczne przysługi. Służy mi za alibi, skrzynkę listową, biuro, świadka, gwaranta, bankomat, opróżniam jego piwniczkę, a w razie potrzeby mnie karmi. Zeszłej wiosny na spotkaniu z Verhoevenem spisał się znakomicie. Wszyscy zresztą spisali się znakomicie. Scena awantury wypadła bezbłędnie. W odpowiedniej chwili mój ulubiony inspektor wstał od stołu i zrobił, co do niego należało. Jedyne, czego się tylko obawiałem, to że kto inny wstanie i zainterweniuje, bo dziewczyna wyglądała naprawdę milutko. Teraz już oczywiście nie. Dziś taka pokiereszowana, z tymi wybitymi zębami i głową jak abażur mogłaby wywołać skandal w restauracji i niewielu mężczyzn pospieszyłoby jej z pomocą, ale

wtedy naprawdę aż brała ochota, żeby wziąć się za bary z tym poczciwcem Fernandem. Ładna, więc sprytna, umiała rzucać spojrzenia, kiedy trzeba i komu trzeba. Chcąc nie chcąc, Verhoeven w końcu uległ.

Przypominam sobie to wszystko, ponieważ mam trochę czasu. I ponieważ w tym miejscu aż się o to prosi.

Odłożyłem komórkę na stół, nie mogę się opanować, żeby jej ciągle nie sprawdzać. Oczekując na finał, jestem zadowolony z dotychczasowych rezultatów. Mam nadzieję, że to będzie naprawdę wielka kasa, w przeciwnym razie znów się wkurzę i poczuję ochotę wyprucia flaków wszystkiemu, co się rusza.

A na razie rozkoszuję się pierwszymi od ponad trzech dni chwilami wytchnienia, a Bóg mi świadkiem, że nie próżnowałem.

W gruncie rzeczy manipulacja ma sporo wspólnego z napadem. Ona też wymaga wielu przygotowań i bardzo dobrego personelu wykonawczego. Nie wiem, jak to zrobiła, że Verhoeven zabrał ją ze szpitala i zawiózł do siebie na wieś, ale wyraźnie nie miała z tym problemów.

Pewnie odstawiła scenę hysterii. Na wrażliwych mężczyzn to najlepiej działa.

Rzut oka na telefon.

Kiedy zadzwoni, będę miał odpowiedź.

Albo pracowałem na próżno, a wtedy cóż, każdy wraca do siebie.

Albo startuję do wielkiej kasy, a wtedy nie wiem, ile mam czasu. Na pewno niewiele, trzeba będzie działać szybko.

Nie dopuszczę, żeby na trzy kroki przed finiszem sprawa wymknęła mi się z rąk. Więc każę Fernandowi, żeby mi przyniósł wodę mineralną, bo to nie pora na robienie głupstw.

W apteczce Anne znalazła plastry. Musiała przykleić dwa, wzdłuż, jeden za drugim, żeby przykryć całą ranę. Pod nimi jest wciąż zaogniona. Nie żałuje.

Potem pochyliła się i podniosła kopertę, którą rzucił jej jak ochłap mięsa zwierzęciu cyrkowemu. Koperta pali ją w dłonie. Otwierają.

W środku jest zwitek banknotów, przelicza: dwieście euro.

Lista z numerami telefonów okolicznych taksówek.

Plan sytuacyjny, ujęcie lotnicze, widać dom Camille'a, ścieżkę, obrzeża miasteczka, Montfort.

Anne kładzie komórkę obok siebie na kanapie.

Czeka.

15.00

Camille spodziewał się Le Guena ciskającego gromy, tymczasem widzi, że jest przygnębiony. Siedzi na stacji metra na ławce, z zawiedzioną miną wpatruje się we własne stopy. Żadnych wyrzutów. Chociaż... Ale to nie wyrzut, raczej biadolenie.

- Mogłeś poprosić mnie o pomoc...

Camille odnotowuje użycie czasu przeszłego. Dla Le Guena sprawa jest już częściowo zamknięta.

- Facet twojego pokroju... - ciągnie. - Naprawdę, robisz głupstwo za głupstwem...

A nie wie jeszcze wszystkiego, myśli Camille.

- Występujesz o tę sprawę, co już samo w sobie jest dość podejrzane. Bo ten numer z informatorem, przyznasz...

To jeszcze nic. Wkrótce Le Guen się dowie, że Camille osobiście dopomógł kluczowemu świadkowi opuścić szpital, czyli wymknąć się wymiarowi sprawiedliwości. Camille zresztą nie wie, kim jest ten świadek, ale jeśli okaże się, że Anne ma na sumieniu coś poważnego, kto wie, mogą go oskarżyć o współudział... A skoro już, możliwości jest wiele: współudział w morderstwie, w kradzieży, w zabójstwie, w porwaniu, napadzie rabunkowym... I trudno mu będzie dowieść swojej niewinności.

Przełyka ślinę, milczy.

- W kontaktach z sędzią - ciągnie Le Guen - zachowałeś się

jak idiota; pominąłeś go, powiedziałeś, że to się da załatwić, i więcej do tego nie wracaliśmy. Tym bardziej że Pereira jest facetem, z którym można podyskutować.

Tylko patrzeć, jak Le Guen się dowie, że potem Camille poszedł jeszcze dalej, że wyłudził dokumentację medyczną tego świadka. Świadka, któremu zresztą udzielił schronienia pod własnym dachem.

- Twoja wczorajsza obława narobiła piekielnego hałasu! Co było do przewidzenia. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co wyprawiasz? Bo mam wrażenie, że jesteś tego kompletnie nieświadomy!

A generalny inspektor nawet nie przypuszcza, że imię Verhoevena figuruje na dowodzie rzeczowym zdefraudowanym u jubilera i że podał fałszywe dane na prefekturze. A teraz jest już za późno.

- Dla komisarz Michard - ciągnie Le Guen - twoje zabiegi, żeby dostać tę sprawę, oznaczają jedno: że chciałeś ją kryć.

- Bzdura! - rzuca Camille.

- Nie wątpię. Ale od trzech dni zachowujesz się tak, jakbyś załatwiał własne porachunki. Więc siłą rzeczy...

- Siłą rzeczy - przyznaje Camille.

Przejeżdżają przed nimi kolejne pociągi. Le Guen patrzy na wszystkie przechodzące dziewczyny, absolutnie wszystkie, nie ma w tym nic lubieżnego, podziwia je, wszystkie, to im zawdzięcza swoje kolejne małżeństwa. Camille za każdym razem był jego świadkiem.

- Ja chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego robisz z tego śledztwa sprawę osobistą!

- Obawiam się, że jest odwrotnie, Jean. Ze to sprawa osobista, która zamieniła się w śledztwo.

Powiedziawszy to, Camille uświadamia sobie, że trafił w sedno. Ogarnia go ekscytacja, gdyby miał trochę czasu, mógłby wyciągnąć z tego dalsze wnioski. Próbuje wryć sobie w pamięć te słowa: to sprawa osobista, która zamieniła się w śledztwo.

Na tę informację Le Guen zrobił niepewną minę.

- Sprawa osobista... Którą z tych osób znasz?

Dobre pytanie. Jeszcze kilka godzin temu Camille odpowiedziałaby: Anne Forestier. Ale wszystko się zmieniło.

- Napastnika - odpowiada bez namysłu Camille, podążając na marginesie rozmowy tokiem własnych myśli.

Niepewność Le Guena zamienia się w niepokój.

- Jesteś w komitywie z napastnikiem? Czy dobrze cię rozumiem? Z napastnikiem współwinnym morderstwa?

- (Wygląda na zaniepokojonego, ale tak naprawdę jest ciężko przerażony). - Osobiście znasz Hafnera?

Camille kiwa głową. Nie. Zbyt długo by to tłumaczyć.

- Nie jestem pewny - zaczyna wymijająco. - Na razie jeszcze nie mogę ci powiedzieć...

Le Guen przykłada dwa złączone palce do ust, co u niego jest oznaką głębokiego, intensywnego namysłu.

- Coś mi nie wygląda, żebyś naprawdę rozumiał, dlaczego tutaj jestem.

- Owszem, Jean, bardzo dobrze rozumiem.

- Michard na pewno będzie chciała zawiadomić prokuraturę. Ma do tego prawo, chce się zabezpieczyć, nie może przemykać oczu na twoje poczynania i nie za bardzo wiem, jak mógłbym jej w tym przeszkodzić. A w tej sytuacji, ponieważ ci o tym mówię, ja też dopuszczam się wykroczenia. Tu, w tym momencie dopuszczam się wykroczenia.

- Wiem, Jean, i dziękuję ci...

- Nie po to ci to mówię, Camille! Mam gdzieś twoje podziękowania! Jeśli nie masz jeszcze na karku komisji z Głównego Inspektoratu, to tylko kwestia czasu. Twój telefon będzie, jeśli już nie jest, na podsłuchu, będziesz, jeśli już nie jesteś, śledzony, twoje ruchy będą monitorowane, twoje zachowanie analizowane... I sądząc z tego, co dajesz mi do zrozumienia, ryzykujesz nie tylko pracę, Camille, ty ryzykujesz więzienie!

Le Guen w milczeniu odczeka, aż przejedzie jeszcze jeden pociąg, chwila, po której wiele się spodziewa, chciałby, żeby Camille się opamiętała. Albo żeby się wytłumaczyła. A niewiele ma w ręku atutów, żeby go do tego zmusić.

- Posłuchaj - podejmuje - nie sędzę, żeby Michard przed-

stawiła sprawę prokuraturze, nic mi o tym nie mówiąc. Jest nowa, potrzebuje mojego poparcia, dzięki twojej sprawie zyskuje u mnie nieoczekiwany dług wdzięczności... Właśnie dlatego ją ubiegłem. Wykorzystuję to, rozumiesz? Jesteś wezwany na dziewiętnastą trzydzieści, ja to załatwiłem.

W tempie wprost zawrotnym katastrofa goni katastrofę. Camille patrzy na niego pytającym wzrokiem.

- To twoja ostatnia szansa, Camille. Będziemy w wąskim gronie. Opowiesz o wszystkim i zobaczymy, co się da zrobić, żeby zminimalizować szkody. Nie mogę obiecać, że na tym się skończy, wszystko będzie zależało od tego, co nam powiesz. A co nam powiesz, Camille?

- Nie wiem jeszcze, Jean.

Ma pewien pomysł, ale, jak by to powiedzieć, musi najpierw rozwiązać pewne wątpliwości. Le Guen jest wściekły. Zresztą mówi to:

- Jestem wściekły, Camille. Moja przyjaźń dla ciebie niczemu nie służy.

Camille kładzie dłoń na grubym kolanie przyjaciela, poklepuje je, jakby chciał go pocieszyć, zapewnić o swojej solidarności.

Świat stanął na głowie.

17.15

- A co mam ci powiedzieć... Regularny wycisk.

Przez telefon Nguyen mówi jak przez nos. Pewnie dzwoni z jakiejś przepastnej, bardzo wysokiej sali, jego głos niesie się echem, brzmi jak głos wyroczni. Zresztą tym właśnie dla Camille'a jest, wyrocznią. Stąd jego pytanie:

- Czy jest w tym zamiar zbrodniczy?

- Nie... nie wydaje mi się. Jest chęć zadania bólu, ukarania, zostawienia śladów, co tylko chcesz, ale nie uśmiercenia...

- Jesteś pewny?

- A spotkałeś już lekarza, który byłby czegokolwiek pewny?

Chcę tylko powiedzieć, wystarczyłoby - gdyby nikt mu w tym nie przeszkodził - żeby facet mocniej się przyłożył, a czaszka tej kobiety pękłaby jak arbuz.

Aby tego uniknąć, rozmyśla Camille, musiał się mitygować. Kalkulować. Wyobraża sobie, jak tamten wysoko unosi i spuszcza strzelbę, celując kolbą bardziej w kość policzkową i szczękę niż w czaszkę, w ostatnim ułamku sekundy musi wyhamować cios. Mężczyzna zachowujący zimną krew.

- Tak samo z kopniakami - ciągnie lekarz sądowy.

- Szpitalny opis mówi o ośmiu, ja naliczyłem dziewięć, ale nie to jest ważne. Najważniejszy jest sposób, w jaki kopał. Owszem, chce połamać żebra, zadać ból, poturbować, ale zważywszy na miejsca, w które wymierzał kopniaki, i typ obuwia, które nosił, to gdyby chciał naprawdę zabić tę kobietę, byłoby to dla niego więcej niż łatwe. Wystarczyłyby trzy celnie wymierzone kopy i pękłaby jej śledziona, a to oznacza wewnętrzny krwotok. Do śmierci tej kobiety mogło dojść, lecz przypadkowo; działaniem zamierzonym było pozostawienie jej przy życiu.

Opisany przez Nguyena wycisk przypomina ostrzeżenie. Ten typ kary, który zapowiada, że sprawa mogła przyjąć paskudny obrót, nie na tyle, by martwić się o przyszłość, ale wystarczająco brutalny, żeby wywołać efekt.

Jeśli napastnik (zapomnieć o Hafnerze, Hafner to już stara historia) nie chciał zabić Anne (zresztą o Anne też zapomnieć), to kwestia współudziału Anne (czy jakkolwiek jej na imię) staje się więcej niż prawdopodobna, prawie pewna.

Tyle że w takim przypadku rzeczywistym celem nie jest Anne, tylko on, Camille.

17.45

Teraz pozostaje tylko czekać. Ultimatum, które Camille przedstawił Buissonowi, kończy się o dwudziestej, ale to słowa, rzeczywistość wirtualna. Buisson wydał polecenia i wykonał kilka telefonów. Zaprzął do działania swoich ludzi,

paserów, dilerów, podrabiaczy dokumentów, dawne kontakty Hafnera. Musi zainwestować cały swój kredyt zaufania, by uzyskać to, o co mu chodzi. Może mu się to udać w dwie godziny, a równie dobrze może potrzebować dwóch dni i Camille będzie musiał czekać na odpowiedź tyle, ile będzie trzeba, bo nic innego zrobić nie zdoła.

Co za szyderstwo losu: w gong uderzy - albo nie uderzy
- Buisson.

Życie Camille'a zależy teraz od skuteczności mordercy jego żony.

Anne siedzi na kanapie w salonie, nie zapaliła światła i półmrok lasu dotarł już do wnętrza domu. Jedyne źródła światła - alarm i jej komórka - są migaczami, które odmierzają sekundy. Anne nie rusza się, na okrągło powtarza słowa, które powie. Czuje, że może jej zabraknąć siły, ale musi jej się udać, koniecznie, to sprawa życia albo śmierci.

A gdyby to miała być jej śmierć, w tej konkretnej chwili, zgodziłaby się.

Nie ma ochoty umierać, ale by na nią przystała.

Lecz musi się udać, to ten ostatni krok, który musi jeszcze zrobić.

Fernand gra w karty w taki sam sposób, jak żyje. To słabeusz, boi się mnie, specjalnie przegrywa, co za idiota, myśli, że to mi schlebia. Nic nie mówi, ale jest niespokojny. Za niecałą godzinę musi wpuścić personel, dopilnować wszystkiego przed wieczorną turą, kucharz już przyszedł, dzień dobry szefie, Fernand puchnie z dumy, za te słowa zaprzedał własne życie i jeszcze uważa, że mu się to opłaca.

Ja natomiast myślami jestem nieobecny.

Widzę, jak mijają godziny, może tak to potrwać cały dzień i całą następną noc. Mam nadzieję, że Verhoeven okaże się skuteczny, jego kompetencje to jedna ze zmiennych, na które postawiłem. W jego interesie leży, żeby mnie nie zawieść.

Według moich obliczeń nieprzekraczalny termin upływa

jutro w południe.

Jeśli jutro w południe nie postawię na swoim, to śmierć.

W każdym tego słowa znaczeniu.

18.00

Ulica Durestier. Siedziba Wertig & Schwindel. Hall podzielony jest na dwie części, z prawej znajdują się windy do biur na piętrze, z lewej stoisko sprzedaży biletów. Jak we wszystkich starych budynkach, hall jest do przesady wielki. By go urządzić i ocieplić wrażenie, obniżono sufit, ustawiono wszędzie donice z roślinami, szerokie fotele, stojaki z ofertami podróży, niskie stoliki.

Camille stoi przy drzwiach. Z łatwością potrafi wyobrazić sobie Anne siedzącą w jednym z tych foteli, jak spogląda na zegarek, czekając na zakończenie dnia pracy, żeby się z nim spotkać.

Zjawiała się z zaaferowaną miną, zawsze lekko spóźniona, gestem przepraszając, wybaczyć, robiłam, co mogłam, i okraszając to uśmiechem, który sprawiał, że chciało się od razu powiedzieć: to drobiazg, nie przejmuj się.

Plan był jeszcze sprytniejszy. Camille uświadamia to sobie, kiedy nagle zza załomu wind szybkim krokiem wyłania się kurier z kaskiem pod pachą. Camille wchodzi do hallu. Drugie wyjście prowadzi na ulicę Lessard. Jakże to praktyczne. W przypadku spóźnienia Anne mogła przez nie wejść, przejść przez hall i od razu wyjść na ulicę Durestier.

Gdzie czekał już na nią uszczęśliwiony Camille i wszyscy byli zadowoleni.

Zostawiwszy za sobą bulwar, usiadł na tarasie Roseraie na rogu ulicy Faubourg-Laffitte.

Skoro już ma czekać, trzeba się czymś zająć, dla człowieka, który czuje, że usuwa się pod nim ziemia, beczynność jest zabójcza.

Sprawdza telefon. Nic.

Jest pora, kiedy ludzie wychodzą z pracy. Popijając kawę, Camille znad filiżanki obserwuje zaaferowanych przechodniów, którzy przechodzą przez ulice, pozdrawiają się z daleka, uśmiechają do siebie albo już z góry zatroskani spieszą do metra. Wśród tego tłumu rozmaitych ludzi jego oko wyłapuje profil młodego mężczyzny i dołącza go do setek innych profili zachowanych w pamięci. Albo okazały i rozszczeniowy brzuch tamtego mężczyzny. Albo sylwetkę tej dziewczyny, skulonej i zgarbionej, choć przecież jest młoda, która trzyma torebkę w ręku bez żadnej przyjemności ani radości, tylko dlatego, że dziewczyna musi mieć jakąś torebkę. Kiedy Camille zbyt długo tak patrzy, zewsząd przenika go samo życie.

I nagle na rogu ulicy Bleue pojawia się ona i w granatowym płaszczu, równo ustawivszy stopy, zatrzymuje się w odległości czterdziestu centymetrów od przejścia dla pieszych. Twarz osobliwie przywodząca na myśl *Portret rodzinny* Holbeina, choć bez zęza, i pewnie za sprawą tego skojarzenia Camille tak dobrze ją zapamiętał. Wychodzi z kawiarni i czeka na nią pod światłami; dziewczyna, która przechodzi już przez przez ulicę, na moment przystaje, w jej spojrzeniu maluje się ciekawość i lekka obawa. Powierzchność Camille'a często wywołuje takie reakcje. Zwłaszcza że ten patrzy jej prosto w oczy, ona jednak idzie dalej i mija go, jakby już o nim zapomniała.

- Przepraszam panią...

Dziewczyna odwraca się i spuszcza wzrok na Camille'a. Metr siedemdziesiąt jeden, ocenia Camille.

- Przepraszam, pani mnie nie zna... - mówi.

Wydaje się, że kobieta chce zaprzeczyć, ale nie. Uśmiech ma mniej smutny niż spojrzenie, choć równie życzliwy i zbolący.

- Pani... Charroi?

- Nie - odpowiada kobieta z uśmiechem ulgi - chyba mnie pan pomylił...

Ale nie odchodzi, czując, że to jeszcze nie koniec.

- Spotkaliśmy się już tutaj raz czy dwa... - mówi dalej Camille, wskazując skrzyżowanie.

Kontynuując rozmowę w tym duchu, zabrnęła w mozolne wyjaśnienia, postanawia więc wyjąć komórkę, klika, kobieta nachyla się z ciekawością, żeby zobaczyć, co robi, zrozumieć, do czego zmierza.

Nawet nie zauważyła, że przyszedł SMS od Louisa. Krótka: „Odciski: NOP”.

Nieznana organom policji. Anne nie jest notowana. Fałszywy trop.

Przed Camille'em ciągnie się długi korytarz, w którym jedno po drugim zamykają się kolejne drzwi. Za półtorej godziny ostatnie, te najważniejsze, te, których zamknięcia nigdy nawet nie brał pod uwagę, drzwi do jego pracy, również się przed nim zamkną.

Po długiej i upokarzającej procedurze zostanie wyrzucony z policji. Sam musi zdecydować, czy chce tego, czy nie. Mówi sobie, że nie ma wyboru, dobrze wiedząc, że wybierać czy nie wybierać to zawsze wybrać. Porwany wir wydarzeń sam już nie wie, czego chce, przerażająca jest ta pętla, ta spirala.

Unosi głowę, kobieta nadal przed nim stoi z ciekawością, skupiona.

- Przepraszam...

Znów wraca do komórki, zamyka ekran, otwiera drugi, myli się, zaczyna jeszcze raz, klika w listę kontaktów i wreszcie wyciąga do niej aparat z podobizną Anne.

- Nie pracuje z nią pani...

Właściwie nie jest to nawet pytanie. Mimo to twarz kobiety się rozjaśnia.

- Nie, ale ją znam...

Szczęśliwa, że może oddać przysługę. Ale nieporozumienie nie potrwa długo. Pracuje w tej dzielnicy od ponad piętnastu lat i dzięki temu zna z widzenia wiele osób.

- Któregoś dnia na ulicy skinęłyśmy sobie głową. I potem, spotykając się, mówiłyśmy sobie zawsze dzień dobry, ale nigdy nie zamieniłyśmy z sobą słowa.

„To żmija”, powiedziała Anne.

Anne uznała, że dłużej nie będzie czekać. Niech się dzieje, co chce. Trudno, za długo to trwa. Poza tym ten dom wzbudza w niej teraz lęk, jakby wraz z nadejściem ciemności las zaczynał ją osaczać.

Anne odkryła u Camille'a różne gesty odczyniające uroki, które równie dobrze mogłyby być jej gestami, oboje są przesadni. Na przykład dziś wieczorem, żeby nie prowokować złego losu (tak jakby mógł ją spotkać jeszcze gorszy), nie zapala światła. Do poruszania się wystarcza jej zwykły kinkiet w dole schodów. Oświetla teraz roztrzaskany kulą stopień, nad którym Camille tak długo dumał.

Kiedy odwróci się do mnie i plunie mi w twarz? - zastanawia się Anne.

Nie chce dłużej czekać. Jest już tak blisko celu, to irracjonalne z jej strony, ale właśnie osiągnięcie celu wydaje jej się niewykonalne. Uciekać. Natychmiast.

Bierze komórkę i dzwoni po taksówkę.

Kicia stroi fochy, ale przejdzie jej. Jak tylko się zorientuje, że Camille nie jest w humorze, żeby znosić jej humory, spuści z tonu. Swego czasu Camille'owi zamarzyło się posiadanie zgryźliwej gosposi, prawdziwej jędzy, która dzień w dzień wszędzie by sprzątała, nawet pod meblami, i gotowałyby mu ziemniaki smętne jak jej pośladki. Zamiast tego wziął sobie tę kotkę, co właściwie na jedno wychodzi. Uwielbia swoją Kicię. Drapie ją po plecach, otwiera puszkę, żeby zjadła, i sadzają w oknie, żeby pooglądała sobie ruch na kanale pod domem.

Potem idzie do łazienki i ostrożnie manewruje plastikową torbą na śmieci, tak żeby całego pomieszczenia nie wypełnił kurz. Po czym zanosí przewiązaną teczkę na niski stolik w salonie.

Kicia, siedząc w oknie, uważnie mu się przygląda. Nie powinieneś.

- A mam inne wyjście? - odpowiada Camille.

Otwiera teczkę i od razu sięga po grubą kopertę ze zdjęciami.

Pierwsze to duża, kolorowa i lekko prześwietlona fotografia ukazująca szczątki wypatroszonego ciała, połamane żebra przebijające jakąś czerwono-białą fałdę, pewnie żołądek, oraz odciętą kobiecą pierś ze śladami niezliczonych zadrapań. Na drugim widać głowę kobiety odjętą od ciała i za policzki przybitą do ściany...

Camille wstaje, podchodzi do okna, żeby zaczerpnąć powietrza. Nie żeby te obrazy były bardziej przykre do oglądania niż wiele innych odrażających morderstw, jakie odkrył w trakcie swojej pracy, ale te tutaj są w jakiś sposób jego obrazami. Najbardziej z nim związanymi, tymi, od których zawsze starał się trzymać z daleka. Przez chwilę, głaszcząc grzbiet Kici, wpatruje się w kanał.

Od lat nie zaglądał do tych akt.

Cała historia od tego się właśnie zaczęła, od ciała poświęciartowanej kobiety w łóeczce w Courbevoie. A skończyła wraz ze śmiercią Irène. Camille wraca do stołu.

Powinien sięgnąć do ostatnich stron dossier, szybko znaleźć to, czego szuka, natychmiast zamknąć teczkę i tym razem, zamiast chować ją na poddaszu nad własną sypialnią... Nagle sobie uświadamia, że w Montfort spał obok tych akt całymi miesiącami, a nawet ostatniej nocy z przytuloną do niego Anne, którą cały czas trzymał za rękę, próbował uspokoić, bo nieustannie kręciła się i wierciła.

Camille przerzuca plik zdjęć, przy niektórych wyrwykowo się zatrzymuje. Na tym widać ciało, również kobiety. Właściwie połowę ciała, dół. Cały fragment lewego uda został wyrwany, od talii zaś po krocze głęboką bruzdą biegnie szeroka, już poczerniała rana. Z pozycji nóg można się domyślić, że na wysokości kolan zostały połamane. Na dużym palcu stopy widać atramentowy odcisk kciuka.

To pierwsze zbrodnie Buissona.

Koniec końców wszystkie prowadzą do morderstwa Irène, ale oczywiście w czasach, kiedy sceny tych zbrodni

odkrywał, przez myśl by mu to nie przeszło.

I ta młoda kobieta, Camille bardzo dobrze ją pamięta, Maryse Perrin, miała dwadzieścia trzy lata. Buisson zatłukł ją młotkiem na śmierć. Camille odkłada zdjęcie.

I ta mała cudzoziemka, uduszona. Długo trwało, nim zdołali ją zidentyfikować. Mężczyzna, który ją znalazł, nazywał się Blanchet czy Blanchard, Camille nie pamięta nazwiska, ale bardzo dobrze pamięta jego twarz, rzadkie siwe włosy, załzawione oczy, wciąż miało się ochotę podsunąć mu chusteczkę, usta wąskie jak brzytwa, różowy spocony kark. Dziewczyna była cała w szlamie, jej ciało spuściła na nabrzeże pogłębiarka, do której ją wrzucono. Ponieważ całą scenę obserwowały z mostu dziesiątki gapiów - a wśród nich Buisson, który nigdy nie tracił nawet sekundy ze spektaklu - zdjęty nagłą litością Blanchard okrył jej nagie ciało własną marynarką. Camille nie może się powstrzymać, dalej przerzuca zdjęcia, tę przezroczystą dłoń dziewczyny wystającą spod marynarki rysował ze dwadzieścia razy.

Skończ z tym, nakazuje sobie, przejdź do rzeczy.

Sięga po gruby plik dokumentów, ale przypadek, który nie istnieje, nie daje za wygraną: natrafia na zdjęcie Grace Hobson. Minęły lata, a on wciąż pamięta ten tekst, co do przecinka: „Jej zwłoki były częściowo przykryte liśćmi. Głowa była dziwnie skrzywiona w stosunku do szyi, jakby czegoś nasłuchiwała. Na lewej skroni ujrzał pieprzyk, ten pieprzyk, który uważała za zmniejszający jej szanse”. Fragment powieści. Williama McIlvaneya. Szkota. Dziewczyna została zgwałcona, w tym analnie. Znalezione wszystkie jej ubrania, oprócz jednego.

Dość tego, ucina Camille, ujmuje oburącz akta, odwraca je i zaczyna kartkować od końca.

Jedyne, czego nie chce, to natrafić na zdjęcia Irène. Nigdy nie był w stanie na nie spojrzeć, nigdy nie potrafił stawić im czoła. Kilka minut po śmierci żony w świetle błyskawicy ujrzał jej ciało i natychmiast zemdlął, potem nie było już nic, w jego pamięci pozostał tylko ten ostatni obraz. W aktach znajdują się wszystkie inne, zdjęcia z laboratorium, zdjęcia z

Instytutu Medycyny Sądowej. Nigdy ich nie oglądał. Żadnego.

I nie tego szuka.

Przez te wszystkie lata Buisson działał w pojedynkę. Był zatrwajająco dobrze zorganizowany. Ale żeby zabić Irène, żeby zakończyć swoją zbrodniczą karierę tak imponującą fermatą, morderstwem żony inspektora Verhoevena, musiał dysponować określonymi, niezawodnymi informacjami. W pewnym sensie dostarczył mu ich Camille. Osoba z jego najbliższego otoczenia, członek jego ekipy.

Camille wraca do rzeczywistości, spogląda na zegarek, dzwoni:

- Jesteś jeszcze w biurze?

- Ja tak...

Rzadko się zdarza, żeby Louis pozwolił sobie na takie słowa, prawie wyrzut. Swój niepokój wyraża półuśmiechem. Camille'owi zostało nie więcej niż dwadzieścia minut do stawienia się na wezwanie inspektora generalnego, tymczasem Louis natychmiast się zorientował, że daleko mu do tego. Bardzo daleko.

- Nie chciałbym cię wykorzystywać, Louis.

- Co jest potrzebne?

- Akta Malevala.

- Malevala... Jeana-Claude'a?

- A znasz innego?

Przed Camille'em leży fotografia wyjęta z akt zabójstwa Irène.

Jean-Claude Maleval, rosły chłopak, zwałisty, ale zwinny, były judoka.

- Chciałbym, żebyś mi podesłał wszystko, co o nim mamy. Na mój prywatny mail - zaznacza Camille.

Zdjęcie zostało zrobione podczas jego aresztowania. Zmysłowe rysy, trzydzieści pięć lat, może trochę więcej, Camille nigdy nie pamięta, w jakim kto jest wieku.

- Mogę wiedzieć, co on w tym wszystkim robi? - pyta Louis.

Maleval, wyrzucony z policji po śmierci Irène za dostarczenie informacji Buissonowi. Wtedy jeszcze nie wiedział, że

Buisson jest mordercą, nie był to w ścisłym sensie współudział, werdykt to uwzględniał. Tyle że Irène już nie żyła. Camille chciał zabić ich obu, Buissona i jego, ale nikogo jeszcze nie zabił. Do dzisiaj.

To Maleval jest motorem tej sprawy. Camille to wie. Odtworzył całą historię - od poczwórnego skoku w styczniu po napad w pasażu Moniera. Jedyne, czego nie wie, to jaki to ma związek z Anne.

- Dużo czasu ci zajmie zebranie tego?

- Nie, wszystko jest dostępne, jakieś pół godziny.

- Dobrze... Chciałbym też, żebyś był pod telefonem, Louis.

- Oczywiście.

- Sprawdź również grafik, możliwe, że będziesz potrzebował ludzi.

- Ja?

- A kto inny, Louis?

Camille tym samym potwierdza, że mu odbiło. Dla Louisa to szok. Nikt nic z tego nie rozumie.

Nietrudno sobie wyobrazić, co dzieje się w tym czasie w sali konferencyjnej na czwartym piętrze. Rozparty w fotelu Le Guen nerwowo przebiera palcami po stole, wzbraniając sobie patrzenia na zegarek. Po jego prawicy komisarz Michard, ukryta za imponującym stołem, z szybkością światła wertuje dokumenty, podpisuje, parafuje, podkreśla, zakreśla, notuje, całą swoją postawą dając do zrozumienia, jaką aktywną jest kobietą, nie tracącą ani sekundy, w pełni panującą nad... niech to szlag!

- Muszę kończyć, Louis...

Resztę czasu spędza na kanapie z Kicią na kolanach. Czeka.

Dossier jest już zamknięte.

Wyjął tylko fotografię Jeana-Claude'a Malevala i zanotował numer jego komórki, a potem wepchnął wszystkie papiery hurtem do teczki, zawiązał ją. A nawet położył ją obok drzwi wejściowych, innymi słowy wyjściowych.

Oboje, Anne i Camille, jedno w Paryżu, drugie w Montfort, siedzą teraz w półmroku i czekają.

Bo Anne oczywiście nie zadzwoniła po taksówkę, od razu się rozłączyła.

Od początku wie, że nie odjedzie. Przygasila światło, wyciągnęła się na kanapie, trzyma w dłoni komórkę, od czasu do czasu patrzy na ekran, czy jest naładowana, czy nie przeoczyła jakiegoś połączenia, albo sprawdza liczbę kresiek wskazujących poziom zasięgu.

Nic, nie ma nic.

Le Guen założył nogę na nogę i macha teraz prawą stopą w powietrzu. Z tego, co pamięta, dla Freuda ten gest, kojarzony z niecierpliwością, jest namiastką masturbacji.

Idiota z tego Freuda, myśli Le Guen, który z dwudziestu lat małżeństwa jedenaście spędził na kozetce. Spogląda spod oka na komisarz Michard, która z wielką szybkością przegląda maile. W klinczu między nią a Freudem Le Guen nie ręczy za resztę tego dnia.

Jest ogromnie rozżalony na Camille'a. Nie wie nawet, komu o tym powiedzieć. Czemu służy sześć małżeństw w ciągu dwudziestu lat, skoro nie ma komu o tym powiedzieć?

Nikt już nie zadzwoni do Camille'a, żeby zapytać, czy po prostu się spóźni. Nikt już mu nie pomoże. Ale się porobiło!

19.00

- Wyłącz to, do cholery!

Fernand przeprasza, rzuca się do kontaktu, gasi światło, mamrocze przeprosiny, szczęśliwy, że nareszcie wolno mu wrócić do sali, dokąd wzywają go obowiązki służbowe.

W małej salce na zapleczu, gdzie graliśmy w karty, zostaje sam. Wolę siedzieć po ciemku. To mi pomaga myśleć.

To bezsilne czekanie mnie wykańcza. Ja potrzebuję działania. Bezczynny robię się zły. Już kiedy byłem młodszy, tak było. A wiek nic nie zmienił. Powinienem był umrzeć młodo.

Nagle „biiip” wrywa Camille’a z zamyślenia. Ekran się rozjaśnia: przyszedł mail od Louisa.

Akta Malevala.

Camille zakłada okulary, nabiera powietrza w płuca i otwiera dokument.

Początki Malevala na służbie są świetne. Ze znakomitą lokatą kończy szkołę policyjną, potwierdza, że jest obiecującym nabytkiem, toteż kilka lat później zostaje przydzielony do sekcji Wydziału Kryminalnego, którą kieruje inspektor Verhoeven.

Wspaniałe czasy, wiele dużych, dowartościowujących spraw.

Tego, co zapamiętał Camille, nie ma w aktach. Maleval pracuje bez wytchnienia, jest bardzo aktywny, pełen pomysłów, ma intuicję, dynamiczny glina, jego dni wypełnione są pracą, ale również nocami nie próżnuje. Prowadzi intensywne nocne życie, zaczyna popijać, uwielbia kobiety, nie tyle zresztą kobiety, ile ich uwodzenie. Camille nieraz stwierdzał, że policja, podobnie jak polityka, ma w sobie coś z przypadku seksualnej. To okres, kiedy Maleval uwodzi, nie przestaje uwodzić, symptom lęku, na który Camille nic nie poradzi, to nie jego działka, a poza tym nie nadają już na tej samej fali. Maleval wciąż kręci się wokół dziewczyn, nawet dziewczyn będących świadkami, o ile są poniżej trzydziestki, rano stawia się w pracy złachany, jak ktoś, kto w nocy nie zmrużył oka. Jego rozwiązłe życie niepokoi Camille’a. Louis pożycza mu pieniądze, których tamten nigdy nie oddaje. Potem zaczynają się plotki. A to Maleval potrząsnął dilerami trochę mocniej, niż było konieczne, i wciąż jeszcze nie złożył w depozycie tego, co im wypadło z kieszeni. A to jakaś prostytutka skarży się, że została obrabowana, nikt tego nie słucha, ale Camille usłyszał. Rozmawia z nim, odprowadza go na bok, zaprasza na kolację. Ale jest już za późno. Choćby się Maleval zaklinał na wszystkie świętości, już zajął miejsce w ekspresie pędzącym

ku stacji końcowej. Nocne wypadki, whisky, dziewczyny, kluby, szemrane towarzystwo, ecstazy.

Niektórzy policjanci staczają się po tej pochylni powoli, stopniowo, co pozwala im otoczeniu przyzwyczać się, przygotować na najgorsze. Maleval jest narwańcem, jego specjalnością są akcje błyskawiczne.

Zostaje aresztowany za współdziałanie z siedmiokrotnym mordercą, Buissonem; skandal, który przełożonym udało się zatuszować. Sprawa Buissona jest tak chora, że prasa tylko nią żyje, że wszystko inne po drodze zagłusza, jest jak pożar w tropikalnym lesie. Aresztowanie Malevala znika niejako za zasłoną płomieni.

Po śmierci Irène Camille trafia do szpitala z głęboką depresją, spędza długie miesiące w klinice, wyglądając przez okno, odmawiając przyjmowania gości, zaczyna się przebąkiwać, że już nigdy nie wróci do policji kryminalnej.

Maleval staje przed sądem, od wyroku zostaje mu odliczony okres spędzony w areszcie, wychodzi na wolność. Camille nie od razu się o tym dowiaduje, ludzie wolą to przemilczeć. A kiedy się w końcu dowiaduje, nie komentuje tego, tak jakby upłynęło zbyt dużo czasu, jakby los Malevala nie miał już znaczenia, jakby go to osobiście nie dotyczyło.

Po wyjściu na wolność i powrocie do cywila Maleval znika. A potem znów zaczyna się pojawiać, jeszcze nie bezpośrednio, raczej w domyśle. W materiałach zebranych przez Louisa Camille tu i tam spotyka jego nazwisko.

Dla Malevala koniec kariery w policji zbiega się z początkiem kariery przestępczej, do której wykazuje bezsprzeczne inklinacje; z tego zapewne powodu był swego czasu tak znakomitym gliną.

Camille przerzuca szybko dokumenty, ale pomału zaczyna klarować się ogólny obraz, oto pierwsze doniesienia, w których pojawia się nazwisko Malevala, drobne wykroczenia, drobne sprawy, nic poważnego, ale już widać, że dokonał wyboru, że mając za sobą służbę w policji, nie poprzestanie na zatrudnieniu się w którejś z agencji ochrony, pilnowaniu supermarketu czy zostaniu kierowcą opancerzonej furgonet-

ki. Trzykrotnie jest przesłuchiwany i zwolniony. I tak dochodzimy do poprzedniego lata, kilkanaście miesięcy temu.

Wezwanie do złożenia wyjaśnień, a następnie wniosek o ściganie.

Nathan Monestier.

No proszę, wzdycha Camille. Monestier, Forestier, daleko nie szukali. To stara technika: chcąc skutecznie kłamać, najlepiej trzymać się jak najbliżej prawdy. Trzeba by sprawdzić, czy Anne nosi to samo nazwisko co brat. Anne Mone stier? Możliwe. Czemu nie.

Wiele się zgadza: brat Anne, Nathan, jest rzeczywiście obiecującym młodym naukowcem z mnóstwem dyplomów, a przy tym, jak się zdaje, niezłe znerwicowanym.

Po raz pierwszy zostaje zatrzymany za posiadanie koka iny. Trzydzieści trzy gramy, to już coś. Broni się, panikuje, wymienia nazwisko Malevala, który dostarczał mu towar czy też skontaktował go z dostawcą, lawiruje, kręci, odwołuje zeznanie. Czekając na wyrok, wychodzi z aresztu. I bardzo szybko ląduje w szpitalu na skutek dość poważnego pobicia. Nikogo nie dziwi, że nie chce złożyć skargi... Widać już, że Maleval rozwiązuje problemy metodą siłową. Załatwianie spraw od ręki zdradza jego przyszłe upodobanie do brutalnych napadów.

Camille nie zna szczegółów, ale bez trudu domyśla się najważniejszego. Obozy zostały rozbite. Maleval i Nathan prowadzą wspólne interesy. Jaki dług zaciągnął u Malevala Nathan? Czy jest mu winien duże pieniądze? Jakiego szantażu użył wobec niego Maleval?

W ślad za dawnym gliną pojawiają się inne nazwiska. Niektóre brzmią złowrogo. Taki na przykład Guido Guar nieri. Camille, jak wszyscy, zna jego reputację, specjalizacją Guarnieriego są długi: tanio je odkupuje, po czym już na własny rachunek ściąga. W zeszłym roku był przesłuchiwany z powodu gościa, którego ciało przypadkiem odkryto na placu budowy. Lekarz sądowy nie miał wątpliwości, że mężczyzna został żywcem pogrzebany. Umiera się wtedy długo, całymi dniami, wprost trudno sobie wyobrazić, jakie

cierpienia stają się udziałem ofiary. Guarnieri jest z tych, którzy wiedzą, co należy zrobić, żeby wzbudzić postrach. Czyżby Maleval zagroził Nathanowi, że sprzeda jego dług komuś takiemu jak Guarnieri? Możliwe.

Zresztą to bez znaczenia, bo dla Camille'a najważniejszy jest nie Nathan, którego nie zna, którego nigdy nawet nie widział.

Najważniejsze jest, że to wszystko prowadzi do Anne.

Obojętnie jaki dług wisi jej brat Malevalowi, to Anne go s płaca.

Ratuje go z opresji. Jak matka, „zresztą tym dokładnie dla niego jestem”, powiedziała.

Od zawsze ratowała go z opresji.

I, jak to czasami bywa, kiedy się czegoś potrzebuje, nagle -jest!

- Pan Bourgeois?

Numer niejawni. Camille odczekał wiele sygnałów. Do-póki Kicia w końcu nie uniosła pyszczka. Głos kobiety. Czterdzieści lat. Plebejski.

- Nie - odpowiada Camille - musiała się pani pomylić.

Ale nawet nie udaje, że się rozłącza.

- Tak?

Kobieta jest zdumiona. Niewiele brakuje, a zapytałaby, czy jest pewny. Sylabizuje z kartki:

- Mam tu napisane: pan Eric Bourgeois, ulica Escu- dier piętnaście w Gagny.

- Więc to pomyłka.

- No cóż - z żalem mówi kobieta. - To przepraszam...

Camille słyszy, że jeszcze coś mamrocze, ale co... W końcu zirytowana rozłącza się.

Stało się. Buisson oddał Camille'owi przysługę. Teraz już Camille może kazać go zabić, kiedy mu się spodoba.

Doraźnie informacja ta otwiera przed nim nowy korytarz, ale posiadający tylko jedne drzwi. Hafner zmienił nazwisko. Obecnie jest panem Bourgeois. Trudno o lepsze nazwisko

dla emeryta.

Każda podjęta decyzja pociąga za sobą inną decyzję. Camille spogląda na ekran komórki.

Może zwołać zebranie: oto adres Hafnera, jeśli jest w domu, jutro rano będzie można go zamknąć, zaraz wszystko wyjaśnię. A wtedy Le Guen wydaje głębokie westchnienie ulgi, niezbyt jednak głośne, bo nie chce, żeby przyznanie się do niej komisarz Michard odebrała jako oznakę zwycięstwa, patrzy tylko na Camille'a, prawie niedostrzegalnie kiwa głową, dobra robota, napędziłeś mi stracha, po czym z irytacją ciągnie: przykro mi, Camille, to nie wyjaśnia jeszcze wszystkiego!

Ale w żadnym wypadku nie wygląda na osobę, której jest przykro, i nikt zresztą w to nie wierzy. Komisarz Michard czuje się wystawiona do wiatru, tak bardzo chciałaby dobrać się komisarzowi Verhoevenowi do skóry, liczyła na udział w spektaklu, a tu jej ten spektakl kradną. Teraz ona z kolei zabiera głos, przemawia tonem wyważonym, metodycznym. Sentencjonalnym. Kocha prawdy dosadne, nie po to wybrała ten zawód, żeby owijać coś w bawełnę, w głębi duszy jest kobietą waleczną. Obojętnie jak się pan będzie tłumaczył, inspektorze Verhoeven, niech pan wie, że nie zamierzam przymykać oczu. Na nic...

Camille unosi w górę ręce, nie ma sprawy. I tłumaczy się.

Ciąg ząbających się zdarzeń.

Tak, z osobą napadniętą w pasażu Moniera jest osobiście związany, od tego się wszystko zaczęło. Natychmiast zaczyna się lawina pytań: jak blisko ją pan zna? Jaki jest jej związek z napadem? Dlaczego pan nie...?

Ciąg dalszy można z łatwością odgadnąć. Teraz najważniejsze to zorganizować się, pojechać po Hafnera-Bourgeois do jego podmiejskiej kryjówki i aresztować go za napad z bronią w ręku, morderstwo, pobicie. Nie będziemy tu siedzieli przez całą noc, roztrząsając przypadek inspektora Verhoevena, tym zajmiemy się potem, komisarz Michard jest tego samego zdania, bądźmy pragmatyczni, to jej ulubione słowo, „pragmatyczny”. A na razie, Verhoeven, pan

zostaje tutaj.

Camille w niczym nie weźmie udziału, będzie tylko widzem. Jako aktor dowiódł już, co potrafi, i są to dowody mocno obciążające. A kiedy wrócą, zapadną decyzje; postawienie zarzutów, złożenie z urzędu, karne przeniesienie służbowe... To wszystko jest tak łatwe do przewidzenia, że trudno to nawet nazwać wydarzeniem.

To tyle w kwestii tego, co możliwe. Ale Camille od dawna już wie, że nie tak się to potoczy...

Podjął już decyzję, sam nawet nie wie kiedy.

I ma ona związek z Anne, z tą sprawą, z jego życiem, wszystko się w tym zawiera i nikt nic na to nie poradzi.

Wydawało mu się, że jest igraszką w rękach losu, ale z tym już koniec.

Człowiek sam jest kowalem własnego losu.

19.45

We Francji ulic Escudier jest prawie tyle samo ilu mieszkańców. Zwykle są one proste, zabudowane takimi samymi domkami z piaskowca lub z nieotynkowanego betonu, z takimi samymi ogródkami, takimi samymi metalowymi ogrodzeniami, takimi samymi markizami nabytymi w tych samych marketach. Numer 15 nie stanowił wyjątku. Piaskowiec, markiza, ogrodzenie z kutego żelaza, ogródek...

Camille dwa lub trzy razy przejechał przed nim samochodem w tę i z powrotem, za każdym razem z inną szybkością. Podczas ostatniego przejazdu w oknie na pierwszym piętrze nagle zgasło światło. Dalej nie było już co jeździć.

Zaparkował na samym końcu ulicy. Na rogu minimarket, jedyny sklep na kilometrach kwadratowych pustyni. Na jego progu trzydziestoletni Arab, jakby żywcem wyjęty z obrazu Hoppera, żuje gumę.

Kiedy Camille gasi silnik, jest dziewiętnasta trzydzieści pięć. Wysiada z samochodu, właściciel sklepu powitalnym gestem unosi rękę, Camille podobnym gestem mu odpo-

wiada i powoli rusza w górę ulicy Escudier. Domek za domkiem, różniące się tylko tym, że w niektórych bez większego przekonania szczeka pies, a w innych przycupnięty na murku kot mierzy przechodnia świdrującym wzrokiem; wyboisty chodnik oświetlają na żółto latarnie uliczne, przed ogrodzeniami wystawiono kubły ze śmieciami i inne, tym razem bezdomne, koty rozpoczynają już walkę o strawę.

Oto numer piętnasty. Ganek domu dzieli od ogrodzenia jakieś dziesięć metrów. Z prawej strony szeroka, zamknięta brama garażu.

Od jego ostatniego przejazdu na piętrze zgasło kolejne światło. Świeci się jeszcze tylko w dwóch oknach na parterze. Camille dzwoni. Gdyby nie późna pora, mógłby zostać wzięty za komiwojażera liczącego na dobrą wolę właściciela. W uchylonych drzwiach pojawia się sylwetka kobiety. Pod światło nie widać, jak wygląda, w każdym razie głos ma młody:

- O co chodzi?

Pyta, jakby nie wiedziała, jakby ten balet zapalanych i gaszonych świateł nie był wystarczającym dowodem, że został zauważony, poddany szczegółowym oględzinom. Gdyby ta kobieta usiadła przed nim w sali przesłuchań, Camille by jej powiedział: daleko nie zajdziesz, bo nie umiesz kłamać. Kobieta odwraca się do kogoś, kto znajduje się w głębi mieszkania, na moment znika, po czym znów się pojawia.

- Już idę! - woła.

Młoda, obwisły jak u starej kobiety brzuch przydaje jej sylwetce ociężałości, twarz lekko obrzmiała. Otwiera furtkę. „Dziwka najniższego sortu, w wieku dziewiętnastu lat zaliczyła już...” - powiedział Buisson. Nie wiadomo, ile lat ma teraz, ale jest w niej coś ujmującego, to ten jej strach wyczuwalny po sposobie stawiania kroków, po kosym spojrzeniu spuszczonego oczu, wyrachowanym, niemającym nic z uległości, gdyż jest to strach waleczny, wyzywający, niemal agresywny, gotów przetrwać wszystko, strach robiący

wrażenie. Typ kobiety, która bez cienia wahania wpa-
kowałaby człowiekowi nóż w plecy.

Usuwa się na bok, nawet na niego nie spojrzawszy, cała jej postawa wyraża wrogość i determinację. Camille przemierza maleńkie podwórko, wchodzi po schodach, popycha drzwi, które tymczasem zdążyły się przymknąć. Zwykły korytarz, na ścianie pusty wieszak na płaszcze. Z prawej strony salon, a kilka metrów dalej siedzący w fotelu tyłem do okna przeraźliwie wychudzony mężczyzna o zapadniętych, gorączkowo błyszczących oczach. Chociaż jest w domu, ma na głowie wełnianą czapkę, która podkreśla idealną krągłość czaszki. Jego wyniszczony rysy od razu kojarzą się Camille'owi z twarzą Armanda.

Między dwoma mężczyznami o takim doświadczeniu jest wiele spraw, o których się nie mówi, o których mówienie byłoby niemal zniewagą. Hafner wie, kim jest Verhoeven, glinę takiego kalibru znają wszyscy. Wie też, że gdyby zjawił się po to, by go aresztować, rozegrałby to zupełnie inaczej. Zatem chodzi o co innego. Bardziej skomplikowanego. Poczekaj i się dowie.

Za plecami Camille'a młoda kobieta skubie palce, przy-
wykła do czekania. „Musi to lubić, bo jak inaczej...”

Camille stoi w korytarzu nieruchomo, w kleszczach po-
między siedzącym naprzeciw niego Hafnerem a tą kobietą z tyłu. Ciężka, wyzywająca cisza dość wyraźnie mówi mu, że tych dwoje łatwo się nie podda. Ale również im mówi, że ten mały niepokąźny glina wnosi z sobą chaos. A w życiu, jakie teraz prowadzą, synonimem takiego chaosu jest śmierć.

- Będziemy musieli porozmawiać... - odzywa się wreszcie cichym głosem Hafner.

Mówi to do Camille'a? Do kobiety? Czy też sam do siebie?

Nie spuszczaając Hafnera z oczu, Camille robi kilka kroków i zatrzymuje się dwa metry od niego. W Hafnerze nie ma nic z tego drapieznika, którego opisuje jego przestępczy życiorys. To zresztą dość częste zjawisko - wyjąwszy tych kilka minut, kiedy dokonują swoich najbrutalniejszych czynów, kryminaliści, złodzieje i gangsterzy wyglądają na

zupełnie zwyczajnych ludzi. Mordercy to ty i ja. Ale tu jest oczywiście co innego. Choroba, bliskość śmierci. I ta cisza, jej złowroźny ciężar.

Camille podchodzi o krok bliżej. W słabym świetle stojącej w rogu salonu lampy, błękitnawym i rozproszonym, bez większego zdziwienia odkrywa bezbarwne wnętrze, wielki płaski ekran telewizora, kanapę z wełnianą narzutą, nijakie bibeloty i owalny stół nakryty wzorzystą ceratą. Wielki świat przestępczy często gustuje w estetyce klas średnich.

Kobieta wyszła z pokoju, Camille nawet nie usłyszał kiedy, przez chwilę wyobrażają sobie siedzącą teraz na schodach ze strzelbą na kolanach. Natomiast Hafner nie ruszył się z fotela, czeka, jaki obrót przybiorą sprawy. Po raz pierwszy Camille zadaje sobie pytanie, czy on jest uzbrojony, pytanie, które wcześniej nie przyszło mu do głowy. Co zresztą jest zupełnie bez znaczenia, niemniej jednak stara się unikać zbyt szybkich gestów, bo nigdy nie wiadomo.

Z kieszeni płaszcza wyjmuje komórkę, wyświetla zdjęcie Malevala, robi krok i wyciąga aparat do Hafnera, który tylko z gardłowym stęknięciem zaciska lekko usta, kiwa głową, rozumie, po czym wskazuje kanapę. Camille woli krzesło, przyciąga je do siebie i odkłada kapelusz na stół. I oto obaj siedzą naprzeciwko siebie, jakby czekali, żeby ich obsłużono.

- Uprzedzono pana o mojej wizycie...

- Poniekąd...

Logiczne. Człowiek zmuszony do podania Buissonowi nowego nazwiska Hafnera i jego adresu musiał się zabezpieczyć. Co niczego nie zmienia.

- Małe podsumowanie? - proponuje Camille.

I wtedy słyszy dobiegający gdzieś z głębi domu donośny krzyk, a zaraz potem, tym razem nad swoją głową, pośpieszne kroki, potem stłumiony głos kobiety. Zadaje sobie pytanie, czy ta nowa okoliczność skomplikuje czy uprości sprawę.

- W jakim wieku? - pyta, ruchem głowy wskazując na sufit.

- Sześć miesięcy.

- Chłopiec?

- Dziewczynka.

Kto inny zapytałby też o imię, ale nie jest to odpowiednia sytuacja.

- Czyli w styczniu pana żona jest w szóstym miesiącu ciąży.

- Siódmym.

- A ucieczka to zawsze skomplikowana sprawa. A tak przy okazji - dodaje Camille, wskazując na jego czapkę

- czy mogę wiedzieć, gdzie pan odbywa chemioterapię?

Upływa chwila, nim Hafner odpowie:

- W Belgii, ale przerwałem.

- Za drogo?

- Nie, za późno.

- Więc za drogo.

Na twarzy Hafnera pojawia się coś na kształt uśmiechu, zaledwie jego cień w kąciek ust.

- Już w styczniu - ciągnie Camille - pozostało panu niewiele czasu, żeby zabezpieczyć swoją rodzinę. Dlatego organizuje pan Wielki Skok. Cztery cele w jeden dzień. Gruba forsa. Pana stali wspólnicy nie bardzo są w tym momencie dyspozycyjni, a może miał pan też opory przed wykręceniem im tak paskudnego numeru? Jednym słowem, zaangażował pan Serba Ravica i byłego glinę Malevala. A tak przy okazji, nie wiedziałem, że Maleval bawi się w napady z bronią w rękę.

Hafner nie spieszy się z odpowiedzią.

- Przez jakiś czas próbował się odnaleźć po tym, jak go pan wylał - mówi wreszcie. - Robił sporo w kokainie.

- Tak mi się też wydawało...

- Ale woli napady. To mu bardziej leży.

Od kiedy Camille to zrozumiał, próbuje wyobrazić sobie Malevala w roli napastnika, ale bez większego powodzenia. Zawodzi go wyobraźnia. A poza tym Maleval i Louis urodzili się w jego zespole i trudno mu wyobrazić ich sobie poza jego ramami. Jak większość mężczyzn, którzy pozostaną bezdzietni, Camille jest specjalistą w wymyślaniu sobie potomstwa. W dużej mierze ma to związek z jego wzrostem. Tym sposobem wymyślił sobie dwóch synów, z jednej strony

Louisa, syna idealnego, nienagannego, pojętnego ucznia, będącego mu nagrodą za wszystko, z drugiej Malevala, syna gwałtownego, szczodrego, mrocznego, tego, który go zdradził, przez którego stracił żonę. W którym wszystko, łącznie z nazwiskiem - pamiętał przecież Dartha Malevala - było złowieszcze.

Hafner czeka na ciąg dalszy. Głos kobiety na górze stopniowo cichnie, pewnie utula dziecko.

- W styczniu - podejmuje Camille - nie licząc jednego zabitego, wszystko przebiega zgodnie z planem. - (Tylko ktoś bardzo naiwny oczekiwałby jakiegokolwiek reakcji ze strony człowieka pokroju Hafnera). - A plan był taki, że wszystkich pan wystawi i zwieje z kasą. Z całą kasą. To normalne - (Camille znów pokazuje palcem na sufit) - mając poczucie obowiązku, pragnie się zabezpieczyć swoich najbliższych. W gruncie rzeczy plon tego poczwórnego skoku był rodzajem testamentowego legatu. Nie wiem, ale tego typu rzeczy są chyba zwolnione z podatku, prawda?

Hafner nawet nie mrużnie. Nic nie sprowadzi go z raz obranej drogi. Człowiekowi, który dotarł aż tutaj, by mu zakłócić spokój, temu posłańcowi złej nowiny, temu zwiastunowi końca, nie ofiaruje jałmużny żadnego uśmiechu, żadnego zwierzania, nie dopuści go do żadnej komitywy.

- Z moralnego punktu widzenia nie można panu nic zarzucić. Postąpił pan jak każda dobra głowa rodziny, próbował pan po prostu zabezpieczyć byt swojego miotu. Ale pańscy współnicy, nie wiedząc czemu, źle to przyjmują. Co niczego nie zmienia, bo precyzyjnie pan wszystko zaplanował. Przewidując, że mogą próbować pana dopaść, kupił pan nową tożsamość, zerwał wszelkie więzi łączące pana z wcześniejszym życiem. Dziwi mnie tylko, że nie wolał pan się wynieść za granicę.

Hafner w pierwszym momencie nic nie mówi, ale przeczuwa, że będzie mu potrzebna pomoc Camille'a. Zmuszony puścić trochę pary z ust, jakieś minimum, rzuca:

- Z powodu mojej małej...

Nie wiadomo, czy ma na myśli matkę czy dziecko. Zresztą i

tak na jedno wychodzi.

Nagle, z powodu późnej pory albo awarii prądu, gasną uliczne latarnie. Światło w salonie o ton ciemniej. Na tle lampy postać Hafnera majaczy niczym wielki pusty wrak, widmowy i groźny. Na piętrze dziecko znów zaczyna cicho popłakiwać, znów słycać szybkie przytłumione kroki, płacz ustaje. Właściwie Camille mógłby na tym poprzestać. Ten półmrok, ta cisza. A poza tym, czy ktoś na niego czeka? Powraca myślą do Anne. Do dzieła.

Hafner zgina i prostuje nogi, i robi to tak powoli, jakby nie chciał Camille'a wystraszyć. Chyba że z powodu bólu. Możliwe. Do dzieła.

- Ravie... - zaczyna Camille. (Stwierdza, że jego głos zsynchronizował się z atmosferą tego domu, stał się o ton cichszy, stłumiony). - Osobiście nie znałem Ravica, ale przypuszczam, że nie był zachwycony tym, że dał się wyrolować i że został bez grosza. Tym bardziej że zawisł nad nim zarzut morderstwa. Tak, wiem, to jego wina, brak zimnej krwi itd. Co nie zmienia faktu, że zarobił na swoją działkę, a pan się z nią ulotnił. Wie pan, jak skończył Ravie?

Ma wrażenie, że Hafner niedostrzegalnie zeszytywniał.

- Nie żyje. Jego dziewczyna, czy też za taką uchodząca, zarobiła kulę w głowę. A Ravicowi, nim wyzionął ducha, odcięto dziesięć palców, po kolei, jeden po drugim. Nożem myśliwskim. Facet, który to zrobił, jest moim zdaniem potworem, Ravie był Serbem, ale w końcu Francja jest krajem azylu, czyż nie? Sądzi pan, że takie siekanie cudzoziemców na kawałki sprzyja turystyce?

- Wkurza mnie pan, Verhoeven.

Camille w duchu wzdycha z ulgą. Jeśli nie uda mu się przełamać milczenia Hafnera, nic z niego nie wyciągnie, będzie skazany na monolog. A on potrzebuje dialogu.

- Słusznie - mówi - nie pora na lamentsy. Turystyka to jedno, napad z bronią w rękę to drugie. Chociaż... A więc Maleval. Jego, w przeciwieństwie do Ravica, i na długo, zanim zaczął myśliwskim nożem odcinać ludziom ręce, dość dobrze poznałem.

- Ja na pana miejscu bym go zabił.

- No pewnie, bo zabity nie deptałby dziś panu po piętach. Gdyż mój Maleval mało, że wyrósł na krwiożerczego bandytę, to pozostał także cwaniaczkim. Jemu też się nie spodobało, że dał się wyrolować, bardzo intensywnie pana szukał...

Hafner powoli kiwa głową. Ma własnych informatorów, musiał na odległość śledzić kolejne etapy poszukiwań Malevala.

- Jednak pańska zmiana tożsamości, radykalne zerwanie więzi ze wszystkim i z wszystkimi, czynne współdziałanie wszystkich, którzy pana poważają lub się pana boją, sprawiły, że choćby Maleval przetrząsał niebo i ziemię, nie posiadał jednak pańskich protekcji, kontaktów, pańskiej reputacji i zmuszony był pogodzić się z tym, że pana nie znajdzie.

Hafner marszczy brwi.

- Wpadł jednak na pewien znakomity pomysł.

Hafner czeka, co dalej.

- Powierzył to zadanie policji. To właśnie pańskiemu śludze - (Camille rozkłada szeroko ręce) - zlecono to śledztwo. I jak najślusniej, gdyż jestem policjantem kompetentnym, któremu znalezienie faceta takiego jak pan zajmuje niespełna dwadzieścia cztery godziny. Przy odpowiedniej motywacji. A najlepszym sposobem zmotywowania mężczyzny jest kobieta... Zwłaszcza kobieta pobita, nie muszę panu mówić, że przy mojej wrażliwości trudno o bardziej skuteczny argument. Kilka miesięcy wcześniej wepchnął mi ją w ramiona, bardzo mi to wtedy schlebilo.

Hafner kiwa głową. Choć znalazł się w pułapce, choć czuje, że zbliża się chwila, kiedy on z kolei będzie musiał zawalczyć - podziwia ten manewr. Możliwe nawet, że w półmroku lekko się uśmiecha.

- Celem powierzenia mi tej sprawy Maleval organizuje skok nieodparcie kojarzący się z pana metodą działania, noszący, że tak powiem, pańską sygnaturę: jubiler, obrzyn Mossberga, brutalność. Policja nie ma wątpliwości, że napad

w pasażu Moniera to wypisz, wymaluj Hafner. Sprawa dotyczy mnie osobiście. Trudno się dziwić, moja kobieta, która przyszła odebrać od jubilera cacko mające być prezentem dla mnie, zostaje niemal śmiertelnie pobita, tracę głowę, rzucam się na to. Robię wszystko, żeby dostać to śledztwo, a ponieważ jestem dość sprytny, to je dostaję. By mnie upewnić w przeczuciu, że to pańska sprawka, owa kobieta, która jest jedynym świadkiem i która oczywiście po raz pierwszy zobaczyła pana na zdjęciu podsuniełym jej zapewne przez Malevala, podczas identyfikacji bez wahania pana rozpoznaje. Pana i Ravica. Twierdzi nawet, że słyszała serbski język, wyobraża pan sobie? Dla nas za napadem w pasażu Moniera stoi pan i nikt inny, to pewne, potwierdzone, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Hafner powoli kiwa głową, jakby uważał posunięcie za wyjątkowo dobrze pomyślane. I jakby w duchu stwierdził, że w osobie Malevala ma godnego siebie przeciwnika.

- A wtedy zaczynam pana szukać. Dla Malevala - ciągnie Camille. - Staję się jego prywatnym wywiadowcą. Maleval wywiera silną presję na świadka, więc zwiększam tempo. Grozi jej śmiercią, więc jeszcze bardziej przyspieszam. W gruncie rzeczy postawił na właściwą osobę. Jestem skuteczny. Znalezienie pana wymagało ode mnie pewnego bardzo przykrego ruchu...

- Jakiego ruchu? - przerywa mu Hafner.

Camille unosi głowę. Jak by to ująć? Przez chwilę siedzi zatopiony we własnych myślach, Buisson, Irène, Maleval, ale w końcu rezygnuje.

- Nie miałem z nikim żadnych porachunków... - mówi wreszcie jakby sam do siebie.

- Zawsze się z kimś ma.

- Racja. Bo on, Maleval, bardzo by chciał wyrównać stare porachunki ze mną. Dostarczając informacji Buissonowi, siedmiokrotnemu mordercy, dopuścił się bardzo ciężkiego wykroczenia zawodowego. Potem było aresztowanie, upokorzenie, postawienie pod pręgierzem, tytuły na pierwszych stronach gazet, sędzia śledczy, proces. A na koniec

więzienie. Niedłgie, ale wyobraża pan sobie tę atmosferę, w jakiej policjant odsiaduje wyrok? I teraz pomyślał, że oto trafia mu się wymarzona okazja odplacenia mi pięknym za nadobne. Upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu. Zleca mi znalezienie pana, a tym samym załatwia mi wyrzucenie z policji.

- Bo sam pan tego chciał.

- Poniekąd... Długo bym musiał to panu tłumaczyć.

- Tym bardziej że ani trochę mnie to nie obchodzi.

- Tym razem nie ma pan racji. Ponieważ teraz, kiedy już pana znalazłem, zjawi się Maleval. I niech mi pan wierzy, zjawi się nie po to, by zażądać zwrotu swojej działki. Będzie chciał wszystkiego.

- Nic już nie mam.

Camille udaje, że waży wszelkie za i przeciw.

- Owszem - mówi w końcu - może pan tego spróbować, kto nie ryzykuje, nic nie ma. Myślę, że i Ravié musiał tego spróbować: wszystko wydałem, zostało mi parę groszy, żadne tam pieniądze... - (Camille szeroko się uśmiecha). - Ale bądźmy poważni. Zachowuje pan te pieniądze na dzień, kiedy pana zabraknie, chcąc zabezpieczyć swoje małe, więc je pan ma. Pytanie nie jest takie, czy Maleval znajdzie pana oszczędności, ale ile czasu zajmie mu ich znalezienie. A przy okazji jakich metod użyje, żeby to osiągnąć.

Hafner odwraca głowę do okna, jakby się spodziewał, że zobaczy w nim Malevala z nożem w ręku. Wciąż milczy.

- Złoży panu wizytę. Kiedy, to zależy ode mnie. Wystarczy, że podam jego współniczce pański adres, a dziesięć minut później Maleval ruszy w drogę, a godzinę później rozwali te drzwi ze swojego mossberga.

Hafner nieznacznie przechyla głowę.

- Wiem, o czym pan myśli - mówi Camille. - Ze go pan na dzień dobry położy trupem. Bez obrazy, ale nie wygląda mi pan na faceta w szczytowej formie. Maleval jest od pana o dwadzieścia lat młodszy, świetnie wyszkolony i bardzo przebiegły, już raz go pan nie docenił, co było pomyłką. Zawsze można liczyć na łut szczęścia, ale to jedyna nadzieja,

jaka panu pozostała. I jeśli chce pan mojej rady, niech pan nie spudłuje. Gdyż jest na pana bardzo wkurzony i kiedy wpakowawszy młodej mamusi kulę między oczy, zacznie obcinać pana córeczce jej maleńkie paluszki, rączki i stopki, siłą rzeczy gorzko pan pożałuje tego pudła...

- Skończ pan z tymi bzdurami, Verhoeven, facetów takich jak on spotkałem w życiu ze dwudziestu!

- To przeszłość, Hafner, a i przyszłość ma pan już za sobą. Nawet jeśli spróbuje pan zamelinować swoje dziewczyny razem z kasą, zakładając, że zostawię panu na to czas, to i tak nic nie da. Maleval pana znalazł, pana, co nie było łatwe. Znalezienie pana kobiet będzie dla niego dziecinną igraszką.

- (Milczenie). - Jedyńą pana szansą - stwierdza Camille - jestem ja.

- Pieprz się pan.

Camille powoli kiwa głową, sięga po kapelusz. Na jego twarzy malują się sprzeczne uczucia: aprobata, a zarazem rozczarowanie, cóż, zrobiłem, co mogłem. Z ociąganiem wstaje. Hafner nadal ani drgnie.

- No, zostawiam pana z rodziną - mówi Camille. - Niech pan się nią nacieszy, póki czas.

Rusza w stronę korytarza.

Ani przez chwilę nie wątpi w słuszność swojej strategii, trochę to potrwa, zdąży dojść do ganku, do schodów, do ogrodu, może nawet do furtki, ale Hafner go zawoła. Światło na ulicy znów się zapaliło, z rzadko rozstawionych latarni na chodnik i skraj ogrodu spływa błada żółta poświata.

W progu Camille przystaje, spogląda na spokojną ulicę, a potem odwraca się i ruchem głowy wskazując podest schodów, pyta:

- Jak małej na imię?

- Eve.

Ładne imię, Camille'owi się podoba.

- Dobry początek - stwierdza. - Oby tak dalej.

Wychodzi.

- Verhoeven!

Camille zamyka oczy. Wraca do pokoju.

21.00

Anne została, nie wiadomo czym się kierując, odwagą czy tchórzostwem, po prostu nadal jest i czeka. Ale czas upływa, a ją obezwładnia zmęczenie. Czuje się jak po przebyciu jakiejś ciężkiej próby, jakby znalazła się po drugiej stronie; nad niczym już nie panuje, jest pustą skorupą, dłużej już tego nie wytrzyma.

To nie Anne, lecz jej fantom dwadzieścia minut wcześniej pozbierał wszystkie jej rzeczy. Nie ma tego wiele: kurtka, pieniądze, komórka, kartka z planem i numerami telefonu. Rusza do drzwi, zawraca.

Przed chwilą taksówkarz zadzwonił do niej z Montfort, zrozpaczony, że nie może znaleźć tej przeklętej drogi. Jego akcent wskazywał na Azjatę. Anne musiała zapalić światło i wpatrując się w plan, próbowała go poprowadzić, mówi pani, że za ulicą de la Longe? Tak, w prawo, ale nawet nie wie, z którego kierunku on jedzie. Wyjdzie mu na spotkanie, niech pan podjedzie pod kościół i tam na mnie zaczeka, zgoda? Zgoda, taksówkarz woli to rozwiązanie, przykro mu, ale GPS... Anne rozłącza się, wraca do pokoju i z powrotem siada.

Tylko kilka minut, obiecuje sobie. Jeśli w ciągu pięciu minut telefon zadzwoni... A jeśli nie zadzwoni...

W ciemnościach przesuwając zmęczonym palcem po szramie na policzku, po dziąśle, potem sięga po pierwszy z brzegu szkicownik. Tutaj można powtarzać ten gest sto razy i nigdy nie trafi się na ten sam rysunek.

Tylko kilka minut. Dzwoni taksówkarz, niecierpliwi się, nie wie, czy ma czekać, czy odjechać.

- Niech pan zaczeka - mówi Anne. - Już idę.

Na co on, że licznik bije.

- Niech pan chwilę zaczeka. Dziesięć minut...

Dziesięć minut. A potem, bez względu na to, czy Camille zadzwoni czy nie, wychodzi. Czyżby to wszystko było na

nic?

A potem, co stanie się potem?

W tym momencie dzwoni komórka.

To Camille.

Straszne jest to czekanie. Kazałem, żeby mi rozłożyli futon, przynieśli butelkę Bowmore Marinera i zimne mięso, ale już wiem, że nie zmruję oka.

Za ścianą słyszę gwar restauracji, Fernand napełnia mi kiesę, powinienem się cieszyć, ale nie tego chcę, nie na to czekam. Zadałem sobie tyle trudu...

Tymczasem z każdą mijającą godziną moje szanse maleją. Najbardziej obawiam się, że Hafner z tą swoją flądrami mógł się wynieść na Bahamy. Fama głosi, że jest chory, więc kto wie, może wolał usmażyć się na słońcu. Z moją forszą! Kiedy pomyślę, że być może wraca teraz do zdrowia za nie swoje pieniądze, cholera mnie bierze.

Ale jeśli zamelinował się w kraju, to jak tylko dowiem się gdzie, dopadnę go, nim gliny zdążą się zorganizować, wyciągnę go nawet z piwnicy i zagaję rozmowę palnikiem do spawania.

A na razie sączę whisky, starając się zachować spokój, wyobrażam sobie tę dziewczynę, jak ją trzymam za włosy, Verhoevena, jak go trzymam za jaja, wyobrażam sobie, jak będę torturował Hafnera...

Spokojnie.

Po powrocie do samochodu Camille przez chwilę siedzi nieruchomo za kierownicą. Nie wiadomo, czy z powodu wyklarowania się sytuacji? pojawienia się wreszcie końca drogi? ale czuje się zimny jak wąż, gotowy na wszystko. Przygotował grunt pod zgodny z wymogami sztuki finał sprawy. Jednego tylko nie jest pewny: czy starczy mu siły.

Stojący w progu swojego sklepiku arabski sprzedawca przygląda mu się z miłym uśmiechem, nadal przeżuując w

zębach wykałaczkę. Camille próbuje odtworzyć film ze swojego związku z Anne, ale żaden obraz się nie pojawia, film się urwał. To wynik tej próby, która go czeka.

Nie żeby nie potrafił kłamać, bynajmniej, tyle że przed zakończeniem sprawy człowiek zawsze trochę się waha.

Anne musi uwolnić się od Malevala i w tym celu zgodziła się szpiegować Camille'a w trakcie jego śledztwa.

Zgodziła się podać Malevalowi adres kryjówki Hafnera.

Jedynie Camille może jej pomóc się od niego uwolnić. Ale tym samym przypieczętuje koniec ich związku. Tak jak przypieczętował koniec tylu innych spraw. W tym końcowym wahaniu Camille'a jest również zmęczenie.

Do dzieła, mówi sobie. Otrząsa się, sięga po komórkę i dzwoni do Anne, która natychmiast odbiera.

- Halo, Camille?

Milczenie. Potem napływają słowa.

- Namierzyliśmy Hafnera. Nie musisz się już bać.

I tyle. Koniec.

Mówi spokojnym tonem, mającym pokazać, że w pełni panuje nad sytuacją.

- Jesteś pewny? - pyta Anne.

- Jak najbardziej. - (Słyszy w jej pobliżu jakiś szum, jakby westchnienie). - Gdzie jesteś?

- Na tarasie.

- Mówiłem, żebyś nie wychodziła z domu!

Tak jakby to do niej nie dotarło. Jej głos wibruje emocją, wyrzuca pospiesznie słowa.

- Aresztowaliście go?

- Nie, Anne, tak się tego nie załatwia. Dopiero co go namierzyliśmy, chciałem cię tylko jak najszybciej zawiadomić. Pytałaś, nalegałaś. Nie mogę teraz długo rozmawiać. Najważniejsze, że...

- Gdzie on jest, Camille? Gdzie?

Camille waha się, zapewne po raz ostatni.

- Znaleźliśmy jego kryjówkę...

Wokół Anne szumi las. Wiatr porusza wierzchołkami drzew, światło na tarasie lekko drży. Anne stoi nieruchomo.

Powinna zasypać Camille'a pytaniami, zebrać wszystkie siły, na przykład zażądać: chcę wiedzieć, gdzie się ukrywa. Tego typu kwestie sobie przygotowała. Albo: zrozum, Camille, ja się boję! Podnieść głos, nalegać: jaką kryjówkę? Gdzie? A gdyby to nie wystarczyło, uderzyć w agresywny ton: mówisz, że go znaleźliście... po pierwsze skąd ta pewność? Wszystko przede mną przemilczasz! Mogłaby też uciec się do łagodnego szantażu: teraz jeszcze bardziej się boję, Camille, muszę to wiedzieć, rozumiesz? Albo do przypomnienia faktów: skatował mnie, ten człowiek chciał mnie zabić, mam prawo wiedzieć! itd., itp.

Zamiast tego milczy, nie może wykrztusić słowa.

Coś bardzo podobnego przeżyła trzy dni temu: kiedy stała zakrwawiona, uczepiona oburącz karoserii samochodu przy krawężniku, nadjechała terenówka napastników i męczyzna wycelował do niej ze strzelby; widziała przed sobą wylot lufy i nie zareagowała, wyczerpana, gotowa umrzeć, niezdolna wykrzesać z siebie cienia energii. Teraz jest tak samo. Milczy.

Camille zaraz ją uwolni, po raz kolejny.

- Znaleźliśmy go na wschodnim przedmieściu – mówi - w Gagny. Na ulicy Escudier piętnaście. Spokojna willowa dzielnica. Nie wiem jeszcze, od kiedy tam mieszka, dopiero się o tym dowiedziałem. Wiem tylko tyle, że nazywa się teraz Eric Bourgeois.

Znów milczenie.

Camille już myśli, że więcej jej nie usłyszy, ale nie, Anne nadal go wypytuje.

- I co się teraz stanie? - docięka.

- Sama wiesz, jest niebezpieczny. Przeprowadzimy na miejscu mały rekonesans. Najpierw trzeba sprawdzić, czy jest tam teraz, spróbować się dowiedzieć, kto z nim jest, mogą tam być też inni, nie można zamienić paryskiego przedmieścia w Fort Alamo, ściągniemy jednostkę specjalną. I poczekamy na odpowiednią chwilę. Wiadomo już, gdzie go znaleźć. I mamy swoje sposoby, żeby go unieszkodliwić. - (Zmusza się do uśmiechu). - Tak lepiej?

- Lepiej - odpowiada Anne.
 - Teraz muszę już kończyć. Więc do zobaczenia, tak?
- Milczenie.
- Do zobaczenia.

21.45

Właściwie nie śmiałem już w to wierzyć. Tymczasem jest: Hafner namierzony!

Nic dziwnego, że nie można go było znaleźć, jest teraz panem Bourgeois. Serce się kroi na myśl, że facet, którego znało się w czasach jego chwały, wybrał sobie takie właśnie nazwisko.

Ale Verhoeven jest pewny. To ja też.

Pogłoski o jego chorobie się sprawdziły, liczę tylko, że nie wydał całej kasy na badania i leki. Ze zostało mu wystarczająco wiele, by wynagrodzić mi poniesione trudy, w przeciwnym razie w porównaniu z tym, co mu zgotuję, przerzuty będą jak sól fizjologiczna. Na logikę powinien starać się nie trwonić pieniędzy i trzymać je pod ręką. Na wszelki wypadek.

Wskakuję do samochodu, w błyskawicznym tempie pokonuję obwodnicę, odcinek autostrady, przedmieście i oto jestem na miejscu.

Domek jednorodzinny... Wyobrazić sobie Vincenta Hafnera w takim miejscu zwyczajnie nie sposób. Sama kryjówka jest pomysłowa, ale nie mogę opędzić się od myśli, że za tym, by facet dał się zagonić na takie willowe przedmieście, musi stać jakaś kobieta, innej możliwości nie widzę. Pewnie to ta mała, o której wspomiano, starcza namiętność, uczucie sprawiające, że facet zgadza się uchodzić wśród sąsiadów za pana Bourgeois.

Taka konstatacja każe się zastanowić nad sensem egzystencji: wystarczyło, żeby Vincent Hafner, który przez połowę życia zajmował się sprzątaniami bliźnich, zakochał się, a od razu zmiękł jak plastelina.

Mnie tam to urzęda, bo obecność kobiety jest zawsze cenną pomocą. Najskuteczniejszym patentem. Łamiesz jej obie ręce - oddają ci wszystkie oszczędności, wylupiasz jej oko - masz oczy całej rodziny, idzie to jak crescendo. Z kobietą jest trochę jak z dobrowolnym dawcą, każdy jej organ jest na wagę złota.

Oczywiście nic nie może się równać z dzieciakiem. Jeśli chce się cokolwiek uzyskać, dzieciak to broń absolutna. Nie śmiem nawet pomyśleć o takiej gratce.

Najpierw pokręciłem się po dzielnicy, w pewnej odległości od ulicy Escudier. Gliny zjawiają się później, dopiero w nocy.

A zresztą nawet to nie jest takie pewne, bo ich akcja będzie wymagała wielkich przygotowań. Zamknięcie strefy to nie problem, wystarczy zablokować ulice, ale atak na dom to rzecz znacznie bardziej skomplikowana. Najpierw będą musieli upewnić się, czy Hafner jest u siebie - to minimum - i czy jest sam. Co nie będzie łatwe, bo nie ma tu nigdzie żadnego wolnego miejsca, żeby rozmieścić ekipy, no i jak to w takiej dzielnicy, ruch jest prawie żaden i samochód zwiadowczy natychmiast zostanie wypatrzony.

Trzeba będzie dyskretnie ustawić jeden, dwa wozy obserwacyjne, żeby mieć oko na dom, a tego wszystkiego nie zrobi się w pół dnia, to pewne.

Na razie ludzie ze specoddziału tworzą różne wymyślne plany, wytyczają na mapach lotniczych trasy, strefy i sektory, tak naprawdę wcale im się nie spieszy. Mają przed sobą co najmniej całą noc, aż do jutra rana nic się zrobić nie da, a potem obserwacja, obserwacja i jeszcze raz obserwacja... Z powodzeniem może zająć to dzień, dwa dni, trzy... A wtedy ich zdobycz dawno już nie będzie żadnym zagrożeniem, sam się o to postaram.

Zaparkowałem samochód jakieś dwieście metrów od ulicy Escudier, przyłożywszy po drodze kilka razy pałką psom, które próbowały być groźne, z plecakiem pokonałem kolejne ogrodzenia i oto siedzę teraz w czyimś ogrodzie pod sosną. Na parterze jego właściciele oglądają telewizję. Trzydzieści metrów dalej, za płotem oddzielającym obie posesje, mam

znakomity widok na tyły domu numer 15.

Świeci się tylko w jednym pokoju na piętrze; niebieskawe drgające światło wskazuje na telewizor. Poza tym w całym domu jest ciemno. Są trzy możliwości: albo Hafner ogląda na piętrze telewizję, albo wyszedł, albo już śpi i to jego dziewczyna pobiera nauki na TF1.

Jeśli wyszedł, zgotuję mu po powrocie huczne powitanie.

Jeśli śpi, zaserwuję mu gadający zegar.

A jeśli siedzi przed telewizorem, ominą go reklamy, gdyż zapewnię mu inną rozrywkę.

Przez jakiś czas obserwuję dom przez lornetkę, a potem ruszam do akcji. Efekt zaskoczenia murowany. Z góry się na niego cieszę.

Ogród jest miejscem sprzyjającym medytacji. Podsumuję sytuację. Kiedy zorientowałem się, że wszystko działa bez zarzutu, właściwie lepiej nawet, niż się spodziewałem, nakazałem sobie cierpliwość, bo z natury jestem w gorącej wodzie kąpany. Niewiele brakowało, a po przybyciu na miejsce zacząłbym strzelać w powietrze i wrzeszcząc jak potępieniec, rzuciłbym się do ataku na dom. Ale to, że się tu znalazłem, jest owocem mojej żmudnej pracy, długiego namysłu i wielkiego nakładu sił; już tylko dwa kroki dzielą mnie od sięgnięcia po główną wygraną, więc biorę na wstrzymanie. Ponieważ nie widać żadnego ruchu, pół godziny później starannie składam swoje rzeczy i robię rundkę wokół domu. Nie ma alarmu, Hafner nie chciał ściągać niczyjej uwagi, zamieniając swoją spokojną przystań w bunkier. Cwany gość z tego pana Bourgeois, umiał wtopić się w tło.

Wracam, znów siadam pod sosną, zaciskam poły kurtki i podejmuję dalszą obserwację przez lornetkę.

I wreszcie, koło dwudziestej drugiej trzydzieści telewizor na pierwszym piętrze gaśnie, na moment zapala się światło w małym środkowym okienku. Jest węższe od pozostałych

- to toaleta. Trudno wymarzyć sobie lepszy układ. Sądząc z tego tylko ruchu, w domu są ludzie, ale niewielu. Wreszcie decyzja zapada, wstaję i ruszam do działania.

Dom pochodzi z lat trzydziestych i kuchnię urządzono w nim na tyłach parteru. Z małego ganku od strony ogrodu prowadzą do niej przeszklone drzwi. Bezszelestnie wchodzę na ganek, zamek jest tak stary, że dałby się sforsować otwieraczem do puszek.

Od tej chwili zaczyna się wielka niewiadoma.

Zostawiam torbę przy drzwiach, zabieram tylko walthera z tłumikiem i skórzany futerał z myśliwskim nożem.

Wewnątrz panuje pulsująca cisza; nocą domy zawsze sprawiają trochę niepokojące wrażenie. Ale najpierw musi mi przestać łomotać serce, inaczej niczego nie usłyszę.

Przez dłuższą chwilę stoję i nasłuchuję.

Cisza jak makiem zasiał.

Wchodzę więc do środka, stąпам bardzo powoli, bo niektóre kafelki posadzki są obluźowane. Z kuchni wychodzę na podest. Po prawej stronie schody prowadzące na piętro. Naprzeciwko drzwi wejściowe. Po lewej jakiś otwór, pewnie dwuskrzydłowe drzwi salonu lub jadalni, które zostawiono otwarte, żeby przewietrzyć pomieszczenie.

Wszyscy są na piętrze. Ale na wszelki wypadek, zanim przed nimi przemknę, przywieram do ściany, trzymając oburącz walthera lufą na dół...

W chwili gdy ruszam przez podest w stronę schodów, zdumienie dosłownie wmurowuje mnie w podłogę: po lewej stronie w głębi salonu, niemal w całkowitych ciemnościach, oświetlony jedynie światłem z latarni ulicznej siedzi w fotelu twarzą do mnie Hafner.

Nie wierzę własnym oczom.

Zdążyłem tylko zauważyć jego naciągniętą głęboko wewnątrz czapkę, jego wytrzeszczone oczy...

W tej pozycji Hafner wygląda, jak nie przymierzając, Ma Becker w bujanym fotelu.

W rękę trzyma wycelowanego we mnie mossberga.

Kiedy się pojawia, strzela.

Huk wystrzału jest tak potężny, że każdego by ogłuszył. Reaguję błyskawicznie. W ułamku sekundy padam na ziemię. Nie dość szybko, by uniknąć strzału, ale na tyle

szybko, by mnie trafił tylko w nogę.

Hafner na mnie czekał, postrzelił mnie, ale nie zabił, już podniosłem się na kolana, zranił mnie w łydkę.

Wypadki następują po sobie z taką szybkością, że mój umysł ledwie nadąża je przyswajając. Nie nadąża zwłaszcza za odruchem niemal gadzim, reakcją absolutnie instynktowną. Gdyż robię coś, czego nikt by nie oczekiwał: zaskoczony, trafiony, ranny, przechodzę do ataku.

Nawet się nie zastanawiając nad konsekwencjami, gwałtownie się odwracam i rzucam w otwarte drzwi; widzę twarz Hafnera, który mógł spodziewać się wszystkiego, tylko nie tego, że tak nagle ożyję tu, gdzie dosięgła mnie jego kula.

Kłęczę naprzeciw niego z wyciągniętym ramieniem.

Z waltherem w rękę.

Moja pierwsza kula przeszywa mu gardło, druga trafia w środek czoła, nie zdążył nawet pociągnąć za spust po raz drugi, bo pięć następnych kul dziurawi mu klatkę piersiową. Ogarnięty gwałtownymi drgawkami wygląda jak człowiek rozpaczliwie walczący z atakiem kaszlu.

Ledwie do mnie dociera, że jestem ranny w nogę, że Hafner nie żyje i że niniejszym wszystkie moje starania biorą w łeb, a już umysł przesyła mi nową informację: kłęczysz w korytarzu z pustym magazynkiem i z lufą przystawioną do skroni.

Momentalnie zastygam. Bardzo powoli odkładam walthera na ziemię.

Broń trzyma czyjaś pewna dłoń. Lekki nacisk lufy jest czytelnym przesłaniem; odpycham walthera daleko od siebie, sunie dwa metry po podłodze i nieruchomieje.

Dałem się zrobić w konia. Rozkładałem szeroko ramiona, pokazując, że się poddaję, ze spuszczoną głową, unikając jakiegokolwiek gwałtownego ruchu, powoli się odwracam.

Nie muszę się długo zastanawiać, by odgadnąć, kto gotów jest w taki sposób mnie uśmiercić. Potwierdzenie zyskuję natychmiast, gdy dostrzegam buty; są bardzo małe. Buty karzełka. Mój umysł, nie przestając rozpaczliwie poszukiwać wyjścia z sytuacji, podsuwa mi pytanie: jakim sposobem

dotarł tu przede mną?

Ale nie wdaję się w długą analizę swojej porażki, bo nim znajdę odpowiedź, zarobię kulę w łeb. Zresztą lufa przesuwana się ze skroni i nieruchomieje pośrodku mojego czoła, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Hafnera trafił mój drugi strzał. Unoszę głowę.

- Witaj, Maleval - mówi Verhoeven.

Jest w płaszczu, w kapeluszu, jedną rękę trzyma w kieszeni. Wygląda, jakby miał zaraz wyjść.

Ale jego druga dłoń, ta, w której pewnie trzyma pistolet, jest w rękawiczce, a to zły znak. Wpadam w lekką panikę. Nawet jeśli będę bardzo szybki, jak strzeli, nie żyję. Zwłaszcza że przez tę felearną nogę tracę sporo krwi, szybko myślę, nie wiadomo, jak zareaguje, kiedy zmuszę ją do wysiłku.

Zresztą Verhoeven dobrze o tym wie.

Na wszelki wypadek cofa się o krok, jego ramię nie słabnie, nadal jest idealnie wyprężone, nie boi się, jest zdecydowany, na jego kościstej twarzy maluje się pogodny, powściągliwy spokój.

Ja klęczę, on stoi, nasze oczy nie znajdują się na tej samej wysokości, ale niewiele brakuje. To być może moja szansa, ostatnia szansa. Jest w zasięgu ręki, gdybym tylko zyskał kilka centymetrów, kilka minut...

- Widzę, chłopcze, że jak zwykle szybko główkujesz...

„Chłopcze”... Zawsze taki był, protekcyjnalny, ojcowski.

Przy jego wzroście to naprawdę śmieszne. Ale jest sprytny. A ja, który go dobrze znam, widzę, że nie jest w najlepszej formie.

- Chociaż... czy szybko... - ciągnie. - Bo tej nocy trochę się spóźniłeś. Tak blisko celu, musisz być wkurzony.

- (Nie spuszcza ze mnie wzroku). - Jeśli przyszedłeś po walizkę z forszą, ucieszy cię informacja, że była tu. Godzinę temu wyjechała z nią kobieta Hafnera. Ja sam wezwałem dla niej taksówkę. Znasz mnie, wiesz, jaki jestem szarmancki wobec kobiet. Zawsze gotowy do usług, obojętnie, czy dźwigają walizkę, czy urządzają awanturę w restauracji.

Nie popełni żadnego błędu, pistolet jest naładowany i nie

jest to broń służbowa...

- Tak - mówi, jakby odgadywał moje myśli - broń należy do Hafnera. Na pierwszym piętrze jest cały arsenał, nie wyobrażasz sobie ile. Osobiście doradził mi akurat to. W tej sytuacji, ta czy inna, każda mi pasuje...

Nie spuszcza ze mnie oczu, wzrok ma niemal hipnotyczny. W czasach, kiedy dla niego pracowałem, nieraz widziałem to jego spojrzenie zimne jak brzytwa.

- Zastanawiasz się, jak tu dotarłem, a przede wszystkim co zrobić, żeby z tego wyjść. Bo domyślasz się, jaki jestem wkurzony.

Jego doskonale nieruchoma postać potwierdza, że rozwiązanie jest tylko kwestią sekund.

- I wściekły - ciągnie - Przede wszystkim wściekły. Dla człowieka takiego jak ja nie ma nic gorszego. Z gniewem można sobie poradzić, w końcu człowiek się uspokaja, relatywizuje, ale miłość własna? To straszne, jak potrafi dopieć. Zwłaszcza komuś, kto nie ma już nic do stracenia, komuś, komu już nic nie zostało. Na przykład takiemu facetowi jak ja. Zraniona miłość własna sprawia, że jest zdolny do wszystkiego.

Milczę. Przelykam ślinę.

- Ty - mówi - zaraz wystartujesz. Czuję to. - (Uśmiecha się). - Na twoim miejscu też bym tak zrobił. Stawianie wszystkiego na jedną kartę leży w naszej naturze. W gruncie rzeczy jesteśmy do siebie dość podobni. Przypuszczam, że właśnie dzięki temu możliwa była cała ta historia.

Dywaguje, głądzi, ale nie traci z oczu sytuacji.

Spinam się w sobie.

Verhoeven wyjmuję lewą rękę z kieszeni.

Nie odrywając od niego wzroku, kalkuluję swój ruch.

Trzyma pistolet oburącz, wycelowany prosto w moje oczy. Zaskoczę go, spodziewa się, że zaatakuję albo się uchylę, tymczasem ja się cofnę.

- Sza...

Nie opuszczając broni, unosi jedną dłoń do ucha.

- Posłuchaj...

Słucham. Syreny policyjne. Nadjeżdżają z wielką szybkością, Verhoeven nie uśmiecha się, nie delektuje zwycięstwem, jest smutny.

Gdybym nie był w tak nieciekawej sytuacji, tobym mu współczuł.

Zawsze wiedziałem, że lubię tego człowieka.

- Aresztowanie pod zarzutem zabójstwa - zaczyna wyliczać głosem tak cichym, że trzeba się naprawdę skupić, żeby go usłyszeć - zbrojnego napadu, współudziału w morderstwie w styczniu... Torturowania i zamordowania Ravica, zabójstwa jego kumpelki. Posiedzisz w mamrze kawał czasu, czy wiesz, że ci współczuję?

Mówi to szczerze.

Radiowozy nadjeżdżają z wielką szybkością, jest ich co najmniej pięć, może więcej. Światła kogutów na dachach wpadają przez okna i oświetlają wnętrze domu niczym neony wesołego miasteczka. W głębi salonu martwa twarz osuniętego w fotelu Hafnera przybiera na przemian barwę to niebieską, to czerwoną.

Słychać pospieszne kroki. Drzwi wejściowe dosłownie rozpryskują się na kawałki. Odwracam głowę.

Pierwszy wchodzi Louis, mój kumpel Louis. Świeży, starannie uczesany jak ministrant...

- Cześć, Louis...

Tak bardzo chciałbym go powitać nonszalancką miną, dalej odstawiać cynika, kontynuować swój popis, ale spotkanie Louisa w takich okolicznościach, cała ta przeszłość, cały ten galimatias - serce mi się kroi.

- Cześć, Jean-Claude... - podchodząc do mnie, mówi Louis.

Wracam spojrzeniem do Verhoevena. Już zniknął.

22.30

We wszystkich domach i w ogrodach się świeci. Ich właściciele stoją na gankach, wypytują się, zastanawiają, niektórzy podeszli do płotów, inni, co śmielsi, wylegli nawet na

ulicę, ale wahają się, czy podejść bliżej. Dwóch mundurowych policjantów stało na obu krańcach posesji, pilnując, by nikt nieproszony się nie zbliżał.

Inspektor Verhoeven w kapeluszu, z rękami w kieszeniach płaszcza stoi tyłem do całej sceny, zapatrzony w prostą linię ulicy oświetlonej jak w noc sylwestrową.

- Przepraszam cię, Louis. - (Mówi powoli, jak człowiek padający ze zmęczenia). - Trzymałem cię z dala od wszystkiego, tak jakbym ci nie ufał. Ale przecież wiesz, że nie o to chodziło, prawda?

Nie jest to pytanie retoryczne.

- Wiem - mówi Louis.

Chciałby zaprotestować, ale Verhoeven odwrócił już spojrzenie. Zawsze tak z nimi jest, zaczyna się i rzadko kiedy się kończy. Ale tym razem chodzi oczywiście o coś innego. Obaj czują, że widzą się po raz ostatni.

W obliczu tej perspektywy Louis zdobywa się na wyjątkową śmiałość.

- Ta kobieta...

Takie słowa w ustach Louisa są czymś niebywałym. Camille natychmiast reaguje:

- Ach nie, Louis, tylko nie to! - (Nie ze złością, tylko zapalczywie. Jakby obawiał się jakiegoś niesłusznego pomówienia). - Kiedy mówisz „ta kobieta”, czuję się jak ofiara jakiegoś dramatu miłosnego.

Znów przez dłuższą chwilę wpatruje się w ulicę.

- Do działania skłoniła mnie nie miłość, tylko sytuacja.

Z ulicy przed domem dobiegają ich odgłosy krzątania, hałas silników, słychać głosy, rozkazy, nie wyczuwa się w tym wszystkim gorączkowości, atmosfera jest spokojna, niemal pracowita.

- Myślałem, że po śmierci Irène z tym wszystkim skończyłem - ciągnie Camille. - Ale żar nadal się tlił, o czym nie wiedziałem. Maleval potrafił w odpowiedniej chwili podsycić ogień i tyle. W gruncie rzeczy „ta kobieta”, jak mówisz... niewielki ma w tym udział.

- A jednak - Louis nie daje za wygraną - kłamstwo,

zdrada...

- Ach, Louis, to tylko słowa... Kiedy zrozumiałem, o co naprawdę chodzi, mogłem z tym skończyć, położyłoby to kres kłamstwu i nie doszłoby do zdrady.

W milczeniu Louisa kryje się pytanie: więc dlaczego?

- Właściwie...

Przenosząc spojrzenie z powrotem na Louisa, Camille zdaje się szukać na jego twarzy swoich własnych słów.

- Nie chciałem już tak tego zostawić. Żeby to zamknąć, musiałem brnąć do samego końca. Myślę, że... to była kwestia lojalności. - (To słowo, zda się, jego samego zaskoczyło. Uśmiecha się). - A poza tym ta kobieta... Nigdy nie wierzyłem, że działała z niskich pobudek. W przeciwnym razie natychmiast bym to odpuścił. Kiedy połapałem się, w czym rzecz, było już trochę za późno, ale wtedy jeszcze mogłem pogodzić się ze szkodami, mogłem jeszcze wykonywać swoją pracę. Ale nie. Zawsze uważałem, że aby przystać na to wszystko, co ją spotkało... nie mogła działać w złej sprawie. - (Z miną jakby się ocknął, potrząsa głową, uśmiecha się). - I miałem rację. Poświęcała się dla swojego brata. Tak, wiem, „poświęcenie” to śmieszne słowo... Nie pasuje do dzisiejszych czasów, jest trochę staroświeckie, chociaż... Spójrz na Hafnera, aniołem nie był, ale przecież poświęcił się dla swoich dziewczyn. A Anne poświęciła się dla swojego brata... Zdarzają się takie rzeczy.

- A pan?

- Ja też.

Waha się, a potem startuje.

- Uznałem, że, nawet gdyby mnie to miało pograżyć, dobrze mieć kogoś, dla kogo można poświęcić coś dla nas ważnego. - (Uśmiecha się). - W dzisiejszych egoistycznych czasach to wręcz luksus, nie uważasz?

Podnosi kołnierz płaszcza.

- No cóż, mój dzień się jeszcze nie skończył. Muszę napisać list z wypowiedzeniem pracy. Nie zmrużyłem oka od...

Ale wciąż nie odchodzi.

- Hej, Louis!

Louis odwraca się; piętnaście metrów dalej na chodniku przed domem Hafnera stoi technik, który go woła.

Camille gestem pokazuje, idź, nie każ na siebie czekać.

- Zaraz wracam - mówi Louis.

Ale kiedy wraca, Camille'a już nie ma.

1.30

Serce Camille'a zabiło szybciej, kiedy dostrzegł, że w domu pali się światło.

Natychmiast zatrzymał samochód, zgasił silnik. Siedząc za kierownicą, zastanawiał się, jak to rozegrać. Była u niego Anne.

Niepotrzebne mu było to dodatkowe rozczarowanie, ta kolejna próba. Potrzebował samotności.

Z westchnieniem bierze swój płaszcz, kapelusz, grubą teczkę z aktami i powoli rusza ścieżką, rozmyślając, jak będzie wyglądało ich spotkanie, co jej powie, jak jej to powie. Wyobraża sobie Anne siedzącą nadal w tym samym miejscu, na podłodze w kuchni pod zlewem.

Drzwi na taras są lekko uchylone.

Salon wypełnia słabe światło kinkietu pod schodami, zbyt słabe, by mógł zobaczyć Anne. Camille kładzie swój pakunek na ziemi, sięga do klamki balkonowych drzwi, z uśmiechem je rozsuwa.

Jest sam. To bez sensu, ale jednak pyta:

- Anne...! Jesteś tu?

Odpowiedź już zna.

Podchodzi do pieca, to pierwsza rzecz, którą zawsze robi. Podrzucić polano. I otworzyć szyber.

Potem zdejmuje płaszcz, po drodze włącza czajnik elektryczny, ale zaraz go wyłącza i podchodzi do szafki, w której trzyma alkohole. Waha się: whisky czy koniak?

Niech będzie koniak.

Tylko kropelkę.

Potem przynosi zostawione na tarasie rzeczy i zasuwa

balkonowe drzwi.

Załatwi to na spokojnie, sącząc alkohol. Kocha ten dom. W górze przeszklony dach zasłaniają cieniste, ruchome korony drzew. Wewnątrz nie czuje się wiatru, tylko się go widzi.

To dziwne, ale w tej chwili - choć mając swoje lata, jest już dużym chłopcem - brakuje mu matki. Ogromnie. Gdyby sobie pofolgował, zapłakałby za nią.

Ale opiera się pokusie. Płkanie w samotności nie ma sensu.

Odstawia więc kieliszek, otwiera grubą teczkę ze zdjęciami, z raportami, sprawozdaniami, wycinkami prasowymi, gdzieś wśród nich muszą być ostatnie zdjęcia Irène.

Nie szukając ich, nie patrząc, całymi garściami ładuje wszystko metodycznie do otwartych drzwiczek pieca, w którym teraz spokojnie i równo buzuje ogień.

Courbevoie, grudzień 2011

Niniejsza książka jest ostatnim tomem trylogii o Verhoevenie, której pierwszą częścią była *Travail soigné*, a następną *Alex*.

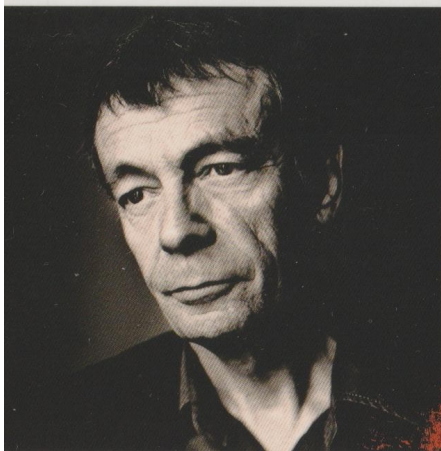
Pragnę podziękować mojej żonie Pascaline, Géraldowi Aubertowi za jego rady oraz mojemu przyjacielowi Samowi za jego stałą obecność i gotowość do pomocy. Dziękuję również Pierre'owi Scipionowi za jego czujność i życzliwość, jak też całemu zespołowi wydawnictwa Albin Michel.

Oczywiście winny jestem także wdzięczność autorom, od których tu i ówdzie coś zapożyczałem. Są to (w porządku alfabetycznym): Marcel Aymé, Thomas Bernhard, Nicolas Boileau, Heinrich Boli, William Faulkner, Shelby Foote, William Gaddis, John Le Carré, Jules Michelet, Antonio Muñoz Molina, Marcel Proust, Olivier Remaud, Jean-Paul Sartre, Thomas Wolfe.



Za przełomowe uważa się takie wydarzenie, które wywraca twoje życie do góry nogami. Camille Verhoeven przeczytał to parę miesięcy temu w artykule „Przyspieszenie historii”. Takie zdarzenie – decydujące, wstrząsające, nieoczekiwane, zdolne postawić w stan najwyższej gotowości twój system nerwowy, rozpoznajesz natychmiast pośród innych życiowych zdarzeń; gdy do niego dochodzi, od razu wiesz, że będzie ono miało dla ciebie olbrzymie konsekwencje, że to, co cię właśnie spotyka, jest nieodwracalne.

(fragment powieści)



© Richard Dumas

Pierre Lemaitre

(ur. 1956 w Paryżu),
francuski pisarz i scenarzysta, mistrz kryminału.
Debiutował w 2006 roku. Jego książki zdobyły wiele
nagród, m.in. Prix du polar européen za europejski
kryminał roku 2010, CWA International Dagger 2013,
Nagrodę Goncourtów 2013.

W wydawnictwie MUZA dotychczas ukazały się:
Ślubna suknia, *Zakładnik* i pierwsza książka
o inspektorze Verhoevenie pt. *Alex*.

Lemaitre wynosi kryminał na wyżyny
rzadko nawiedzane przez pisarzy francuskich:
wyżyny, na których
króluje prawdziwa literatura.

Jean-Claude Buisson, „Le Figaro Magazine”

Camille Verhoeven,
diabelnie inteligentny i charyzmatyczny
inspektor paryskiej policji, w kolejnej książce

Cztery lata po tragicznej śmierci żony w życiu inspektora Verhoevena niespodziewanie pojawia się nowa kobieta i nowa miłość.

Niestety, pewnego feralnego poranka jego ukochana Anne Forestier zostaje brutalnie pobita, gdy przypadkowo staje się świadkiem napadu na sklep jubilerski.

Verhoeven, by móc samodzielnie prowadzić śledztwo w tej sprawie, używa podstępu, za co grozi mu dyscyplinarne usunięcie z policji.

Choć Anne rozpoznaje napastników, ich aresztowanie wcale nie jest proste, tym bardziej że wskazani przez nią przestępcy nie są faktycznymi sprawcami, a sama Anne nie jest osobą, za którą się podaje.

Dlaczego Anne Forestier pojawiła się w życiu inspektora?
Jaką rolę odegrała w całej sprawie?

www.muza.com.pl

Patroni medialni

Cena 34,99 zł

ISBN 978-83-7758-714-0



9 788377 587140

BOOKLIPS.PL IIII

*Zbrodnia
w Bibliotece*

lesiojot